

Komodor

C. S. FORESTER



calibre 0.7.3

C. S. FORESTER

Komodor

Przekład Henryka Stępień

WYDAWNICTWO MORSKIE GDAŃSK

„TEKOP” GLIWICE

1991

Tytuł oryginału angielskiego: The Commodore

Redaktor: Alina Walczak

Opracowanie graficzne: Erwin Pawłusiński Ryszard Bartnik

Korekta: Teresa Kubica

© Copyright 1945 by C. S. Forester

ISBN 83-215-5792-9 (Wyd. Morskie) ISBN 83-85297-64-2 (Tekop)

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991

we współpracy z „Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne zam. 1724/K

Rozdział I

Kapitan Sir Horatio Hornblower siedział w krótkiej wannie i patrzył z niesmakiem na swoje nogi przewieszane przez jej brzeg. Cienkie i owłosione, przywodziły mu na myśl nóżki pajaków, jakie widywał w Ameryce Środkowej. Trudno było myśleć o czymkolwiek innym siedząc w skurczonej pozycji w tej idiotycznej nasiadówce, z kolanami pod nosem; z jednej strony nogi zwisały za wannę, a z drugiej wystawała z wody górna partia ciała. Zanurzona w wodzie była tylko środkowa część korpusu, od pasa do kolan, a do tego zgięta prawie w pół. Hornblower był zły, że musi brać kąpiel w tej pozycji; starał się opanować irytację i usilnie próbował nie myśleć o tysiącach wygodniejszych kąpeli na pokładzie okrętu, pod pompą do zmywania pokładu, wyrzucającą na niego strumienie orzeźwiającej wody morskiej. Sięgnął po mydło i flanelową myjkę i zaczął wściekle szorować nie zanurzone okolice ciała, rozpryskując wodę przez brzegi wanny na wyfroterowaną dębową podłogę ubieralni. Pokojówka będzie miała z tym kłopot, ale w swoim obecnym nastroju Hornblower był rad, że przysporzy komuś kłopotu.

Podniósł się niezdarnie, ociekając wodą, namydlił i opłukał środkowe partie ciała i krzyknął na Browna. Brown nadszedł natychmiast z sypialni, chociaż doświadczony służący wyczułby nastrój swego pana i opóźnił trochę przybycie, dając mu możliwość wyrzucenia z siebie paru mocnych słów. Narzucił ogrzany ręcznik na plecy Hornblowera, uważając, aby końce się nie zamoczyły. Hornblower wyszedł z mętnej od mydła kąpeli i ruszył przez pokój, zostawiając na podłodze ścieżkę z kropel i mokre ślady stóp. Wycierając się patrzył ponuro przez drzwi sypialni na ubranie wyłożone tam przez Browna.

— Ładny poranek, sir — odezwał się Brown.

— Do diabła z twoim porankiem — burknął Hornblower.

Będzie musiał włożyć to przekłete tabaczkowo-niebieskie ubranie, lakierowane trzewiki i złotą dewizkę; nigdy dotąd nie miał na sobie czegoś takiego i czuł obrzydzenie do tego stroju, podziwianego przez żonę już w czasie przymiarek u krawca, a bał się, że przyjdzie mu je nosić do końca życia. Na to uczucie odrazy składała się zwykła ślepa niechęć, bez żadnego powodu, a do tego wstręt do czegoś, w czym nie jest mu do twarzy i w czym wygląda już nie pospolicie, ale idiotycznie. Wdział przez głowę koszulę lnianą za dwie gwinee, a potem z wielkim trudem wbił łydki w ciasne tabaczkowe spodnie. Opinały mu nogi jak skóra. Kiedy już wciągnął je do końca, a Brown, stojąc za jego plecami, dociągnął mu je w stanie, Hornblower spostrzegł się, że nie włożył pończoch. Zdjęcie teraz spodni byłoby przyznaniem się do błędu, czego nie miał zamiaru robić. Odmówił, gdy Brown mu to zaproponował i poczęstował go nowym przekleństwem. Z filozoficznym spokojem Brown ukląkł i zaczął podwijać ciasne nogawki, które nie dały się jednak podciągnąć nawet do kolan, toteż próba nałożenia długich pończoch w ten sposób skończyła się niepowodzeniem.

— Obetnij to świństwo u góry! — warknął Hornblower.

— Klęcząc na podłodze Brown podniósł na niego protestujące spojrzenie, ale widząc wyraz twarzy swego pana, nie odezwał się ani słowem. W zdyscyplinowanym milczeniu zaczął wypełniać rozkaz. Wziął z toaletki nożyczki i ciach, ciach, ciach! Górna część pończoch spadła na podłogę, a

Hornblower wsunął stopy w obcięte końce i po raz pierwszy tego dnia poczuł satysfakcję, gdy Brown odwijał nogawki spodni na to, co pozostało z pończoch. Los może się sprzysiąc przeciwko niemu, ale, na Boga, on mu pokaże, że potrafi postawić na swoim. Wbił stopy w lakierowe trzewiki, już nie złorzeczając, że ciasne — przypomniał sobie, z poczuciem winy, że uległ namowom modnego szewca i nie należał na wygodę, gdy obecna przy braniu miary małżonka pilnowała, aby stało się zadość wymogom mody.

Stąpając sztywno podszedł do toaletki i owinął szyję halsztukiem, a Brown przypiął mu fontaż. Ten głupi halsztuk drapał go w uszy przy ruchach głowy, a sztywna szyja zrobiła się jakby dwa razy dłuższa. Nigdy dotąd nie czuł się bardziej skrępowany; jak tu oddychać swobodnie w tym przeklętym stojącym kołnierzu, który stał się modny, gdyż tak nosili się Brummell[1] i książę regent[2]. Wdział kamizelkę w kwiatki — niebieskie z różowymi gałązkami — i surdut z najlepszego sukna, tabaczkowy, z wielkimi niebieskimi guzami; spód klap kieszeni i podszycie wyłogów i kołnierza było w odpowiednim odcieniu niebieskiego. Przez dwadzieścia lat Hornblower nosił wyłącznie mundur, toteż obraz ukazany przez lustro jego niechętnym oczom wydał mu się nienaturalny, groteskowy, śmieszny. Mundur to rzecz wygodna — nikt nie mógł mu zarzucić, że źle w nim wygląda, bo przecież musiał w nim chodzić. Natomiast w ubraniu cywilnym powinien się przejawiać jego własny smak i gust — nawet jeśli jest człowiekiem żonatym — i niech sobie ludzie śmieją się z tego, co nosi. Brown przyczepił mu złoty zegarek do dewizki i wepchnął go do kieszonki w spodniach. Na brzuchu powstało wskutek tego nieznaczne wybrzuszenie, ale Hornblower nie miał zamiaru obywać się bez zegarka tylko dlatego, żeby ubranie lepiej leżało. Wsunął w rękaw płócienną chusteczkę podaną mu przez Browna po spryskaniu jej wodą kwiatową i już był gotów.

— To piękny strój, sir — zauważył Brown.

— Piękna tandeta! — odburknął Hornblower.

Przeszedł, wciąż na sztywnych nogach, przez ubieralnię i zastukał do przeciwległych drzwi.

— Proszę — usłyszał głos małżonki.

Barbara siedziała w kąpieli — jak on sam niedawno — z nogami zwieszonymi za wannę.

— Jak świetnie wyglądasz, mój drogi — zawołała. — Co za miła odmiana zobaczyć cię nie w mundurze.

Nawet Barbara, najmiłsza kobieta na świecie, nie była wolna od przykrej przywary niewieściej, polegającej na chwaleniu zmiany dla niej samej, ale Hornblower nie odburknął jej tak jak Brownowi.

— Dziękuję — powiedział, mozolnie zdobywając się na nadanie głosowi miłego tonu.

— Podaj ręcznik, Hebe — zwróciła się Barbara do służki wychodząc z kąpieli. Drobna Murzynka podeszła bezszelestnie i owinęła ją ręcznikiem.

— Wenus wynurza się z fal — zażartował szarmancko Hornblower. Robił, co mógł, żeby opanować uczucie skrępowania na widok żony nagiej w obecności innej kobiety, mimo że Hebe to tylko służąca i do tego kolorowa.

— Myślę — mówiła Barbara, gdy Hebe osuszała jej skórę ręcznikiem — że ludzie na wsi wiedzą już o naszym dziwnym zwyczaju brania kąpeli, co dzień. Trudno mi sobie wyobrazić, co o tym sądzą.

Hornblowerowi nie było trudno; sam był kiedyś chłopcem wiejskim. Barbara odrzuciła ręcznik i znowu przez moment stała naga, gdy Hebe wciągała jej jedwabną koszulę przez głowę. Raz przełamawszy bariery, kobiety zupełnie tracą poczucie skromności — w swojej przezroczyściej koszuli Barbara wyglądała bardziej szokująco niż bez niej. Usiadła przy toalecie i zaczęła smarować twarz kremem, a Hebe czesała jej włosy; na toalecie stało mnóstwo słoików i słoiczków i Barbara sięgała do nich kolejno jak czarownica przygotowująca swój napój.

— Cieszę się — ciągnęła, oglądając uważnie swoje odbicie w lustrze — że świeci słońce. Dobrze, że mamy ładny dzień na dzisiejszą uroczystość.

Hornblower myślał o uroczystości od chwili przebudzenia; nie tyle może z niechęcią, co z niepewnością. Będzie to pierwsza ważna chwila w jego nowym życiu, toteż — rzecz całkiem naturalna — nie wiedział na pewno, jak zareaguje na odmianę. Barbara wciąż studiowała odbicie swojej twarzy w lustrze.

— Witamy nowego dziedzica Smallbridge — powiedziała, odwracając się do niego z uśmiechem.

Uśmiech odmienił nie tylko jej oblicze, ale i nastrój Hornblowera. Barbara przestała być wielką damą, córką lorda, z najbłękitniejszą arystokratyczną krwią w żyłach, damą, której doskonała równowaga duchowa i pewność siebie tak onieśmiały Hornblowera, czego bardzo nie lubił; teraz stała się znów tą samą kobietą, która trwała przy nim nieustraszenie na zoranyh pociskami pokładzie „Lydie” na Pacyfiku, kobietą drżącą z miłości w jego ramionach, ukochanym przyjacielem i przyjazną kochanką. Serce Hornblowera zabiło szybciej dla niej. Wzięłyby ją w ramiona i całował, gdyby w pokoju nie było Hebe. Lecz spojrzenie Barbary napotkało jego wzrok i wyczytało z niego te myśli. Jeszcze raz uśmiechnęła się do niego; rozumieli się cudownie, mieli własne, sobie tylko znane sekrety i świat pojaśniał dla obojga.

Barbara wciągnęła białe jedwabne pończochy i zawiązała na udach szkarłatne jedwabne podwiązki. Hebe czekała już z uniesioną w rękach suknią i Barbara dała pod nią nura. Suknia falowała i kłębiła się, aż Barbara wysunęła spod niej potarganą głowę, wymachując rękami w trakcie wsuwania w rękawy. W takich warunkach żadna nie wyglądałaby na wielką damę i Hornblower kochał ją bardziej niż zwykle. Hebe ułożyła fałdy sukni na swojej pani i narzuciła jej na ramiona koronkową pelerynkę, żeby poprawić jeszcze włosy. Gdy ostatnia szpilka została wetknięta i ostatni loczek przypięty, Hebe nachyliła się i pomagając łyżką do butów wsunęła pantofelki na stopy Barbary, która z wielką uwagą wkładała na głowę ogromny kapelusz przybrany różami i wstążkami.

— Któraż to godzina, kochany? — spytała.

— Dziewiąta — odparł Hornblower, z trudem wysułał zegarek z ciasnej kieszonki w spodniach.

— Doskonale — powiedziała Barbara, sięgając po długie białe jedwabne rękawiczki, które dotarły do niej z Paryża krętymi ścieżkami przemysłowymi. — Hebe, panicz Ryszard jest już pewnie gotów. Powiedz niani, żeby go tu przyniosła. Myślę też, kochany, że twoja wstęga i gwiazda będą bardzo na miejscu na dzisiejszą uroczystość.

— Na progu mego własnego domu? — zaprotestował Hornblower.

— Niestety tak — odparła Barbara. Kiwnęła głową z piramidą róż i zamiast, jak przedtem, tylko się uśmiechnąć, ukazała szeroko zęby i wszystkie obiekcje Hornblowera na temat założenia orderu rozwiały się od razu. Barbara w ten sposób dała mu do zrozumienia, że jeśli idzie o nią, to jak i on, nie przywiązuje większej wagi do ceremonii powitania go jako nowego dziedzica Smallbridge. Jakby ktoś widzący go na wskroś mrugnął do niego porozumiewawczo.

W sypialni Hornblower wydobyl z szuflady w komodzie wstęgę Orderu Łażni i Gwiazdę, a Brown wyszukał mu rękawiczki irchowe, które naciągał na ręce schodząc po schodach. Spłoszona pokojówka dygnęła przed nim; w hallu czekał szef służby Wiggins, trzymając w ręku wysoki cylinder z futra bobrowego, a przy nim stał lokaj John w nowej liberii wybranej przez Barbarę. Nadeszła i ona sama, z nianią trzymającą Ryszarda na ręku. Chłopczykowi wypomadowano loki, żeby nadać im sztywność. Niania postawiła go i poprawiła na nim sukieneczki i koronkowy kołnierz. Hornblower spiesznie ujął go za jedną rączkę, a Barbara za drugą; Ryszard nie przywykł jeszcze stać o własnych siłach i mógł puścić się na czworakach w sposób nie licujący z powagą porannej ceremonii. Wiggins i John rozwarli podwoje i wszyscy troje, Barbara, Hornblower i Ryszard między nimi, podeszli do szczytu schodów nad podjazdem; Hornblower w ostatniej chwili, przed przestąpieniem progu, przypomniał sobie o wsadzeniu cylindra na głowę.

Wyglądało, że przed dworem zebrali się prawie wszyscy mieszkańcy Smallbridge. Po jednej stronie stał pastor z gromadką dzieciaków, w środku czterej dzierżawcy folwarków, w źle skrojonych ubraniach z czarnego sukna, ze swoimi ludźmi w bluzach roboczych, a z drugiej strony kobiety w fartuchach i czepkach. W tyle za dziećmi stajenny z zajazdu „Pod Dyliżansem i Końmi” podsunął skrzypce pod brodę i podał ton; pastor dał znak dłonią i dzieci zaczęły przeraźliwie cienkimi głosikami:

Oo-oto kroczy wó-óó-ódz zwycięski,

Dmi-ii-ijcie w trą-by, bi-ii-ijcie w bęb-ny!

Słowa te adresowane były oczywiście do Hornblowera, toteż zdjął cylinder i stał zakłopotany; melodia nic nie mówiła jego głuchym na tony uszom, zdołał jednak pochwycić niektóre słowa. Chór zakończył nierówno śpiew i pastor wystąpił do przodu.

— Jej lordowska wysokość — zaczął — Sir Horatio. Witam w imieniu wsi. Witamy cię, Sir

Horatio, w całej glorii zdobytej w wojnie przeciwko tyranowi korsykańskiemu. Witamy jej lordowską wysokość małżonkę stojącego przed nami bohatera, siostrę bohatera dowodzącego obecnie naszą dzielną armią w Hiszpanii, córkę rodziny należącej do najwyższej arystokracji kraju! Witamy...

— Pan! — zawołał niespodziewanie Ryszard. — Ta-ta!

Pastor nie zareagował na to nawet mrugnięciem; raz zacząwszy przemowę, ciągnął dalej, wygłaszając przesadnie pochlebne zdania o radości, jaka zapanowała we wsi na wieść, że stała się ona własnością sławnego żeglarza. Hornblower nie nadążał za wątkiem przemowy, bo musiał mocno trzymać Ryszarda za rączkę — gdyby udało mu się wyrwać, malec pognałby na czworakach schodami w dół, do dzieci ze wsi. Hornblower przeniósł spojrzenie na soczystą zieleń parku; w dali falistą linią rysował się masyw wyżyny Downs, a z boku wieża kościoła Smallbridge górowała nad drzewami. Z tej samej strony widać też było sad w pełnym rozkwicie, przedziwnie uroczy. Park, sad i kościół są jego; jest dziedzicem, panem na włościach, właścicielem wielu akrów ziemi witany właśnie przez dzierżawców. Za plecami jest jego dom, pełen jego służby; na piersi ma wstęgę i gwiazdę orderu rycerskiego; a w Londynie bank Coutts and Company ma w swoich piwnicach stosik złotych gwinei również będących jego własnością. Jest u szczytu męskich ambicji. Sława, bogactwo, bezpieczeństwo, miłość, dziecko — ma wszystko, czego dusza może pragnąć. Pastor gadał dalej monotonnym głosem, a on stojąc u szczytu schodów, stwierdził ku swemu zdumieniu, że wciąż nie jest szczęśliwy. Rozzłościł się za to na siebie. Powinien czuć się przepełniony dumą, radością i szczęściem, a on medytuje nad przyszłością z pewną niechęcią; drażni go myśl o bytowaniu w tym miejscu, a już szczególnie o modnym spędzaniu sezonu w Londynie, nawet gdyby miał mieć Barbarę cały czas przy sobie.

Coś przerwało nagle te chaotyczne rozmyślania Hornblowera. Usłyszał słowa, które nie powinny zostać wypowiedziane, a ponieważ jedyną osobą mówiącą był pastor, on musiał je wyrzec i mamrotał dalej swoje, wyraźnie nie orientując się, że popełnił gafę. Hornblower rzucił ukradkowe spojrzenie na Barbarę; jej białe zęby błysnęły na moment nad dolną wargą — oczywista oznaka gniewu dla każdego, kto znał ją dobrze. Poza tym jednak zachowywała się ze stoickim spokojem brytyjskich klas wyższych. Co mogło tak ją zdenerwować? Hornblower szukał w podświadomości słów wypowiedzianych przez pastora, które tam zapadły mimo braku uwagi. Tak, to było to. Głupiec mówił o Ryszardzie, jakby był dzieckiem ich obojga. Barbara okropnie się wściekała, gdy brano pasierba za jej własne dziecko. I rzecz ciekawa — im bardziej zaczynała lubić chłopczyka, tym mocniej ją to irytowało.

Pastor skończył i nastąpiła niezręczna pauza. Należało chyba coś odpowiedzieć i Hornblower powinien to uczynić.

— Ha... hm — odchrząknął; za krótko był jeszcze po ślubie, żeby się całkiem wyzbyć dawnego nawyku. Gorączkowo myślał, co by tu powiedzieć. Powinien był oczywiście być już przygotowany do przemowy; powinien był ją obmyślać, zamiast stać tak i śnić na jawie. — Ha... hm. Z dumą spoglądam na ten krajobraz angielski...

Udało mu się powiedzieć wszystko, co należało. O tyranie z Korsyki. O chłopach w armii angielskiej. O królu i księciu regencie. O Lady Barbarze. I o Ryszardzie. Gdy skończył, zapadła

znowu krępująca przerwa, ludzie spoglądali po sobie, aż jeden z wieśniaków wystąpił do przodu.

— Trzy razy „hip-hip-hurra” na cześć jej lordowskiej wysokości!

Wszyscy wznieśli trzykrotny okrzyk, ku zdumieniu Ryszarda, który zareagował głośnym płaczem.

— Niech żyje Sir Horatio! Niech żyje, niech żyje, niech żyje!

Teraz pozostało tylko wycofać się uprzejmie do wnętrza domu i pozwolić dzierżawcom się rozejść. Bogu dzięki, już po wszystkim. Lokaj John stał w hallu w postawie, którą widocznie uważał za postawę na bacność. Znudzony Hornblower zanotował w pamięci, że trzeba nauczyć go trzymania łokci przy sobie. Skoro ma zatrudniać lokaja, zrobi z niego dobrego lokaja. Nadeszła niania i porwała Ryszarda, żeby sprawdzić, czy bardzo ma mokro. Utykając zbliżał się też kamerdyner z listem na tacy. Hornblower poczuł, że krew napływa mu do twarzy; jak się orientował, takiej pieczęci i tego grubego płótnowanego papieru używano tylko w Admiralicji. Upłynęły miesiące, długie jak lata, od ostatniego listu, jaki otrzymał z Admiralicji. Porwał pismo z tacy i tylko dzięki łasce Opatrzności przypomniał sobie, żeby przeprosić Barbarę spojrzeniem przed złamaniem pieczęci.

Lordowie Komisarze Admiralicji

Whitehall

10 kwietnia 1812

Sir,

Lordowie Komisarze polecili mi poinformować Pana, że Ich Lordowskie Wysokości pragną zatrudnić Pana natychmiast jako Komodora, z kapitanem pod pańską komendą, w misji, która zdaniem Ich Lordowskich Wysokości zasługuje na powierzenie jej oficerowi o Pańskim stażu i pozycji. Poleca się zatem Panu i uprasza o możliwie najszybsze powiadomienie, za moim pośrednictwem, Ich Lordowskich Wysokości, czy przyjmie Pan tę propozycję, czy nie, a w wypadku Pańskiej zgody poleca się Panu i uprasza stawić się bez zwłoki osobiście w tutejszym biurze dla odebrania ustnych instrukcji od Ich Lordowskich Wysokości, jak również instrukcji od każdego innego Ministra Stanu, z którym skontaktowanie się Pana może zostać uznane za konieczne.

Pański posłuszny sługa

E. NEPEAN

Sekr. Lordów Komisarzy Admiralicji

Hornblower musiał przeczytać list dwukrotnie — za pierwszym razem nic z niego nie rozumiał. Przy powtórным czytaniu fantastyczna treść pisma dotarła do jego świadomości. Przede wszystkim uświadomił sobie, że nie musi przebywać dalej tu, w Smallbridge, czy też na Bond Street.

Zostaje uwolniony od tego wszystkiego; będzie mógł brać kąpiel pod pompą pokładową, a nie w tej idiotycznej niasiadówce mieszczącej ledwie kociołek wody; będzie mógł chodzić po swoim pokładzie, wdychać morskie powietrze; zrzuci te przekłete ciasne spodnie i nigdy już ich nie włoży; nie będzie zmuszony przyjmować żadnych delegacji ani przemawiać do żadnych przeklętych dzierżawców; nigdy więcej nie poczuje odoru chlewni i nie będzie trząść się na grzbiecie konia. To pierwsza sprawa; druga to zaofiarowane mu stanowisko komodora — w dodatku komodora pierwszej klasy, z podległym mu kapitanem, a więc pozycja równa admirałskiej. Będzie miał swój proporzeczek na topie grotmasztu, szacunek i honory — nie żeby mu na nich zależało, lecz będą one widomymi oznakami zaufania, jakim go obdarzono, awansu, jaki stał się jego udziałem. Louis w Admiralicji widocznie musi mieć o nim dobre zdanie, skoro mianuje go komodorem, mimo że jest na końcu górnej połowy listy kapitanów. Oczywiście zwrot „zasługuje na powierzenie jej oficerowi o Pańskim stażu i pozycji” to zwykła formułka z góry usprawiedliwiająca przeniesienie go przez Admiralicję — w razie odmowy — na połowę pensji; ale... te końcowe słowa, o konsultacji z ministrami stanu, są ogromnie ważne. Oznaczają, że powierzana mu misja jest zadaniem odpowiedzialnym, o znaczeniu międzynarodowym. Owładnęła nim fala podniecenia.

Wyjął zegarek. Dziesiąta piętnaście — wczesna pora, jak dla szczurów lądowych.

— Gdzie Brown? — huknął do Wigginsa.

Przedziwna rzecz, Brown był na podorędziu — może zresztą nie taka dziwna; wszyscy na dworze wiedzą już oczywiście, że ich pan otrzymał list z Admiralicji.

— Wyjmij mój najlepszy mundur i szpadę. Każ zaprząć konie do powozu. Pojedziesz ze mną, Brown... Będę chciał, żebyś powoził. Przygotuj także rzeczy na noc dla mnie i dla siebie.

Służba rozbiegła się na wszystkie strony — nie tylko należało wykonać ważne polecenia pana, ale szło również o sprawę państwowej wagi, a więc podwójnie ważną. Gdy Hornblower otrząsnął się z pierwszego wrażenia, spostrzegł, że tylko Barbara została przy nim.

Boże, w podnieceniu całkiem o niej zapomniał i ona wie o tym. Stała lekko pochylona, z opadłym kącikiem ust. Gdy oczy ich się spotkały, kącik ten się unióś, ale zaraz opadł z powrotem.

— To Admiralicja — tłumaczył się nieporadnie. — Chcą mianować mnie komodorem, z kapitanem pod moją komendą.

Przykro mu było patrzeć, jak Barbara próbuje udawać, że jest z tego zadowolona.

— To wielki zaszczyt — powiedziała. — Lecz nie większy, mój drogi, niż na to zasługujesz. Ucieszyłeś się na pewno, ja także.

— Będę musiał opuścić cię w związku z tym — zauważył Hornblower.

— Kochany, spędziłam z tobą sześć miesięcy. Sześć miesięcy szczęścia, jakie mi dałeś, to: więcej, niż na to zasługuje jakakolwiek kobieta. I przecież wrócisz do mnie.

— Oczywiście że wrócę — odparł Hornblower.

Rozdział II

Pogoda była typowo kwietniowa. Podczas uroczystości u stóp schodów dworu Smallbridge było bardzo słonecznie, ale w trakcie dwudziestomilowego przejazdu do Londynu spadł gwałtowny deszcz. Potem pokazało się słońce, ogrzało ich i osuszyło; a teraz kiedy przejeżdżali przez Wimbledon Common[3], niebo znów pociemniało i pierwsze krople zaczęły padać na ich twarze. Hornblower ciaśniej owinał się płaszczem i zapiął guziki kołnierza. Trójganiasty kapelusz ze złotą lamówką i guzem spoczywał na kolanach pod osłoną namiotu z płaszczem; noszone dłużej na deszczu te kapelusze deformowały się pod wpływem wody zbierającej się we wgłębieniu główki i za rondem.

Od zachodu nadleciał deszcz i wiatr, z wyciem niewiarygodnie kontrastującym z cudowną pogodą panującą zaledwie pół godziny temu. Uderzenie szkwału skupiło się na lewym koniu w zaprzęgu. Uchylił się i przestał ciągnąć. Brown przejechał biczem po jego lśniącym zadzie i koń ze świeżą energią wparł się w chomąto. Brown to dobry woźnica — dobry zresztą we wszystkim. Był najlepszym ze znanych Hornblowerowi sterników kapitańskich, lojalnym podwładnym w czasie ucieczki z Francji, a teraz przekształcił się w najlepszego służącego, jakiego można sobie wymarzyć. Siedział na koźle, obojętny na ulewę, trzymając w dużej opalanej dłoni śliskie skórzane lejce; dłoń, nadgarstek i przedramię pracowały jak sprężyna, utrzymując delikatny nacisk na pyski koni — nie za silny, aby im przeszkadzał, lecz dostateczny dla pewnego biegu po oślizłej drodze i panowania nad końmi w każdej chwili. Ciągnęły teraz powóz błotnistą szosą pod górę po stromym podejździe do Wimbledon Common z werwą, jakiej Hornblowerowi nie udało się nigdy z nich wykrzesać.

— Brown, chciałbyś iść znowu na morze? — zapytał Hornblower. Sam fakt, że pozwolił sobie na to niekonieczne przecież odezwanie dowodził, jak bardzo podniecenie wytrąciło go z równowagi.

— Faktycznie bym chciał, sir — odparł krótko Brown.

Hornblower musiał sam zdecydować, co Brown miał na myśli — czy ta zwięzła odpowiedź pokrywała typowo po angielsku uczucie entuzjazmu, czy też Brown chciał tylko uprzejmie dostosować się do nastroju swego pana.

Woda ściekała Hornblowerowi z mokrych włosów po szyi za kołnierz. Powinien był zabrać zydwestkę. Skulił się na wyściełanym skórą siedzeniu, oparłszy obie dłonie na rękojeści przytroczonej do pasa szpady — szpady o wartości stu gwinei, ofiarowanej mu przez Fundusz Patriotyczny. Ręce spoczywające na pionowo ustawionej szpadzie podtrzymywały ciężki, przemoczony płaszcz nad kapeluszem leżącym na kolanach. Wzdrygnął się, gdy następny strumyczek pociekł mu za ubranie. Zanim ulewa przeszła, był przemoczony do nitki i czuł się fatalnie, ale oto znów pokazało się wspaniałe słońce. Krople deszczu na jałowcu i jeżynach lśniły jak diamenty; z koni buchała para; wysoko w górze skowronki znów podjęły swój śpiew. Hornblower rozpiął płaszcz i przetaił chusteczką mokre włosy i szyję. Brown zwolnił bieg koni, aby idąc stępem po szczycie wzgórza zdążyły złapać oddech przed szybkim zjazdem w dół.

— Londyn, sir — powiedział.

To był istotnie Londyn. Deszcz oczyścił powietrze z kurzu i dymu, tak że nawet z tej odległości złocony krzyż i dzwon nad katedrą Św. Pawła lśniły w słonecznym blasku. Iglice kościoła, wyglądające na niższe z powodu kopuły, sterczały z nienaturalną wyrazistością. Ostro rysowały się szczyty dachu. Brown cmoknął na konie, które ruszyły truchtem, ciągnąc z turkotem powóz po stromym zjeździe do Wandsworth. Hornblower wyjął zegarek. Była dopiero druga — dużo czasu na załatwienie spraw. Mimo że pod płaszczem miał mokrą koszulę, dzień okazał się znacznie lepszy, niż się spodziewał, siedząc rano w swojej niasiadówce.

Brown ściągnął cugle koni, stając przed Admiralicją i od razu zjawił się obdarty włóczęga, który osłonił koło, żeby Hornblower, wysiadając z powozu, nie zabłocił sobie o nie płaszcz i munduru.

— A zatem pod „Złotym Krzyżem”, Brown — powiedział Hornblower, szukając w kieszeni miedziaka dla włóczęgi.

— Tak jest, sir — odparł Brown zawracając konie.

Hornblower starannie włożył swój trójgraniasty kapelusz, wygładził na sobie płaszcz i przesunął na środek sprzączkę pasa od szpady. W swoim dworze Smallbridge był Sir Horatiem, panem domu, seniorem, lecz teraz tylko kapitanem Hornblowerem idącym na spotkanie z Lordami Admiralicji. Lecz admirał Louis przywitał go kordialnie. Nie trzymał go w poczekalni dłużej niż trzy minuty — tyle tylko, ile było potrzeba na pozbycie się osoby, którą właśnie przyjmował — i uściśnął mu dłoń, wyraźnie rad, że go widzi; zadzwonił, żeby zabrano mokre okrycie Hornblowera i własnoręcznie postawił mu krzesło przy ogromnym kominku, który płonął u niego latem i zimą od czasu powrotu z dowodzonego przez niego stanowiska w Indiach Wschodnich.

— Lady Barbara, mam nadzieję, czuje się dobrze? — zapytał.

— Tak, sir, doskonale — odparł Hornblower.

— A sam pan domu?

— Też bardzo dobrze, sir.

Hornblower szybko opanowywał onieśmienie. Siadł głębiej w krzesło i chłonał miłe ciepło kominka. Na ścianie był nowy portret Collingwooda. Powieszono go prawdopodobnie na miejsce poprzedniego, lorda Barhama. Hornblowerowi zrobiło się przyjemnie, gdy zauważywszy czerwoną wstęgę i gwiazdę na portrecie, przeniósł wzrok na własną pierś i stwierdził, że jest ozdobiona takim samym orderem.

— A więc porzucił pan błogość domowego zacisza natychmiast po otrzymaniu naszego listu?

— Oczywiście, sir.

Hornblower pomyślał, że może korzystniej byłoby nie zachowywać się tak naturalnie, byłoby lepiej przyjąć jakąś pozę, udawać, że się ociąga z podjęciem obowiązków służbowych lub zgodzić się na to tak, jakby czynił wielkie osobiste poświęcenie dla kraju, ale za nic na świecie nie potrafiłby

tego uczynić. Za bardzo ucieszył go ten awans, zbyt był ciekaw misji, jaką Admiralicja ma dla niego w zanadrzu. Bystre oczy Louisa uważnie badały jego twarz, a on otwarcie napotkał to spojrzenie.

— Jaki ma pan plan w stosunku do mnie, sir? — zapytał, nie czekając, aż Louis pierwszy się odezwie.

— Bałtyk — odparł Louis.

Więc to tak. To jedno słowo przerwało cały tok porannych gorączkowych spekulacji, całą pajęczą sieć możliwości. Mogło to być każde miejsce na świecie: Jawa czy Jamajka, przylądek Horn albo Przylądek Dobrej Nadziei, Ocean Indyjski lub Morze Śródziemne, wszędzie na świecie w promieniu dwudziestu pięciu tysięcy mil, gdzie powiewała bandera brytyjska. A ma być Bałtyk; Hornblower próbował odnaleźć w pamięci swoje wiadomości na temat Bałtyku. Nie pływał na wodach północnych od czasu, kiedy był młodszym oficerem.

— Dowodzi tam admirał Keats, czy tak?

— W tej chwili tak. Ale Saumarez idzie na jego miejsce. Otrzyma rozkaz, aby pozostawił panu jak najszerszą swobodę działania.

Ciekawa sprawa. Słowa te zawierały aluzję o podziale dowództwa, a w tym tkwi niebezpieczne ryzyko. Lepszy zły głównodowodzący niż podział dowodzenia. Powiedzenie podwładnemu, że jego przełożony ma rozkaz dać mu dużą swobodę działania to rzecz niebezpieczna, chyba że podwładny jest człowiekiem o wybitnej lojalności i zdrowym rozsądku. Hornblower przełknął ślinę w tym momencie — naprawdę zapomniał przez chwilę, że to on sam jest brany pod uwagę jako ten podwładny; być może ma w Admiralicji opinię „człowieka o wybitnej lojalności i zdrowym rozsądku”.

Louis patrzył na niego z zaciekawieniem.

— Chce pan usłyszeć, jaki będzie zakres pańskiego dowództwa? — zapytał.

— Tak, oczywiście — odparł Hornblower, ale nie bardzo mu na tym zależało. Fakt, że ma w ogóle czymś dowodzić był znacznie ważniejszy niż to, czym ma dowodzić.

— Dostanie pan „Nonsucha”[4], siedemdziesiąt cztery działa — rzekł Louis. — Będzie miał pan zatem dobrze uzbrojony okręt w razie potrzeby. Ponadto otrzyma pan tyle małych jednostek, ile udało nam się zebrać dla pana: korwety: „Lotus” i „Raven”[5], dwa kecze bombowe, „Moth”[6] i „Harvey”, oraz kuter „Clam”[7]. Na razie tyle, ale może przygotujemy coś jeszcze, zanim pan odpłynie. Chcemy, aby był pan gotów do wszelkich działań przybrzeżnych, jakie mogą się panu przytrafić. A będzie ich chyba niemało.

— Tak sędzę — rzekł Hornblower.

— Nie wiem, czy będzie pan walczył po stronie Rosjan, czy przeciwko nim — ciągnął w zadumie Louis. — To samo dotyczy Szwedów. Bóg wie, jak rozwija się tam teraz sytuacja. Ale Jego

Dostojność[8] powie panu wszystko na ten temat.

Hornblower spojrział pytająco.

— Pański czcigodny szwagier, najznakomitszy markiz Wellesley, kawaler Orderu Św. Patryka, minister spraw zagranicznych Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości. Mówimy o nim w skrócie Jego Dostojność. Pójdziemy do niego za chwilę. Ale trzeba jeszcze załatwić pewną ważną sprawę. Kogo pan chce na dowódcę „Nonsucha”?

Hornblowera zatkało to pytanie. Była to możność protekcji na wielką skalę. Zdarzało mu się mianować midszypmenów i pomocników lekarza okrętowego; raz kiedyś pastor o niejasnej przeszłości zabiegał usilnie o mianowanie go kapelanem na jego okręcie. Ale mieć coś do powiedzenia w sprawie mianowania dowódcy okrętu liniowego to rzecz o całe niebo ważniejsza. Jest stu dwudziestu kapitanów młodszych stażem od Hornblowera, w większości to ludzie o wybitnej przeszłości; o ich wyczynach opowiadano z zapartym tchem w czterech stronach świata. Ludzie ci torowali sobie drogę do tej rangi własną krwią, dając dowody zdolności i odwagi nie mające precedensu w historii. Na pewno połowa z nich albo i więcej podskoczyłaby z radości na propozycję dowodzenia siedemdziesięcioczerodziałowym okrętem liniowym. Hornblower wspomniał, jak ucieszyło go powierzenie mu dowództwa „Sutherlanda” dwa lata temu. Kapitanowie żyjący z połowy pensji, kapitanowie zatrudnieni na lądzie, zżerani oczekiwaniem na wysłanie ich w morze — był w mocy zmienić całe życie i karierę jednego z nich. Ale nie wahał się ani chwili przed podjęciem decyzji. Może są świetniejsi kapitanowie, z bardziej tęgą głową, ale on pragnął mieć tylko jednego.

— Chciałbym dostać Busha — odparł — jeśli to możliwe.

— Może pan go mieć — Louis skinął głową. — Spodziewałem się, że to o niego pan poprosi. Tylko czy ta jego drewniana noga nie będzie dla niego zbyt trudnym utrudnieniem?

— Chyba nie — powiedział Hornblower. Byłoby niezmiernie przykro wypływać w morze z kimś innym.

— A więc załatwione — zakonkludował Louis, spoglądając na zegar na ścianie — Chodźmy teraz do Jego Dostojności, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Rozdział III

Hornblower siedział w swoim prywatnym saloniku w gospodzie „Pod Złotym Krzyżem”. Na kominku buzował ogień, a na stoliku, przy którym się usadowił, paliły się aż cztery woskowe świece. Hornblower z trochę nieczystym sumieniem rozkoszował się całym tym luksusem: prywatnym salonem, kominkiem, świecami woskowymi. Tak długo żył w ubóstwie, tak bardzo musiał oszczędzać i odmawiać sobie wszystkiego przez całe dotychczasowe życie, że to nieliczenie się z pieniędzmi dawało mu dziwną, podejrzaną przyjemność, radość, której towarzyszyło poczucie winy. Rachunek, jaki otrzyma jutro rano, będzie zawierał pozycję opiewającą co najmniej na pół korony za światło, a gdyby zadowolili się świeczkami łożowymi, należność nie przekroczyłaby dwóch pensów. Za ogień na kominku też policzą szylinga. Można być pewnym, że właściciel zajazdu

zażąda najwyższych stawek od gościa, którego niewątpliwie na to stać, kawalera Orderu Łaźni, ze służącym i z powozem dwukonnym. Jutrzejszy rachunek wyniesie raczej prawie dwie gwinee niż jedną. Hornblower pomacał kieszeń na piersi, żeby sprawdzić, że ma tam wciąż gruby plik banknotów jednofuntowych. Stać go na wydanie dwóch gwinei dziennie.

Uspokojony pochylił się znowu nad notatkami poczynionymi w trakcie rozmowy z ministrem spraw zagranicznych. Były chaotyczne, zapisywane w miarę jak ta czy inna sprawa przypominała się Wellesleyowi. Okazało się, że nawet Rada Ministrów nie ma pewności, czy Rosjanie będą walczyć przeciwko Bonapartemu, czy nie. Nie, problem należy sformułować inaczej. Nikt nie wie, czy Bonaparte zamierza bić się z Rosjanami, czy też nie. Niezależnie od stopnia niechęci cara w stosunku do Francuzów — a jest on niewątpliwie duży — car nie rozpocznie wojny, póki nie zostanie do tego zmuszony, póki Bonaparte nie zaatakuje go rozmyślnie. Zamiast bić się będzie z pewnością czynił wszelkie możliwe ustępstwa, przynajmniej na razie, dalej próbując rozbudować i zreorganizować swoją armię.

— Trudno sobie wyobrazić — powiedział Wellesley — że Bonio będzie na tyle głupi, żeby szukać zwady, kiedy praktycznie może mieć wszystko, co zechce, bez walki.

Na wypadek jednak wojny jest rzeczą pożądaną, by Anglia dysponowała na Bałtyku siłą uderzeniową.

— Jeżeli Bonio przegna Aleksandra z Rosji — ciągnął Wellesley — chciałbym, aby pan był tam w pogotowiu, żeby go zabrać. Zawsze możemy mieć z niego jakiś pożytek.

Królowie na wygnaniu bywają w najgorszym razie użytecznymi marionetkami, które można postawić na czele wciąż jeszcze istniejącego oporu w krajach podbitych przez Bonapartego. Anglia schroniła pod swoim opiekuńczym skrzydłem władców Sycylii i Sardynii, Niderlandów oraz Portugalii i Hesji, a wszyscy oni pomagają podtrzymywać nadzieje w sercach swoich byłych poddanych, gnębionych teraz pod butem tyrana.

— Tak wiele zależy od Szwecji — zauważył z kolei Wellesley. — Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co robi Bernadotte. Tym bardziej że zajęcie Finlandii przez Rosję podrażniło Szwedów. Staramy się wykazać im, że z dwojga złego Bonaparte jest dla nich większym zagrożeniem. Stoi u wrót Bałtyku, a Rosja tylko w jego końcu. Ale Szwecji może być nie na rękę dokonywanie wyboru między Rosją a Bonapartem.

Sprawa jest bardzo skomplikowana, niezależnie od tego, z której strony spojrzeć na nią — Szwecja rządzona przez księcia korony[9], który niespełna trzy lata temu był generałem francuskim, w dodatku w pewnym stopniu powiązany z Bonapartem przez małżeństwo; Dania i Norwegia w rękach tyrana, Finlandia świeżo zawładnięta przez Rosję, a na południowym wybrzeżu Bałtyku roi się od wojsk Bonapartego.

— Ma obozy wojskowe w Gdańsku i w Szczecinie — dodał Wellesley — i oddziały z południowych Niemiec rozmieszczone na całej drodze do Berlina, nie mówiąc już o Prusakach czy Austriakach i innych sprzymierzeńcach.

Mając Europę u stóp, Bonaparte może wlec w swoim ogonie armie byłych przeciwników; gdyby się zdecydował wydać wojnę Rosji, znaczna część jego sił będzie się składała z cudzoziemców — Włochów i Niemców z południa, Prusaków i Austriaków, Holendrów i Duńczyków.

— Słyszałem, że są tam nawet Hiszpanie i Portugalczycy — ciągnął Wellesley. — Mam nadzieję, że miło spędzili ostatnią zimę w Polsce. Mówi pan po hiszpańsku, jak się nie mylę?

— Tak — powiedział Hornblower.

— I po francusku?

— Tak.

— Po rosyjsku?

— Nie.

— A po niemiecku?

— Nie.

— Po szwedzku, polsku, litewsku?

— Nie.

— Szkoda. Słyszałem jednak, że większość wykształconych Rosjan lepiej mówi po francusku niż po rosyjsku — sądząc po tych Rosjanach, których sam poznałem, muszą oni bardzo słabo znać własny język. A mamy dla pana tłumacza szwedzkiego — będzie pan musiał ustalić z Admiralicją, jak zostanie wciągnięty do ksiąg okrętu, tak to się chyba mówi prawidłowo w języku żeglarskim.

Takie wtrącanie drobnych ironicznych uwag było typowe dla Wellesleya. Był on generalnym gubernatorem Indii, a teraz ministrem spraw zagranicznych, osobą błękitnej krwi i u szczytu popularności. W tych paru słowach potrafił wyrazić swą wyniosłą ignorancję i wynikającą z niej wyniosłą pogardę dla spraw żeglarstwa oraz pańską wyniosłość osoby z wyższych sfer w stosunku do nieokrzesanego wilka morskiego, nawet jeśli ten wilk morski był przypadkiem jego własnym szwagrem. Hornblower, którego to trochę ubodło, wciąż na tyle panował nad sobą, że mógł w rewanżu spróbować dotknąć Wellesleya.

— Jesteś, Ryszardzie, mistrzem we wszystkich rzemiosłach — zauważył spokojnie.

Należało przypomnieć temu snobowi, że wilk morski jest na tyle blisko z nim spowinowacony, iż może mówić mu po imieniu, i wsadzić przy tym markizowi szpileczkę sugestią, że może on mieć coś wspólnego z rzemiosłem.

— Ale chyba nie w twoim, Hornblowerze. Nie potrafiłem nauczyć się rozróżniać tych wszystkich lewych burt i prawych i tych waszych „przebrasować na zawietrzną” i tym podobnych

rzeczy. Tego trzeba uczyć się w szkole, jak *hic, haec, hoc*[10].

Trudno było naruszyć wyniosłe zadowolenie z siebie markiza; Hornblower wrócił więc myślami do spraw poważniejszych. Rosjanie mają niezłą flotę wojenną, jakieś czternaście okrętów liniowych, w Rewlu[11] i Kronsztadzie; Szwecja prawie tyle samo. W portach Niemiec i Pomorza roi się od korsarzy francuskich, toteż poważna część zadania Hornblowera będzie polegała na ochronie żeglugi brytyjskiej przed tymi rekinami morza, gdyż handel ze Szwecją ma wielkie znaczenie dla Anglii. Z Bałtyku idzie zaopatrzenie okrętowe, umożliwiające Anglii panowanie nad morzami — smoła i terpentyna, sosny na maszty, liny i drewno, żywica i olej. Gdyby Szwecja sprzymierzyła się z Bonapartem przeciwko Rosji, dostawy szwedzkie w tej dziedzinie — znacznie przekraczające połowę całego importu — urwałyby się i Anglia musiałaby toczyć dalej wojnę z tą trochę pozyskaną z Finlandii i Estonii, przewożoną Bałtykiem pod nosem marynarki szwedzkiej i jakoś wyprowadzaną przez Sund mimo panowania Bonapartego w Danii. Rosja chciałaby zatrzymać te zapasy dla własnej marynarki wojennej i trzeba by w taki czy inny sposób przekonać ją, żeby oddała wystarczającą ilość dla utrzymania okrętów Brytyjskiej Marynarki Wojennej na morzu.

Dobrze się jednak stało, że Anglia nie pośpieszyła na pomoc zaatakowanej przez Rosję Finlandii; gdyby to uczyniła, szansę na wdanie się Rosji w wojnę z Bonapartem byłyby znacznie mniejsze. Dyplomacja wspierana siłą uchroni być może Szwecję od sprzymierzenia się z Bonapartem, uczyni bezpiecznym transport towarów po Bałtyku i otworzy północne wybrzeże Niemiec dla wypadów przeciwko transportom Bonapartego — gdyby pod takim naciskiem Bonaparte jakimś cudem odniósł porażkę, nawet Prusy można by namówić do przejścia na stronę przeciwnika. Następnym więc zadaniem dla Hornblowera byłoby pomóc w nakłonieniu Szwecji do zrezygnowania z jej odwiecznej nieufności wobec Rosji, a Prus z narzuconego przymierza z Francją, nie czyniąc przy tym nic, co by zagroziło żegludze po Bałtyku. Fałszywy krok mógłby oznaczać klęskę.

Hornblower odłożył notatki i patrzył nie widząc na przeciwległą ścianę pokoju. Mgła, lody i pływaczki na Bałtyku; rosyjska marynarka wojenna, marynarka szwedzka i korsarze francuscy; handel bałtycki, przymierze z Rosją i stanowisko Prus; wielka polityka i sprawy handlowe o ogromnym znaczeniu; w ciągu następnych kilku miesięcy los Europy, historia świata będzie balansować na ostrzu noża, a odpowiedzialność spoczywać będzie na nim. Hornblower poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej, a mięśnie się napinają. Były to od dawna mu znane objawy towarzyszące perspektywie niebezpieczeństwa. Minął prawie rok od chwili, gdy doznawał ich ostatnim razem, wchodząc do ogromnej kajuty na „Victorii”, aby usłyszeć wyrok sądu wojennego, który mógł skazać go na śmierć. Nie lubił tych uczuć, tej perspektywy ogromnej odpowiedzialności; nic z tego nie przeczuwał, gdy radośnie podjeżdżał tu w południe, żeby odebrać rozkazy. Za taką cenę zostawi miłość i przyjaźń Barbary, żywot dziedzica wiejskiego, spokój i ciszę swego świeżo osiągniętego ogniska domowego.

Przecież gdy tak siedział, blisko rozpacz i desperacji, czuł, że ta przyszłość, ze swymi problemami, zaczyna go kusić. Admiralicja daje mu wolną rękę — w tym względzie nie może mieć zastrzeżeń. Rewel zamarza w grudniu, Kronsztad często już w listopadzie. Na okres zalodzenia będzie musiał przesunąć bazę swoich operacji dalej na południowy Bałtyk. Czy Lubeka w ogóle zamarza? W każdym razie byłoby lepiej... Hornblower odsunął gwałtownym ruchem swoje krzesło od stołu, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co czyni. Wciąż nie potrafił na siedząco zaprząć

do pracy swej wyobraźni, a jeśliby, to nie na dłużej, niż zdołałby wysiedzieć nie oddychając. Spostrzeżenie o tyle trafne, że kiedy już musiał myśleć na siedząco, odczuwał objawy charakterystyczne dla powolnego duszenia się — wzrastało ciśnienie krwi i zaczynał wiercić się niespokojnie.

Tego wieczora nie musiał siedzieć; odsunawszy krzesło, mógł chodzić po pokoju, od stołu do okna i z powrotem, na odcinku nie krótszym niż na wielu znanych mu pokładach rufowych, a pewnie bardziej wolnym od przeszkód. Prawie natychmiast drzwi salonu uchyliły się bez szmeru i przez szparę zajrzał Brown, zaalarmowany szuraniem odsuwanego krzesła. Kapitan zaczął chodzić, a to znaczy, że jeszcze bardzo długo nie pójdzie spać.

Brown był inteligentnym człowiekiem, a cały swój rozum użytkował na troskę o swego kapitana. Zamknął cichutko drzwi i wszedł do pokoju dopiero dziesięć minut później. W ciągu tych dziesięciu minut chodzenia Hornblower wszedł w rytm, a jego umysł pochłonęły gorączkowe rozmyślenia, z których trudno byłoby go wybić. Brown potrafił wśliznąć się do pokoju nie zwracając uwagi swego pana — w istocie trudno byłoby powiedzieć, czy Hornblower zauważył w ogóle jego wejście. Dostosowując dokładnie swoje ruchy do rytmu kroków kapitana, Brown utarł nadpalone knoty świec — zaczęły już bowiem ociekać i rozsiewać niemiły swąd — oraz dołożył węgla do ledwie żarzącego się ognia na kominku. Potem opuścił pokój i nastawił się na długie czekanie; zazwyczaj kapitan był wyrozumiałym panem i nie przychodziło mu do głowy trzymać służącego do późna na nogach po to tylko, żeby pomógł mu położyć się do łóżka. Właśnie dlatego, że Brown zdawał sobie z tego sprawę, nie miał tego wieczora żalu do Hornblowera, że raz zapomniał powiedzieć mu, że może iść spać.

Hornblower chodził po pokoju równym, odmierzonym krokiem, zawracając na dwa cale przed boazerią pod oknem w jednym końcu, a w drugim prawie ocierając się biodrem o stół. Rosjanie i Szwedzi, konwoje i korsarze, Sztokholm i Gdańsk — miał o czym myśleć. W dodatku na Bałtyku będzie zimno, więc musi się zastanowić, jak zadbać o zdrowie załogi w okresie chłódów. A pierwsza rzecz do zrobienia natychmiast po zgromadzeniu się flotylli to dopilnowanie, żeby na każdej jednostce znalazł się oficer, który na pewno potrafi prawidłowo odczytywać i nadawać sygnały. Jeśli nie będzie dobrej łączności, cała dyscyplina i organizacja pójdą na marne, a on może dać sobie spokój z obmyślaniami jakichkolwiek planów. Wadą keczów bombowych jest...

Rozległo się pukanie do drzwi, przerywając rozmyślenia Hornblowera.

— Wejść — warknął.

Drzwi otworzyły się powoli, ukazując Browna i zalęknionego właściciela zajazdu w zielonym rypsowym fartuchu.

— Co jest? — syknął Hornblower. Przerwawszy spacer „po pokładzie rufowym”, poczuł nagle, że jest zmęczony; wiele rzeczy zdarzyło się od rana, gdy był witany przez dzierżawców jako dziedzic Smallbridge, a nogi dawały mu znać, że musiał się dużo nachodzić.

Brown i gospodarz wymienili spojrzenia i gospodarz zdecydował się odezwać.

— Sir, sprawa jest taka — zaczął nerwowo. — Jego lordowska wysokość zajmuje czwórkę, zaraz pod tym salonem, sir. Jego lordowska wysokość, sir, to, za pańskim przeproszeniem, bardzo popędliwy pan. On mówi — jeszcze raz przepraszam, sir — że druga po północy to wystarczająco późno na chodzenie tam i z powrotem nad czyjąś głową. On powiada...

— Druga w nocy? — zdziwił się Hornblower.

— Blżej trzeciej, sir — wtrącił delikatnie Brown.

— Tak, sir. Biło akurat pół do trzeciej, jak on zadzwonił na mnie drugi raz. Mówi, że jakby pan coś kopnął albo sobie zanucił, to już byłoby lepiej. Ale słuchać, jak pan chodzi tam i nazad, sir... Jego lordowska wysokość powiada, że przywodzi mu to na myśl śmierć i Sąd Ostateczny. Chyba dlatego, że pan chodzi za regularnie. Powiedziałem mu, sir, kim pan jest, jak dzwonił pierwszy raz. A teraz...

Hornblower już zupełnie oprzytomniał, otrząsnął się całkiem z fali pogrążających go myśli. Widział nerwową gestykulację właściciela zajazdu, miotającego się między Scyllą w postaci tego nieznanego lorda na dole i Charybdą — kapitanem Sir Horatiem Hornblowerem na górze. Z ogromnym trudem powstrzymał się od wybuchnięcia głośnym śmiechem. Wyobraził sobie całą tę humorystyczną sytuację: nieznanego impetycznego para na dole, gospodarza przerażonego perspektywą obrażenia kogoś z dwójki swych zamożnych i wpływowych gości i jako ukoronowanie komplikacji — Browna, uparcie do ostatniej chwili nie dopuszczającego do przerywania rozmyślań swego pana. Ujrzał wyraźną ulgę na twarzach ich obu na widok jego uśmiechu i to sprawiło, że naprawdę się roześmiał. Ostatnio szybko wpadał w złość, toteż Brown spodziewał się wybuchu, a biedny właściciel zajazdu w ogóle nie oczekiwał niczego innego — właściciele zajazdów zawsze są przygotowani na wybuchy gniewu ze strony ludzi, których los zmuszał ich gościć u siebie. Hornblower przypomniał sobie, że rano zgromił Browna bez powodu za jego uwagę o pięknym poranku; Brown mógłby lepiej wyczuwać sytuację, bo przecież gdy Hornblower wściekał się rano, był jeszcze bezrobotnym oficerem marynarki wojennej skazanym na żywot na wsi, a teraz jest komodorem, na którego oczekuje flotylla, i nic na świecie nie mogłoby mu zepsuć nastroju — tego wszystkiego Brown nie wziął w rachubę.

— Przekażcie ode mnie wyrazy szacunku jego lordowskiej wysokości — powiedział. — I zapewnijcie, że z tą chwilą ustaje marsz przeznaczenia. Brown, idę spać.

Gospodarz pobiegł schodami na dół z ogromną ulgą, a Brown wziął lichtarz z prawie już wypalonymi świecami i oświetlił swemu panu drogę do sypialni. Hornblower ściągnął mundur z ciężkimi złotymi epoletami, a Brown pochwycił go, zanim zdążył upaść na podłogę. Zdjąwszy następnie buty, koszulę i spodnie Hornblower naciągnął na siebie wspaniałą koszulę nocną, przygotowaną przez Browna na łóżku; koszulę z grubego jedwabiu chińskiego, zdobną brokatem, z zawiązanymi przy mankietach i szyi, po którą Barbara wysłała specjalne zamówienie aż na Wschód przez swoich przyjaciół z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Włożona do łóżka cegła owinięta w koc już zdążyła ostygnąć, ale jej przyjemne ciepło rozeszło się po pościeli; Hornblower wsunął się w przytulne objęcia pościeli.

— Dobranoc, sir — powiedział Brown i zdmuchnął świecę. Z kątów wypełzła na pokój

ciemność, a z nią burzliwe sny. Śpiąc czy czuwając — rano Hornblower nie umiał co do tego zająć stanowiska — umysł jego roztrząsał przez resztę nocy niezliczone uwarunkowania i możliwości wiążące się z czekającą go wyprawą na Bałtyk, gdzie znowu stawką będzie jego życie, reputacja i szacunek dla samego siebie.

Rozdział IV

Hornblower pochylił się do przodu na siedzeniu w karecie i wyjrzał przez okienko.

— Wiatr wykręca trochę na północ — powiedział. — Chociaż teraz wieje, powiedziałbym, z kierunku zachód ku północy.

— Tak, kochanie — odparła cierpliwie Barbara.

— Przepraszam cię skarbie — zreflektował się Hornblower. — Przerwałem ci. Mówiłaś o moich koszulach.

— Nie. Na ten temat już skończyłam, mój drogi. A mówiłam, że masz nie dać nikomu rozpakować płaskiej skrzynki z twoimi rzeczami, póki nie nadejdą chłody. Twój kożuszek barani i długi płaszcz na futrze są tam, dobrze przesypane kamforą, co je zabezpiecza od moli. Jak tylko znajdziesz się na okręcie, każ zaraz zanieść tę skrzynkę do siebie.

— Dobrze, kochanie.

Powóz zaturkotał na kocich łbach Upper Deal[12]. Barbara poruszyła się na siedzeniu i ujęła znowu rękę Hornblowera w swoje dłonie.

— Wolałabym nie musieć mówić o futrach — ciągnęła. — Mam nadzieję... och, wielką nadzieję... że wrócisz przed nastaniem chłodów.

— I ja też, kochana — odparł Hornblower naprawdę szczerze.

W powozie było mroczno, lecz światło z zewnątrz padające na twarz Barbary oświetlało ją jak oblicze świętej w kościele. Usta pod wąskim orlim nosem były zacięte; szaroniebieskie oczy miały twarde wyraz. Nikt nie odgadnąłby po wyglądzie Lady Barbary, że serce jej pęka; zsunęła tylko rękawiczkę i przywarła gorączkowo dłonią do ręki Hornblowera.

— Wróc do mnie, kochany. Wróc do mnie! — powiedziała miękko.

— Oczywiście że wrócę — odparł Hornblower.

Mimo swego patrycjuszowskiego pochodzenia, wielkiej bystrości umysłu i żelaznego opanowania Barbara mogła mówić głupstwa jak żona prostego marynarza. Hornblower poczuł, że kocha ją mocniej niż kiedykolwiek za to, że potrafiła zwrócić się do niego ze wzruszającym wezwaniem „wróc do mnie”, jakby miał władzę nad pociskami z wycelowanych w niego armat francuskich albo rosyjskich. W tym jednak momencie w umyśle Hornblowera okropna myśl wyłoniła się jak wzdęte ciało topielca wypływające na powierzchnię z mułu morskiego dna. Lady

Barbara odprowadzała już raz męża na wojnę i on nie wrócił. Zmarł pod nożem chirurga w Gibraltarze, gdy odłamek pocisku rozdarł mu pachwinę podczas bitwy w zatoce Rosas. Czy teraz właśnie Barbara myślała o tamtym zmarłym małżonku? Hornblowera przebiegł lekki dreszcz na tę myśl, a Barbara, mimo głębokiego zrozumienia istniejącego między nimi, wytłumaczyła go sobie opacznie.

— Mój kochany — powiedziała — najdroższy.

Podniosła wolną rękę i dotknęła nią jego policzka, a jej wargi poszukały jego ust. Ucałował ją, dusząc w sobie podnoszącą się niemłą wątpliwość. Przez miesiące udawało mu się nie odczuwać zazdrości o przeszłość — był zły na siebie, że dopuścił do tego właśnie teraz, a niezadowolenie z siebie domieszało się do wiru brzydkich emocji burzących się w jego duszy. Dotknięcie jej warg pomogło mu jednak przemóc się; jego serce otworzyło się dla niej. Całował ją z całą gwałtownością swego uczucia, podczas gdy powóz podskakiwał na kocich łbach. Ogromny kapelusz Barbary zaczął się przekrzywiać; musiała wysunąć się z ramion męża, żeby go poprawić i nadać sobie swój normalny, pełen godności wygląd. Mimo że błędnie sobie tłumaczyła burzę myśli kłębiących się w mózgu Hornblowera, Barbara zdawała sobie sprawę, co się z nim dzieje, toteż celowo podjęła rozmowę na inny temat, żeby oboje mogli opanować się przed czekającym ich wkrótce publicznym pojawieniem się.

— Cieszę się — powiedziała — ilekroć pomyślę o dowodzie wielkiego uznania ze strony rządu, wyrażonego zaofiarowaniem ci tego nowego stanowiska.

— A ja jestem rad, kochana, że ty się cieszysz — odparł Hornblower.

— Jesteś na początku górnej połowy listy kapitanów, a oni już ci dają to dowództwo. Będiesz admirałem *in petto*.

Nie mogłaby powiedzieć niczego, co by lepiej rozładowało nastrój Hornblowera. Uśmiechnął się szeroko do siebie na tę pomyłkę Barbary. Chodziło jej o to, że będzie admirałem na małą skalę, w miniaturze, *en petit*, jak by to się powiedziało po francusku. Ale *(33)en petit* wcale nie znaczy tego samego co *in petto*. Bo *in petto* to po włosku „w tajemnicy”; gdy papież mianuje kardynała *in petto*, oznacza to, że chce na razie zachować tę nominację dla siebie, bez podawania jej do wiadomości publicznej. Hornblowera bardzo ubawiła taka gafa językowa w ustach Barbary. Stała się też znowu ludzka w jego oczach, ulepiona z tej samej gliny co on. Poczł dla niej na nowo serdeczność, czułość i oddanie obok miłości i namiętności.

Powóz zachybotał i stanął z piskiem hamulców; drzwi się otwały. Hornblower wyskoczył pierwszy i nie rozglądając się podał dłoń wysiadającej Barbarze. Wiał bardzo silny wiatr, z całą pewnością zachodni ku północy. Rano był słabszy, południowo-zachodni, to znaczy, że skręcał i nasilał się. Jeśli zacznie wiać jeszcze trochę bardziej od północy, zostaną zatrzymani przez niepogodę W Downs[13], dopóki kierunek wiatru znów się nie zmieni. Strata godziny może oznaczać stratę całych dni. Niebo i morze były szare, a na falach pojawiły się baranki. W dali widać było konwój wschodnioindyjski na kotwicy — jeśli o nich idzie, to wystarczy, że wiatr zmieni się odrobinę, a będą mogli podnieść kotwice i ruszyć na południe w stronę Kanału[14]. W kierunku północnym znajdowały się inne jednostki, przypuszczalnie jest tam i „Nonsuch” z resztą flotylli, ale

z tej odległości bez lunet trudno odróżnić jeden okręt od drugiego. Wiatr smagał Hornblowera po uszach, zmuszając do przytrzymywania kapelusza. Na końcu ulicy wybrukowanej kocimi łbami był pomost z tuzinem zamocowanych przy nim lugrów dealowskich.

Brown stał czekając na rozkazy, a tymczasem lokaj z woźnicą wyjmowali bagaże z powozu.

— Brown, potrzebuję przewoźnika, żeby zawiózł mnie na okręt — powiedział Hornblower. — Załatw to.

Mógł być kazać, żeby z wieży sygnałowej wysłano do „Nonsucha” sygnał żądający przystania łodzi, ale pochłonęłoby to trochę cennego czasu. Barbara stała obok, przytrzymując kapelusz na głowie; wiatr z furkotem owijał jej nogi spódnicą jak flagą. Tego ranka jej oczy były szare — gdyby niebo i morze miały kolor błękitu, taki sam kolor miałyby jej oczy. Próbowwała uśmiechać się do niego.

— Jeśli zamierzasz, kochany, udać się na okręt lugrem, mogłabym popłynąć z tobą — zaproponowała. — I wróciłabym nim.

— Zmokniesz i przemarzniesz — perswadował jej Hornblower. — Idąc ostro pod wiatr, przy takim wietrze, będziemy mieli ciężką przeprawę.

— Sądzisz, że coś sobie robię z tego? — odparła Barbara i myśl, że ma od niej odjechać, znowu zagrała na strunach jego uczucia.

Wrócił Brown z dwoma przewoźnikami z Deal. Głowy mieli obwiązane chustkami i kolczyki w uszach; ich twarze opalone wiatrem i przeżarte solą, wyglądały jak wyrzeźbione z litego brunatnego drewna. Wzięli skrzynki z rzeczami Hornblowera i ponieśli je jak piórko w kierunku pomostu; przez dziewiętnaście lat wojny skrzynki niezliczonej liczby oficerów wędrowały tak na pomost Deal. Brown szedł za przewoźnikami, a Hornblower i Lady Barbara zamykali pochód. Hornblower ścisnął kurczowo w rękę skórzaną teczkę ze swymi „najtajniejszymi” rozkazami.

— Dzień dobry, kapitanie. — Sternik lugra zsalutował Hornblowerowi. — Dzień dobry, wasza lordowska wysokość. Wiatru aż za dużo dzisiaj. Mimo to, kapitanie, będzie pan mógł obejść mielizny Goodwins po nawietrznej, nawet z tymi pańskimi keczami bombowymi, co tak tępo idą do wiatru. Wiatr jest pomyślny dla żeglugi w kierunku Skagen[15], jak tylko się wyjdzie z Downs.

A więc tak wygląda tajemnica wojskowa w Anglii; ten przewoźnik z Deal wie, z ilu jednostek składa się eskadra Hornblowera i dokąd się udaje — najpewniej jutro spotka się w środku Kanału z francuskim chasse-maree[16] i wymieni tytoń na koniak i wiadomości za wiadomości. Za trzy dni Bonaparte w Paryżu będzie wiedział, że Hornblower pożegłował na Bałtyk na okręcie liniowym z flotyllą mniejszych jednostek.

— Powoli z tymi skrzynkami! — wykrzyknął nagle sternik lugra. — Te butelki nie som zrobione z żelaza!

Opuszczano na lugier z pomostu resztę bagaży Hornblowera; dodatkowe zapasy kapitańskie,

zamówione dla niego przez Barbarę, których jakość sprawdzała tak starannie: skrzynka wina, skrzynia żywności i paczka książek, specjalny prezent od niej.

— Czy jej lordowska wysokość zechce zająć miejsce w kabinie? — spytał sternik lugra z nieoczekiwaną, wrodzoną uprzejmością. — Tu będzie mokro w czasie drogi do „Nonsucha”.

Barbara pochwyciła spojrzenie Hornblowera i odmówiła grzecznie; znał te śmierzące zatechłe kajuty.

— No to dajcie plandekę dla jej lordowskiej wysokości.

Plandeka założona na ramiona Barbary i zwisająca do desek pokładu przypominała gasidło do świec. Wiatr wciąż przekrzywił jej kapelusz, więc jednym ruchem ręki zerwała go z głowy i wsunęła pod plandekę. Rzeński wiatr natychmiast rozwił jej włosy, a ona roześmiawszy się potrząsnęła głową i wydała mu na pastwę całą swoją fryzurę. Policzki jej płonęły, oczy błyszczały — Hornblower pamiętał ją taką z dawnych czasów, gdy na „Lydii” płynęli dookoła przylądka Horn. Zaprzagnął ją pocałować.

— Odrzucić cumy! Załoga do fału! — komenderował sternik lugra, przechodząc na rufę i od niechcenia przyciskając rumpel do biodra. Marynarze zaczęli ciągnąć za linę i grotzagiel posuwał się w górę stopa za stopą; lugier odchodził rufą od pomostu.

— Teraz zwawo wybierz szot, Ge-arge!

Sternik przełożył rumpel i lugier przestał się cofać, zawrócił i pomknął naprzód, dając się kierować tak łatwo jak koń w rękach doświadczonego jeźdźcy. Gdy wyszedł spoza osłony pomostu, wiatr uderzył w niego i przechylił na bok, ale sternik wychylił rumpel, a Ge-arge dotąd ciągnął za szot, aż żagiel naprężył się jak deska i lugier, ustawivszy się ostro na wiatr — co wyglądało dramatycznie dla kogoś nie obeznanego z tym typem statku — skoczył do przodu, prosto w gardziel wichury, aż poleciały całe bryzgi piany na rufę spod lewej strony dziobu. Nawet w osłoniętej cieśninie Downs woda była tak rozkołysana, że fale, napotkawszy lugier, zaczęły nim rzucać wzdłużnie i poprzecznie, w miarę jak przechodziły pod nim od lewej strony dziobu ku prawej stronie rufy.

Hornblower uświadomił sobie nagle, że teraz powinna się zacząć choroba morska. Nie pamiętał, aby udało mu się kiedykolwiek wyjść w morze nie ulegając jej; podskoki lugra powinny już ją były wywołać. Ale ciekawa rzecz, jak dotąd nic nie odczuwał; z ogromnym zdumieniem zauważył, że w przodzie przed nimi widnokrąg podniósł się wysoko nad dziobem lugra i zaraz zniknął, gdy rufa lugra opadła, a on mimo to nie czuł wcale mdłości. Mniej go dziwiło, że potrafił trzymać się dobrze na nogach przy tak rozhuśtanym morzu; za głęboko tkwiła w nim ta umiejętność po dwudziestu latach służby w marynarce. Stał bez trudu, kołysząc się w takt gwałtownych przechyłów stateczku; tracił tę zdolność tylko w okresach, kiedy choroba morska przyprawiała go o zawrót głowy, ale tym razem nic nie wskazywało na to, że ogarnie go ta przebrzydła przypadłość. Jasna sprawa — wypływając na swoje poprzednie wyprawy zawsze był wyczerpany trudnościami z wyposażeniem swojej jednostki i doprowadzeniem jej do gotowości bojowej, niewyspany, znękany kłopotami i zmartwieniami i gotów rozchorować się nawet nie wychodząc w morze. Będąc

komodorem nie miał żadnego z tych zmartwień; Admiralicja, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Skarbu zasypały go wskazówkami, ale ani rozkazy, ani ciężar odpowiedzialności nie dawały się tak we znaki, jak drobne kłopoty związane z obsadzaniem okrętu załogą i załatwianiem spraw z władzami stocznioowymi. Czuł się zupełnie odprężony.

Barbara musiała trzymać się mocno, a teraz kiedy podniosła na niego wzrok, widać było, że nie jest wewnątrz tak całkiem spokojna; nękały ją wątpliwości, a może i coś innego. Hornblower był ubawiony, ale i dumny; dobrze było wypływać w morze nie czując choroby morskiej, a jeszcze przyjemniej być lepszym pod jakimś względem od Barbary, tej chodzącej doskonałości. Już miał z niej żartować i pochwalić się swoją odpornością, ale zdrowy rozsądek i delikatność uchroniły go od tak niewybaczalnego błędu. Znienawidziłaby go za coś takiego — pamiętał doskonale, jak sam nienawidził całego świata w czasie choroby morskiej. Powiedział więc rzecz najlepszą, jaką mógł w takiej sytuacji.

— Masz szczęście, kochana, że nie ulegasz chorobie. Statek bardzo się kiwa, ale przecież ty zawsze miałaś odporny żołądek.

Spojrzała na niego, z włosami rozwianymi przez wiatr; nie była tego tak pewna, lecz słowa te dodały jej otuchy. Zrobił dla niej wielką ofiarę, o której ona nigdy się nie dowie.

— Zazdroszczę ci, moja droga — ciągnął. — Sam czuję się bardzo niewyraźnie, jak zwykle na początku podróży. A ty, jak zawsze, świetnie się trzymasz.

Żaden mężczyzna nie potrafiłby dać lepszego dowodu miłości do swojej żony niż on teraz, nie tylko ukrywając swoje uczucie wyższości, ale nawet, dla jej dobra, pozorując chorobę morską. Barbara natychmiast zaczęła okazywać mu swoją troskę.

— Tak mi przykro, najdroższy — powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Tak bardzo bym chciała, żebyś nie chorował. Byłoby to bardzo nie w porę w momencie obejmowania przez ciebie dowództwa.

Podstęp udał się; zmuszona myśleć o czymś ważniejszym niż stan swego żołądka, Barbara zapomniała o własnych mdłościach.

— Mam nadzieję, że jakoś wytrwam — odrzekł Hornblower; udawał, że uśmiecha się dzielnie na siłę i chociaż był słabym aktorem, Barbara, zwykle taka bystra, tym razem nie przejrzała go. Czuł wyrzuty sumienia widząc, jak jego niezdarnie udawana dzielność sprawia, że staje się jej jeszcze droższy. Patrzyła czule na niego.

— Do zwrotu przez sztag! — ryknął sternik lugra i zaskoczony Hornblower zobaczył, że podchodzą pod burtę „Nonsucha”. Na okręcie postawiono trochę żagli na fokmaszcie, a Stermarsel Przebrasowano na pracę wstecz, żeby okręt mógł ustawić się burtą do wiatru i zasłonić lugier dobijający do jego prawej zawietrznej burty. Hornblower odrzucił opończę łodziową i stanął wyprostowany, aby go zauważono z pokładu rufowego „Nonsucha”; choćby ze względu na Busha nie chciał wchodzić na pokład bez uprzedzenia. Potem zwrócił się do Barbary.

— Kochana, czas się pożegnać — powiedział.

Jej twarz była bez wyrazu, jak twarz żołnierza piechoty morskiej w trakcie inspekcji.

— Do widzenia, najdroższy — rzekła. Miała zimne wargi i nie pochyliła się ku niemu, żeby podać mu je do pocałunku. Stała sztywno wyprostowana i Hornblower miał wrażenie, że całuje posąg marmurowy. A potem nagle odezwała się wzruszonym głosem: — Kochany, będę dbać o Ryszarda. Nasze dziecko.

Żadne inne słowa nie uczyniłyby jej droższą Hornblowerowi. Zgniółł jej dłonie w swoich.

Lugier zbliżył się do wiatru z głośnym łopotem żagli, a potem błyskawicznie podsunął się pod osłonę burty dwupokładowca. Hornblower spojrział w górę; w powietrzu dyndało krzesło bosmańskie gotowe do opuszczenia na lugier.

— Zabrać to krzesło! — krzyknął, a potem zwrócił się do sternika. — Proszę stanąć przy samej burcie.

Nie miał zamiaru dać się wciągać na krzesło bosmańskim; wjeżdżanie na pokład z nogami majtającymi w powietrzu nie licowało z powagą kogoś obejmującego dowództwo nad eskadrą. Lugier stał przy wielkim „Nonsuchu” wznosząc się i opadając na fali; malowane furty strzelnicze znalazły się na wysokości barków Hornblowera, a w dole, między dwoma jednostkami, widać było zieloną kipieli wody. Był to denerwujący moment. Jeśli źle postawi stopę, spadnie do morza i będą musieli wciągać go na pokład ociekającego wodą, a takie przybycie bardziej zaszkodziłoby jego powadze niż wjazd na krzesło bosmańskim. Odrzucił opończę, wbił mocno kapelusz na głowę i przesunął szpadę do tyłu, żeby mu nie przeszkadzała. Potem skoczył przez lukę o szerokości jarda i palcami rąk i nóg utrafiwszy w stopnie pod furtą zaczął wdrapywać się w górę. Tylko pierwsze trzy stopy wspinaczki były trudne; wyżej dośrodkowe pochylenie burty „Nonsucha” ułatwiało zadanie. Mógł nawet zrobić przerwę na opanowanie się przed ostatnim odcinkiem od furty wejściowej i postawieniem stopy na pokładzie z godnością, jaka przystoi komodorowi.

Od strony zawodowej był to szczytowy moment w jego dotychczasowej karierze. Jako kapitan przywykł do oddawanych mu honorów kapitańskich, do gwizdków pomocników bosmańskich, do czterech chłopców przy trapie i wart żołnierzy piechoty morskiej. Ale teraz obejmował dowództwo jako komodor; przy trapie stało sześciu chłopców w białych rękawiczkach, cała służba wartownicza i orkiestra piechoty morskiej oraz długi podwójny szpaler pomocników bosmańskich z gwizdkami, a na końcu szpaleru grupa oficerów w mundurach galowych. Postawił stopę na pokładzie i natychmiast werbel zawtórował gwizdkom, a potem piszczałki zagrały „Dzielne są nasze okręty, A załoga wesołe zejmany...”[17]. Z dłonią przy rondzie kapelusza Hornblower przeszedł szpalerem; wszystko to dziwnie go podniecało, chociaż perswadował sobie, że te zewnętrzne objawy powagi przywiązane do jego stanowiska to czysta dziecinada. Musiał się pilnować, by nie wypłynął mu na oblicze głupawy ekstatyczny uśmiech; z trudem udało mu się przybrać kamienny wyraz twarzy, odpowiedni dla komodora. Na końcu szpaleru czekał Bush salutując. Stał bez wysiłku mimo swej drewnianej nogi; Hornblower tak się ucieszył na jego widok, że po raz drugi musiał zwalczyć chęć uśmiechnięcia się.

— Dzień dobry, kapitanie Bush — przemówił tak sucho, jak należało, wyciągając ku niemu dłoń z całą serdecznością, na jaką mógł się zdobyć w ramach oficjalnego powitania.

— Dzień dobry, sir.

Bush odjął dłoń od kapelusza i ujął rękę Hornblowera, bardzo starając się utrzymać w swojej roli, jakby ten uścisk dłoni był nie oznaką przyjaźni, a jedynie służbowego szacunku. Hornblower stwierdził, że dłoń Busha jest twarda jak zawsze — awans na kapitana nie zmiękczył jej. Mimo wysiłków Bush nie zdołał utrzymać niewzruszonego wyrazu twarzy. Niebieskie oczy jaśniały radością, a twarde rysy wymknęły się spod kontroli i ułożyły w miękki uśmiech. Hornblowerowi trudniej było teraz zachować powagę.

Kącikiem oka zauważył marynarza spieszenie ciągnącego za flaglinkę sygnałową grotmasztu. Wzbijała się po nim w górę czarna kula, a gdy dosięgła zbocza, jeden ruch nadgarstka marynarza sprawił, że się rozwinęła. Był to proporczyk wyróżniający okręt, na którym znajdował się komodor. W momencie gdy się rozwijał, na dziobie ukazał się kłęb dymu i z głośnym bang! rozległ się pierwszy wystrzał powitalnego salutu armatniego. Była to chwila szczytowa, najwspanialsza ze wszystkich — tysiące za tysiącami oficerów marynarki wojennej mogło pozostawać w służbie przez całe życie i nie doczekać się zaszczytu podniesienia tego proporczyka i nigdy nie usłyszeć strzału armatniego na swą cześć. Teraz Hornblower nie mógł już powstrzymać uśmiechu. Pękły ostatnie bariery. Napotkał spojrzenie Busha i roześmiał się w głos, a Bush za nim. Byli jak para uczniaków nie posiadających się z radości z powodu udanej psoty. Szczególnie przyjemna była świadomość, że Bush nie tylko cieszy się, iż znowu razem udają się na wyprawę, ale także dlatego, że Hornblower się cieszy.

Bush popatrzył przez reling lewej burty, a Hornblower też zwrócił spojrzenie w tamtą stronę. Stała tam reszta eskadry, dwa niezgrabne kecze bombowe, dwie duże korwety z takielunkiem pełnorejowym i mały kuter o wdzięcznej sylwetce. Z burt wszystkich tych jednostek wystrzeliły kłębuszki dymu, natychmiast prawie zniesione przez wiatr, a za nimi dobiegły odgłosy wystrzałów. To okręty eskadry oddawały salut proporczykowi, strzelając kolejno ze swoich dział w ślad za działem z okrętu komodorskiego. Bush patrzył przez zmrużone powieki, sprawdzając, czy wszystko odbywa się jak trzeba i w należyтым porządku, a gdy się upewnił, znowu jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Zabrzmiał ostatni wystrzał salutu; jednaście rund z każdej jednostki. Hornblower obliczył, że sama ceremonia podniesienia proporczyka komodorskiego kosztowała ojczyznę jakieś pięćdziesiąt funtów, i to w czasie, gdy Anglia walczyła na śmierć i życie z tyranem, który opanował Europę. Ceremonię zakończył świergot gwizdków; załoga wróciła do swoich obowiązków, a żołnierze piechoty morskiej przerzucili broń na ramię i odmaszerowali z głośnym tupotem butów o pokład.

— Radosna to chwila, Bush — odezwał się Hornblower.

— Bardzo radosna, sir.

Trzeba było dokonać prezentacji; Bush wywoływał kolejno oficerów. Na pierwszy rzut oka wszystkie twarze były do siebie podobne, ale Hornblower wiedział, że po krótkim pobycie na zatłoczonym okręcie będzie odróżniał każdego z nich i pozna ich charaktery aż do znudzenia.

— Mam nadzieję, panowie, że poznamy się bliżej — powiedział ubierając swe myśli w uprzejme słowa.

Przy pomocy linobloku zainstalowanego na noku rei grotmasztu wciągnięto z lugra jego rzeczy, a Brown stał obok i pilnował załadunku — musiał dostać się na okręt w jakiś nie zwracający uwagi sposób, pewnie przez furtę strzelniczą. A zatem lugier z Barbarą wciąż jeszcze jest przy burcie. Hornblower podszedł do relingu i popatrzył w dół. Rzeczywiście. Barbara stała, niby posąg, tak jak ją zostawił. Ale widocznie to była ostatnia paczka wciągana na pokład; ledwie Hornblower doszedł do burty, gdy lugier odcumował od podwiewi wantowych „Nonsucha”, postawił swój duży grotzagiel i oddalił się lekko jak mewa.

— Kapitanie Bush — powiedział Hornblower — wyruszamy natychmiast, jeśli łaska. Niech pan da odpowiedni sygnał flotyli.

Rozdział V

— Włożę pistolety do tego schowka — odezwał się Brown kończąc rozpakowywanie rzeczy.

— Pistolety? — zdziwił się Hornblower.

Brown podał mu skrzyneczkę; o pistoletach wspomniał tylko dlatego, że wiedział, iż Hornblower nie ma pojęcia o ich istnieniu. Była to piękna skrzynka mahoniowa, wysłana aksamitem; pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy Hornblowerowi po jej otwarciu, była biała kartka z kilkoma słowami skreślonymi ręką Barbary: „Dla mojego drogiego męża. Oby nigdy nie potrzebował ich użyć, lecz jeśli będzie musiał, niech wówczas służą mu dobrze i niech mu chociaż przypomną o kochającej żonie, która będzie modlić się co dzień o jego bezpieczeństwo, jego szczęście i pomyślność”. Hornblower dwukrotnie przeczytał kartkę, zanim ją odłożył, aby obejrzeć pistolety. Była to piękna broń, ze stali srebrzanki, inkrustowana srebrem, dwulufowa, z kolbami z hebanu, doskonale leżącymi w ręku. W kasetce, którą następnie otworzył, znalazł dwie rurki miedziane, zawierające kule pistoletowe, odlane bezbłędnie, o doskonale kulistym kształcie. Fakt, że wytwórcy zadali sobie trud odlania specjalnych kul i włożenia ich do skrzynki, przyciągnął ponownie uwagę Hornblowera do pistoletów. Lufy miały wewnątrz jasne spiralne rowki; była to więc broń gwintowana. Drugie miedziane pudełeczko, znajdujące się w skrzynce, zawierało krążki z cienkiej skórki nasyczone olejem, przeznaczone zapewne do owijania kuli przed włożeniem jej do lufy dla zapewnienia doskonałego pasowania. Pręt mosiężny i mały młoteczek, też z mosiądzu, mają chyba służyć do wbijania kul. A mosiężna miseczka to pewnie miarka do ładunków prochu. Jest mała, ale to właśnie zapewnia dokładność — mały ładunek prochu, ciężka kula i właściwa lufa. Z tymi pistoletami mógł być pewien, że trafi w środek małej tarczy z odległości pięćdziesięciu jardów, jeśli dobrze wyceluje.

Zostało jeszcze jedno miedziane pudełeczko do otwarcia. Było pełne małych, kwadratowych i bardzo cienkich kawałeczków blachy miedzianej. Zaintrygował go ten widok; każda blaszka miała w środku wybrzuszenie, gdzie metal był tak cienki, że przeświecało przez niego coś czarnego. Hornblowerowi zaczęło powoli świtać, że są to sponki, o których słyszał niedawno. Żeby się upewnić, położył jedną z nich na biurku i szybkim ruchem uderzył w nią mosiężnym przybijakiem. Rozległ się ostry trzask i smuzka dymu wydobyła się spod przybijaka, a gdy Hornblower uniósł go

w górę, zobaczył, że spłonka jest przedziurawiona, a na biurku pozostał ślad jej wybuchu.

Obejrzał jeszcze raz pistolety. Musiał być chyba ślepy, że nie zauważył braku krzesiwa i panewki zapłonowej. Kurek spoczywał na czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak zwykły kawałek metalu, ale przy dotknięciu bloczek metalowy obrócił się, ukazując małą wnękę pod spodem, wyraźnie przeznaczoną na łuskę spłonki. W dnie wgłębienia był mały otwór, który musiał mieć połączenie z lufą od strony zamka. Wkładamy ładunek do pistoletu, spłonkę do wnęki i dociskamy ją bloczkiem metalowym. Następnie spuszcza kurek na ten bloczek. Spłonka eksploduje, płomień przechodzi przez otwór do ładunku i pistolet zostaje odpalony. Żadnych zawodnych urządzeń w postaci krzesiwa i panewki zapłonowej; ani deszcz, ani bryzgi wody nie zaszkodzą tym pistoletom. Hornblower pomyślał, że na sto strzałów nie będzie nawet jednego niewypału. Cudowny prezent — bardzo to ładnie ze strony Barbary, że mu je kupiła. Bóg jeden wie, ile musiały kosztować; wykwalifikowany rzemieślnik musiał spędzić miesiące nad gwintowaniem czterech luf, a miedziane spłonki — pięćset sztuk, każda ręcznej roboty — też pewnie kosztowały spory grosz. Ale z obu pistoletami załadowanymi będzie miał w ręku życie czterech ludzi, podczas gdy w pogodny dzień, dysponując dwoma pistoletami dwulufowymi z zamkami skałkowymi, musiałby się liczyć z co najmniej jednym lub dwoma niewypałami, zaś gdyby padało lub gdyby się znalazł pod bryzgami wody, nie wiadomo, czy zdołałby oddać choćby jeden strzał. Uważał, że nagwintowanie luf było mniej istotne niż zastosowanie spłonek; w zwykłym starciu na pokładzie okrętu, kiedy zazwyczaj używa się pistoletów, dokładność nie jest ważna, bo na ogół przed pociągnięciem za cyngiel przystawia się lufę do brzucha przeciwnika.

Hornblower odłożył pistolety do wysłanej aksamitem skrzynki i zadumał się. Kochana Barbara. Zawsze myśli o nim, starając się odgadywać jego życzenia, a nawet więcej. Te pistolety są przykładem, że próbuje zaspokoić pragnienia, z których on sam nie zdawał sobie sprawy. Uniosła brwi, gdy powiedział, że w tej wyprawie nic innego nie będzie mu potrzeba do czytania poza Gibbonem[18], a potem kupiła i zapakowała ze dwadzieścia innych książek; z miejsca, gdzie siedział, zobaczył, że jedna z nich to nowy poemat w spenserowskich strofach, „Childe Harold”[19] (nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć), pióra tego szalonego para, Lorda Byrona. Przed jego odjazdem poemat ten był na ustach wszystkich; musiał przyznać, że jest rad, iż będzie mógł go przeczytać, chociaż nigdy sam nie pomyślałby o kupieniu tej książki. Wspomniał swój dawny pełen wyrzeczeń spartański żywot z dziwnym żalem, że już minął a potem rozzłoszczony, podniósł się z krzesła. Jeszcze chwila, a pożałuje, że poślubił Barbarę, a to byłby już absolutny nonsens.

Siedząc w swojej kajucie wyczuwał, że „Nonsuch” wciąż idzie ostro na silny północno-zachodni wiatr; szedł tak równomiernie, że tylko nieznacznie kiwał się na boki, przy równoczesnych głębokich przechyłach z dziobu na rufę na krótkich, lecz wysokich falach Morza Północnego. Kompas kontrolny w suficie wskazywał, że okręt szybko idzie swoim kursem na Skagen; kajutę wypełniał śpiew napiętego takielunku, przekazywany przez drewniany szkielet okrętu, skrzypiącego przy przechyłach wzdłużnych tak głośno, że utrudniałoby to rozmowę. W pewnym określonym momencie każdego przechyłu jakaś wręga wydawała dźwięk podobny do strzału z pistoletu i Hornblower tak już oswoił się z tym odgłosem, że z ruchu okrętu mógł przewidzieć, kiedy on się rozlegnie.

Przez długi czas zastanawiał się, co tak tłucze od czasu do czasu nad jego głową; i tak się

rozłości, że nie potrafi odgadnąć, co to takiego, że włożył kapelusz i udał się na pokład rufowy, żeby rzecz wyjaśnić. Ale na pokładzie nie ujrzał nic, co mogłoby powodować ten rytmiczny stukot, nie pracowała żadna pompa i nikt nie wybijał pakuł — nawet gdyby były do pomyślenia takie roboty na pokładzie rufowym liniowca; był tam tylko Bush z oficerami wachtowymi, którzy natychmiast zastygli w nie rzucających się w oczy pozach, gdy wielka figura ukazała się na zejściówce. Bóg jeden wie, co to tak dudniło; Hornblower zaczął nawet myśleć, że się przesłyszał i że hałas dobiegał faktycznie spod pokładu. Musiał udać, iż celowo pofatygował się na pokład — ciekawa rzecz, że nawet komodor pierwszej klasy musi uciekać się do takich wybiegów — więc w swojej starej, wygodnej postawie, z rękami splecionymi na plecach i z głową opuszczoną na piersi zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż nawietrznej burty pokładu rufowego. Wiele się mówi czy pisze o przeróżnych przyjemnościach, o ogrodach lub kobietach, o winie lub wędkarstwie; dziwna rzecz, że nikt dotąd nie wspominał o przyjemności spacerowania po pokładzie rufowym.

Cóż jednak było przyczyną tego głuchego, powolnego stukania? Zapomniał, po co wyszedł na pokład. Chodząc rzucił spod rzęs ukradkowe spojrzenia, wciąż jednak nie zauważał nic, czemu można by je przypisać. Od chwili znalezienia się na pokładzie nie słyszał już tego odgłosu, ale dalej pożerała go ciekawość. Stał przy relingu rufowym spoglądając w tył za flotyllę. Zgrabne korwety z ożagłowaniem rejowym halsowały lekko pod silny wiatr, ale keczom bombowym nie szło tak łatwo. Bez fokmasztu, z ogromnym trójkątnym fokżaglem nie mogły ustrzec się myszkowania, nawet pod wiatr. Od czasu do czasu ich krótkie, ciężkie bukszpryty leciały w dół i dziób nabierał zielonej wody.

Ale kecze bombowe go nie interesowały. Chciał wiedzieć, co stukało po pokładzie nad jego głową, gdy siedział w swojej kajucie i wreszcie zdrowy rozsądek pomógł mu przemóc śmieszne skrzępowanie. Czemużby komodor nie miał zadać prostego pytania w prostej sprawie? Dlaczego, u licha, wahał się nawet przez chwilę? Obrócił się z determinacją.

— Kapitanie Bush! — zawołał.

— Sir! — Bush biegł spiesznie ku niemu, stukając po pokładzie drewnianą nogą.

To był ten odgłos! Przy każdym co drugim kroku drewniana proteza Busha z obitym skórą kikutem stukała głucho o deski pokładu. Hornblower nie mógł oczywiście zadać pytania, które już sobie ułożył w myśli.

— Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan przyjemności swego towarzystwa przy dzisiejszej kolacji — powiedział wymyślane naprędce zdanie.

— Dziękuję, sir. Tak jest, sir. Tak, oczywiście — mówił Bush. Promieniał zadowoleniem, a Hornblower czuł się wielkim hipokrytą, kiedy wracał do kajuty, żeby dopilnować rozpakowywania reszty bagaży. Ale dobrze się stało, że dzięki słabostkom swego charakteru zaprosił Busha, bo inaczej spędziłby ten wieczór sam, myśląc o Barbarze, wspominając uroczą podróż przez wiosenną Anglię ze Smallbridge do Deal i wpędzając się na morzu w ten sam żaloszny nastrój, do jakiego potrafił doprowadzać się na lądzie.

Bush będzie mógł powiedzieć mu coś niecoś o oficerach i załodze „Nonsucha”, komu można

ufać, a kogo trzeba mieć na oku, jaki jest stan techniczny okrętu, czy zaopatrzenie jest dobre, czy złe i mnóstwo innych rzeczy, o których powinien wiedzieć. A jutro, jak tylko wiatr przycichnie, nada sygnał „Do wszystkich dowódców” i pozna się z resztą swoich podwładnych, oceni, co są warci i może zacznie przekazywać im swoje teorie i poglądy na różne sprawy, aby, gdy nadejdzie czas działania, wystarczyło kilka sygnałów dla podjęcia wspólnej akcji skierowanej błyskawicznie na wspólny cel.

Przedtem jednak musiał zrobić coś jeszcze; teraz była na to najlepsza pora, stwierdził z westchnieniem, ale czuł pewien opór, mimo że zdecydował się już to załatwić.

— Proszę posłać po Brauna, mojego pisarza — rzucił do Browna, który podwieszał ostatni płaszcz mundurowy za zasłonę przy grodzi.

— Tak jest, sir — powiedział Brown.

Zabawne, że jego pisarz i sternik noszą nazwiska wymawiane identycznie; dlatego właśnie dodał na końcu rozkazu te dwa skądinąd zbędne słowa.

Pan Braun był człowiekiem jasnowłosym, wysokim i szczupłym, o młodzieńczym wyglądzie, z przedwczesną łysiną. Nie spodobał się Hornblowerowi i właśnie dlatego, rzecz typowa, zachowywał się serdeczniej wobec niego, niż gdyby przypadł mu do gustu. Wskazał mu krzesło, sam siadając na schowku, a kiedy zauważył, że wzrok pana Brauna spoczął z zaciekawieniem na skrzynce z pistoletami — podarunku od Barbary — zniżył się do rozmowy z nim na ten temat, traktując to jako wstęp, i podkreślił zalety spłonek i gwintowanych luf.

— Rzeczywiście świetna broń, sir — stwierdził Braun, układając z powrotem pistolety w wyściełanej aksamitem skrzynce.

Patrzył na Hornblowera z przeciwległego końca kajuty, a zamierające światło, wpadając przez okno rufowe, oświetliło jego twarz i dziwnie jakoś załamało się w jego bladezielonych oczach.

— Mówi pan dobrze po angielsku — zauważył Hornblower.

— Dziękuję, sir. Swoje interesy przedwojenne prowadziłem głównie z Anglią. Ale mówię też po rosyjsku, szwedzku, fińsku, polsku, niemiecku i francusku. A także trochę po litewsku i po estońsku, bo ten język jest podobny do fińskiego.

— Lecz pański ojczysty język to chyba szwedzki?

Pan Braun wzruszył szczupłymi ramionami.

— Mój ojciec mówił po szwedzku. Moja matka, sir, po niemiecku. Ja rozmawiałem ze swoją nianią po fińsku; po francusku z jednym guwernerem, a po angielsku z drugim. W biurze mówiliśmy po rosyjsku, kiedy nie rozmawialiśmy po polsku.

— Myślałem, że jest pan Szwedem?

— Szwedzkim poddanym, sir, ale z urodzenia jestem Finem. Jeszcze trzy lata temu uważałem się za Fina.

A więc pan Braun to jeszcze jeden z tych bezpaństwowych osobników, których pełno teraz w całej Europie — tych mężczyzn i kobiet bez ojczyzny, Francuzów, Niemców, Austriaków, Polaków, wysiedlanych wskutek okoliczności związanych z wojną i wiodących żalosną egzystencję w nadziei, że któregoś dnia zmienne losy wojny zanoszą ich z powrotem do ojczyzny.

— Gdy Rosja wykorzystwała przymierze z Bonapartem — wyjaśniał pan Braun — aby napaść na Finlandię, byłem wśród tych, co walczyli. Na cóż się to zdało? Co mogła zrobić Finlandia przeciwko całej potędze Rosji? Jestem jedynym ze szczęśliwców, którzy uciekli. Moi bracia, jeśli żyją, siedzą teraz w rosyjskich więzieniach, ale mam nadzieję, że już nie ma ich na świecie. Szwecja była w stanie rewolucji — nie było tam dla mnie schronienia, mimo że biłem się przecież za Szwecję. Niemcy, Dania, Norwegia były w rękach Bonapartego, a on chętnie wydałby mnie Rosji, aby sobie zobowiązać tego nowego sprzymierzeńca. Dostałem się jednak na statek brytyjski, jeden z tych, którym sprzedawałem drewno, i tak przybyłem do Anglii. Jednego dnia byłem najbogatszym człowiekiem w Finlandii, gdzie mało jest bogatych, a następnego byłem najbiedniejszym człowiekiem w Anglii, gdzie wielu jest biednych.

W bładozielonych oczach znów odbiło się światło z okna kabiny i Hornblower pomyślał jeszcze raz, że jego pisarz to człowiek o niepokojącej osobowości. Nie tylko dlatego, że jest uchodźcą, a Hornblower, jak wszyscy, miał dosyć uchodźców i ich opowieści o łańcuchu nieszczęść, chociaż sumienie nie dawało mu spokoju z ich powodu — pierwsi zaczęli napływać dwadzieścia lat temu z Francji, a potem przybywało ich coraz więcej, z Polski, z Włoch i z Niemiec. Można się było spodziewać, że fakt, iż Braun jest uchodźcą, nastawi Hornblowera przeciwko niemu, i tak istotnie się stało, co Hornblower przyznał sam przed sobą ze swoim zwykłym przesadnym poczuciem sprawiedliwości. Ale nie dlatego nie spodobał się on Hornblowerowi. Powód był mniej istotny — faktycznie nie było go wcale.

Hornblowera drażniła myśl, że będzie musiał przez cały czas swojej wyprawy współpracować blisko z tym człowiekiem. Jednakże rozkazy Admiralicji, spoczywające w biurku, nakazywały mu w jak największym stopniu korzystać z rad i informacji Brauna, „dżentelmena posiadającego rozległą i dogłębną znajomość krajów bałtyckich”. Wieczorem Hornblower poczuł wielką ulgę, gdy pukanie Busha do drzwi kajuty, oznajmiające jego przybycie na kolację, uwolniło go od obecności tego człowieka. Skłoniwszy się Bushowi, Braun wyszedł dyskretnie; cała postawa jego ciała zdradzała — Hornblower nie umiał powiedzieć czy świadomie, czy też bezwiednie — człowieka, który przeżywszy lepsze dni, teraz z rezygnacją pełni posługi wobec innych.

— Jak pan znajduje pańskiego szwedzkiego pisarza, sir? — spytał Bush.

— On jest Finem, nie Szwedem.

— Fin? Co pan mówi, sir! To już lepiej niech załoga nie dowie się o tym.

Na poczciwej twarzy Busha malował się niepokój, którego nie udało mu się opanować.

— Dobrze — zgodził się Hornblower.

Starając się zachować kamienny wyraz oblicza, usiłował ukryć fakt, że nie pomyślał o przesądzie na temat Finów na morzu. Marynarze uważają każdego Fina za czarownika zdolnego wywoływać sztormy przez podniesienie palca, ale Hornblowerowi trudno było myśleć tak o panu Braunie, z jego wyglądem człowieka chcącego ukryć swoją biedę, mimo tych jego oczu o niezdrowej, bladozielonej barwie.

Rozdział VI

— Osiem szklanek, sir!

Hornblower z ociąganiem wracał do świadomości; miał wrażenie, że wrywają go z rozkosznych snów, chociaż nie potrafił przypomnieć sobie ich treści.

— Jeszcze ciemno, sir — ciągnął bezlitośnie Brown — ale noc jest jasna. Wiatr wciąż zachodni ku północy, wieje porządnie. Korwety i reszta flotylli widoczna po lewej burcie, a my, sir, stoimy w dryfie pod sternarslem, sztakslem grotmasztu i kliwrem. Tu jest pańska koszula, sir.

Hornblower spuścił nogi z koi i na pół tylko rozbudzony ściągał koszulę nocną. Chciał włożyć na siebie tylko tyle ubrania, żeby go chroniło od chłodu na pokładzie, ale musiał pamiętać o powadze komodora i o tym, że zależy mu na ugruntowaniu opinii o sobie jako o człowieku nigdy nie zaniedbującym najmniejszego szczegółu. Właśnie, żeby mieć na to czas, kazał obudzić się o kwadrans wcześniej, niż naprawdę było trzeba. Wdział zatem mundur, spodnie i buty, starannie uczesał włosy w przedziłek w chybotliwym świetle trzymanej przez Browna latarni, ale zdecydował, że nie będzie się golił. Gdyby pojawił się na pokładzie o czwartej rano świeżutko ogolony, pomyślano by, że zależy mu bardzo na wyglądzie. Wsadził na głowę trójgraniasty kapelusz i wsunął ręce w rękawy podanej przez Browna zydwestki. Wartownik przed drzwiami kajuty stanął na baczność na jego widok. Na półpokładzie grupka rozbawionych młokosów schodzących z wachty, ujrawszy komodora, zamarła — jak należało zresztą — w przerażonym milczeniu.

Na pokładzie rufowym było zimno, mokro i nie przytulnie, ale czegoż innego można się było spodziewać w Kattegacie przed świtem w wiosenny ranek. Ustał właśnie ruch towarzyszący wywoływaniu wachty. Hornblower nie potrafił rozpoznać postaci majaczących w ciemnościach i spiesznie przechodzących na lewą burtę, prawą zostawiając dla niego. Trudno jednak było nie rozpoznać głuchych stąpań drewnianej protezy Busha.

— Kapitanie Bush!

— Sir!

— O której jest dziś wschód słońca?

— Ee... koło piątej trzydzieści, sir.

— Nie pytam, około której, ale „o której jest wschód słońca?”.

Nastąpiła sekunda ciszy, gdy zbity z tropu Bush przetrwał wymówkę, a potem ktoś powiedział:

— O piątej trzydzieści cztery, sir.

To Carlin, młodzieniec o zuchwałej twarzy, drugi oficer okrętowy. Hornblower chciałby wiedzieć, czy Carlin był pewien, że słońce istotnie wschodzi o tej godzinie, czy też zgadywał, wiedząc, że komodor nie będzie sprawdzał tej informacji. A Bush... no cóż, ma pecha, że musiał usłyszeć naganę publicznie; powinien jednak znać dokładnie czas wschodu słońca, przecież ubiegłej nocy Hornblower opracował z jego udziałem plan oparty właśnie na tym szczególe. Dyscyplina na okręcie nie ucierpi na pewno, jeśli załoga się dowie, iż komodor nie oszczędza nikogo, nawet dowódcy okrętu liniowego, swego najlepszego przyjaciela.

Hornblower przeszedł się raz i drugi po pokładzie. Siedem dni od czasu opuszczenia Downs, a żadnych wieści. Przy wietrze wciąż wiejącym z zachodu nie może ich być — żadna jednostka nie mogła wyjść z Bałtyku czy nawet z Goteborga. Od czasu, gdy poprzedniego dnia okrążyli Skagen i wpłynęli w Kattegat, Hornblower nie zauważył ani jednego żagla. Tak więc jego ostatnie informacje ze Szwecji pochodziły sprzed piętnastu dni, a w ciągu tego czasu wszystko mogło się zdarzyć. Szwecja mogła łatwo przejść od nieprzyjaznej neutralności do otwartej wrogości. Czeka ich przeprawa przez Sund, trzy mile szerokości w najwęższym miejscu; po prawej burcie będą mieli Danię, bez wątpienia wrogą pod panowaniem Bonapartego, czy chce tego, czy nie. Po lewej burcie będzie Szwecja, a główny tor wodny przez Sund znajduje się w zasięgu dział Halsingborga[20]. Jeśli Szwecja przeszła na stronę wrogów Anglii, to armaty z Danii i Szwecji — z Helsingoru[21] i Halsingborga — mogą z łatwością unieszkodliwić eskadrę przepływającą pod ich ogniem. A odwrót byłby na pewno niebezpieczny i trudny albo i całkowicie odcięty. Warto może opóźnić przejście, wysłać łódź dla zorientowania się, jakie jest obecnie stanowisko Szwecji.

Z drugiej jednak strony taka łódź ostrzegłaby Szwedów o przybyciu eskadry. Jeśli ruszą teraz, kiedy już dosyć widno, żeby widzieć drogę, może uda się zaskoczyć obronę i przepłynąć cieśninę bez szwanku, nawet gdyby Szwecja przeszła już na stronę nieprzyjaciela. Okręty mogą przy tym ucierpieć, ale przy wietrze zachodnim ku północy, idealnie z baksztagu, nawet jednostka uszkodzona ma szansę przebić się do szerszej partii Sundu, poza zasięg artylerii. Gdyby zaś Szwecja trwała dalej na pozycji chwiejnej neutralności, to nie zaszkodzi, że zobaczą eskadrę brytyjską prowadzoną odważnie i zdecydowanie i uświadomią sobie, że na Bałtyku krążą okręty brytyjskie zdolne zagrozić wybrzeżom szwedzkim i zniszczyć szwedzką flotę. Jeśli Szwecja odniesie się do nich wrogo, mogą przecież w taki czy inny sposób przetrwać lato krążąc po Bałtyku — a w lecie wszystko może się stać — i przy pewnej dozie szczęścia wydostać się z powrotem jesienią. Są pewne argumenty za graniem na zwłokę i czekaniem oraz próbą skomunikowania się z lądem, lecz bardziej przekonujące wydają się te, które przemawiają za szybkim działaniem.

Dzwon okrętowy wybił jedno krótkie uderzenie; nieco ponad godzina do świtu, a już po zawietrznej niebo szarzeje. Hornblower otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Pod wpływem chwilowego zdenerwowania, nagłony przyspieszonym pulsem, już miał rzucić rozkaz; ale nie tak przecież chciał postępować. Mając czas na zastanowienie i przygotowanie, może teraz zachowywać się jak człowiek o żelaznych nerwach.

— Kapitanie Bush, proszę dać sygnał do wszystkich okrętów, żeby przygotowały się do boju — wycedził ten rozkaz absolutnie beznamiętnym tonem.

— Tak jest, sir.

Dwa czerwone światła na rei grotmasztu i jeden wystrzał armatni; ten sygnał nocny o niebezpieczeństwie ze strony nieprzyjaciela pośle wszystkie załogi na stanowiska bojowe. Kilka sekund trwało zapalenie latarni; w momencie potwierdzania sygnału „Nonsuch” już był prawie gotów do boju. Wywołano wolną wachtę, pokłady posypano piaskiem, obsadzono ludźmi pompy pożarnicze, działa zostały wytoczone, a grodzie zwalone. Załoga była jeszcze surowa — Bush przeszedł istne męki czyścicowe, zdobywając dla okrętu marynarzy — ale mogło być gorzej. Szary świt wpełzał na niebo od wschodu i można już było dostrzec w mroku poszczególne jednostki eskadry, a nie tylko ciemniejsze plamy. Lecz wciąż było za mało światła, żeby ryzykować przejście. Hornblower zwrócił się do Busha i do pierwszego oficera, Hursta.

— Zechcą panowie łaskawie — cedził słowa z nonszalancją, na jaką potrafił się zdobyć — przygotować do podniesienia sygnał „Posuwać się szybkim bojowym w kierunku zawietrznej”.

— Tak jest, sir.

To było wszystko, co trzeba było zrobić. Ostatnie dwie minuty biernego czekania były szczególnie denerwujące. Hornblower już miał zacząć chodzić po pokładzie, lecz w porę przypomniał sobie, że powinien trwać nieruchomo, zachowując pozory obojętności. Baterie brzegowe mogą już mieć rozpalone piece do podgrzewania pocisków do czerwoności; niewykluczone, że za kilka minut cała siła, z której tak jest dumny, obróci się w sznur płonących wraków. Już czas zaczynać.

— Podnieść sygnał — rozkazał. — Kapitanie Bush, proszę łaskawie przebrasować na fordewind i ruszyć za eskadrą.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush.

W jego głosie można było wyczuć tłumione podniecenie; w nagłym olśnieniu Hornblower zrozumiał, że jego poza nie działa już na Busha. Lata doświadczenia nauczyły go, że ilekroć Hornblower stoi w miejscu, zamiast chodzić, i cedzi słowa, ta jak to robił teraz, to oznacza, że znajdują się w obliczu niebezpieczeństwa. Bardzo to ciekawe odkrycie, ale nie pora myśleć o tym w chwili, gdy eskadra rusza w głąb Sundu.

Na czele szedł „Lotus”. Jego dowódcę, Vickery'ego, wybrał Hornblower spośród dowódców swoich jednostek jako człowieka o najmocniejszych nerwach, co do którego można było mieć pewność, że będzie parł naprzód bez mrugnięcia okiem. Hornblower bardzo chciałby sam iść na czele eskadry, lecz w tej operacji tyły będą pozycją zagrożoną — okręty wiodące mogą przejść, zanim artylerzyści na lądzie dopadną dział i ustalą zasięg — zaś „Nonsuch”, jako najmocniej zbudowany i najbardziej zdolny wytrzymać ostrzał, musi płynąć na końcu, aby w razie czego mógł przyjść w sukurs uszkodzonej jednostce i odholować ją z terenu walki. Jako drugi szedł kuter „Clam” — najśłabszy ze wszystkich; jeden pocisk może go zatopić, toteż należało zapewnić właśnie jemu największe szansę na przejście. Potem dwa niezgrabne kecze bombowe, a za nimi druga korweta, „Raven”, przed samym „Nonsuchem”. Hornblower nie miał nic przeciwko okazji przyjrzenia się, jak jego dowódca, Cole, będzie się zachowywał w akcji. Łańcuch zamykał „Nonsuch”, prując szybko fale pod silnym wiatrem z prawego baksztagu. Hornblower patrzył, jak Bush, odrefowuje Stermarsel, aby iść dokładnie za rufą „Ravena”. Wielki dwupokładowiec wydawał się ciężkim, niezdarnym stworem wobec wdzięku i elegancji korwet.

Widać już było Szwecję, przyłodek Kullen na lewo od dziobu.

— Panie Hurst, proszę łaskawie rzucić log.

— Tak jest, sir.

Hornblower miał wrażenie, że Hurst spojrzał na niego z ukosa, nie rozumiejąc, po co ktoś przy zdrowych zmysłach chce mieć wskazania logu w chwili, gdy okręt stawia wszystko na jedną kartę; Hornblower jednak pragnął wiedzieć, jak długo potrwa niepewność, a cóż za korzyść z bycia komandorem, jeśli nie można pozwolić sobie na zaspokajanie swoich kaprysów? Któryś z midszypmenów ruszył biegiem na rufę, a za nim dwóch pomocników sternika, z logiem i klepsydrą; okręt płynął tak szybko, że ręce drżały temu, który trzymał nad głową bęben logu.

— Prawie dziewięć węzłów, sir — zameldował midszypmen Hurstowi.

— Prawie dziewięć węzłów, sir — powtórzył Hurst Hornblowerowi.

— Doskonale.

A zatem upłynie całe osiem godzin, nim znajdą się za Saltholmem, w jakimś stopniu poza

niebezpieczną strefą. Teraz mieli z prawej burty wybrzeże duńskie, ledwo widoczne w słabym blasku rozpoczynającego się dnia; tor wodny zwężał się szybko. Hornblower wyobrażał sobie, jak senni wartownicy uważnie przyglądają się ze swoich stanowisk mającym żaglom i wołają sierżantów, a ci, zaspani, wychodzą zobaczyć to na własne oczy i biegną powiadomić poruczników; zaraz też werble wzywają na stanowiska i artylerzyści pędzą do swoich machin. Na duńskim brzegu będą się gotować do rozpoczęcia ognia, bo jest on obsadzony przez pachołków Bonapartego, którym każdy okręt musi wydawać się jednostką nieprzyjacielską. Ale po stronie szwedzkiej? Co postanowił Bernadotte w czasie ostatnich kilku dni? Czy marszałek Bonapartego dalej zajmuje stanowisko neutralne, czy też zdecydował się rzucić ciężar Szwecji na szalę po stronie swego ojczystego kraju?

Mijali niskie, urwiste zbocza Helsnigoru, a po lewej burcie rysowały się wyraźnie iglice wież Halsingborga i forteca górująca nad miastem. „Lotus”, blisko o milę w przodzie, musiał już wejść w przesmyk. Hornblower skierował na niego lunetę; brasowano tam reje do zwrotu i jak dotąd nie padł żaden strzał. Za „Lotusem” płynął „Clam” — daj Boże, aby ciężkie kecze bombowe dobrze się sprawiły. Ach! Jest jednak. Ciężki, głuchy huk działa, a potem posępny ryk salwy. Hornblower obrócił lunetę na brzeg szwedzki, ale nigdzie nie zobaczył tam dymu. Potem na wybrzeże duńskie — tu dym widać było wyraźnie, choć silny wiatr rozwiewał go szybko. Pod rozkazami Busha sternik obracał koło o jedną, dwie szprychy, przygotowując okręt do zwrotu; Helsingor i Halsingborg znalazły się nagle bardzo blisko eskadry. Kanał miał tu szerokość trzech mil i Vickery na „Lotusie”, zgodnie z rozkazami Hornblowera, trzymał się znacznie bliżej lewej strony toru wodnego, dwie mile od Danii, a tylko milę od Szwecji, zaś pozostałe jednostki posuwały się dokładnie jego śladem. Gdyby szwedzkie działa włączyły się do akcji i miały dobrą obsługę, mogłyby zadać eskadrze kilka dotkliwych ciosów. Trzy bryzgi wody strzeliły z morza, na prawym trawersie; okiem nie można było dojrzeć pocisku, który je wyrzucił w górę, łatwo było jednak wyobrazić sobie, jak sunie skokami po powierzchni, mimo że ostatnia fontanna oddalona była od burty okrętu o cały kabel. Szwedzkie armaty wciąż milczały; Hornblower bardzo chciał wiedzieć, czy to wskutek zaskoczenia szwedzkich artylerzystów, czy też mieli rozkaz nie strzelać.

Zostawili już Helsingor za trawersem i tor wodny zaczął się poszerzać. Hornblower zamknął z trzaskiem lunetę; poczuł wyraźne odprężenie. Trudno mu było teraz zrozumieć, czym się tak przejmował. Oglądając oczyma wyobraźni mapę morską, tak uważnie przestudiowaną, obliczył, że upłynie godzina, zanim wejdą znowu w zasięg artylerii brzegowej, w miejscu, gdzie tor wodny przebiega w pobliżu szwedzkiej wyspy Ven — czy jak się to wymawia w tych barbarzyńskich językach północnych. Ta ostatnia myśl sprawiła, że rozejrzał się wokół siebie. Braun był, jak należało, na swoim stanowisku na pokładzie rufowym, do dyspozycji komodora. Z dłońmi na relingu wpił wzrok w brzeg szwedzki; Hornblower nie widział twarzy Brauna, lecz cała jego postać zdradzała napiętą uwagę. Biedny wygnaniec spoglądał tęsknie na ląd, na którym stopa jego najpewniej nigdy nie stanie. Świat jest pełen wygnańców, lecz Hornblower współczuł temu jednemu.

Słońce wyjrzało spomiędzy dwóch wzgórz szwedzkich, gdzie otwierał się widok na dolinę. Było już widno i zapowiadał się piękny dzień. Cień takielunku przesunął się po pokładzie rufowym za słońcem; pod nikłym ciepłem jego promieni Hornblower poczuł nagle, że zmarzł i zeszywniał od długiego stania w miejscu. Przeszedł się raz i drugi po pokładzie, żeby pobudzić krążenie krwi, i wtedy pomyślał, że ma chęć na śniadanie. W wyobraźni przesunął mu się obraz dymiących parą kubków kawy, ale wnet, z głębokim rozczarowaniem, przypomniał sobie, że na okręcie

przysposobionym do boju nie ma mowy o gorącym posiłku. To silne uczucie zawodu pozwoliło mu uświadomić sobie, że w czasie półrocznego pobytu na łodzi stał się wygodny i zaczął sobie pobażać; z głębokim obrzydzeniem myślał o sucharze na śniadanie z kawałkiem wołowiny na zimno popitej wodą, która oczywiście była na okręcie długo trzymana w beczułce.

Rozmyślania te przypomniały mu o marynarzach cierpliwie stojących przy swoich działach. Dobrze by było, gdyby i Bush przypomniawszy sobie o nich. Hornblower nie powinien, w miarę możliwości, ingerować w szczegóły wewnętrznego kierowania okrętem — takie próby więcej przyniosłyby szkody niż pożytku — bardzo jednak pragnął wydać rozkaz w sprawie, która zaprzętała jego umysł. Przez moment usiłował przekazać Bushowi telepatycznie to życzenie, ale, jak zresztą się spodziewał, Bush go nie odebrał. Przeszedł więc na zawietrzną, udając że chce mieć lepszy widok na wybrzeże szwedzkie, i zatrzymał się o dwa jardy od Busha.

— Wygląda, że Szwecja wciąż jest neutralna — rzekł lekkim tonem.

— Tak, sir.

— Zorientujemy się dokładniej, kiedy dopłyniemy do Ven... Bóg wie tylko, jak to należy wymawiać. Będziemy musieli tam przechodzić blisko stanowisk artyleryjskich; tor wodny przebiega pod tamtym brzegiem.

— Tak, sir. Pamiętam o tym.

— Ale minie jeszcze prawie godzina, zanim tam dojdziemy. Niech przyniosą mi tu jakieś śniadanie. Zje pan ze mną, kapitanie?

— Dziękuję, sir. Z przyjemnością.

Takie zaproszenie ze strony komodora znaczyło dla kapitana tyle co rozkaz. Lecz Bush był za dobrym oficerem, aby myśleć w ogóle o zjedzeniu śniadania, póki jego ludzie też nie będą mogli się posilić. Hornblower obserwował na jego twarzy walkę z nerwowym, lecz nierealnym pragnieniem trzymania załóg przy armatach przez cały ten okres niepewności; ostatecznie po raz pierwszy dowodził okrętem i czuł niesamowity ciężar odpowiedzialności. Jednakże zdrowy rozsądek wziął górę.

— Panie Hurst, proszę zwolnić wachtę wolną od służby. Mają pół godziny na śniadanie.

Hornblowerowi chodziło o to właśnie, żeby Bush wydał taki rozkaz — ale zadowolenie, że doprowadził do tego nie zrównoważyło wewnętrznej irytacji, iż musiał wdać się w tę zbędną rozmowę, a teraz czekało go jeszcze prowadzenie uprzejmej pogawędki przy śniadaniu. Pełna napięcia cisza panująca na okręcie w stanie gotowości bojowej przerodziła się w hałas towarzyszący zwalnianiu wachty. Bush krzyknął, żeby przyniesiono krzesła i stolik na pokład rufowy i starał się ustawić je w sposób, który by najbardziej odpowiadał komodorowi. Jedno spojrzenie rzucone Brownowi przez Hornblowera wystarczyło, aby na stoliku znalazły się smakołyki odpowiednie na tę okazję, wybrane z zapasów przesłanych na okręt przez Barbarę — najlepszy chleb, jaki można kupić; masło w naczyniu kamionkowym, wcale jeszcze nie zjełczałe; dżem

truskawkowy; dobrze uwędzona szynka; wędzona gicz barania z pewnej farmy w Exmoor; sery cheddar i stilton; pstrąg marynowany. Brown wpadł na doskonały pomysł i wycisnął kilka cytryn z szybko topniejącego zapasu, robiąc lemoniadę dla zabicia przykrego smaku wody okrętowej; wiedział, że w porze śniadaniowej Hornblower nie wypije piwa, nawet małego — a do wyboru miał tylko piwo.

Bush przebiegł aprobującym spojrzeniem suto zastawiony stół i na zaproszenie Hornblowera zabrał się z apetytem do jedzenia. Bush także klepał biedę przez większą część życia, utrzymując ze swej pensji gromadkę ubogich krewniaczek. Luksus nie przejadł mu się jeszcze. W Hornblowerze natomiast wzięła górę jego przewrotna natura. Miał chęć na kawę, a nie mógł jej dostać, więc odechciało mu się wszystkiego. Nawet lemoniada była oszukana; pojadał jak z łaski. Zdawało mu się, że Bush nakładając obficie pstrąga na suchar i pałaszując go z apetytem, jakiego można się było po nim spodziewać po nocy spędzonej na pokładzie, robi to ostentacyjnie, jemu na złość. Bush spojrział na niego poprzez stół i porzucił zamiar pochwalenia jedzenia. Jeśli jego dziwaczny komodor woli być w złym humorze, to niech sobie będzie — Bush jest lepszy od żony, pomyślał Hornblower, przejrzawszy wyczulonymi zmysłami tok jego rozumowania.

Wyjął zegarek, żeby przypomnieć Bushowi, co powinien teraz zrobić.

— Wywołać wolną wachtę. Posłać wachtę z pokładu na śniadanie — rozkazał Bush.

Dziwna sytuacja — dramatyczna, byłaby może właściwszym słowem — że tak siedzieli pod słońcem Bałtyku, niespiesznie jedząc śniadanie, podczas gdy oddalone o nie więcej niż trzy mile hordy tyrańców Europy mogły się tylko gapić na nich bezsilnie. Brown podał cygara; Bush przyciął swoje dużym składanym nożem marynarskim, wyjętym z bocznej kieszeni, a Brown przyniósł tłący się wolno lont z cebrzyka przy karonadach rufowych, żeby mogli przypalić. Hornblower zaciągnął się z uczuciem błogości i stwierdził, że trudno zachowywać zły humor, gdy świeci słońce, cygaro dobrze ciągnie, awangarda zaś miliona żołnierzy francuskich znajduje się w odległości trzech mil. Zabrano stolik i Hornblower mógł wyprostować nogi. Nawet Bush uczynił to samo — w każdym razie siadł głębiej w krzesło, zamiast, jak dotąd, na brzeżku; drewnianą nogę wyciągnął prosto przed siebie, drugą zaś trzymał dalej zgiętą, jak nakazywało dobre wychowanie. „Nonsuch” pruł dumnie fale pod normalnymi żaglami, lekko tylko przechylony przez wiatr, zielona woda pieniała się radośnie pod jego dziobem. Hornblower zaciągnął się znowu cygarem w dziwnym stanie spokoju ducha. Po niedawnym napadzie niezadowolenia czuł się teraz jak po niespodziewanym ustaniu bólu zęba.

— Ven prawie w zasięgu przypadkowego strzału, sir — zameldował pierwszy oficer.

— Wezwać całą załogę na stanowiska bojowe — rozkazał Bush rzuciwszy okiem na Hornblowera.

Ale Hornblower siedział spokojnie. Poczł nagle pewność, że armaty na Ven nie otworzą ognia i nie chciało mu się odrzucić niewdzięcznie cygara, które tak mu dobrze zrobiło. Bush rzucił znów spojrzenie na Hornblowera i postanowił także siedzieć dalej spokojnie. Ledwie raczył popatrzeć na Ven, która pojawiła się po zawietrznej dziobu, by zniknąć za zawietrzną rufy. Hornblower myślał o leżącym przed nimi Saltholmie i Amagerze; znajdują się w prawdziwych opałach, bo obie wyspy są w rękach duńskich, a tor wodny o głębokości dwunastu sążni przebiega między nimi w małej

odległości. Ale zdąży jeszcze skończyć to cygaro. Z prawdziwym żalem pociągnął ostatni raz, wstał bez pośpiechu i wolnym krokiem podszedł do relingu po zawietrznej i uważnie rzucił koniec cygara za burtę.

Nagle pojawienie się jego eskadry o szarym świcie zaskoczyło garnizon helsingorski, lecz Saltholmu i Amageru nie da się zaskoczyć. W przejrzystym powietrzu jego okręty zostaną tam zauważone z odległości dwunastu mil i artylerzyści będą mieli dosyć czasu, żeby się przygotować dobrze na ich przyjęcie. Popatrzył na płynące przed „Nonsuchem” jednostki.

— Dajcie sygnał do „Motha” — rzucił przez ramię. — „Lepiej utrzymywać pozycję”.

Jeśli okręty rozciągną się w szyku, będą dłużej wystawione na ogień. Przez lunetę widział wyraźnie ląd; na szczęście wyspa Saltholm jest nizinna i trudno z niej operować artylerią. Kopenhaga musi być blisko, tuż za widnokretem z prawej burty. Vickery prowadził „Lotusa” dokładnie kursem wytyczonym przez Hornblowera w rozkazach. Z Saltholmu buchnął dym i odezwały się działa — bardzo nierówną salwą. Na płynących w przodzie jednostkach Hornblower nie dostrzegł śladów uszkodzeń. „Lotus” odpowiadał na ostrzał; trudno się spodziewać, że jego dziewięciofuntowe pukawki doniosą z tej odległości, ale przynajmniej okręt zyska osłonę z dymu. Teraz już dym spowił całą wyspę, a huk dział niósł się po wodzie jak nieustanny łoskot werbla. Byli jeszcze poza zasięgiem artylerii Amageru; Vickery przygotowywał „Lotusa” do zwrotu przez rufę. Bush postąpił bardzo rozsądnie, stawiając na ławach wantowych marynarzy z ołowianka.

— Siedem sążni!

Siedem sążni to dosyć przy wzbierającym przyplwywie. Brązowe na tle zieleni — to baterie na Saltholmie, słabo widoczne przez dym; młody Carlin na pokładzie głównym wskazuje cel dwunastofuntowym działom lewej burty.

— Sześć i pół sążnia!

Nagle potężny huk — to pełna salwa baterii lewoburtowej. Odrzut przechylił „Nonsucha” i wtedy rozległ się okrzyk sondującego.

— Sześć i pół sążnia!

— Ster w lewo! — powiedział Bush. — Uwaga przy działach prawej burty!

„Nonsuch” ustawiał się do zwrotu; o ile Hornblower się orientował, nie posłano do nich jeszcze ani jednego pocisku.

— Pięć sążni!

Muszą prawie ocierać się o skraj mielizny. Teraz widać było wyraźnie baterie na Amagerze — armaty prawej burty, przy dodatkowym podniesieniu spowodowanym przechyłem okrętu, powinny dostać je w swój zasięg. Tym razem obie salwy burtowe naraz, rozdzierający uszy huk, i dym dział prawoburtowych, gorzki i drażniący, przeszedł w kłębach nad pokładem.

— Pięć i pół sążnia!

To już lepiej. Boże, trafiono „Harveya”. Kecza bombowy, płynący o dwa kable przed „Nonsuchem”, w jednej chwili z okrętu pełnosprawnego zmienił się we wrak. Jego wysoki grotmaszt, olbrzymi, jak na taką jednostkę, został przecięty tuż nad pokładem; maszt z wantami i żaglami o dużej powierzchni był wleczony za rufą. Poszła też przysadzista stenga stermasztu i zawisała na dybach. „Raven”, zgodnie z rozkazami, przemknął obok „Harveya”, który unosił się bezwładnie na wodzie. „Nonsuch” ruszył mu na pomoc.

— Przebrasować grotmarsel na pracę wstecz! — ryknął Bush.

— Uwaga tam z rzutką! — krzyknął Hurst.

— Pięć i pół sążnia — zawołał sondujący.

— Ster na nawietrzną — rozkazał Bush, a potem wśród zgiełku zagrzmiała znowu salwa z prawej burty, gdy obrót okrętu ustawił działa w kierunku na baterie Amageru i dym przesunął się nad pokładami. „Nonsuch” przechylił się; marsel przebrasowany na pracę wstecz pochwycił wiatr i okręt prostując się zaczął tracić bieg. Stanął w dryfie, mając przy burcie okaleczonego „Harveya”. Zobaczywszy jego dowódcę, Mounda, kierującego wysiłkami załogi ze swego stanowiska u stóp stermasztu, Hornblower przyłożył tubę do ust.

— Odcinać szczątki, ale już, żwawo.

— Uwaga na rzutkę! — krzyknął Hurst.

Zręcznie rzucona linka opadła na wanty stermasztu i Mound złapał własnoręcznie jej koniec; Hurst pognął pod pokład nadzorować podawanie liny holowniczej, która leżała na dolnym pokładzie działowym, gotowa do wysunięcia przez furtę strzelniczą w rufie. Rozdzierający trzask na dziobie oznajmił, że co najmniej jeden pocisk z Amageru trafił w „Nonsucha”. Siekiery z furią odcinały splecione takielunek wleczony za burtą „Harveya”; kilku marynarzy z wściekłym wysiłkiem wciągało trzycalową linę łącznikową z „Nonsucha” przywiązaną do rzutki. Znów trzask na dziobie — obejrzawszy się Hornblower zobaczył, że pękły dwie wanty fokmasztu. Teraz, kiedy „Nonsuch” stał prawie dziobem do wiatru, działa żadnej z burt nie mogły być nastawione na cel, ale Carlin kazał artylerzystom obrócić handszpakami dwa z nich najbliższe dziobu — nie zaszkodzi trzymać baterie pod ich ogniem, nie pozwalając im jak gdyby ćwiczyć się tylko w strzelaniu do celu. Hornblower obrócił wzrok na rufę „Nonsucha”; była już prawie przy rufie „Harveya”, ale jakiś rozgarnięty oficer kazał wysunąć dwa drzewca z galerii rufowej, żeby je odepchnąć. Gruby hol z liny splotu kablowego już był w drodze; idąc za nim spojrzeniem Hornblower zobaczył, jak marynarze z kecza wyciągnęli ręce i pochwycili jego koniec.

— Panie Mound, będziemy was holować rufą do przodu — krzyknął Hornblower przez tubę — nie było czasu czekać, aż przeciągną hol na dziób. Mound potwierdził gestem, że go słyszy.

— Pięć sążni bez ćwierci — nadbiegł śpiew sondującego; oba okręty, dryfując, szły ku płyciznom Saltholmu.

Bang-bang — za głosem sondującego nadleciał huk dwóch armat, które Carlinowi udało się wycelować w baterie Amageru, a potem rozległo się wycie przelatującego górą pocisku. W grotmarslu i sternmarslu były już dziury — nieprzyjaciel próbował pozbawić „Nonsucha” masztów.

— Czy mam brasować na fordewind, sir? — usłyszał Hornblower z boku głos Busha.

Mound owinał koniec holu dookoła podstawy sternmasztu „Harveya” przesuniętego na tyle ku rufie, aby stworzyć dogodny punkt dla holowania. Gestem dał znać, że wszystko zostało zamocowane, a tymczasem marynarze odcinali siekierami resztę want grotmasztu.

— Tak, kapitanie. — Hornblower zawahał się przez chwilę, zanim rzucił radę w sprawie pozostającej całkowicie w zakresie kompetencji Busha. — Naprężajcie hol powoli, bo może pęknąć, albo sternmaszt mógłby się wyrwać z kadłuba. Wybierzcie szoty kliwrów z prawej burty i ruszcie powoli, a dopiero potem brasujcie grotmarsel.

— Tak jest, sir.

Bush nie obraził się za to, że Hornblower mówił mu co ma robić, wiedział bowiem doskonale, że rady Hornblowera są więcej warte od złota.

— I gdybym ja miał przeprowadzać ten manewr, to trzymałbym „Harveya” na krótkim holu, rufą do przodu, żeby nie trzeba było nim sterować. Tak będzie łatwiej go holować.

— Tak jest, sir.

Bush odwrócił się i zaczął wielkim głosem wydawać rozkazy. Po wybraniu kliwrów „Nonsuch” odwrócił się z wiatrem i Carlin zaraz wprowadził znowu swoje działa do akcji. Okręt utonął w dymie i piekielnym huku armat. Pociski z Amageru dalej raziły go albo przelatowały górą, a w następnej chwili względnej ciszy dał się znowu słyszeć głos sondującego.

— Cztery i pół sążnia!

Im szybciej wydostaną się spośród tych płycizn, tym lepiej. Fokmarsel i Sternmarsel zaczęły się lekko wypełniać, a kliwry łapały wiatr. Hol napiął się i gdy uszy Hornblowera ochłonęły po następnej salwie burtowej, dotarł do nich silny skrzyp liny i pachółków pod wpływem naprężenia — na pokładzie rufowym „Nonsucha” można było dosłyszeć trzeszczenie coraz silniej obciążanego sternmasztu „Harveya”. Kecz obracał się wolno przy akompaniamencie srogich ryków pod adresem sternika „Nonsucha”, gdy dwupokładowiec ociągał się pod naporem siły działającej w poprzek rufy. Wszystko szło dobrze; Hornblower przytaknął sobie ruchem głowy — nic nie szkodzi, że zauważył to Bush, który (jak się spodziewał) rzucał na niego ukradkowe spojrzenia.

— Do brasów! — wrzasnął Bush, wtórując jak echo myślom Hornblowera. Po strymowaniu fokmarsel i Sternmarsel wypełniły się i „Nonsuch” płynął coraz szybciej, a kecz sunął za nim na tyle posłusznie, na ile mógł bez steru, który utrzymywałby go prosto na kursie. W pewnej chwili jednak wykręcił paskudnie w prawo, zanim szarpnięcie holu nie wyprostowało go z powrotem przy feerii trzasków. Widząc to, Hornblower potrząsnął głową i Bush wstrzymał się z rozkazem wyostrzenia

grotmarsła.

— Ster w lewo, panie Mound! — krzyknął Hornblower przez tubę. Przełożenie steru na „Harveyu” może mieć pewien chociaż niewielki wpływ — każdy holowany okręt zachowuje się inaczej. Posuwali się coraz szybciej i to również mogło wpływać lepiej lub gorzej na zachowanie „Harveya”.

— Pięć sążni!

To już lepiej. I „Harvey” sprawuje się dobrze. Teraz myszkuje już tylko nieznacznie; podziałało zwiększenie prędkości, a może też i przełożenie steru.

— Dobra robota, kapitanie Bush — powiedział pompatycznie Hornblower.

— Dziękuję, sir — odparł Bush i natychmiast zarządził wyostrzenie grotmarsła.

— Sześć sążni!

A więc mieli już za sobą płycizny Saltholmu i Hornblower nagle uświadomił sobie, że od pewnego czasu nie słyszy ani własnych dział, ani ognia z Amageru. Przepłynęli torem wodnym i wyszli poza zasięg baterii za cenę tylko jednego zwalonego drzewca. Nie muszą wchodzić ponownie w zasięg żadnego innego działa nieprzyjacielskiego — można obejść Falsterbo w dużej odległości od baterii szwedzkich.

— Dziewięć sążni!

Bush patrzył na Hornblowera z tym swoim znanym mu już wyrazem zdumienia i podziwu. A przecież to było całkiem łatwe. Każdy mógłby przewidzieć, że najlepiej będzie zostawić „Nonsuchowi” zadanie odholowania ewentualnych wraków poza zasięg ognia nieprzyjacielskiego, a w takiej sytuacji to już kwestia rozsądku, żeby nakazać rozwinać linę holowniczą i doprowadzić ją na rufę, by można było zabrać się bezzwłocznie do dzieła, mając pod ręką rzutki i wszystko, co potrzeba, i każdy ustawiłby „Nonsucha” na końcu szyku, aby wziął na siebie główny ostrzał nieprzyjacielski i był w stanie podplynać do uszkodzonej jednostki i zabrać się natychmiast do jej odholowywania. Każdy mógłby wydedukować sobie to wszystko — toteż irytował go trochę sposób, w jaki Bush patrzył na niego.

— Proszę dać ogólny sygnał do stanięcia w dryfie — powiedział. — Kapitanie Bush, proszę łaskawie przygotować się do odrzucenia holu. Niech postawią na „Harveyu” takielunek awaryjny, zanim zaczniemy okrążyć Falsterbo. Może zechce pan posłać im ludzi do pomocy.

Powiedziawszy to, zszedł pod pokład. Na razie miał dosyć widoku Busha i całego świata. Był zmęczony, wypompowany z energii. Później będzie dosyć czasu, żeby zasiąść przy biurku do nudnego „Sir, mam zaszczyt zameldować...” Trzeba będzie też zrobić listę zabitych i rannych.

Rozdział VII

„Nonsuch”, siedemdziesięcioczerodziałowy okręt jego brytyjskiej królewskiej mości,

znajdował się na Bałtyku bez widoczności lądu. Okręt szedł fordewindem, pod normalnymi żaglami przy wietrze wciąż wiejącym z zachodu, a za jego rufą, jak para brzydkich kaczątek za dostojną matką, szły dwa kecze bombowe. Daleko po prawej burcie słabo majaczył „Lotus”, a daleko na lewo „Raven”. Za nim, niewidoczny z „Nonsucha”, posuwał się „Clam”; te cztery jednostki miały w zasięgu wzroku wąską gardziel Bałtyku między Szwecją a Rugią. od brzegu do brzegu. Wciąż brak było wiadomości; na wiosnę, wraz z topnieniem lodu, wszystkie statki znajdujące się na Bałtyku ruszały w kierunku Anglii i Europy, a przy tak długo utrzymującym się wietrze zachodnim ruch na morzu był słaby. Chociaż grzało słońce, powietrze było świeże i rześkie, a woda pod usianym chmurkami niebem srebrzystoszara.

Hornblower prychał i otrząsał się pod strumieniem wody z pompy pokładowej. Przez piętnaście lat pływał na wodach tropikalnych i śródziemnomorskich; w czasie porannej kąpieli zlewano mu przeważnie plecy letnią wodą, i ta woda z Bałtyku, oziębiona lodem topniejącym w Zatoce Botnickiej i Fińskiej w połączeniu z roztopionym śniegiem płynącym Wisłą i Odrą, była dla niego zaskoczeniem. Równocześnie jednak miała w sobie coś ożywczego, toteż podskakiwał śmiesznie pod jej silnym strumieniem, zapominając — jak zawsze podczas kąpieli — o powadze komodora. Pół tuzina marynarzy, pracujących niespiesznie pod okiem cieśli okrętowego nad wymianą zgruchotanej furty strzelniczej, rzucało na niego ukradkowe zdumione spojrzenia. Dwaj marynarze u pompy i Brown czekający z ręcznikiem i szlafrokiem, będąc blisko niego, zachowywali należytą powagę.

Nagle przerwano pompowanie; drobny, chudy midszypmen stanął, salutując, przed nagim komodorem. Mimo poważnej miny — zwracał się przecież do tak wielkiego człowieka — chłopiec patrzył okrągłymi ze zdumienia oczyma na to ekscentryczne zachowanie się oficera, o którego wyczynach wszędzie było głośno.

— Co jest? — spytał Hornblower ociekając wodą. Nie mógł odsalutować posłańcowi.

— Pan Montgomery przysyła mnie, sir. „Lotus” sygnalizuje „Żagiel po zawietrznej”, sir.

— W porządku.

Hornblower wyrwał ręcznik z rąk Browna; ale wiadomość zbyt była ważna, aby mógł tracić czas na wycieranie, pobiegł więc mokry nago w górę „zejściówką”, a za nim Brown ze szlafrokiem. Oficer wachtowy zasalutował, zobaczywszy Hornblowera na pokładzie rufowym. Jak w starej bajce, wszyscy udawali, że wcale nie zauważają, iż komodor jest nagi.

— Nowy sygnał z „Lotusa”, sir. „Ścigany zmienił hals. Ścigany płynie lewym halsem, zamiar wschód ku północy, pół na wschód”.

Hornblower skoczył do kompasu; gdy brał namiar okiem, widział z pokładu tylko marsie „Lotusa”. Jaki by to nie był statek, trzeba odciąć mu drogę i zdobyć wiadomości. Zobaczył, że Bush pędzi na pokład, zapinając po drodze guziki munduru.

— Kapitanie Bush, zechce pan zmienić kurs o dwa rumby w prawo.

— Tak jest, sir.

„Lotus” znowu sygnalizuje, sir. „Ścigany to fregata. Przypuszczalnie brytyjska handlowa”.

— Doskonale. Kapitanie Bush, proszę postawić wszystkie żagle.

— Tak jest, sir.

Świergot gwizdków poniósł się po okręcie i czterystu marynarzy pomknęło po wyblinkach, żeby odsejzingować bombramsle i postawić żagle boczne. Hornblower zawodowym spojrzeniem oceniał przebieg operacji wykonywanej pod gradem wymysłów oficera wachtowego. Wciąż jeszcze niedoszkolona załoga, poganiana przez podoficera, wykonała zadanie w maksymalnym tempie, a w momencie gdy kończyła, rozległ się z masztu okrzyk marynarza na oku.

— Żagiel przed dziobem z prawej burty!

— To będzie ten, co go widać z „Lotusa”, sir — zauważył Bush. — Hej, oko! Widzisz, co to za jednostka?

— To fregata, sir, idzie na wiatr i zbliża się szybko. Płyniemy na przecięcie jej kursu.

— Panie Hurst, proszę podnieść banderę. Jeżeli halsuje w kierunku Sundu, sir, to będzie musiała zmienić hals, wszystko jedno czy widziała „Lotusa”, czy nie.

— Tak — zgodził się Hornblower.

Wysoki okrzyk dobiegł z salingu grotmasztu, na który wdrapał się z lunetą jeden z midszypmenów wachtowych, smarkacz przechodzący właśnie mutację głosu.

— Brytyjska bandera, sir!

Hornblower przypomniał sobie, że stoi nagi i mokry; mokre były przynajmniej okolice jego ciała nie wystawione na swobodny, osuszający powiew wiatru. Zaczął je wycierać ręcznikiem, którego nie wypuścił dotąd z rąk, ale znów mu przerwano.

— Jest! — zawołał Bush; z pokładu widać było nad widnokręgiem górne żagle statku.

— Weźcie kurs na minięcie go w odległości obwołania — rozkazał Hornblower.

— Tak jest, sir. Ster, rumb w lewo. Panie Hurst, niech znowu sprzątną boczne żagle.

Fregata, do której się zbliżali, szła dalej swoim kursem; nie budziła żadnych podejrzeń nawet tym, że zmieniła hals natychmiast po zauważeniu „Lotusa”.

— Drewno z południowego Bałtyku, jak sędzę, sir — mówił Bush, skierowawszy lunetę w tamtą stronę. — Widać już ładunek na pokładzie.

Jak większość statków płynących z Bałtyku i ten miał na pokładzie drewno ułożone jak barykady w wysokie stopy wzdłuż nadburci.

— Kapitanie, proszę wywiesić tajny sygnał statków handlowych — polecił Hornblower.

Obserwował, jak w odpowiedzi rzut flag wzbił się po flaglinkach.

— A—T — sygnał cyfr — pięć—siedem, sir — odczytał Hurst przez lunetę. — Odpowiedź prawidłowa dla ubiegłej zimy, a nowego kodu mogli jeszcze nie otrzymać.

— Nadać sygnał, żeby stanęli w dryfie — rzekł Hornblower.

Z opóźnieniem nie dłuższym, niż można było się spodziewać po jednostce handlowej, słabej w odczytywaniu sygnałów i mającej skąpą załogę, statek zbrasował grotmarsel na pracę wstecz i położył się w dryf. „Nonsuch” pędził w jego stronę.

— A teraz wciągają żółte „Q”, sir — zawołał nagle Hurst. — Flaga zarazy.

— No i dobrze. Panie Bush, proszę położyć okręt w dryf.

— Tak jest, sir. I jeśli pan pozwoli, sir, będę się trzymał po ich nawietrznej.

Po sprzątnięciu marsli „Nonsuch” zrobił zwrot, stając w dryfie po nawietrznej fregaty, kołysząc się w spokojnym korycie fal w odległości strzału z pistoletu. Hornblower przyłożył tubę do ust.

— Co to za statek?

— „Maggie Jones” z Londynu. Jedenaście dni temu opuściliśmy Memel[22].

Oprócz sternika na pokładzie rufówki „Maggie Jones” widać było jeszcze dwie postacie; jedna, w białych spodniach drelichowych i granatowym płaszczu, to z pewnością kapitan statku. On to właśnie odpowiadał przez tubę.

— Po co ta żółta flaga?

— Ospa. Mamy siedem wypadków. Dwa zgony. Pierwsze zachorowanie tydzień temu.

— Ospa, na Boga! — wzdrygnął się Bush. Przed oczyma wyobraźni zobaczył przerażający obraz tego, co mogłoby się stać, gdyby ospa rozprzestrzeniła się na jego drogocennym „Nonsuchu”, z dziewięciusetosobową załogą stłoczoną na ograniczonej przestrzeni.

— Czemu płyniecie bez konwoju?

— Nie można go było dostać w Memlu. Miejsce spotkania dla statków handlowych jest przy wyspie Langeland dwudziestego czwartego. Teraz halsujemy na Bełt[23].

— Co nowego? — Hornblower odczekał cierpliwie z tym pytaniem, aż skończy się ta długa dla niego sekwencja zdań.

— Wciąż obowiązuje embargo rosyjskie, ale my płyniemy za zezwoleniem.

— A Szwedzi?

— Bóg wie, sir. Niektórzy powiadają, że zaostrzyli swoje embargo.

Zastanawiający, zduszony ryk dobiegł w tym momencie spod pokładów „Maggie Jones”, ledwie słyszalny na „Nonsuchu”.

— Co to za hałas? - spytał Hornblower.

— Jeden z naszych przypadków ospy, sir. Chory majaczy. Mówią, że car ma się spotkać w przyszłym tygodniu z Bernadottem na konferencji gdzieś w Finlandii.

— Są jakieś objawy wojny między Francją i Rosją?

— Niczego takiego nie zauważyłem w Memlu.

Majaczenia chorego musiały być bardzo gwałtowne, skoro jego wrzask dotarł do ucha Hornblowera na taką odległość, i to pod wiatr. Znowu ten krzyk. Czy możliwe, żeby jeden człowiek robił tyle hałasu? Hornblower miał wrażenie, że słyszy raczej stłumiony chór głosów. Nagle stał się podejrzliwy. Osobnik w białych spodniach na pokładzie „Maggie Jones” mówił zbyt swobodnie, zbyt fachowo. Oficer marynarki wojennej mógłby być może omawiać szansę wojny na Bałtyku tak na zimno, natomiast kapitan statku handlowego mocniej angażowałby się w to co mówi. A ten hałas w ich dziobówce nie pochodził od jednego człowieka. Kapitan mógł pośpieszyć z informacją o spotkaniu z Bernadottem, żeby odciągnąć uwagę Hornblowera od krzyków pod pokładem. Coś tu było nie tak.

— Kapitanie Bush — powiedział Hornblower — proszę wysłać łódź z oddziałem abordażowym na ten statek.

— Sir! — zaprotestował Bush gwałtownie. — Sir... tam jest ospa... sir! Tak jest, sir.

Protesty zamarały na ustach Busha, gdy spojrział na twarz Hornblowera. Powiedział sobie, że dowódca zdaje sobie sprawę równie dobrze jak on sam, jakie straszne mogą być skutki przeniesienia ospy na „Nonsucha”. Hornblower wie co ryzykuje. Spojrzawszy ponownie na niego Bush pojął, że nie była to łatwa decyzja.

Hornblower przyłożył ponownie tubę do ust.

— Posyłam do was łódź — zawołał. Z odległości dwudziestu jardów trudno było dostrzec zmianę w zachowaniu się człowieka, do którego się zwracał, szczególnie że przeszkadzała w tym tuba, ale Hornblowerowi wydało się, że jest trochę zaskoczony. Bez wątplenia odpowiedź nadeszła po chwili zwłoki.

— Jak pan sobie życzy, sir. Ostrzegłem was przed ospą. Czy może pan przysłać doktora i lekarstwa?

Takich właśnie słów należało oczekiwać. Jednakże ta pauza przed daniem odpowiedzi, jak gdyby ten człowiek został zaskoczony i szukał w myślach najlepszej odpowiedzi, była podejrzana. Bush czekał ze zgnębionym wyrazem twarzy, w nadziei, że Hornblower odwoła rozkaz, lecz Hornblower nie uczynił tego. Pod rozkazami bosmana podniesiono taliami łódź wielorybniczą, wykręcono za burtę i opuszczono na wodę. Midszypmen i załoga wsiedli do niej z ponurymi minami. Poszliby ochoczo abordażować uzbrojonego nieprzyjaciela, lecz myśl o odrażającej chorobie pozbawiła ich ducha.

— Odbijać — rozkazał oficer wachtowy, rzuciwszy przedtem ostatnie spojrzenie na Hornblowera. Łódź tańcząc na falach ruszyła w kierunku „Maggie Jones” i wtedy Hornblower zobaczył, że jej dowódca cisnął tubę na pokład i zaczął rozglądać się w popłochu, jakby szukając sposobu ucieczki.

— Stać w dryfie albo was zatopię — ryknął Hornblower i dowódca z gestem rozpaczony stanął nieruchomo, załamany niepowodzeniem.

Łódź zahaczyła bosakiem o podwieszca „Maggie Jones” i midszypmen pognął na jej pokład na czele swego oddziałku. Nikt nie próbował ich zatrzymać, lecz gdy dobiegli na rufę, puknął nagle pistolet i Hornblower ujrzał midszypmena schyłego nad wijącym się w konwulsjach ciałem kapitana w białych spodniach. W duchu przysiągł sobie, że zniszczy tego midszypmena, postawi go przed sądem wojennym, złamie mu karierę i spowoduje, że będzie żebrał o chleb na bruku, jeśli zabił kapitana bez powodu. Tak bardzo potrzebował nowin, faktów i informacji, że myśl, iż umierając kapitan wymknie mu się, rozgorczyła go i rozwścieczyła.

— Czemu, u diabła, nie popłynąłem sam? — rzucił pytanie w przestrzeń. — Kapitanie Bush, niech pan każe łaskawie opuścić mój barkas.

— Ale ospa, sir...

— Do licha z ospą. Zresztą nie ma tam żadnej ospy.

Przez wodę dobiegł głos midszypmena.

— „Nonsuch” ahój! To przyz. Wzięty wczoraj przez francuski statek korsarski.

— Kim jest kapitan, z którym rozmawiałem? — spytał Hornblower.

— Angielski renegat, sir. Strzelił do siebie, kiedy weszliśmy na pokład.

— Czy zmarł?

— Jeszcze nie, sir.

— Panie Hurst — rzucił Bush — niech pan tam pośle chirurga. Daję mu minutę na zabranie

narzędzi. Żądam uratowania życia temu renegatowi, żebyśmy mogli zobaczyć, jak zawiśnie na rei.

— Niech płynie moim barkasem — polecił Hornblower, a potem krzyknął przez tubę: — Przyślijcie tu do mnie jeńców i oficerów okrętowych.

— Tak jest, sir.

— A teraz, na Boga Ojca, muszę coś włożyć na siebie — powiedział; uświadomił sobie dopiero teraz, że stał nago na pokładzie rufowym przez godzinę albo i dłużej — gdyby poszedł za pierwszym odruchem i popłynął sam na barkasie, musiałyby abordażować „Maggie Jones” w stroju Adamowym.

Do kajuty Hornblowera wprowadzono kapitana statku i dwóch oficerów pokładowych; obaj z Bushem zaczęli wypytywać ich skwapliwie z rozłożoną przed oczyma mapą Bałtyku.

— Słyszeliśmy, sir, renegata, mówił panu prawdę — informował kapitan. — Wyszliśmy z Memla przed dziesięcioma dniami, kierując się na Bełt, ale wczoraj napadli nas — duży okręt korsarski z ożaglowaniem pełnorejowym, po dziesięć dział na każdej burcie, gładkopokładowy. Nazwa „Blanchefleur” nie wiem, jak się to wymawia. Francuzi nazywali go korwetą. Bandera francuska. Zostawili na pokładzie załogę przyzową pod dowództwem tego renegata — nazwiskiem Clarke, sir — myślę, że płynęliśmy do Kilonii; kiedy pan nas zauważył. Trzymali nas zamkniętych w ładowni. Boże, jak myśmy się darli myśląc, że może nas usłyszycie.

— Słyszeliśmy was — powiedział Bush.

— Jaka była sytuacja w Memlu, kiedy odpływaliście? — dopytywał się Hornblower.

Kapitan zmarszczył twarz; gdyby był Francuzem, wrzuciłby ramionami.

— Taka sama jak zawsze. Porty rosyjskie są dalej zamknięte dla nas, ale dają pozwolenie na handel każdemu, kto się o to zwróci. Tak samo jest ze Szwedami po drugiej stronie.

— A co z wojną między Bonapartem a Rosją? Tym razem kapitan, pełen wątpliwości, rzeczywiście wrzucił ramionami.

— Wszyscy o tym mówią, ale na razie nic pewnego. Wszędzie wojsko. Jeżeli Bonius zechce naprawdę bić się z Rosjanami, znajdzie ich przygotowanych, jak zawsze.

— Myśli pan, że zechce?

— Chciałbym, żeby to pan powiedział m n i e, sir. Nie wiem. Ale to prawda, co Clarke panu mówił, sir. Car ma się wkrótce spotkać z Bernadottem. Może to panu coś powie. Bo takiemu prostemu człowiekowi jak ja nic to nie mówi, sir. Tyle już było tych spotkań, konferencji i kongresów.

Więc tak to wygląda; Szwecja i Rosja dalej stoją na dwuznacznym stanowisku nominalnych przeciwników Anglii i nominalnych sprzymierzeńców Bonapartego, udając, że są ni to w stanie

wojny, ni pokoju, na pół wrogie, na pół neutralne w ten dziwny sposób, jaki zrobił się widocznie modny ostatnimi czasy. Ciągłe nie wiadomo, czy Bonaparte podejmie ogromne ryzyko wypowiedzenia wojny Rosji. Nikt nie jest w stanie rozszyfrować motywów Bonapartego. Wydawałoby się, że zrobiłby lepiej dla siebie, gdyby obrócił wszystkie swoje ogromne siły na zakończenie wojny w Hiszpanii i spróbował pokonać Anglię przed próbą podboju Wschodu; z drugiej jednak strony szybki, zdecydowany cios zadany Rosji mógłby uwolnić go od niebezpieczeństwa istnienia za jego plecami potężnego narodu o wątpliwej dla niego przyjaźni. Bonaparte tak często zwyciężał; podbił wszystkie narody Europy — poza Anglią — i trudno sobie wyobrazić, że Rosja oparłaby się naporowi jego zmasowanych sił. Pokonawszy Rosję nie będzie już miał żadnego nieprzyjaciela na lądzie. Przeciwno sobie będzie miał tylko osamotnioną Anglię. Swoją drogą pocieszający to fakt, że Anglia w żaden aktywny sposób nie poparła Finlandii zaatakowanej przez Rosję. Dzięki temu robocze przymierze z Rosją było znacznie bardziej realne.

— Niech mi pan powie teraz coś więcej o tym „Blanchefleur” — rzekł Hornblower pochylając się nad mapą.

— Przydybali nas pod Rugią, sir. Sassnitz było od nas osiem mil na południowy zachód. Widzi pan, sir...

Hornblower słuchał wyraźnie wyjaśnień. Buszująca po Bałtyku dwudziestodziałowa korweta, dowodzona przez dobrego kapitana francuskiego, stanowi poważne zagrożenie. Ponieważ wraz z topnieniem lodów ruszy tu żegluga, jego pierwszym obowiązkiem jest zdobyć korwetę lub zapędzić ją do portu i trzymać tam pod blokadą. Jednostka o takim uzbrojeniu może walczyć z powodzeniem nawet z którąś z jego korwet. Miał nadzieję, że uda mu się wpędzić francuza w pułapkę, gdyż jest o wiele za szybki, żeby „Nonsuch” zdołał dogonić go w pościgu. Korsarz kieruje swoje przyzy do Kilonii, bo tam może pozbyć się jeńców, wziąć załogę francuską i wyjść w ryzykowną podróż wokół Danii na zachód — Bonaparte potrzebuje zapasów okrętowych dla okrętów wojennych budowanych w portach od Hamburga do Triestu.

— Dziękuję panom — powiedział. — Nie będę was dłużej zatrzymywał. Kapitanie Bush, teraz pogadamy z jeńcami.

Ale od marynarzy z załogi zdobytego przyzu niewiele można się było dowiedzieć, mimo że wypytywano każdego z osobna. Czterech z nich było Francuzami; Hornblower sam ich przesłuchiwał, a Bush przyglądał mu się z podziwem. Bush zapomniał już całkiem odrobinę francuskiego przyswojoną sobie z takim trudem w czasie przymusowego pobytu we Francji. Było jeszcze dwóch Duńczyków i dwóch Niemców; wezwano pana Brauna, żeby tłumaczył w czasie przesłuchania tych ludzi. Byli doświadczonymi marynarzami, i Hornblower przypuszczał, że woleli służyć na „Blanchefleur”, niż dać się wcielić do marynarki wojennej Bonapartego lub jego armii lądowej. Chociaż groziło im dożywocie w więzieniu angielskim, Francuzi odrzucili propozycję służby w marynarce brytyjskiej, natomiast pozostali od razu przyjęli tę ofertę przekazaną im przez Brauna. Bush zacierał ręce, ciesząc się ze zdobycia w ten sposób czterech wyborowych marynarzy, którzy zasilą chronicznie za małą obsadę okrętów. Na „Blanchefleur” nauczyli się trochę francuskiego, a teraz szybko nauczą się potrzebnych słów angielskich na „Nonsuchu” czy „Lotusie”, gdy bodźcem stanie się groźba użycia węzłastej liny przez doświadczonego podoficera.

— Proszę ich zabrać, panie Hurst, i wciągnąć na listę załogi — polecił Bush, znowu zacierając dłonie. — Sir, może teraz zajrzemy do tego przekłętogo renegata?

Clarke leżał na pokładzie głównym „Nonsucha”, gdzie został wciągnięty z łodzi za pomocą linobloku zamocowanego na noku rei; chirurg jeszcze pochylał się nad nim. Próbował przestrzelić sobie głowę na wylot, ale tylko strzaskał dolną szczękę. Na granatowym płaszczu i białych spodniach była krew, a głowę miał całą owiniętą bandażem. Ranny rzucał się w agonii na kawałku płótna żaglowego, w którym wwindowano go na pokład. Hornblower przyglądał mu się. Widoczna spod bandażu część twarzy była kredowobiała, tak że opalenizna wyglądała na niej jak warstwa brudu; rysy miał ściągnięte i wyostrzone, policzki zapadłe, nos cienki, a nad brązowymi, jakby kobiecymi oczyma unosiła się niska kreska brwi w kolorze piasku. Wystające spod bandażu włosy też były jasne i rzadkie. Hornblower zastanawiał się, jaki splot okoliczności doprowadził tego człowieka do zdrady własnego kraju i przejścia na służbę do Bonapartego. Może obawa przed więzieniem — Hornblower poznał, co znaczy być więźniem w czasie swego pobytu w Ferrol, Rosas i we Francji. Jednakże ta bardzo wydelikaccona twarz nie wydawała się należeć do kogoś niezdolnego do przebywania w zamknięciu. Może więc kobieta popchnęła go lub doprowadziła do tego; mógł też być dezserterem z Królewskiej Marynarki Wojennej uciekającym przed karą — byłoby rzeczą ciekawą sprawdzić, czy ma na plecach blizny od dziewięciopalczastej dyscypliny. A może to Irlandczyk, jeden z tych fanatyków, którzy w swym pragnieniu zaszkodzenia Anglii nie chcą słyszeć o tym, że najgorsze, co Irlandia kiedykolwiek ucierpiała od Anglii, jest niczym w porównaniu z tym, co zrobiłby z nią Bonaparte, gdyby dostała się pod jego władzę.

Jakkolwiek by było, był to człowiek zdolny i bystry. Gdy tylko zorientował się, że „Lotus” odciał mu drogę ucieczki do lądu, śmiało wziął jedyny kurs, jaki dawał mu jakieś szansę ucieczki. Najniewinniej w świecie skierował „Maggie Jones” w stronę „Nonsucha”. Pomysł z ospą był genialny, a rozmowa przez tubę prawie całkiem naturalna.

— Czy będzie żył? — spytał Bush chirurga.

— Nie, sir. Żuchwa jest zdruzgotana na szerokim obszarze po obu stronach — chciałem powiedzieć, sir, że ma pogruchotaną szczękę. Są też odpryski maxilli[24], a język — faktycznie cały obszar glossofaryngalny[25] — jest poszarpany. Krwotok może okazać się fatalny, innymi słowy, człowiek ten może wykrwawić się na śmierć, chociaż teraz może już nie. Ale moim zdaniem, sir, nic nie powstrzyma zgorzeli — to znaczy gangreny — która w tej okolicy grozi natychmiastową śmiercią. Tak czy inaczej ten człowiek umrze z wyniszczenia, czyli z głodu i pragnienia, nawet gdybyśmy utrzymali go jakiś czas przy życiu zastrzykami *per rectum*[26].

Czuł się koszmarnie kwitując uśmiechem pompatyczność chirurga i zdobywając się na lekki ton.

— A więc wygląda, że nic go nie uratuje. Mówili o życiu człowieka.

— Musimy go powiesić, zanim umrze, sir — powiedział Bush zwracając się do Hornblowera. — Możemy zwołać sąd wojenny.

— On nie może się bronić — zaoponował Hornblower.

Bush rozłożył ręce gestem, który dla niego był wystarczająco wymowny.

— Co mógłby powiedzieć na swoją obronę, sir? Mamy wszystkie potrzebne nam dowody. Dostarczyli ich jeńcy, niezależnie od oczywistych faktów.

— Mógłby odeprzeć dowody, gdyby był w stanie mówić — upierał się Hornblower, wiedząc, że to jest absurdem. Nie ma żadnych wątpliwości co do winy Clarke'a — wystarczającym dowodem na to, bez jeszcze innych, było usiłowanie samobójstwa; Hornblower jednak wiedział doskonale, że nie potrafi powiesić kogoś fizycznie absolutnie niezdolnego do obrony.

— Sir, wyśliźnie się nam przez palce, jak będziemy czekali.

— No i dobrze.

— Ale przykład dla załogi, sir...

— Nie, nie, nie — wybuchnął Hornblower. — Cóż byłby to za przykład dla załogi, gdybyśmy wieszali umierającego, który by w istocie nie zdawał sobie sprawy, co się z nim robi?

Przykro było widzieć słabo maskowaną grę uczuć na twarzy Busha. Bush był człowiekiem dobrotliwym, dobrym bratem dla swoich sióstr i dobrym synem dla swej matki, a mimo to zdradzał żądzę okrucieństwa i chętkę wieszania. Nie, to nie jest zupełnie tak. Czego Bush naprawdę pragnie, to zemsty — zemsty nad zdrajcą, który podniósł zbrojne ramię przeciwko ich wspólnej ojczyźnie.

— Nauczyliby to marynarzy nie dezertować, sir — nalegał Bush, jeszcze próbując argumentować. Hornblower wiedział, mając za sobą dwadzieścia lat doświadczenia, że każdy brytyjski dowódca okrętu był nękany obawą dezercji i spędzał połowę bezsennych godzin najpierw zastanawiając się, jak zdobyć załogę, a potem, jak ją utrzymać na okręcie.

— Może, ale bardzo w to wątpię — odrzekł Hornblower.

Nie sądził, aby przyniosło to jakiś pożytek, raczej na pewno przyczyniłoby zła, gdyby załoga była zmuszona patrzeć, jak bezradnemu człowiekowi, niezdolnemu nawet utrzymać się na nogach, zakłada się pętlę na szyję i wciąga na reję.

Bush jednak wciąż łaknął krwi. Chociaż nie miał już nic do powiedzenia, miał ciągle tę żądzę w wyrazie twarzy, w nie wypowiedzianych słowach protestu drżących na wargach.

— Dziękuję, kapitanie Bush — powiedział Hornblower. — Już powziąłem decyzję.

Bush nie rozumiał i może nigdy nie zrozumie, że zemsta, prosta i bezprzedmiotowa, dla samego odwetu, nic nie daje i zawsze jest spóźniona.

Rozdział VIII

„Blanchefleur” przypuszczalnie wciąż kręcił się koło wyspy Rugii. Przylądek Arkona był dogodną okolicą dla polowań — statki płynące Bałtykiem z portów rosyjskich i fińskich

przechodziły tu blisko lądu i osaczone między nim a dwusążniową płycizną Adlergrundu mogły stać się łatwą zdobyczą. Korsarz nie wiedział o przybyciu eskadry brytyjskiej i nie domyślał się, że błyskawiczne odbicie „Maggie Jones” tak szybko ujawniło jego obecność na tych wodach.

— Panowie, chyba wszystko jest zupełnie jasne? — zapytał Hornblower tocząc spojrzeniem po twarzach swoich dowódców zebranych u niego w kajucie.

Odpowiedział mu potwierdzający szmer głosów. Vickery z „Lotusa” i Cole z „Ravena” patrzyli z napiętym wyczekiwaniem. Każdy z nich miał nadzieję, że to jego okręt stoczy utarczkę z „Blanchefleurem” — pomyślnie zakończona bitwa w pojedynkę z jednostką o niemal równej sile byłaby najszybszą drogą do awansu z dowódcy młodszego stopnia na kapitana. Vickery był młody i zapalczywy — to on dowodził łodziami przy odcinaniu drogi „Sevresowi” — a Cole siwowłosy i przygarbiony. Mound, dowódca „Harveya”, i Duncan z „Motha” to młodzi porucznicy; Freeman z kutra „Clama”, śniady z długimi jak u Cygana włosami, to zupełnie inny typ; bardziej wyglądał na dowódcę statku przemytniczego niż okrętu królewskiego. Duncan był tym, który zadał pytanie.

— Przepraszam, sir, czy Pomorze Szwedzkie jest neutralne?

— Panowie z Whitehall[27] byliby radzi znać odpowiedź na to pytanie, panie Duncan — odparł Hornblower ukazując zęby. Pragnął robić wrażenie człowieka srogiego i wyniosłego, ale trudno to udawać wobec tych miłych chłopców.

Odwzajemnili mu się szerokimi uśmiechami; ze zdziwieniem Hornblower uświadomił sobie, że jego podwładni zdążyli już go polubić. Pomyślał, z poczuciem winy, że gdyby znali go lepiej, nie byliby do tego tak skorzy.

— Czy są jeszcze pytania, panowie? Nie? W takim razie możecie wracać na swoje jednostki i zająć stanowiska nocne.

Gdy o świcie Hornblower wyszedł na pokład, nad powierzchnią morza unosiła się lekka mgła; wiatr zachodni stracił na sile i lodowata woda z paku topniejącego w Zatoce Fińskiej ochładzała ciepłe i wilgotne powietrze, skraplając wilgoć w chmurki.

— Mogłaby być troszkę gęściejsza, sir — mruzczał Bush. Z pokładu rufowego widać było fokmaszt, ale już bukszpryt był skryty w tumanie. Od północy wiała lekka bryza i „Nonsuch” sunął cicho fordewindem prawie nie kiwając się wzdłużnie na gładkim morzu; zgrzytały tylko zblocza i liny.

— O szóstej szklance zmierzyłem głębokość sondą głębinową, sir — meldował Montgomery. — Dziewięćdziesiąt jeden sążni. Szary muł. To głębia arkońska, sir.

— Doskonale, panie Montgomery — rzekł Bush. Hornblower był prawie pewien, że odzywając się tak zwięźle do swoich oficerów Bush naśladuje jego sposób zwracania się do niego, gdy był pierwszym oficerem.

— Musimy szukać drogi sondując — zzymał się Bush. — Jakbyśmy byli trawlerem z Dogger

Bank[28]. A pamięta pan, sir, co jeńcy mówili o „Blanchefleurze”? Ma na pokładzie pilotów znających tutejsze wody jak własną kieszeń.

Posuwanie się po omacku we mgle po płytkich wodach to nie zadanie, do którego został skonstruowany duży dwupokładowiec, ale „Nonsuch” był szczególnie cenny w tej wyprawie. Niewiele okrętów po tej stronie Sundu dorównywało mu uzbrojeniem; pod jego osłoną flotylla mogła płynąć wszędzie, dokąd zaszła potrzeba. Duńczycy, Szwedzi, Rosjanie i Francuzi mają mnóstwo małych jednostek, lecz gdy pojawi się „Nonsuch”, nic nie będą mogli mu zrobić.

— Przepraszam, sir — odezwał się Montgomery salutując. — Ale chyba słyszę strzały.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać poprzez lepką mgłę. Ale słyhać było tylko odgłosy okrętowe i uderzenia skroplonej mgły spadającej z takielunku na deski pokładu. Potem jednak do ich uszu dotarł słaby, stłumiony huk.

— To działa, sir, albo nie nazywam się Sylwan Montgomery!

— Zza rufy — dodał Hornblower.

— Przepraszam, sir, ale mnie się zdawało, że po lewej stronie od dziobu.

— Przeklęta mgła — stwierdził Bush.

Jeśli „Blanchefleur” zostanie ostrzeżony o obecności ścigającej go eskadry brytyjskiej i oddali się, to zniknie jak igła w stogu siana. Hornblower podniósł w górę pośliniony palec i rzucił okiem na kompas.

— Wiatr z północy — orzekł. — Może północ na północny wschód.

To było pocieszające. W kierunku podwietrznym, przypuszczalnej drodze ucieczki, leży Rugią i wybrzeże Pomorza Szwedzkiego, odległe o dwadzieścia mil. Jeśli „Blanchefleur” nie prześliznął się przez zastawioną na niego sieć, zostanie osaczony.

— Kontynuujcie sondowanie, panie Montgomery — polecił Bush.

— Tak jest, sir.

— Znowu słyszę działa! — zawołał Hornblower. — Na lewo od dziobu, jestem pewien.

Dziki krzyk z salingu:

— Widzę żagiel! Żagiel prosto przed nami!

Mgła w tamtej stronie była rzadsza. W odległości około ćwierć mili słabiutko zamajaczyła nikła sylwetka statku, przesuwanego się we mgle przed ich dziobem.

— Ożaglowanie pełnorejowe, gładkopokładowy — mówił Bush. — Niech skonam jak to nie

„Blanchefleur”!

Statek znikł równie szybko jak się pojawił w gęstszym tumanie mgły.

— Ster lewo na burtę! — huknął Bush. — Załoga do brasów!

Hornblower już był przy kompasie i brał pośpiesznie namiar.

— Tak trzymać! — polecił sternikowi. — Płyńcie tym kursem!

Przy tych słabych podmuchach korsarz, ze swoim rozbudowanym ożagłowaniem, może posuwać się szybciej niż ciężki dwupokładowiec. Jedyna rzecz, jaką można było teraz zrobić, to trzymać „Nonsucha” po nawietrznej „Blanchefleura”, żeby można było zejść mu drogę, gdyby spróbował przedrzeć się przez kordon.

— Wywołać całą załogę — rzucił Bush. — Ogłosić alarm bojowy.

Po okręcie poniósł się warkot werbli i marynarze zaczęli zbiegać się na swoje stanowiska bitewne.

— Wytoczyć działa — komenderował Bush. — Walimy w niego jedną salwę burtową i jest nasz.

Lawety jęczały pod ciężarem trzystu ton wytaczanego żelastwa. Grupki marynarzy ochoczo dostawiły zamki poszczególnych armat. Lonty zatliły się złowieszczo.

— Hej ty, na oku! Dobrze uważaj! — huknął Bush, a potem, spokojniej, odezwał się do Hornblowera: — Może szybko zawrócić i tyle go będziemy widzieli.

Zawsze istniała możliwość, że saling znajdzie się nad cienką ławicą mgły — marynarz na oku może zauważyć stengi „Blanchefleura”, gdy z pokładu nic nie będzie widać.

Przez kilka minut słyhać było tylko zawołania sondującego; „Nonsuch” kołysał się łagodnie w dolinie fal, ale we mgle trudno było się zorientować, że idzie do przodu.

— Równe dwadzieścia sążni! — zaśpiewał marynarz z ołowianka.

Na te słowa Hornblower i Bush popatrzyli na siebie; do tej pory rejestrowali zawołania sondującego w podświadomości, faktycznie nie zwracając na nie uwagi. Ale określenie „równe dwadzieścia” oznaczało, że mają teraz pod sobą najwyżej dwadzieścia sążni wody.

— Robi się płycej, sir — zauważył Bush. I wtedy obserwator znów krzyknął z salingu:

— Żagiel z zawietrznej od strony rufy, sir!

Bush i Hornblower skoczyli do relingu, ale nic nie dało się zobaczyć w lepkiej mgle.

— Hej, saling! Co widzisz?

— Teraz nic, sir. Raz tylko mignęły mi bombramsle, sir. O, są znowu, sir. Dwa rumby... trzy rumby za lewym trawersem.

— Jaki kurs tej jednostki?

— Ten sam co nasz, sir. Teraz znowu zniknęła.

— Czy pójdziemy na nią fordewindem, sir? — zapytał Bush.

— Jeszcze nie — odparł Hornblower. — Uwaga działa lewej burty! — rzucił Bush.

Salwa burtowa, oddana nawet z dużej odległości, może strzaskać jedno albo i dwa drzewca i poważnie uszkodzić ściganego korsarza.

— Niech nikt nie strzela bez rozkazu — zwrócił się Hornblower do Busha. — To może być „Lotus”.

— Na Boga, to prawda — przeraził się Bush.

„Lotus” miał pozycję na lewym trawersie „Nonsucha” w kordonie sunącym w kierunku Rugii. Ktoś strzelał niewątpliwie — to musiał być „Lotus”; zawrócił pewnie w pościgu za „Blanchefleurem” i w ten sposób mógł znaleźć się w miejscu, w którym dostrzeżono te bombramsle; a bombramsle dwóch korwet z ożaglowaniem pełnorejowym, widziane poprzez mgłę, mogą być tak do siebie podobne, że zmylą oko nawet doświadczonego obserwatora.

— Wiatr się wzmaga, sir — zauważył Hurst.

— Tak — odparł Bush. — Niech Bóg sprawi, żeby rozwiał tę mgłę.

„Nonsuch” przechylił się wyraźnie pod uderzeniem nasilającego się wiatru. Spod dziobu dobiegł wesoły pośpiew fal.

— Na sondzie osiemnaście sążni! — zawołał marynarz z sondą głębinową.

A potem dwadzieścia głosów krzyknęło naraz:

— Jest tam! Żagiel na lewym trawersie! To „Lotus”!

Mgła zrzędła na tym trawersie, ukazując „Lotusa” pod pełnymi żaglami w odległości trzech kabli.

— Spytaj ich, gdzie jest ścigany — rzucił Bush.

— Żagiel — ostatnio — widziany — przed nami — odczytał midszypmen sygnałowy z lunetą przy oczach.

— Dużo nam to mówi — burknął Bush.

Mgły jeszcze było tyle, że wciąż zasłaniała cały widnokrąg, mimo że w powietrzu drgały już słabe promienie załzawionego słońca, którego blada tarcza — nie złota, lecz srebrzysta — była

widoczna na wschodzie.

— Jest! — krzyknął nagle ktoś z salingu. — Kadłub schowany za widnokręgiem po lewej od strony rufy!

— Wymknął się, niech to diabli! — zaklął Hurst. — Musiał zmienić hals, jak tylko nas zauważył.

„Blanchefleur”, oddalony o dobre sześć mil, tak że z pokładu „Nonsucha” widać było tylko jego bombramsle, mknął z wiatrem pod pełnymi żaglami. Rzut flag sygnałowych wzbił się w górę po maszcie „Lotusa”, a wystrzał armatni zwracał uwagę na pilność tego sygnału.

— Z „Lotusa” też go zobaczyli — rzekł Bush.

— Kapitanie Bush, proszę wykonać zwrot przez rufę. Sygnał „Ogólny pościg”.

„Nonsuch” przechodził na przeciwny hals przy wtórze wyzwisk, którymi oficerowie obrzucali marynarzy za powolność ruchów. „Lotus” zawrócił również i ustawił się dziobem prosto na „Blanchefleura”. Mając przed sobą wybrzeże Pomorza, „Nonsucha” po nawietrznej, a „Lotusa” i „Ravena” po obu burtach, „Blanchefleur” znalazł się w potrzasku.

— „Raven” już się chyba prawie z nim zrównał, sir — zauważył Bush zacierając ręce. — A my niedługo dojdziemy do keczów, żeby nie wiem gdzie były w tej mgle.

— Czternaście sążni! — zaśpiewał sondujący.

Hornblower patrzył, jak marynarz na ławie wantowej silnie i zręcznie wyrzuca ołowiankę, tak że opadała daleko w przodzie, i odczytuje głębokość w momencie, gdy lina znajduje się w położeniu pionowym i wciąga ją szybko, przygotowując się do następnego rzutu. Ciężka to praca, nieustanny, nużący wysiłek, a przy tym sondujący jest z pewnością przemoczony do nitki wodą ściekającą z linki o długości stu stóp. Hornblower, doskonale znający warunki życia zwykłych marynarzy, wiedział, że człowiek ten ma nikłą szansę na wysuszenie odzieży; pamiętał, jak sam będąc midszypmenem na dowodzonej przez Pellewa „Indefatigable”, sondował przez całą obłądną noc, kiedy to wdarli się na „Droits de l'homme” i zniszczyli go w kipieli biskajskiej. Przemarzał wtedy do szpiku kości, a palce miał tak zdrętwiałe, że ledwo wyczuwał różnice między znakami głębokości — białym perkalem, kawałkiem skóry z dziurką i innymi oznaczeniami. Teraz nie byłby chyba w stanie nawet wyciągnąć sondy i był pewien, że nie pamięta umownej kolejności marek[29]. Miał nadzieję, że Bush okaże się na tyle ludzki i rozsądny, że dopilnuje zmiany sondujących w odpowiednich odstępach czasu i zapewni im możliwość wysuszenia odzieży, ale nie mógł ingerować bezpośrednio w te sprawy. Bush jest odpowiedzialny osobiście za to, co się dzieje na okręcie i ma prawo mieć pretensję o wszelkie wtrącanie się do związanych z tym problemów. Nawet komodorskie róże mają swoje kolce.

— Dziesięć sążni! — zawołał sondujący.

— Widać „Ravena” za ściganym, sir — raportował midszypmen. — Płynie odciąć mu drogę.

— Doskonale — rzekł Hornblower.

— Widać też Rugię, sir — wtrącił Bush. — To Stubbenkammer[30], czy jak tam to oni nazywają no... to białe urwisko.

Hornblower omiół lunetą widnokrąg; los „Blanchefleura” dokona się, chyba że statek znajdzie schronienie na wodach Pomorza Szwedzkiego. I to właśnie zamierzał zrobić. Bush rozpostarł przed sobą mapę i brał namiar na daleką białą krechę Stubbenkammer. Hornblower popatrzył na mapę, potem na okręty w dali i jeszcze raz na mapę. Stralsund to forteca — ostatnimi czasy przetrwał niejedno oblężenie. Gdyby „Blanchefleur” tam dotarł, byłby bezpieczny, jeśliby Szwedzi uznali za stosowne go schronić. Ale reszta wybrzeża przed nimi to same płycizny i łąchy piasku; kilka zatoczek ma wystarczająco wody dla kabotażowców — na mapie zaznaczono baterie strzegące wejścia do nich. Można będzie coś przedsięwziąć, jeśli „Blanchefleur” wejdzie do którejś z nich — ma przypuszczalnie dostatecznie małe zanurzenie, żeby to zrobić — ale wszystko przepadnie, gdy korsarz znajdzie się w Stralsundzie.

— Sygnał do „Lotusa” — rozkazał. — „Wziąć kurs na odcięcie ściganego od Stralsundu”.

W trakcie nie kończącej się wojny gdzieś się podziały wszystkie znaki nawigacyjne. Nie było ani jednej boi wyznaczającej głęboki tor wodny — zwany na mapie Bodden — do Stralsundu. Vickery na „Lotusie” będzie musiał starannie szukać drogi przy pomocy sondy, gdy się tam znajdzie.

— Siedem sążni! — zawołał sondujący; „Nonsuch” płynął już po bardzo niebezpiecznie płytkiej wodzie; Bush był zaniepokojony.

— Kapitanie Bush, niech zwiną górne żagle.

Nie ma mowy, żeby „Nonsuch” prześcignął „Blanchefleura”, a jeśli już mieliby wpaść na mieliznę, to lepiej niech się władują bez rozpędu.

— Ścigany wykręca ostro na wiatr, sir — powiedział Hurst.

I rzeczywiście; korsarz wyraźnie rezygnował z próby dotarcia do Stralsundu. Dzięki Vickery'emu, który brawurowo ruszył przez płycizny, żeby zająć mu drogę.

— „Raven” może go dognać, jeśli będzie długo płynął tym kursem — zauważył Bush w ogromnym podnieceniu.

— Ścigany przechodzi na przeciwny hals! — meldował Hurst.

— Pięć i pół sążni! — zawołał sondujący.

Bush, przerażony, gryzł wargi; jego cenny okręt ładuje się w pułapkę wśród mielizn, na brzeg zawiętrzny i ma pod sobą zaledwie trzydzieści trzy stopy wody[31].

— Kapitanie Bush, proszę stanąć w dryf — polecił Hornblower. Nie było sensu posuwać się dalej, nie poznawszy przedtem zamiarów „Blanchefleura”. „Nonsuch” wykręcił się dziobem do

wiatru i stanął w dryf, wystawiając lewą burtę na łagodne fale. Słońce grzało przyjemnie.

— Co się stało „Ravenowi”? — wykrzyknął Bush.

Stenga fokmasztu korwety, z rejami, żaglami i resztą takielunku, odłamała się i zwisała w dół, niebezpiecznie zaplątana we własne kliwry.

— Wpakował się na mieliznę, sir — odparł Hurst z lunetą przy oku.

Siła uderzenia okrętu w piaszczystą łachę spowodowała odłamanie się jego fokstengi. — Ma zanurzenie o osiem stóp mniejsze niż my, sir — zauważył Bush, ale cała uwaga Hornblowera zwrócona była teraz na „Blanchefleura”, który wyraźnie zdążył torem wodnym pod osłonę Hiddensoe[32]. Na mapie był tu zaznaczony tylko jeden znak sondowania, lakoniczne „21/2”. Piętnaście stóp wody i bateria na końcu długiego półwyspu. „Blanchefleur” mógłby czuć się tam spokojnie, jeśli by go Szwedzi osłaniali. Na widnokręgu, po nawietrznej, Hornblower zobaczył różne od innych żagle keczów bombowych; pobłąkawszy się we mgle Duncan i Mound musieli zauważyć „Nonsucha” w drodze na punkt zborny koło przylądka Arkona.

— Kapitanie Bush, proszę łaskawie posłać łodzie z pomocą „Ravenowi” — powiedział Hornblower.

— Tak jest, sir.

Podniesienie longbota i kutra z legarów i opuszczenie ich na wodę to operacja wymagająca udziału paruset marynarzy. Zapiszczały gwizdki, a trzcina bosmańska poganiała maruderów. Zakwiczały krążki w linoblokach, bose stopy zatupotały po pokładach i korpus potężnego przecież „Nonsucha” przechylił się lekko po przemieszczeniu obciążenia. Hornblower znów sięgnął po lunetę.

„Blanchefleur” wybrał sobie ciekawe miejsce na zakotwiczenie. Stanął między główną wyspą, Rugią, i długim, wąskim pasem Hiddensoe; ta ostatnia była raczej piaszczystym cyplem niż wyspą, ciągiem wydmy piaszczystych, sterczących z żółtych płycizn. Drzewca „Blanchefleura” były dalej dobrze widoczne na tle niskich, gliniastych zboczy Rugii; wydmy Hiddensoe, rozciągające się przed statkiem niby długi, zakrzywiony falochron, zasłaniały tylko jego kadłub. Na jednym końcu Hiddensoe znajdowała się bateria — Hornblower dostrzegł czarne plamy armat na tle porośłych zielenią szańców — osłaniająca wejście na małą redę; fale załamujące się na drugim końcu wskazywały, że woda jest tam za płytka nawet dla longbotu. Eskadrze udało się odciąć korsarzowi drogę odwrotu do Stralsundu, ale wyglądało na to, że tam, gdzie teraz stoi, jest tak samo bezpieczny, z płyciznami na milę naokoło i z broniącą go baterią; wszelkie próby odcięcia go trzeba by przeprowadzać przy użyciu łodzi okrętowych, które musiałyby przepłynąć zupełnie na widoku przez mile płycizn, potem przedrzeć się wąskim torem wodnym pod ostrzałem armat baterii i wreszcie wyprowadzać przyz pod tym samym ogniem artyleryjskim po nie znanych, a najeżonych mieliznami wodach. Nie była to kusząca perspektywa; mógłby też wysadzić żołnierzy piechoty morskiej na odmorskim brzegu Hiddensoe i próbował wzięcia baterii po prostu siłą, lecz taka próba spotkałaby się z krwawym odporem, jeśli by atakujący nie działali przez zaskoczenie. Ponadto załogę garnizonu stanowili Szwedzi, a nie chciał rozlewu szwedzkiej krwi — Szwecja była po stronie nieprzyjaciela tylko nominalnie, lecz jakiegokolwiek czynne wystąpienie z jego strony mogłoby łatwo przekształcić ją

w aktywnego przeciwnika. Hornblower przypomniał sobie te punkty przekazanej mu instrukcji, w których położono nacisk właśnie na tę sprawę.

Jak gdyby wtórując jego myślą podszedł midszypmen sygnałowy i zsalutowawszy powiedział:

— Sygnał z „Lotusa”, sir.

Hornblower odczytał wiadomość wypisaną niezgrabnymi dużymi literami na tabliczce:

„Białe flagi zbliżają się od strony Stralsundu. Pozwoliłem im minąć nas”.

— Potwierdzić — rzucił Hornblower.

Co to znaczy, u licha? Mógł spodziewać się jednej łodzi z parlamentariuszem, ale Vickery melduje o co najmniej dwóch. Skierował lunetę ku miejscu, gdzie Vickery — bardzo rozsądnie — zakotwiczył „Lotusa”, dokładnie między punktem schronienia „Blanchefleura” a drogą wszelkiej ewentualnej odsieczy ze Stralsundu. Jedna — dwie — trzy łodzie zmierzały prosto na „Nonsucha” po opłynięciu „Lotusa”. Wszystkie miały to dziwaczne ożaglowanie bałtyckie, podobne do holenderskiego, ale z obcą domieszką — zaokrąglone dzioby i boczne miecze oraz wielkie grotzagle gaflowe. Sunąc ostro na wiatr, z białą pianą pod brzuchatymi dziobami, siejąc jej bryzgi nawet przy tym umiarkowanym wietrze, płynęły wyraźnie z maksymalną swoją prędkością, jak na regatach.

— Co u Boga Świętego? — wykrzyknął Bush kierując na nie lunetę.

Mógł to być podstęp, obliczony na zyskanie na czasie. Hornblower przeniósł lunetę na drzewca „Blanchefleura” sterczące nad wydmami. Zwinięto tam wszystkie żagle i okręt stał na kotwicy.

— Białe, a pod nim żółte i niebieskie, sir — mówił Bush wciąż obserwując zbliżające się łodzie. — To szwedzka bandera pod flagą pokoju.

Hornblower obrócił lunetę na łódź czołową i potwierdził obserwację Busha.

— A następna, sir... — Bush zaśmiał się jakby przepraszając za swą naiwność — wiem, sir, że to dziwne, ale ta wygląda mi na banderę brytyjską pod flagą pokoju.

Trudno było w to uwierzyć; łatwo przecież o pomyłkę w rozpoznawaniu bandery małej jednostki z takiej odległości. Ale luneta Hornblowera wydawała się mówić to samo.

— Co pan powie o drugiej łodzi, panie Hurst?

— Brytyjska bandera pod białą, sir — odparł Hurst bez wahania.

Trzecia łódź była dość daleko za swą poprzedniczką i trudniej było zidentyfikować jej banderę.

— Myślę, że francuska, sir — rzekł Hurst; łódź wiodąca zbliżała się szybko.

Z krzesła bosmańskiego, na którym go podniesiono, skoczył na pokład wysoki, tęgi mężczyzna, przytrzymując trójgraniasty kapelusz. Miał na sobie granatowy mundur ze złotymi guzami i epoletami. Poprawił szpadę i fontaż, a potem przyłożył do piersi kapelusz z daszkiem z przodu i z tyłu, ozdobiony białym piórem i kokardą w barwach szwedzkich, i zamiótł nim w ukłonie.

— Baron Basse — przedstawił się.

Hornblower oddał ukłon.

— Kapitan Sir Horatio Hornblower, komodor dowodzący tą eskadrą.

Basse miał tłuste policzki, wielki, haczykowany nos i zimne szare oczy; widać było, że nie bardzo rozumiał, co Hornblower mówił do niego.

— Pan walczy? — zapytał znalazłszy z trudem to słowo.

— Ścigam statek korsarski pod francuską banderą — wyjaśnił Hornblower, a potem, uświadomiwszy sobie, jak trudno mówić zrozumiale, gdy trzeba dobierać słów z dyplomatyczną ostrożnością, rzucił: — Zaraz, a gdzież to pan Braun?

Tłumacz wystąpił do przodu, z krótkim wyjaśnieniem w języku szwedzkim na swój temat, a Hornblower uważnie obserwował wymianę spojrzeń między obu rozmówcami. Najzawziętsi niewątpliwie wrogowie polityczni spotykają się oto na stosunkowo neutralnym gruncie brytyjskiego okrętu wojennego. Basse wyjął list z kieszeni na piersiach i podał go Braunowi, który przebiegłszy wzrokiem jego treść, podał Hornblowerowi.

— To jest list od generalnego gubernatora Pomorza Szwedzkiego — wyjaśnił — informujący, że ten pan, baron Basse, jest jego zaufanym człowiekiem.

— Rozumiem — rzekł Hornblower.

Basse już zaczął szybko mówić do Brauna.

— On powiada — tłumaczył Braun — że chce się dowiedzieć co zamierza pan czynić.

— Proszę mu powiedzieć — odparł Hornblower — że to zależy od tego, co zrobią Szwedzi. Niech go pan spyta czy Szwecja jest neutralna.

Zamiast krótkiego „tak” lub „nie” Basse wystąpił z dłuższym wyjaśnieniem.

— On mówi, że wszystko, czego Szwecja pragnie, to pozostawać w pokojowych stosunkach z całym światem — przekazał Braun.

— No to niech mu pan powie, że to oznacza neutralność, a neutralność nie tylko daje przywileje, lecz również zobowiązuje. Jest tu okręt wojenny pod banderą francuską. Musi zostać ostrzeżony, że jego obecność na wodach Szwedzkich może być tolerowana tylko przez ograniczony okres czasu, a ja muszę zostać poinformowany, jaki to okres.

Gdy Braun przetłumaczył żądanie Hornblowera, na tłustej twarzy Basse'a pojawił się wyraz poważnego zakłopotania. Odpowiedział mocno gestykulując.

— Mówi, że nie może naruszać zasad międzynarodowej przyjaźni — tłumaczył Braun.

— Niech mu pan powie, że właśnie to czyni. Nie wolno pozwolić temu okrętowi, aby korzystał z portu szwedzkiego jako z bazy swoich operacji. Musi otrzymać nakaz opuszczenia go, a jeśli tego nie uczyni, należy zająć ten okręt i postawić na nim straż, aby mieć pewność, że się nie wyśliźnie.

Basse aż załamał ręce, słuchając tłumaczenia Brauna, lecz zanim zaczął odpowiedź, Bush podszedł do Hornblowera i salutując powiedział:

— Francuska łódź z białą flagą stoi przy burcie, sir. Czy mam zezwolić, żeby przysłali kogoś na pokład?

— Och, tak — odparł Hornblower rozdrażnionym tonem.

Osobnik przechodzący przez furtę wejściową był jeszcze bardziej wystrojony niż Basse, chociaż znacznie niższego wzrostu. Przez granatowy mundur miał przewieszoną jedwabną wstęgę Legii Honorowej w kolorze wyblakłej czerwieni; jej gwiazda lśniła mu na piersiach. On także zamiótł kapeluszem w wyszukany ukłon.

— Hrabia Józef Dumoulin — przedstawił się i ciągnął po francusku: — konsul generalny jego cesarskiej i królewskiej mości Napoleona, cesarza Francji, króla Italii, protektora Konfederacji Reńskiej i mediatora Republiki Szwajcarskiej, na obszar Pomorza Szwedzkiego.

— Kapitan Hornblower — odpowiedział Hornblower. Stał się nagle bardzo ostrożny, gdyż jego rząd nie uznał dotąd tych pompatycznych tytułów wyrecytowanych właśnie przez Dumoulina. W oczach króla Jerzego i jego ministrów Napoleon, cesarz Francji, był po prostu generałem Bonaparte w swej osobistej godności, a oficjalnie szefem rządu francuskiego. Oficerowie brytyjscy bywali w poważnym kłopotcie przy podpisywaniu dokumentów — takich na przykład jak wymiana jeńców — w których była nawet przypadkowa wzmianka o cesarstwie.

— Czy ktoś tutaj mówi po francusku? — spytał uprzejmie Dumoulin. — Bardzo żałuję, ale nie znam zupełnie angielskiego.

— Może pan mówić ze mną, sir — powiedział Hornblower — i byłbym rad usłyszeć wyjaśnienie pańskiej obecności na tym okręcie.

— Pan mówi świetnie po francusku, sir — zdumiał się Dumoulin. — Ach, oczywiście, pamiętam. Pan jest tym kapitanem Hornblowerem, który dokonał sensacyjnej ucieczki z Francji przed rokiem. Wielka to przyjemność poznać dżentelmena o takiej sławie.

Skłonił się ponownie. Hornblower poczuł podświadomie dziwną przyjemność, że rozgłos poprzedził go nawet w tym zakazanym zakątku Bałtyku, a równocześnie zirytował się, bo nie miało to nic wspólnego z nagłą sprawą, o której była mowa.

— Dziękuję panu — przerwał — ale wciąż czekam na wyjaśnienie, czemu mam przypisać zaszczyt pańskiej wizyty.

— Jestem tu, aby wesprzeć *M. le Baron* co do zdania na temat sytuacji wojennej Pomorza Szwedzkiego.

Braun przetłumaczył te słowa, a zakłopotanie Basse'a wyraźnie wzrosło.

— Łódź pod brytyjską banderą przy burcie, sir — przerwał Bush.

Mężczyzna, który wkroczył teraz na pokład, był bardzo tęgi i miał na sobie spokojne, czarne ubranie cywilne.

— Hauptmann — przedstawił się, zginając się w pasie; mówił po angielsku z twardym akcentem niemieckim. — Przedstawiciel konsularny jego brytyjskiej królewskiej mości w Stralsundzie.

— Czym mogę panu służyć, panie Hauptmann? — zapytał Hornblower starając się zachować spokój.

— Przybyłem — zaczął Hauptmann, wymawiając to słowo jak „psypyłem” — aby pomóc panu zorientować się w sytuacji, jaka panuje tutaj, na Pomorzu Szwedzkim.

— Nie widzę potrzeby wyjaśniania — zareplikował Hornblower. — Jeśli Szwecja jest neutralna, to korsarz musi zostać zmuszony do opuszczenia tego miejsca albo aresztowany. Jeżeli Szwecja jest na stopie wojennej, to mam rozwiązane ręce i mogę podjąć kroki, jakie uznam za stosowne.

Potoczył spojrzeniem po obecnych. Braun zaczął tłumaczyć na szwedzki.

— Co pan powiedział, kapitanie? — dopytywał się Dumoulin.

Hornblower zabrał się desperacko do przekładania swego oświadczenia na francuski i na „Nonsuchu” powstała istna wieża Babel. Wszyscy mówili naraz; tłumaczenie mieszało się z protestami. Widać było, że Basse chce być w zgodzie z obu stronami i spowodować, aby zarówno Francja, jak i Anglia wierzyły w przyjazny stosunek Szwecji do nich obu. Natomiast Dumoulin pragnął upewnić się, że „Blanchefleur” będzie mógł dalej prowadzić rozbój wśród brytyjskich statków. Hornblower spojrzał na Hauptmanna.

— Niech pan pozwoli ze mną na chwilkę — powiedział Hauptmann. Położył tłustą dłoń na ramieniu Hornblowera, który wzdrygnął się pod tym dotknięciem, i poprowadził go przez pokład rufowy w miejsce, gdzie nie mogli być słyszani.

— Jest pan młody — zaczął — a ja znam was, oficerów marynarki wojennej. Wszyscy jesteście straszliwie uparci. Musi pan pójść za moją radą. Proszę niczego nie robić w pośpiechu, sir. Sytuacja międzynarodowa tutaj jest napięta, nawet bardzo napięta. Fałszywy krok może oznaczać koniec. Obraza Szwecji może wywołać wojnę, prawdziwą, a nie udawaną. Musi pan bardzo uważać

na to, co pan robi.

— Zawsze uważam — syknął Hornblower — ale czy się pan spodziewa, że pozwolę korsarzowi czuć się tak, jakby tu był Brest czy Tulon?

Braun podszedł do nich.

— Baron Basse prosi, żeby panu powiedzieć, iż Bonaparte ma dwieście tysięcy wojska wzdłuż granic Pomorza. Mam powiedzieć panu, że nie wolno obrażać kogoś mającego do dyspozycji taką armię.

— To potwierdza moje słowa, kapitanie — rzekł Hauptmann.

Zbliżył się Dumoulin, a za nim Basse — żaden nie chciał pozwolić drugiemu pozostawać sam na sam z kapitanem brytyjskim chociażby przez chwilę. Hornblowerowi przyszedł na ratunek jego instynkt taktyczny; najlepszą obroną jest silny atak na pozycję lokalną. Zawrócił się do Hauptmanna:

— Czy mogę spytać, sir, jak jego królewska mość może utrzymywać przedstawiciela konsularnego w porcie, którego neutralność jest wątpliwa?

— Jest to konieczne ze względu na potrzebę uzyskiwania zezwoleń na handel.

— Czy jest pan akredytowany przy rządzie szwedzkim przez jego królewską mość?

— Nie, sir. Jestem akredytowany przez jego bawarską królewską mość.

— Jego b a w a r s k ą królewską mość?

— Jestem poddanym jego bawarskiej królewskiej mości.

— Który jest przypadkowo na stopie wojennej z jego brytyjską królewską mością — zauważył sucho Hornblower. Cała ta gmatwanina polityki bałtyckiej, potajemnych działań wojennych i neutralności, jest absolutnie nie do rozplatania. Hornblower słuchał próśb i wymówek każdego, ale nie mógł już dłużej wytrzymać; jego zniecierpliwienie stało się w końcu widoczne dla zdenerwowanych rozmówców.

— Nie mogę, panowie, postanowić niczego w tej chwili — powiedział. — Muszę mieć czas na przemyślenie otrzymanych od was informacji. Baronie Basse, jako przedstawiciel generalnego gubernatora ma pan prawo, jak sądzę, do salutu z siedemnastu dział przy opuszczaniu okrętu?

Saluty poniosły się echem po żółtozielonej wodzie, gdy urzędnicy przechodzili przez burzę. Siedemnaście wystrzałów dla barona Basse. Jedenaście dla Dumoulina, konsula generalnego. Hauptmannowi, jako przedstawicielowi konsularnemu, należał się salut tylko z pięciu dział, najkrótszy z wymienionych w przepisach ceremoniału obowiązującego w marynarce wojennej. Hornblower zasalutował Hauptmannowi schodzącemu do swojej łodzi, a potem ruszył znów do dzieła.

— Sygnał do dowódców „Motha”, „Harveya” i „Clama”, żeby przybyli na pokład — rozkazał krótko.

Kecze bombowe i kuter znajdowały się dostatecznie blisko, by można się było porozumieć z nimi drogą sygnalizacji; zostało jeszcze trzy godziny dnia, a w oddali, nad piaszczystymi wydiami Hiddensoe, wciąż sterczały drzewca francuskiego korsarza, jak gdyby kpiąc sobie z Hornblowera.

Rozdział IX

Hornblower wspiął się przez burłę na pokład „Harveya”, na którym porucznik Mound witał go w postawie na baczność; dwaj pomocnicy bosmańscy dmuchali w swoje gwizdki. Podskoczył na huk wystrzału z działa oddany niespodzianie i bardzo blisko niego. Ponieważ komodor prznosił tu swój porzecz (który rozwijał się właśnie na wyniosłym maszcie „Harveya”), był to właściwy moment na jeszcze jeden salut z jednej z czterech armat sześciofuntowych zainstalowanych na rufie „Harveya”.

— Dajcie spokój z tym nonsensem — powiedział Hornblower.

Ale zaraz poczuł się winny. Publicznie nazwał nonsensem ulubiony ceremoniał marynarki wojennej — rzecz ciekawa, że tak właśnie określił ten wyraz szacunku, który powinien był go uszczęśliwić, jako że spotykał się z nim dopiero po raz drugi. Chyba jednak dyscyplina nie ucierpiała od tego, chociaż młody Mound wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, dając rozkaz przerwania wystrzałów.

— Panie Mound, brasujcie na fordewind i w drogę — rozkazał Hornblower.

Gdy „Harvey” z wypełnionymi żaglami ruszył na ukos w kierunku brzegu, z „Mothem” niż za rufą, Hornblower rozejrzał się wokoło. Było to dla niego nowe doświadczenie; nigdy w ciągu dwudziestu lat służby nie miał okazji oglądać akcji z pokładu kecza bombowego. Sterczący z przodu bardzo wysoki grotmaszt (dobrze się sprawili wymieniając drzewce strzaskane pociskiem armatnim w Sundzie) — wobec braku fokmasztu musiał sam radzić sobie z ogromną masą postawionych żagli. Stermaszt, ustawiony dalej na rufie, miał wymiary bardziej proporcjonalne w stosunku do tej małej jednostki. Potężny foksztag, konieczny dla zabezpieczenia grotmasztu, zrobiony był z łańcucha żelaznego i dziwnie nie pasował do konopnego olinowania. Śródkręcie kecza znajdowało się w przodzie okrętu — tylko w taki absurdalny sposób można było określić tę konstrukcję — a tam, po obu stronach linii środkowej, stały dwa olbrzymie moździerze, powód tej osobliwej konstrukcji kecza. Hornblower wiedział, że moździerze osadzone są w grubej kłodzie dębowej, spoczywającej na nadstępcy; pod kierunkiem pomocnika artylerzysty czterech marynarzy ładowało ogromne trzynastocalowe kartacze, którymi strzelano z moździerzy. Pomocnik bosmański z inną grupą przesunął grubą linę przez otwór strzelniczy w prawej burcie i przeciągnawszy ją na dziób przymocował tam do kotwicy zwisającej z kotbelki. Był to „szpryng”; Hornblower kazał nieraz dla praktyki mocować szpryng do liny kotwicznej, lecz nigdy dotąd nie używał go w akcji bojowej. Tuż obok niego, na ławie wantowej lewej burty, stał marynarz z sondą; Hornblower pomyślał, że prawie przez cały czas ich dotychczasowego pobytu na Bałtyku prowadziło się sondowanie i chyba tak już będzie do końca wyprawy.

— Trzy i pół sążnia — zawołał sondujący. Te kecze bombowe mają zanurzenie mniejsze niż dziewięć stóp.

Opodał „Raven” przygotowywał się do zejścia z mielizny przy pomocy kotwicy zawoźnej. Hornblower widział linię kotwiczną czerniejącą na tle wody. Na „Ravenie” usunięto już szczątki strzaskanej fokstengi. Dalej w tyle sunął wolniutko „Clam”; Hornblower zastanowił się, czy jego dowódca, ten oficer o wyglądzie Cygana, dobrze zrozumiał przekazane mu bardzo skomplikowane instrukcje.

Obok Hornblowera stał Mound manewrując keczem. Był on tu jedynym mianowanym oficerem[33]; wachtę pełnili midszypmen i dwaj podoficerowie nawigacyjni — obaj oni stali na rufie na szeroko rozstawionych nogach, mierząc sekstantami kąt pionowy drzewca „Blanchefleura”. Hornblower miał wrażenie, że na stateczku panuje atmosfera niefrasobliwości, czemu nie można się było dziwić, skoro dowódca miał zaledwie dwadzieścia lat. Na tych małych jednostkach dyscyplina bywa rozluźniona — Hornblower często słyszał, jak zrzedliwi kapitanowie o bardzo długim stażu skarżyli się na to.

— Trzy sążnie bez ćwierci! — zaśpiewał sondujący. Siedemnaście stóp wody.

— Mamy ich teraz w zasięgu, sir — powiedział Mound.

— Ale te pańskie moździerze biją dokładniej, strzelając poniżej maksymalnego zasięgu, czy nie tak?

— Tak, sir. Wolałbym też mieć mniejszą odległość na wypadek, gdyby przesunęli miejsce zakotwiczenia.

— Niech pan jednak zostawi sobie taką głębokość, by było dosyć miejsca na obracanie się na kotwicy. Nic nie wiemy o tutejszych płyciznach.

— Tak jest, sir.

Mound odwrócił się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na sytuację taktyczną; na sterczące nad wydymami drzewca „Blanchefleura” zakotwiczonego w głębi laguny, na baterie na cyplu, na „Clama” zajmującego taką pozycję żeby mógł obserwować lagunę nie będąc w zasięgu artylerii, i na „Lotusa”, który czeka za wejściem i odetnie „Blanchefleuowi” drogę ucieczki, gdyby korsarzowi udało się jakimś cudem wydostać się na nawietrzną i podjąć nową próbę dotarcia do Stralsundu. Mound wciąż chciał wsadzić ręce do kieszeni i cofał je zaraz, przypomniawszy sobie, że jest obok komodor — powtarzał ten gest co kilka sekund.

— Na litość boską, człowieku — nie wytrzymał Hornblower — niechże pan włoży te ręce do kieszeni i przestanie przebierać palcami.

— Tak jest, sir — odparł Mound, trochę zaskoczony. Z wdzięcznością wpakował dłonie w kieszenie i przygarbił się w wygodnej, odprężonej postawie. Jeszcze raz potoczył w koło spojrzeniem, a potem krzyknął do midszypmena, który stał w przodzie przy kotbelce.

— Panie Jones! Kotwicę rzuć!

Lina kotwiczna zawyła krótko, a załoga kecza pomknęła na maszty sprzątać żagle.

„Harvey” obracał się wolno, aż stanął dziobem do wiatru, prawie prosto w kierunku niewidocznego „Blanchefleura”. Hornblower zauważył, że „Moth” stanął na kotwicy prawie na trawersie swojego siostrzanego kecza.

Mound poruszał się ze zwodniczą powolnością, gotując kecz do otwarcia ognia. Wziął serię namiarów dla sprawdzenia, czy kotwica dobrze trzyma. Na jego polecenie jeden z marynarzy przywiązał kawałek białej szmaty do szpryngu, leżącego na pokładzie po podciągnięciu go do kabestanu, a Mound pogrzebał w kieszeni i wydostawszy kawałek kredy zaznaczył na pokładzie kreskę przy szmacie.

— Panie Jones, obróćcie raz kabestan — powiedział.

Czterech ludzi czekających przy kabestanie wykonało rozkaz bez trudu. W miarę nawijania szpryngu szmata przesuwiała się po pokładzie. Przewleczony przez otwór strzelniczy w pobliżu rufy szpryng został przymocowany do kotwicy na dziobie; nawijany na kabestan pociągał rufę kecza, obracając ją tak, że okręt stanął pod kątem do wiatru, a wielkość tego kąta była z grubsza wyznaczona przez ruch szmaty względem kreski narysowanej kredą na pokładzie.

— Proszę kontynuować, panie Jones — powiedział Mound, biorąc przybliżony namiar drzewc „Blanchefleura”. Kabestan terkotał pod naporem handszpaków.

— Dostyc! krzyknął Mound i marynarze stanęli.

— Jeszcze jedna zapadka — rzucił Mound, celując teraz bardzo starannie na grotmaszt „Blanchefleura”.

Klang! — szcęknął kabestan, gdy marynarze nacisnęli ciałami na handszpaki.

— Jeszcze jedna!

Klang!

— Chyba już dobrze, sir — odezwał się Mound. Poprzeczna oś symetrii „Harveya” była ustawiona prosto na „Blanchefleura”. — Naturalnie liny się rozciągają, a kotwica może trochę pełzać, ale łatwo będzie utrzymywać stałe ustawienie na cel, popuszczając szpryng albo go skracając.

— I ja tak uważam — zgodził się Hornblower.

Znał z teorii funkcjonowanie kecza bombowego; ale bardzo był podniecony i zaniepokojony perspektywą bliskiej demonstracji jego działania w praktyce. Od czasu, gdy w chwili desperacji, płynąc na „Witch of Endor”, próbował trafić w małą łódź z działka sześciofuntowego, Hornblower zawsze pamiętał, że posługiwanie się artylerią morską to sztuka, którą należy udoskonalać, ilekroć

jest do tego sposobność. Na razie jest to sprawa przypadku, strzelanie dosłownie na chybił-trafił. Ogień moździerzowy z kecza bombowego stanowił szczyt osiągnięć artylerii morskiej, doprowadzony do wysokiego stopnia doskonałości, chociaż jest to dla niej tylko uboczny tor. Wysoki tor lotu i niska początkowa prędkość wyrzutu pocisku oraz wyeliminowanie zakłócającego czynnika w postaci nieregularności przewodu lufy pozwalają na strzelanie z zadziwiającą dokładnością.

— Jeśli można, sir, to przejdę na dziób — powiedział Mound. — Lubię sam odcinać zapalniki.

— Idę z panem — odparł Hornblower.

Dwa moździerze na dziobie kecza wyglądały jak dwa ogromne kotły.

— Tysiąc sto jardów — orzekł Mound. — Panie Jones, spróbujemy dać funt i trzy czwarte prochu.

— Tak jest, sir.

Proch przygotowany był w woreczkach funtowych, półfuntowych i ćwierćfuntowych. Midszypmen rozerwał po jednym z każdego rozmiaru i wsypał zawartość do moździerza prawoburtowego, dociskając proch grubą przybitką z filcu. Mound z miarką w ręku patrzył w niebo, czyniąc w myślach obliczenia. Potem nachylił się nad jednym z wielkich pocisków i bardzo ostrożnie przeciął nożyczkami sznur zapalnika.

— Jeden i jedenaście szesnastych, sir — powiedział usprawiedliwiającym się tonem. — Nie wiem, sir, czemu odciąłem akurat tyle. Lont spala się z różną prędkością zależnie od pogody i taka długość wydaje mi się w sam raz w tej chwili. Nie chcemy oczywiście, żeby kartacz rozerwał się w powietrzu, ale jeśli zostawimy za długi lont, to któryś żabojad mógłby go złapać i zgasić, zanim wybuchnie.

— Naturalnie — zgodził się Hornblower.

Wielki pocisk został podniesiony i włożony do lufy moździerza; zwężając się parę cali w dół od otworu tworzyła ona wyraźny występ, na którym oparła się opaska kartacza. Zakrzywiona powierzchnia trzynastocalowej kuli, z wystającym zapalnikiem, znalazła się prawie na równi z obrzeżem otworu lufy.

— Podnieść czerwoną flagę sygnałową — krzyknął głośno Mound, żeby usłyszał go podoficer nawigacyjny na rufie.

Hornblower odwrócił się i skierował lunetę na „Clama” zakotwiczonego na płyciźnie w odległości dwóch mil. Kod sygnałowy został opracowany pod jego osobistym nadzorem, toteż bardzo był ciekaw, czy będzie funkcjonował prawidłowo. Sygnały łatwo można pomylić. Na topie masztu „Clama” pojawiła się czerwona flaga.

— Sygnał potwierdzony, sir — zawołał podoficer.

Mound ujął tłący się lont i przytknął do zapalnika kartacza. Po chwili jego lont zaczął się tlić

rzucając słabe iskry.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — Mound liczył powoli; zapalnik dalej pluł iskrami. Widocznie Mound zostawił sobie pięciosekundowy margines, na wypadek gdyby lont zapalnika palił się źle albo gdyby trzeba było zapalać go na nowo.

Potem wcisnął lont w otwór zapałowy moździerza, który natychmiast wypalił z hukiem. Stojąc tuż za moździerzem Hornblower patrzył, jak kartacz wznosi się zaznaczając tor swego lotu iskrami tłącego się lontu. Szedł w górę, wyżej i wyżej, a potem zniknął, gdy zaczął swój lot w dół, pod kątami prostymi do linii celowania. Czekali i czekali, ale bez skutku.

— Spudłowaliśmy — orzekł Mound.—Opuścić czerwoną flagę.

— Biały proporczyk z „Clama”, sir — zawołał podoficer.

— To znaczy „zasięg za duży” — stwierdził Mound. — Panie Jones, tym razem proszę półtora funta.

Na „Mothu” podniesiono dwie czerwone flagi i „Clam” wywiesił też dwie w odpowiedzi. Przewidując możliwość nieporozumienia Hornblower ustalił, że sygnały odnoszące się do „Motha” miały być zawsze podwójne. W ten sposób „Harvey” nie będzie musiał korygować błędów za „Motha”; i vice versa. Huk z moździerza na „Mothu” odbił się echem po wodzie. Z „Harveya” nie było widać lotu kartacza.

— Podwójna żółta flaga z „Clama”, sir.

— To znaczy, że pocisk z „Motha” upadł za blisko — powiedział Mound. — Wciągnąć naszą czerwoną flagę. Znowu wypalił z moździerza; zapalnik, iskrząc, wzbił się ku niebu, znikł i znowu nic.

— Biały proporczyk z „Clama”, sir.

— Znów za daleko? — powiedział Mound z lekkim zdziwieniem. — Mam nadzieję, że oni tam nie mają zeza.

„Moth” oddał następny strzał, skwitowany podwójnym białym proporcem z „Clama”. Ten kartacz przeniósł, podczas gdy poprzedni upadł za blisko. Teraz „Moth” będzie mógł trafić bez trudu. Mound sprawdzał namiar celu.

— Wciąż celujemy dziobem prosto na nich — mruknął. — Panie Jones, proszę odjąć pół ćwierci funta z ładunku półtorafuntowego.

Hornblower próbował wyobrazić sobie, co robi w tej chwili dowódca „Blanchefleura” po drugiej stronie wydm. Prawdopodobnie aż do momentu otwarcia ognia przez kecze bombowe czuł się bezpieczny sądząc, że nic — poza bezpośrednim atakiem na baterie — nie może mu zagrozić. Ale teraz kartacze padają z pewnością zupełnie blisko okrętu, a on nie może odpowiedzieć ogniem ani podjąć żadnej czynnej obrony. Miałby trudności z ruszeniem; zakotwiczył swój okręt na samym

końcu długiej, wąskiej laguny. Bliższa droga wyjścia prowadziła przez płytką, za płytką nawet dla skifa[34] — mówią o tym fale przyboju — a przy obecnym kierunku wiatru nie ma mowy o powrocie torem wodnym w pobliże baterii. Musi żałować, że podszedł tak daleko pod brzeg zawietrzny przed rzuceniem kotwicy; pewnie chciał się lepiej zabezpieczyć przed pazurami ataku odcinającego. Za pomocą łodzi albo kotwicy zawoźnej mógłby podciągnąć okręt w kierunku baterii na tyle blisko, aby jej działa trzymały kecze bombowe w odległości zbyt dużej dla ich mózdzierzy.

— Czerwona flaga do pół masztu! — zameldował podnieconym głosem podoficer nawigacyjny.

Oznaczało to, że kartacz nie doniósł, ale upadł bardzo blisko.

— Panie Jones, proszę dosypać dwie szczypty — zdecydował Mound.

Znowu ryknęło działo na „Mothu”, ale tym razem zobaczyli, że kartacz rozerwał się nad samymi topami masztów „Blanchefleura”. Ujrzeni ogromną kulę dymu, a wiatr przyniósł ku nim słaby odgłos wybuchu. Mound kręcił głową z zasepioną miną; albo Duncan odciął nie tyle lontu zapalnikowego, ile należało, albo lont spalał się szybciej niż normalnie. Dwie niebieskie flagi na maszcie „Clama” sygnalizowały, że nie zauważono stamtąd, gdzie upadł pocisk z „Motha” — system sygnalizacyjny wciąż działał prawidłowo. Teraz Mound pochylił swoją szczupłą postać i przytknął lont do zapalnika, a ten do otworu zapałowego armaty. Mózdzierz wypalił z hukem; wskutek jakiegoś kaprysu balistycznego kawałek płonącej przybitki przefrunął nad głową Hornblowera, spowijając całą jego postać w kłębach dymu. Gdy znów spojrział w górę, zdążył dostrzec iskrzący zapalnik wysoko na tle nieba, w górnym punkcie toru pocisku, zanim zniknął z pola widzenia, szybkim lotem pikując w dół. Hornblower, Mound i Jones, wraz z całą załogą mózdzierza, czekali w napięciu na upadek pocisku. Wreszcie nad wydumą dojrzeli biały dym i zaraz potem usłyszeli huk rozrywającego się kartacza.

— Chyba trafiliśmy go, sir — powiedział Mound z udawaną obojętnością.

— Czarna kula na maszcie „Clama”! — zawołał podoficer nawigacyjny.

To oznaczało trafienie. Trzynastocalowy pocisk, wzniosłszy się bardzo wysoko w niebo, opadł lotem nurkowym na pokłady „Blanchefleura” i eksplodował. Hornblower nie potrafił sobie uzmysłwić, jakich zniszczeń mógł on tam dokonać.

— Teraz oba mózdzierze razem — komenderował Mound, odrzucając poprzednią afektowaną pozę. — Ruszać się, zwawo!

Dwa białe proporczyki do połowy masztu na „Clamie” sygnalizowały, że następny pocisk z „Motha” też upadł blisko, ale przeniósł. I wtedy huknęły oba mózdzierze „Harveya” — mały kecz zakołysał się wzdłużnie i nurknął w wodę dziobem, który siła odrzutu przechyliła ku dołowi. Na maszcie „Clama” wykwitła czarna kula.

— Drugie trafienie! — zawołał w upojeniu Mound.

Widoczne nad wydrami stengi „Blanchefleura” zaczęły się nagle odsuwać od siebie. Okręt robił zwrot — zdesperowana załoga usiłowała przeholować go lub odciągnąć na kotwicy zawoźnej z powrotem w górę toru wodnego.

— Boże, daj, żebyśmy go rozbili, zanim ucieknie! Czemu, u diabła „Moth” nie strzela — denerwował się Mound.

Hornblower przyglądał mu się uważnie; pokusa wystrzelenia z moździerzy natychmiast po ich załadowaniu, bez czekania na kolejny strzał z „Motha”, była ogromna, lecz ulec jej oznaczałoby zdezorientowanie obserwatora na „Clamie”, a może utratę całej kontroli. „Moth” wypalił i dwie czarne kule na maszcie Clama oznajmiły, że i on zaliczył trafienie. „Blanchefleur” zdążył się już jednak obrócić; Hornblower zauważył nieznaczne, niedostrzegalne prawie przesunięcie się jego stengi na tle górnej krawędzi wydmy, tylko o jard, najwyżej o dwa. Mound oddał strzały z obu moździerzy i gdy jeszcze pociski szybowały w powietrzu, marynarze skoczywszy do kabestanów rzucili się całym ciężarem ciała na handszaki. Klang-klang! Zapadka dwukrotnie przeskoczyła w mechanizmie w trakcie nawijania szpryngu i obracania kecza tak, aby moździerze wciąż były skierowane na cel. W tym momencie fokstenga „Blanchefleura” znikła z pola widzenia. Widać było tylko stengi grotmasztu i stermasztu.

— Na Boga, znowu celny — zawołał Hornblower; słowa te wystrzeliły mu z ust jak korek z pukawki. Był podniecony jak uczeń; złapał się na tym, że podskakuje na pokładzie. Poszedł fokmaszt; Hornblower usiłował uzmysłwić sobie straszliwe zniszczenie siane przez pociski walące w kuche, drewniane pokłady. A teraz nad grzbietami wydmy pojawił się i dym, więcej dymu, i czarniejszy, niż mogłyby dać rozrywające się kartacze. Widać okręt palił się. Jego stermaszt i grotmaszt znów znalazły się w jednej linii — „Blanchefleur” obracał się w poprzek toru wodnego. Musieli stracić nad nim panowanie. Może pocisk trafił w linę kotwicy zawoźnej albo uszkodził łodzie holujące.

„Moth” oddał następne strzały; dwie czerwone flagi sygnałowe do pół masztu wskazywały, że pociski nie doniosły, chociaż padły blisko — „Blanchefleur” musiał przesunąć się znacznie w poprzek toru wodnego. Mound zauważył to i zwiększył ładunek miotający w swoich moździerzach. To był dym; bez wątpienia ten kłębiasty dym był z „Blanchefleura”. Korsarz palił się. A z tego, że stoi znowu nieruchomo — Hornblower widział, że stengi nie przesuwają się wcale względem wydmy — można wnioskować, że wpakował się na mieliznę. Mound wystrzelił jeszcze raz i wszyscy czekali. Poszła stenga stermasztu, przechylając się wolno, znikła też stenga grotmasztu. Nic już nie było widać poza coraz gęstszymi kłębami dymu. Mound obrócił wzrok na Hornblowera czekając na rozkazy.

— Niech pan lepiej kontynuuje ostrzał — rzekł Hornblower zdławionym głosem. Nawet jeśli załoga płonęła żywcem, jego obowiązkiem było dopilnować ostatecznego zniszczenia „Blanchefleura”. Znowu ryknęły moździerze i pociski szły w górę ostrym łukiem przez całe dziesięć sekund, zanim zaczęły swój lot w dół. „Clam” sygnalizował: „Blisko, za duży zasięg”. Odezwał się znowu „Moth”, a „Clam” zasygnalizował, że celnie; oczyma wyobraźni Hornblower widział pociski spadające z nieba na załogę „Blanchefleura” próbującą pośród płomieni ratować swój okręt, cały w ogniu, bez masztów, rzucony na mieliznę. Obraz ten trwał w jego mózgu tylko przez króciutką, przelotną chwilę, bo natychmiast po dostrzeżeniu sygnału z „Clama” Mound znowu przystąpił do

strzelania z moździerzy i zanim jeszcze zapalniki zaczęły się tlić, nagła eksplozja przywołała Hornblowera do rzeczywistości. Podniósł błyskawicznie lunetę do oczu; nad wydmy wzniósł się potężny kłęb dymu i Hornblowerowi wydało się, że widzi w nim fruwające plamki — ciała lub może szczątki okrętu wyrzucone w powietrze przez wybuch. Pożar lub jeden z ostatnich pocisków z „Motha” dosięgły magazynów prochowych „Blanchefleura”.

— Nadać sygnał do „Clama”, panie Mound — rzucił Hornblower — „Co widać u nieprzyjaciela?”

Czekali na odpowiedź.

— „Nieprzyjaciel — całkowicie — zniszczony” — odczytał podoficer nawigacyjny i załoga wzniosła nierówny okrzyk.

— Doskonale, panie Mound. Myślę, że możemy opuścić te płycizny, póki jeszcze widno. Niech pan będzie łaskaw wywiesić sygnał odwoławczy dla „Clama” i „Lotusa”.

Mdłe słońce północne było zwodnicze. Świeciło, a nie grzało wcale. Hornblowerem wstrząsnęły dreszcze — to dlatego, pomyślał, że stał, bez ruchu na pokładzie „Harveya” przez wiele godzin, a powinien był włożyć cieplejszy płaszcz. Ale wiedział, że prawdziwa przyczyna była inna. Zgasło podniecenie i zaciekawienie i zaraz opadł go minorowy nastrój. Brutalne to dzieło zniszczenia z zimną krwią okrętu nie będącego w stanie odwzajemnić się ogniem. W raporcie będzie to dobrze wyglądało i bracia oficerowie będą sobie opowiadać o nowym wyczynie Hornblowera, o unieszkodliwieniu dużego francuskiego statku korsarskiego pod nosem Szwedów i Francuzów, wśród niezliczonych mielizn. I tylko on jeden będzie wiedział o tym wstydliwym momencie załamania.

Rozdział X

Bush wytarł usta serwetką, starając się, jak zawsze, z wysiłkiem przestrzegać dobrych manier.

— Jak pan sądzi, sir, co powiedzą Szwedzi ? — zapytał bardzo śmiało. Nie na nim spoczywała odpowiedzialność, a wiedział z doświadczenia, że Hornblowera mogło zirytować przypominanie, iż Bush zastanawia się nad tym.

— Niech sobie mówią, co im się podoba — odparł Hornblower — ale żadne ich słowa nie scalą „Blanchefleura”.

Ta odpowiedź dowódcy była tak niespodziewanie miła, że Bush znów zaczął się zastanawiać, co spowodowało w Hornblowerze taką zmianę — czy ta, nowa u niego, łagodność była konsekwencją sukcesu, uznania, awansu czy małżeństwa. Rzecz dziwna, ale w tej chwili Hornblower też rozmyślał nad tym samym, będąc jednak skłonny przypisać to starzeniu się. Przez parę chwil analizował sam siebie w swój zwykły, bezlitosny, niemal chorobliwie dociekliwy sposób. Zdawał sobie sprawę, iż z rezygnacją pogodził się z faktem, że włosy mu rzedną i siwieją na skroniach — gdy pierwszy raz zauważył przy czesaniu różowy błysk łysinki, poczuł silne uczucie buntu, ale do tej pory zdążył się już przyzwyczaić. Potem spojrzał na dwa rzędy młodych twarzy przy

swoim stole i w sercu jego wzbudziły się ciepłe uczucia dla tych chłopców. Bez wątpienia stawał się ojcowski, zaczynał lubić młodych w nowy dla siebie sposób; nagle uświadomił sobie, że w ogóle zaczyna odczuwać sympatię do ludzi, zarówno młodych, jak i starych, i że opuściło go — przynajmniej chwilowo, zastrzegł się w swej ostrożności — ostre pragnienie ucieczki w samotność i torturowania się wewnętrznego.

Podniósł swoją szklanę.

— Panowie — powiedział — wznoszę toast za trzech oficerów, którzy wypełniając starannie swoje obowiązki i wykazując wybitne umiejętności zawodowe doprowadzili do unieszkodliwienia groźnego nieprzyjaciela.

Bush, Montgomery i obaj midszypmeni podnieśli swoje szklanice i opróżnili je entuzjastycznie, natomiast Mound, Duncan i Freeman wbili wzrok w stół z angielską skromnością; Mound, zaskoczony, pokraśniał jak dziewczyna i zaczął wiercić się niespokojnie na swoim krześle.

— Czy nie odpowie pan na toast, panie Mound? — odezwał się Montgomery. — Jest pan najstarszy stażem.

— To komodor — zaczął Mound z oczyma wciąż utkwionymi w serwetę. — To nie my. On dokonał tego wszystkiego.

— To prawda — potwierdził Freeman potrząsając cygańskimi lokami.

Czas zmienić temat — pomyślał Hornblower, wyczuwając zbliżanie się niezręcznej pauzy po tej wymianie komplementów.

— Piosenkę, panie Freeman. Wszyscy wiemy, że ładnie pan śpiewa. Niechże mamy możność posłuchać.

Hornblower nie dodał, że o zdolnościach śpiewaczych Freemana dowiedział się od młodszego lorda Admiralicji; przemilczał też fakt, że jeśli idzie o niego, to śpiew może nie istnieć. Inni ludzie odczuwają to niezrozumiałe pragnienie słuchania muzyki, więc zaspokoi tę ich dziwną zachciankę.

Gdy przyszło do śpiewania, Freeman całkiem pozbył się onieśmienia; zadarł po prostu podbródek, otworzył usta i zaczął:

Gdy pierwszy raz zajrzałem w oczy Chloe,

Szafiry mórz i letnich nieb błękity...

Dziwna sprawa z tą muzyką. Freeman bez wątpienia dokonywał ciekawej i trudnej rzeczy; dawał innym oczywistą przyjemność (Hornblower obrzucił ich ukradkowym spojrzeniem), ale przecież piszczał tylko i wzdychał na różne sposoby dowolnie przeciągając słowa — i do tego takie słowa! Po raz tysięczny w swoim życiu Hornblower poniechał trudu zrozumienia, co tkwi w muzyce, że tak bardzo podoba się innym. I tym razem uznał, że pojąć to jest dla niego tak samo trudno, jak dla ślepego wyobrazić sobie kolory.

Chloe jest moją je-e-e-dyną miłością!

Freeman skończył i wszyscy zaczęli walić pięściami w stół w niekłamanym zachwycie.

— Ładna piosenka i doskonale zaśpiewana — pochwalił Hornblower. Montgomery usiłował pochwycić jego spojrzenie.

— Czy mogę odejść, sir? — rzekł. — Mam następną psią wachtę[35].

To wystarczyło, żeby zakończyć obiad; trzej porucznicy musieli wracać na swoje jednostki, Bush chciał obejrzeć pokład, a obaj midszypmeni, prawidłowo oceniając swoją mało znaczącą pozycję, podziękowali spiesznie za przyjęcie i oddalili się. Obiad był jak należy — myślał Hornblower odprowadzając ich wzrokiem — dobre jedzenie, ożywiona rozmowa i szybkie odejście zaproszonych. Wyszedł na galerię rufową, schyliwszy się przezornie przy przechodzeniu pod niskim nawisem. Mimo szóstej po południu na zewnątrz było całkiem widno; słońce jeszcze nie zaszło i świeciło na galerię od strony rufy, a niewyraźna smuga pod jego kulą, tuż nad widnokręgiem, była wyspą Bornholm.

Kuter, z grotzgiem ściągniętym ku rufie płasko jak deska, przeszedł dołem, wykręcając pod rufą okrętu ostro na wiatr; wiózł trzech poruczników, usadowionych na ławce rufowej, z powrotem na ich okręty — wiatr znowu wiał z północnego zachodu. Młodzieńcy zachowywali się bardzo swobodnie, póki któryś z nich nie dostrzegł na galerii rufowej, a wtedy błyskawicznie zastygli w przepisowych pozach. Hornblower pomyślał z uśmiechem, że polubił tych chłopców i wycofał się do kajuty, aby nie czuli się skrępowani, że ich widzi. Braun czekał na niego.

— Przeczytałem gazety, sir — powiedział. — „Lotus” zatrzymał po południu pruską łódź rybacką i puścił ją po skonfiskowaniu połowu i zabraniu tych oto gazet.

— I co?

— Jedna to „Konigsberger Hartunsche Zeitung”, sir, wydawana oczywiście pod francuską cenzurą. Pierwszą stronę zajmują doniesienia o spotkaniu w Dreźnie. Jest tam Bonaparte, z siedmioma królami i dwudziestu jeden suwerennymi książętami.

— Siedmiu królami?

— Królowie Holandii, Neapolu, Bawarii, Wirtembergii, Westfalii, Saksonii i Prus, sir — czytał Braun. — Wielcy książęta...

— Nie musi pan czytać dalej tej listy — przerwał Hornblower. Patrząc na pogniecione strony zastanawiał się swoim zwyczajem, co to za barbarzyński język ten niemiecki. Bonaparte wyraźnie usiłował nastraszyć kogoś — nie mogło tu chodzić o Anglię, która od dwunastu lat nie cofając się toczy walkę z Bonapartem. Może chciał postraszyć własnych poddanych, te ogromne połacie Europy zachodniej, które zdążył już podbić. Najbardziej jednak osobą, którą chciał zastraszyć, był car rosyjski. Istniało wiele powodów, dla których Rosja mogła stać się nieczuła na groźby swego sąsiada, toteż ta wyniosła demonstracja potęgi Bonapartego miała ją przypuszczalnie onieśmielić i

skłonić do uległości. — Czy jest coś o ruchach wojsk? — spytał Hornblower.

— Tak, sir. Byłem zaskoczony swobodą, z jaką piszą na ten temat. Gwardia cesarska znajduje się w Dreźnie. Jest tu wzmianka o pierwszym, drugim — Braun przewrócił stronę — i dziewiątym korpusie armii. Stoją w Prusach... a dowództwo w Gdańsku... i Warszawie.

— Dziewięć korpusów — zastanawiał się Hornblower. — Jakies trzysta tysięcy żołnierzy.

Jest tu ustęp mówiący o rezerwowej kawalerii Murata. Piszą: „czterdzieści tysięcy ludzi, świetnie uzbrojonych, na wspaniałych koniach”. Bonaparte dokonał ich przeglądu.

Jak z tego wynika, wielkie ilości wojska zbierają się między cesarstwem Bonapartego i Rosją. Bonaparte będzie miał pod swymi rozkazami również armię pruską i austriacką. Pół miliona ludzi — sześćset tysięcy ludzi — wyobraźnia nie obejmuje takich liczb. Ogromne masy ludzkie spływały tu, do Europy wschodniej. Czyżby taka groźba nie zrobiła wrażenia na Rosji — trudno przypuszczać, żeby coś się oparło naporowi tych mas. Los Rosji wydaje się być przypieczętowany: musi poddać się lub ulegnie zagładzie. Żadnemu narodowi na kontynencie europejskim nie udało się jeszcze oprzeć gwałtowności ataków Bonapartego; jedynie Anglia ciągle stawia mu opór, a Hiszpania wciąż walczy, mimo że wojska tyrana splądrowały już każdą wioskę i każdą dolinę na tym nieszczęsnym półwyspie.

W umyśle Hornblowera zaczęły rodzić się wątpliwości. Nie widział, by podbicie Rosji dało Bonapartemu jakieś korzyści, proporcjonalne do koniecznego wysiłku czy nawet minimalnego ryzyka związanego z tym przedsięwzięciem. Bonaparte powinien umieć znaleźć lepszy sposób wykorzystania swoich wojsk i pieniędzy. Przypuszczalnie wojny nie będzie. Rosja podda się, Anglia zaś stanie wobec Europy, w której każda mila kwadratowa będzie w rękach tyrana. A mimo to...

— To jest „Gazeta Warszawska”, sir — ciągnął Braun. — Jeszcze bardziej oficjalna, z francuskiego punktu widzenia, niż poprzednia, chociaż wydawana w języku polskim. Jest tu długi artykuł na temat Rosji. Mówi o „zagrożeniu Europy przez Kozaków”. Aleksandra nazywa się tu „barbarzyńskim władcą barbarzyńskiego ludu”. „Następcą Dżyngis-chana”. Piszą, że „St Petersburg jest ogniskiem wszelkiej potencjalnej anarchii w Europie” — „groźbą dla pokoju światowego” — „świadomie wrogim wobec dobrodziejstw niesionych światu przez lud Francji”.

— I to wszystko musiało być opublikowane za zgodą Bonapartego — zauważył Hornblower na pół do siebie, ale Braun dalej zagłębiał się w artykuł.

— „Rozpustny gwałciciel Finlandii” — czytał bardziej niż na pół do siebie. Podniósł zielone oczy znad gazety. Był w nich wyraz nienawiści, który zdumiał Hornblowera i przypomniał mu, co już prawie wyrzucił z pamięci, że Braun stał się wygnańcem bez grosza w kieszeni wskutek napadu Rosji na Finlandię. Braun oddał się na usługi Anglii, ale było to w czasie, gdy — przynajmniej nominalnie — Rosja pozostawała we wrogich stosunkach z Anglią. Hornblower zanotował sobie w myśli, że lepiej nie ufać Braunowi w poufnych sprawach dotyczących Rosji; z własnej nieprzymuszonej woli Rosja nigdy nie przywróci niepodległości Finlandii, a zawsze pozostaje szansa, że mógłby to uczynić Bonaparte — że mógłby dać Finlandii to, co sam nazwie jej niepodległością, niezależnie od tego, co ta niepodległość byłaby warta. Są jeszcze ludzie, którzy

mogą dać się zwieść oświadczeniom Bonapartego, mimo rejestru jego zdrad i wiarołomstw, okrucieństw i grabieży.

Trzeba obserwować Brauna — pomyślał Hornblower — jeszcze jedna rzecz do pamiętania, jakby nie miał już dosyć ciężaru odpowiedzialności i kłopotów na głowie. Potrafił żartować z Bushem na temat Szwedów i Rosjan, lecz w głębi duszy gnębił go niepokój. Szwedów mogło przecież oburzyć zniszczenie „Blanchefleura” na wodach Pomorza. Może to była ostatnia kropla, która przelała kielich; może właśnie w tej chwili Bernadotte zastanawia się nad pełnym przymierzem z Bonapartem i przystąpieniem do wojny z Anglią. Perspektywa wojny ze Szwecją i Francją mogłaby łatwo zachwiać zdecydowaną postawą Rosji. Anglia może stanąć wobec całego świata uzbrojonego przeciwko niej w wyniku działań Hornblowera. Piękne ukoronowanie pierwszej samodzielnie przez niego dowodzonej wyprawy. Ci przekłeci bracia Barbary będą w swój wyniosły sposób szydzić z jego niepowodzenia.

Hornblower otrząsnął się z wysiłkiem ze swych koszmarnych myśli, aby stwierdzić, że Braun jest jeszcze pogrążony w swoich. Zadziwiająca była nienawiść w jego oczach i ten napięty wyraz twarzy. A potem ktoś zapukał do drzwi kajuty i Braun wróciwszy do rzeczywistości, przyjął natychmiast swoją dawną pozę ugrzecznionego szacunku.

— Wejść — krzyknął Hornblower.

Był to jeden z midszypmenów wachtowych.

— Sir, pan Montgomery przysłał mnie z tą wiadomością z „Ravena”.

Podał tabliczkę ze słowami spieszenie nakreślonymi przez oficera sygnałowego.

„Spotkałem statek szwedzki chcący mówić z komodorem”.

— Zaraz przyjdę na pokład — powiedział Hornblower. — Poproś kapitana, żeby zechciał przyjść również.

— Kapitan jest na pokładzie, sir.

— Doskonale.

Bush, Montgomery i pół tuzina oficerów patrzyło przez lunety w kierunku marsli „Ravena” zajmującego pozycję na lewym trawersie eskadry płynącej Bałtykiem. Pozostała jeszcze godzina do zmierzchu.

— Kapitanie Bush — odezwał się Hornblower — niech pan każe łaskawie przełożyć ster na odwietrzną i ruszyć z wiatrem w stronę „Ravena”.

— Tak jest, sir.

— Proszę też dać sygnał eskadrze, aby zajęła pozycje nocne.

— Tak jest, sir.

„Nonsuch” zaczął obracać swoje masywne cielsko, przechylając się w momencie przechodzenia na półwiatr; służbowa wachta wybierała na rufie brasy prawoburtowe.

— Widać żagle, sir, zaraz za rufą „Ravena” — powiedział Montgomery. — To wygląda mi na bryg. Szwedzki, sądząc po kształcie marsla, sir. Jeden z tych bałtyckich statków handlowych, jakie widuje się na redzie Leith.

— Dziękuję — odparł Hornblower.

Niedługo usłyszemy nowiny. Mogą być — i chyba będą — bardzo nieprzyjemne. Dodatkowy ładunek odpowiedzialności na jego barki, to rzecz pewna, gdyby nawet nie było w nich mowy o czymś naprawdę katastrofalnym. Pozazdrościł nagle Montgomery'emu jego prostych zadań oficera wachtowego, nic poza zwykłym wykonywaniem rozkazów i obserwowaniem pogody, z tym błogosławionym obowiązkiem pozostawiania wszystkich ważnych decyzji swemu zwierzchnikowi. Hornblower zmusił się do stania spokojnie na pokładzie rufowym, z dłońmi splecionymi na plecach, w czasie gdy „Nonsuch” i bryg zbliżały się do siebie, gdy dolne żagle brygu, a potem i jego kadłub, wynurzyły się nad widnokrąg. Zachód nieba płomienił się purpurą, lecz zmierzch zaczął zapadać, nim bryg wykręcił się do wiatru.

— Kapitanie Bush — przemówił Hornblower — może postawi pan okręt w dryf? Opuszczają łódź na wodę.

Nie chciał zdradzić się z pospolitą ciekawością w trakcie opuszczania łodzi ani przyglądać się, jak stawała pod burta „Nonsucha”; spacerował spokojnie po pokładzie rufowym w przyjemnej aurze wieczoru, patrząc wszędzie, tylko nie w kierunku łodzi, gdy pozostali oficerowie i marynarze rozmawiali, gapili się i wymieniali przypuszczenia. Jednakże przy wszystkich tych pozorach wyniosłej obojętności Hornblower obrócił twarz w stronę furty wejściowej dokładnie w momencie, gdy przybysz przekraczał burtę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był kapelusz z daszkiem z przodu i z tyłu, z białym piórem, który wydał mu się znajomy, a potem spod kapelusza wyłoniła się tłusta twarz i tęga postać barona Basse'a. Przyłożył kapelusz do piersi i oddał taki sam ukłon jak za poprzednim razem.

— Pański sługa, sir — rzekł Hornblower, salutując sztywno. Był w głupiej sytuacji, bo chociaż świetnie pamiętał Basse'a i mógłby opisać go dokładnie, nie potrafił przypomnieć sobie jego nazwiska. Zwrócił się do midszypmena wachtowego ze słowami: — Sprowadź tu pana Brauna.

Szwed mówił coś, ale Hornblower nic z tego nie rozumiał.

— Przepraszam, sir — powiedział Hornblower i Basse powtórzył swoje słowa, które i tym razem pozostały nie zrozumiane. Zaczął od nowa, starając się mówić jeszcze wyraźniej, ale urwał zobaczywszy, że Hornblower nie słuchając go spogląda w stronę furty wejściowej. Hornblower starał się zachowywać uprzejmie, lecz widok czapy z niedźwiedziego futra wynurzającej się u wejścia był zbyt intrygujący, aby nie przyciągnąć jego uwagi. Duża czapa niedźwiedzia z czerwonym pióropuszem, szczeniasta ruda wąsik, szkarłatna tunika, czerwona szarfa, mnóstwo złotych

lamowań, niebieskie pantalone z czerwonym paskiem, wysokie buty, szpada ze złoconą rękojeścią, dziwnie połyskującą w dogasającym blasku dnia; niewątpliwie to był mundur gwardyjski. Mężczyzna noszący go był zbyt niski jak na gwardzistę, lecz na pewno znał dobrze wymogi ceremoniału; zaszalutował banderze przechodząc przez furkę wejściową, a potem przemaszerował na sztywnych nogach i stuknął obcasami, salutując elegancko Hornblowerowi, jak przystało na gwardzistę.

— Dobry wieczór, sir — przemówił. — Czy pan jest kapitanem Sir Horatiem Hornblowerem?

— Tak — odparł Hornblower.

— Czy mogę się przedstawić? Jestem pułkownik Lord Wychwood, z Pierwszej Gwardii.

— Dobry wieczór — odpowiedział chłodno Hornblower. Jako komodor stał niewątpliwie wyżej od pułkownika i mógł okazać chłód, czekając na dalszy tok wydarzeń. Przypuszczał, że usłyszy za chwilę wyjaśnienie pojawienia się pułkownika gwardii grenadierów w pełni gali na środku Morza Bałtyckiego.

— Przywożę panu pocztę, sir — mówił Lord Wychwood, szukając na piersiach tuniki — od naszego ambasadora w Sztokholmie.

— Chodźmy do mojej kabiny, sir — zaproponował Hornblower. Rzucił spojrzenie na Basse'a.

— Rozumiem, że miał pan już okazję poznać barona Basse'a? On również ma dla pana wiadomości.

— Wobec tego może i baron zechce pójść z nami. Panowie pozwolą, że pójdę przodem i będę wskazywał drogę.

Braun przetłumaczył ceremonialnie jego słowa i Hornblower ruszył na czele małej procesji. W kajucie było dość ciemno, więc Brown spiesznie wniósł lampy i podsunął krzesła; Wychwood osunął się na swoje z ostrożnością, jakiej wymagał jego ciasno opięty strój.

— Słyszał pan, co zrobił Bonius, sir? — zaczął.

— Nie miałem ostatnio żadnych wiadomości.

— Wysłał pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy na Pomorze Szwedzkie, gdy tylko dotarła do niego wieść o pańskim wyczynie pod Stralsundem.

— Co pan mówi?

— Poczynali tam sobie na swój zwykły sposób. Dowodził Vandamme. Zaczął od nałożenia grzywny w wysokości stu tysięcy franków na władze miejskie Stralsundu za to, że jego przybycie nie zostało powitane biciem w dzwony. Przerwał nabożeństwo w kościele Św. Ducha, zabierając to, co tam złożono na tacę. Aresztował generalnego gubernatora i zamknął go w więzieniu. Nie było na miejscu wojska, bo garnizon rugijski usiłował przeszkodzić im w przejściu. Cała Rugia stała się

widownią grabieży, mordów i gwałtów. Obecny tu baron wymknął się w łódce rybackiej. Wszyscy pozostali urzędnicy i wojskowi zostali wzięci do niewoli.

— To znaczy, że Boniś jest obecnie w stanie wojny ze Szwecją?

Wychwood wzruszył ramionami; wyglądało, że na Bałtyku każdy wzrusza ramionami, gdy przychodzi do jasnego stwierdzenia, czy jest pokój, czy wojna.

— Baron może panu coś powiedzieć na ten temat — rzekł Wychwood. Zwrócili wzrok na barona, który zalał ich potokiem słów po szwedzku. Braun, stojąc przy ścianie grodziowej, tłumaczył.

— On mówi, że sprawa pokoju i wojny to kompetencja księcia korony, jego królewskiej wysokości Karola Jana, znanego poprzednio jako marszałek Bernadotte. Jego królewskiej wysokości nie ma w tej chwili w Szwecji. Bawi z wizytą u cara w Rosji.

— Przypuszczam, sir, że jest o tym mowa w poczcie, jaką mam dla pana — powiedział Wychwood. Wyjął dużą płócienną kopertę z mnóstwem pieczęci i podał ją Hornblowerowi, który otworzył przesyłkę i przeczytał jej treść.

AMBASADA JEGO BRYTYJSKIEJ MOŚCI

W SZTOKHOLMIE

20 maja 1812

Sir,

Oddawca niniejszej przesyłki, pułkownik Lord Wychwood z Pierwszej Gwardii, poinformuje Pana o tutejszej sytuacji politycznej. Należy się spodziewać, że inwazja Bonapartego na Pomorze Szwedzkie spowoduje wypowiedzenie wojny przez rząd szwedzki. Jest zatem rzeczą konieczną, aby udzielona została wszelka możliwa pomoc urzędnikom szwedzkim, pragnącym skomunikować się z Jego Królewską Mością Księciem Korony. W związku z tym poleca się Panu i nakazuje, aby wykorzystując wszelkie możliwości z całym pośpiechem dowiózł Pan lub doeskortował rzeczonych urzędników do Rosji. Ponadto poleca się Panu i nakazuje jak najdalsze wykorzystanie tej okazji dla umożliwienia Lordowi Wychwoodowi nawiązania łączności z rządem rosyjskim w celu zapewnienia Jego Cesarskiej Mości Cara o pełnym poparciu ze strony sił Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości na morzu i na lądzie w wypadku wojny między Jego Cesarską Mością a rządem francuskim. Ponadto ma Pan zyskać każdą nadającą się sposobność do pogłębienia dobrych stosunków między Jego Królewską Mością i Jego Cesarską Mością.

Pański posłuszny sługa,

H. L. Merry, Ambasador JBKM

przy Dworze w Sztokholmie

KAPITAN SIR HORATIO HORNBLOWER, Kawaler Orderu Łaźni,

Komodor dowodzący eskadrą brytyjską na Bałtyku.

Hornblower przeczytał rozkazy uważnie raz i drugi. Musi podjąć ważną decyzję. Nie do Merry'ego należało wydawanie mu poleceń, a już zwłaszcza rozkazów o formalnym brzmieniu „poleca się i nakazuje”, będących ulubioną prerogatywą jego zwierzchników z marynarki wojennej. Ambasador jest ważną osobistością urzędową — dla oficera marynarki wojennej najważniejszą po Lordach Admiralicji — ale może on tylko prosić i radzić, a nie rozkazywać. Jeśli Hornblower postąpi zgodnie

z instrukcjami Merry'ego, a sprawy wezmą zły obrót, nic nie będzie miał na swoje

usprawiedliwienie przed Admiralicją. Z drugiej jednak strony Hornblower wiedział aż za dobrze, że gdyby zignorował list Merry'ego, poszłyby na niego do Londynu ostre skargi.

Przywołał w pamięci rozkazy Admiralicji; pozostawiały mu one dużą swobodę w zakresie postępowania w stosunku do mocarstw północnych. List Merry'ego nie zwalniał go bynajmniej od odpowiedzialności. Mógłby pozwolić Wychwoodowi i Basse'owi płynąć dalej na szwedzkim brygu albo przewieźć ich na swoim okręcie; najważniejsza sprawa: czy wiadomości o najnowszym akcie agresji ze strony Bonapartego powinny być dostarczone przez eskadrę brytyjską, czy też nie. Zwiastuni złych wieści zawsze są źle widziani — śmieszny szczegół, ale ważny i należy o nim pamiętać. Obaj władcy mogą się poczuć podrażnieni przybyciem wścibskiej Brytyjskiej Marynarki Wojennej, która wszystkim przynosi kłopoty. Z drugiej strony obecność eskadry brytyjskiej daleko na Bałtyku, u samych wrót St Petersburga, może się okazać zbawiennym przypomnieniem, jak daleko sięga ramię Anglii. Poddanie się Szwecji i Rosji Bonapartemu musi oznaczać wojnę, prawdziwą, faktyczną wojnę, tym razem z Anglią; Bonaparte nie zadowoli się niczym mniejszym. Widok brytyjskich marsli na widnokręgu, świadomość, że wojna to natychmiastowa blokada, błyskawiczne chwywanie każdego okrętu usiłującego przedrzeć się przez nią, nieustanne nękanie wybrzeży na całej ich długości, może być potężnym argumentem w czasie ich narad. Bonaparte znajdzie się u ich granic, lecz Anglia będzie pod ich drzwiami. Hornblower podjął decyzję.

— Panowie — powiedział — uważam, że jest moim obowiązkiem przewieźć was do Rosji na jednostkach mojej eskadry. Mogę zaofiarować wam gościnę na tym okręcie, jeśli raczycie ją przyjąć.

Rozdział XI

Mimo że Wychwood był parern i gwardzistą, że miał mały rudy wąsik i zabawne wylupiające oczy, że wyglądał śmiesznie w mundurze, był człowiekiem bystrym i obytym światowcem. Mając lat trzydzieści pięć, odwiedził już dwie trzecie dworów panujących w Europie, poznał ich intrygi, ich mocne i słabe punkty, siły zbrojne, jakie mają do dyspozycji, ich przesady i tradycje. Siedział teraz (na zaproszenie Hornblowera) w jego kabinie, a tymczasem eskadra płynęła po Bałtyku kołysząc się bocznie i wzdłużnie pod uderzeniami silnego wiatru zachodniego. Basse został unieruchomiony w koi przez chorobę morską, toteż nie byli skrępowani jego obecnością — Wychwood zresztą też trochę przybladł na twarzy, a po jego zachowaniu chwilami można było poznać, że coś się dzieje w jego żołądku, lecz dzielnie panował nad sobą.

— Słabością Boniusia — mówił — jest to, że uważa, iż wszelki opór na świecie można zgnieść siłą. Często, oczywiście, ma rację; potwierdza to choćby cała jego dotychczasowa kariera. Czasem jednak bywa w błędzie. Ludzie wolą walczyć — wolą nawet umierać, niż pozostawać dalej niewolnikami jego widzimisię.

— Potwierdza to przykład Hiszpanii — zauważył Hornblower.

— Tak. Ale mimo to z Rosją może być inaczej. Rosja to car, w znacznie większym stopniu, niż można by to powiedzieć o Hiszpanii pod monarchią burbońską. Jeśli Aleksander postanowi ulec groźbom Bonia, to Rosja też ulegnie. Aleksander przełknął już sporo zniewag.

— Połknął też inne rzeczy, nie tylko zniewagi — rzekł sucho Hornblower.

— Ma pan na myśli Finlandię? Tak, absolutna prawda. I wszystkie inne prowincje nadbałtyckie, Litwę, Kurlandię i tak dalej. Pan wie lepiej ode mnie, jak to podnosi bezpieczeństwo St Petersburga — osobiście trudno mi winić go za to. W naszym kraju jego napaść na Finlandię wzburzyła nastroje. Mam nadzieję, że zostanie mu to wybaczone, jeśli stanie się naszym sprzymierzeńcem.

— A jakie są na to widoki?

— Jeden Bóg wie. Jeśli będzie pewien przymierza ze Szwecją, może walczyć. A to zależy od tego, czy Bernadotte jest skłonny pogodzić się z zabraniem mu Pomorza.

— Bonaparte zrobił tu fałszywy krok — zauważył Hornblower.

— Tak, na Boga! Bandera brytyjska jest dla niego jak czerwona płachta dla byka. Wystarczy ją pokazać a już rusza do ataku. Sposób, w jaki zniszczył pan tamten statek — jakże to on się nazywał? — „Blanchefleur” pod samym jego nosem, musiał go doprowadzić do wściekłości. Jeśli coś sprowokuje Szwedów do walki, to właśnie to.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie — westchnął Hornblower, wyraźnie podniesiony na duchu.

Wiedział, że zdobył się na śmiały krok ruszając, by zniszczyć „Blanchefleura”; gdyby polityczne reperkusje tego kroku były niepomysłne, mógłby zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Jedyne jego usprawiedliwieniem będzie ostateczny wynik; ktoś przezorniejszy nie śpieszyłby się i zadowolili obserwowaniem korsarza. Przypuszczalnie w takim wypadku francuz wyśliznąłby się w pierwszą mglistą noc, aby od nowa siać spustoszenie wśród statków brytyjskich, ale nikogo nie można przecież obciążać odpowiedzialnością za mgłę. A gdyby Szwecja przeszła na pozycję otwartej wrogości, cała Anglia żądałaby głowy oficera, który zostałby uznany odpowiedzialnym za to. Ale niech będzie co chce, on czuje, że wybrał najlepszą drogę udowodniając, że Anglia jest dostatecznie silna, żeby uderzyć i nie zawaha się przed użyciem swej siły. W historii rzadko bojaźliwe postępowanie okazywało się mądre.

Ponadto wiozą inne nowiny do St Petersburga. W Hiszpanii Wellington przeszedł do ataku; dwoma desperackimi uderzeniami oczyścił sobie front walki, szturmując Ciudad Rodrigo i Badajoz, a teraz jest gotów uderzyć w serce półwyspu. Świadomość, że duża część armii Bonapartego jest mocno związana z działaniami wojennymi na południu, może dać w rezultacie twarde stanowisko tych, co radzą na północy.

Jego szwagier jest teraz lordem — jeszcze jedno zwycięstwo lub dwa, a zostanie księciem, uświadomił sobie Hornblower. Barbara będzie z niego dumna, a dla Hornblowera był to jeszcze jeden powód do obawy o własne niepowodzenie. Barbara miała wysokie kryteria do porównań. Lecz ona zrozumie. Będzie wiedziała, jak wiele ryzykował na Bałtyku — równie dużo jak jej brat w Hiszpanii; będzie wiedziała, ile potrzebował odwagi cywilnej, aby podejmować tego rodzaju decyzje. Będzie wyrozumiała; w tym momencie Hornblower powiedział sobie, że nie chce, żeby jego żona musiała być dla niego wyrozumiała. Myśl ta wzburzyła go; przeprosił Wychwooda i wyszedł na deszcz lejący z szarego nieba, pochodzić po pokładzie rufowym, gdzie oficerowie popatrywali na niego z ukosa, trzymając się z dala. W eskadrze nie było nikogo, kto by nie słyszał,

że tylko głupcy wchodzą w oczy komodorowi w czasie, gdy przechadza się po pokładzie.

Tu, na północnym Bałtyku, rześki wiatr był lodowaty, nawet teraz, pod koniec maja. Okręty eskadry kiwały się na wszystkie strony na krótkich, stromych falach barwy ołowiu pod ołowianym niebem, zdążając wciąż na północ w kierunku Zatoki Fińskiej, ku Rosji, gdzie ważyły się losy świata. Noc była tylko nieco ciemniejsza od dnia, tu, na sześćdziesiątym stopniu szerokości północnej, pod czystym niebem, bo słońce ledwie się skrywało za widnokrąg, a księżyc lśnił zimnym blaskiem w bladym zmierzchu, gdy minęli Hogland i stanęli w dryf, opodal Lavassaari, żeby podejść do Kronsztadu po wschodzie słońca.

Braun wcześniej wyszedł na pokład i stał oparty o reling, z wyciągniętą szyją; szare pasemko łądu, majaczące w północnej stronie widnokregu, to był jego kraj rodzinny, Finlandia jezior i lasów, podbita niedawno przez cara, z której on był wygnańcem bez cienia nadziei na powrót. Sama postawa zdradzała jego przygnębienie i Hornblowerowi zrobiło się go żal, chociaż myślami krążył niespokojnie wokół przyjęcia, jakie mogło być im zgotowane. Nadchodził zaaferowany Bush, w całej glorii epoletów i szpady, rzucając czujne spojrzenia na pokład i takielunek, żeby się upewnić, iż wszystko na okręcie jest gotowe dobrze znieść lustrację przedstawicieli nieprzyjawnego mocarstwa.

— Kapitanie Bush — odezwał się Hornblower — proszę łaskawie wziąć kurs na Kronsztad.

— Tak jest, sir.

Hornblower bardzo chciał zapytać, czy przygotowania do odpowiednich salutów są już w toku, lecz poniechał tego zamiaru. Może zdać się na Busha we wszelkich sprawach bieżących, a poza tym powinien bardzo uważać, żeby nie zakłócać normalnego funkcjonowania okrętu. Był rad, że nigdy dotąd wydając rozkazy Bushowi, który faktycznie równy był mu rangą, nie zapominał stosować formy prośby. Jakimś cudem takie wyrażenia, jak „będę zobowiązany” czy „zechce pan łaskawie”, zawsze dotąd poprzedzały wydawane przez niego rozkazy.

Obróciwszy się plecami do porannej zorzy skierował lunetę na eskadrę za rufą „Nonsucha”; okręty jeden za drugim zmieniały hals, ustawiając się za jednostką komodorską, najpierw obie korwety, potem dwa kecze bombowe i na końcu kuter.

— Sygnał ogólny — rzucił — „Trzymać lepiej pozycję”.

Chciał, żeby eskadra szła przez skomplikowany tor Wodny w dokładnym, równym szyku, jak koraliki na sznurku. Kącikiem oka zauważył, że Basse i Wychwood przyszli na pokład, udał jednak, że ich nie widzi.

— Powtórzyć sygnał — warknął — z sygnałem rozpoznawczym „Harveya”. „Harvey” odchylił się odrobinę od kursu; młody Mound powinien dobrze uważać na swego sternika, bo inaczej znajdzie się w kłopotcie. Po prawej burcie, na płyciznach ciągnących się od brzegu oranienbaumskiego, boje wyznaczały granice toru wodnego, wijącego się serpentynami to w tył, to do przodu, w sposób niemożliwy do przewidzenia. Gdyby przyszło mu kiedykolwiek przepływać tędy w roli nieprzyjaciela, miałby niełatwe zadanie. Po lewej stronie od dziobu leżały niskie, szare fortyfikacje

Kronsztadu; zakręt toru wodnego skierował „Nonsucha” prosto w tę stronę, tak że w razie walki wszystkie idące w szyku jednostki znalazłyby się pod ogniem z dział. Potem kanał cofnął się do tyłu, aby znowu się wyprostować, czyli że wszystkie statki muszą przechodzić w zasięgu armat Kronsztadu. Przez lunetę Hornblower rozpoznał niebiesko-białą flagę cesarskiej Rosji, powiewającą nad szarymi murami.

— Podnieść sygnał „Stanąc na kotwicy” — rzucił Hornblower do midszypmena sygnałowego, a potem skierował znaczące spojrzenie na Busha, co ten skwitował potakującym ruchem głowy. Miał wszystko gotowe.

Okręt pełził do przodu, coraz bliżej pod zasięg dział.

— Opuścić — rozkazał Hornblower. Sygnał kotwiczenia opadł błyskawicznie w dół i od tej chwili rozkaz zaczął obowiązywać. Sześć lin kotwicznych zawyło wysuwając się przez kluzy. Na sześciu okrętach tysiąc marynarzy pomknęło na maszty i żagle poznikały jak na znak pałeczki czarownika, gdy okręty stanęły na kotwicach.

— Całkiem niezłe — powiedział do siebie Hornblower i uśmiechając się w duszy ze swej słabości pomyślał, że nie wykonano jeszcze żadnej ewolucji ku jego całkowitemu zadowoleniu. Działo na dziobie oddawało salut banderze rosyjskiej; Hornblower dojrzał kłębek dymu z fortecy i zaraz potem do jego uszu doleciał huk pierwszego z dział odwzajemniających salut. Jedenaście wystrzałów, a zatem rozpoznali jego porządek i wiedzę, jaki salut należy się komodorowi. Nadpłynęła łódź z doktorem, żeby wydać świadectwo sanitarne swobody ruchów; doktor miał dużą czarną brodę i mówił kulawą francuszczyzną. Wizyta jego była dobrą okazją do sprawdzenia, jak Braun zna rosyjski — Braun z łatwością przetłumaczył oświadczenie Hornblowera, że na okręcie nie ma chorych na choroby zakaźne. Cała załoga była ogromnie podniecona wizytą w Rosji i stłoczyła się przy burcie, żeby popatrzeć na załogę łodzi rosyjskiej z bosakowym, który zahaczył bosakiem o podwiezia wantowej ale załoga ta nie różniła się wyglądem od obsady każdej innej łodzi — kolorowe koszule w podobnym rodzaju, obszarpane portki i bose stopy — nawet obsługa łodzi szła im całkiem sprawnie. Bush przegnał marynarzy od burty „Nonsucha”; bardzo go rozżłościła ich hałaśliwa ciekawość i głośnie zachowanie.

— Pytlują ozorami jak stado małp — powiedział z oburzeniem do pierwszego oficera. — Więcej tu szumu jak na drzewie obsiadłym przez kawki. Co pomyślą o nas Rosjanie? Niech pan zasadzi ludzi do roboty i nie da im się ruszyć.

W warunkach wątpliwej neutralności najlepiej będzie; jeśli Basse nawiąże najpierw kontakt z lądem. Eskadra po to tylko, przynajmniej pod takim pretekstem, przyplynie do Kronsztadu, żeby jego tu przywieźć z wiadomościami dla szwedzkiego księcia korony. Hornblower kazał opuścić na wodę swój barkas i odesłał w nim Basse'a; łódź wróciła bez pasażera, ale i bez informacji. Basse wysiadł na pomost, a barkas, zgodnie z rozkazem Hornblowera, natychmiast odplynał z powrotem. Nie licząc salutu i wizyty doktora, cesarstwo rosyjskie wolało zignorować istnienie eskadry brytyjskiej.

— Kim my jesteśmy według nich? — fukał Bush, wściekły, jak zwykle, gdy nie mógł działać. Bush wiedział, równie dobrze jak Hornblower, że we wszystkich sprawach związanych z

dypłomacją najlepiej wcale nie okazywać gorliwości, ale nie umiał, jak Hornblower, udawać, że jest spokojny. Obrzucił znaczącym spojrzeniem galowy mundur Hornblowera, ze wstęgą i gwiazdą, przywdziany na wypadek oficjalnej okazji; chciał, żeby Hornblower popłynął z wizytą na ląd do miejscowego gubernatora i zbadał sytuację, lecz on uparł się czekać na zaproszenie. Jak na razie, Anglia przetrwała burzę w Europie bez przymierza z Rosją i stosunki w przyszłości byłyby uproszczone, gdyby Rosja poczyniła teraz pierwsze kroki — byleby je poczyniła. Jego eskadra była tu tylko dlatego, że przywiozła Basse'a, żeby mógł zgłosić się do Bernadotte'a; jeżeli rząd rosyjski zechce skorzystać z jego obecności na tutejszych wodach, aby się z nim skontaktować, to dobrze. W przeciwnym razie będzie musiał obmyślić inny plan.

— Telegraf nie przestaje pracować od chwili wejścia Basse'a na ląd — zauważył Bush z lunetą przy oczach. Trzy cienkie czarne ramiona semafora na szczycie fortecy wymachiwały pracowicie, przekazując nowiny do następnego stanowiska dalej w zatoce. Poza tym nic prawie nie było do oglądania; za płaską wyspą można było dostrzec kilka masztów wskazujących, że jest tam stocznia okrętowa; dwa, a może trzy statki handlowe stały w pobliżu na kotwicy, a kilka łodzi rybackich kręciło się przy swojej robocie.

— Płynie łódź! — wykrzyknął nagle Montgomery.

Z kierunku stoczni mknęła torem wodnym elegancka pinasa, prawie oddalając się prostym kursem od „Nonsucha”.

— Rosyjska bandera cesarska — orzekł Bush. — Potrafi któryś dojrzeć, kto jest tam na pokładzie?

Pinasa była za daleko, żeby można było rozróżnić jakieś szczegóły przez lunetę.

— Chyba widzę złote lamówki — powiedział niepewnie Carlin.

— Dużo nam z tego — mruknął Bush. — I ślepy odgadłby, że na rosyjskiej wojennej pinasie z Kronsztadu będzie ktoś w lamowanym złotem mundurze.

Idąc baksztagiem po szerokim kanale łódź oddalała się, aż jej białe żagle zmalowały do punkcika.

— Proszę łaskawie zawołać mnie, kapitanie Bush, gdyby coś się zaczęło dziać — powiedział Hornblower.

Zszedł do kajuty; Brown zdjął z niego ciężki mundur galowy z epoletami i odszedł. Hornblower zaczął kręcić się nerwowo po kajucie. Otworzył futerał z pistoletami podarowanymi mu przez Barbarę, przeczytał karteczkę dołączoną do podarunku — ostatnie otrzymane od niej słowa — a potem zatrzasnął wieko. Wyszedł na galerię rufową, ale zaraz wrócił. Denerwowała go świadomość, że jest niespokojny; wziął z półki z książkami opis podróży archidiakona Coxe'a i zabrał się na serio do czytania jego niesłychanie nudnych uwag o sytuacji Rosji, chcąc poszerzyć swoje wiadomości o mocarstwach północnych. Wydawało mu się jednak, że czytane słowa nie mają żadnego sensu; odłożył książkę i sięgnął po cienki tomik „Childe Harolda”.

— Napuszone i przesadnie górnolotne — mruknął do siebie, przerzucając stronicę.

Usłyszał wybijanie sześciu szklanek; była dopiero jedenasta rano, a nie mógł przecież sięść do obiadu przed drugą. Wstał z krzesła, rzucił się na koję i zacisnąwszy kurczowo pięści próbował się zdrzemnąć. Nie mógł wrócić na pokład, by się tam przechadzać, jak tego pragnął, bo by to było publicznym przyznaniem się do niepokoju i zdenerwowania. Minuty wlokły się na ołowianych nogach; nigdy dotąd nie czuł się tak osaczony i nieszczęśliwy.

Wybiło osiem szklanek, słyszał, jak zmieniano wachtę; wydało mu się, że minęła wieczność, zanim dobiegły go odgłosy zamieszania na półpokładzie i ktoś zastukał do drzwi. Hornblower ułożył się na koi w pozie całkowitego odprężenia.

— Wejść! — krzyknął i patrzył mrugając na midszypmena, jakby się właśnie zbudził z mocnego snu.

— Płynie do nas łódź, sir — powiedział midszypmen.

— Zaraz przyjdę — odparł Hornblower. — Proszę posłać po mojego sternika.

Brown pomógł mu włożyć mundur galowy. Hornblower wszedł na pokład, gdy łódź była jeszcze dosyć daleko.

— Ta sama pinasa, sir, którą widzieliśmy poprzednio — zauważył Hurst.

Pinasa zbliżyła się do wiatru i zwinęła grotzagiel. Bosakowy obwołał okręt po rosyjsku.

— Gdzie jest pan Braun? — spytał Hornblower.

Obwołanie zostało powtórzone i przetłumaczone przez Brauna.

— Prosi o pozwolenie zahaczenia bosakiem, sir. Mówi też, że ma dla nas wiadomość.

— Niech mu pan powie, żeby stanął przy burcie — polecił Hornblower. Wciąż irytowała go taka zależność od tłumacza.

Załoga łodzi wyglądała elegancko, przyodziana w rodzaj uniformów złożonych z niebieskich koszul i białych spodni, a na ławce rufowej siedział oficer w mundurze wojskowym, z huzarskim szamerunkiem na piersiach, gotowy do wejścia na okręt. Huzar wdrapał się niezręcznie po burcie i rozejrzał wokoło, salutując czekającej na niego grupie oficerów w lamowanych złotem mundurach, po czym podał list mówiąc coś po rosyjsku.

— Od jego cesarskiej mości cara — przetłumaczył Braun z zająknięciem w głosie.

List podany Hornblowerowi był zaadresowany po francusku :

M. LE CHEF D'ESCADRE

LE CAPITAINE SIR HORNBLOWER,

VAISSEAU BRITANNIQUE NOONSUCH

Widocznie sekretarz cara; może kompetentny w innych sprawach, miał wątpliwości co do brytyjskich tytułów i pisowni. List też był po francusku — przyjemnie było móc go sobie* przetłumaczyć bez pomocy Brauna.

PAŁAC CESARSKI PETERHOF

WIELKIE MARSZAŁKOSTWO

DWORU CESARSKIEGO

30 maja 1812

Sir,

Otrzymałem polecenie Jego Cesarskiej Mości Cesarza Wszechrosji, aby wyrazić zadowolenie Jego Cesarskiej Mości na wiadomość o Pańskim przybyciu na wody Jego Cesarskiej Mości. Jego Cesarska Mość i Jego Królewska Wysokość Księżę Szwecji nakazują Panu przybyć na obiad do pałacu w dniu dzisiejszym o godzinie czwartej w towarzystwie Pańskich oficerów. Jego Ekscelencja Minister Marynarki oddaje do Pańskiej dyspozycji łódź, która zawiezie Pana i towarzyszące osoby prosto na nabrzeże, a oficer przekazujący niniejszy list będzie Panu służył za przewodnika. Proszę przyjąć, sir, zapewnienia o moim najwyższym uszanowaniu

KOCZUBEJ, Wielki Marszałek Dworu

— Zostałem zaproszony na obiad z carem i Bernadottem — oznajmił Hornblower; podał list Bushowi; który zagłębił się w niego z mądrą miną, przekrzywiwszy głowę, jakby umiał czytać po francusku.

— Popłynie pan, jak przypuszczam, sir?

— Tak.

Byłoby nietaktem rozpoczynać swoje pierwsze spotkanie z władzami rosyjskimi i szwedzkimi odmową wykonania cesarskiego i królewskiego polecenia.

Hornblower potoczył wokoło spojrzeniem i nagle uświadomił sobie, że wzrok połowy oficerów okrętowych wisiał na jego ustach. Takie publiczne omawianie własnych spraw nie licowało z godnością komodora i odbierało wiele ze splendoru i tajemniczości, jaka powinna go otaczać. W żaloszny sposób odstąpił od swoich dawnych zasad.

— Nie macie nic innego do roboty, jak tylko stać tu i gapić się? — huknął. — Znajdę w razie potrzeby salingi nawet dla starszych oficerów.

Rozeszli się chyłkiem w pochlebającym mu przerażeniu; każdy starał się jak mógł uniknąć wpadnięcia mu w oko, gdy tak groźnie patrzył wokoło. To był bardzo pozytywny wynik jego reprimendy. Spozrzegłszy, że huzar trzyma jeszcze jeden list, wziął go z jego rąk i spojrzął na adres.

— Pułkowniku, to do pana — zwrócił się do Wychwooda, przekazując mu pismo, a potem mówił dalej do Busha: — Car i Bernadotte są w Peterhofie — pałac zaznaczony jest na mapie, na brzegu oranienbaumskim. Oczywiście przejmie pan dowództwo na czas mojej nieobecności.

Na twarzy Busha odbiły się złożone uczucia; Hornblower wiedział, że wspomina inne okazje, kiedy on zostawiał mu dowództwo, sam udając się na ląd, by stawić czoło obłąkanemu tyranowi na wybrzeżu Ameryki Środkowej lub by rzucić się w jakąś szaloną przygodę na wybrzeżu francuskim.

— Tak jest, sir.

— Mam zabrać ze sobą moich oficerów — ciągnął Hornblower. — Kto, pana zdaniem, miałby chęć zjeść obiad z carem?

Mógł sobie pozwolić na żartobliwe odezwanie się do Busha, który faktycznie był mu równy rangą — zwłaszcza że przed chwilą utwierdził się w swojej powadze.

— Przypuszczam, że będzie pan potrzebował Brauna, sir?

— Chyba tak.

Obiad z carem to godne pamiętania przeżycie dla każdego młodego oficera, coś, o czym mógłby opowiadać historie do końca swego życia. Zaproszenie byłoby nagrodą za dobrą służbę; a równocześnie jakiś przyszły admirał zdobyłby nieocenione doświadczenie.

— Wezmę Hursta — zdecydował Hornblower; w pierwszym oficerze nie było zadatków na admirała, ale dyscyplina wymagała, aby go włączył do grupy towarzyszących mu oficerów. — I młodego Mounda, jeśli zastąpi go pan w sprawach sygnalizacji. A także któregoś midszypmena. Kogo by pan radził?

— Somers jest najbardziej rozgarnięty, sir.

— Ten grubas? Doskonale, biorę go. Pan także został zaproszony, pułkowniku?

— Tak, sir — odparł Wychwood.

— Musimy być tam o czwartej. Ile czasu zajmie nam droga?

Patrzył na huzara, ale ten go nie rozumiał, więc poszukał wzrokiem Brauna. Tłumacz opuścił pokład, co było absolutnie oburzające. Nakazując opuszczenie pokładu snującym się beczynnymi oficerom, Hornblower nie miał przecież na myśli jego. Ale takie branie dosłownie słów przełożonego było podobne do Brauna, z tą jego fałszywie uniżoną pozą. Rozwścieczony Hornblower kazał posłać po niego i zżymał się aż do jego przybycia; gdy się zjawił, jego pomoc nie

na wiele się przydała, bo huzar, wysłuchawszy tłumaczenia pytania, wznosił tylko oczy ku niebu i wzruszył ramionami, mówiąc — co Braun przetłumaczył — że może to zabrać dwie godziny, a może i cztery. Będąc żołnierzem, huzar nie umiał powiedzieć, ile czasu potrzeba na przebycie tej drogi łodzią.

— Nie możemy, u licha, spóźnić się na wezwanie królewskie — westchnął Hornblower. — Wyruszamy za pół godziny.

Hornblower podszedł punktualnie do burty okrętu. Inni już czekali na niego; tłuste policzki młodego Somersa zrobiły się purpurowe od ucisku halsztuka, Hurst i Mound czuli się nieswojo w mundurach galowych, a Braun stał się w pełnym uniformie.

— Ruszamy — powiedział Hornblower.

Młody Somers zszedł pierwszy, zgodnie z odwieczną zasadą, że młodsi wchodzą do łodzi w pierwszej kolejności. Za nim postępował Braun. Gdy uniósł ramię przechodząc przez burtę, ciasny mundur i kamizelka podniosły się i coś załśniło przez moment u jego pasa; coś czarnego, na czym przypadkiem zatrzymał się wzrok Hornblowera. Musiała to być kolba pistoletu, którego lufa była wepchnięta za pas spodni w tym miejscu na biodrze, gdzie było to najmniej widoczne z zewnątrz. Tłumacz miał naturalnie przypasaną szpadę. Hornblower zaczął się zastanawiać, czemu zabiera też pistolet. Ale już Mound i Hurst ruszyli za nim i Wychwood w szkarłatnej tunice i czapie niedźwiedziej dźwigał się ciężko przez burtę. Teraz powinien iść huzar, a komodor na końcu, lecz huzar cofnął się z uprzejmością całkiem w tej chwili nie na miejscu, ustępując z drogi komodorowi.

— Proszę najpierw, sir — powiedział Hornblower do nic nie rozumiejącego huzara.

Musiał aż tupnąć nogą, żeby żołnierz poszedł przed nim i zaraz sam przeszedł przez burtę przy wtórze gwizdków pomocników bosmańskich, na oczach służbiście salutujących oficerów okrętowych. Padł na ławkę rufową, opatulony swoim grubym płaszczem, a potem dołączył do Wychwooda i Hursta, którzy już byli w małej kajutce na dziobie. Mound z podoficerami i huzarem pozostał dyskretnie na rufie. Sternik rzucił jakąś niezrozumiałą komendę, łódź odbiła i z postawionym żaglem lugrowym ruszyła w kierunku brzegu oranienbaumskiego.

Ze swego miejsca Hornblower widział Brauna siedzącego sztywno na ławce rufowej. Ciekawa jest ta sprawa z pistoletem. Może boi się, że na lądzie zostanie napadnięty lub aresztowany jako niedawny rebeliant i chce mieć czym się bronić. Ale nawet Rosjanie nie ośmieliliby się tknąć oficera w mundurze Brytyjskiej Marynarki Wojennej. To była kolba dużego pistoletu, czarnego pistoletu. Hornblower nagle poruszył się niespokojnie na swoim siedzeniu na schowku, zdjął nogę z kolana i założył ją z powrotem. Pistolet, który widział za pasem u Brauna, był jednym z pary ofiarowanych mu przez Barbarę. Zbyt dobrze pamiętał kształt ich ebonitowych kolb, żeby się mylić.

Obecność złodzieja na okręcie zawsze działa deprymująco i wprowadza niepokój; kraść jest bardzo łatwo, a podejrzenie może zataczać bardzo szerokie kręgi, chociaż nie jest tak w tym wypadku. Mimo wszystko oskarżenie Brauna o przestępstwo i wymierzenie mu kary nie będzie należeć do przyjemności. Angielski pistolet z gwintowaną lufą i spłonkami — przypuszczalnie pierwszy tego rodzaju, jaki dostał się do Rosji — może osiągnąć bajeczną cenę na dworze rosyjskim.

Braun może liczyć, że dostanie za niego dwieście, a nawet trzysta gwinei. Jednakże mimo swego uprzedzenia do Brauna Hornblower nie potrafił uwierzyć, że mógłby on być zdolny choćby do drobnej kradzieży.

Nagle sternik wykrzyknął nowy rozkaz i pinasa przeszła na przeciwny hals; w czasie tej operacji trzeba było opuścić rejkę z żaglem i znów ją postawić i Hornblower przyglądał się tym czynnościom z zawodową ciekawością. Marynarze rosyjscy pracowali szybko i zręcznie, ale tego można było oczekiwać od załogi pinasy specjalnie przydzielonej do służby w rosyjskiej admiralacji. „Nonsuch”, daleko za rufą, zniknął już za widnokretem. Przemknęli obok boi, która pojawiła się przy burcie łodzi, z szybkością świadczącą o dużej prędkości posuwania się pinasy po wodzie.

— Płyniemy teraz na południowy zachód, sir — zauważył Hurst — zboczyliśmy z toru wodnego.

Wyszedł z kajutki i skierował wzrok przed siebie.

— Łąd na wprost przed nami, sir — meldował — ale nie widać żadnego pałacu.

— Nie znam zupełnie Peterhofu — odezwał się Wychwood. — Byłem w Carskim Siole i w starym Pałacu Zimowym jako młodszy oficer sztabu Wilsona przed Tylżą. Peterhof to jeden z mniejszych pałaców. Sądzę, że wybrali go na to spotkanie, żeby Bernadotte mógł się tam dostać bezpośrednio drogą morską.

Nie miało sensu zastanawiać się, jaki będzie wynik tego wieczornego spotkania, ale pokusa była wielka. Upłynęły minuty, zanim sternik wykrzyknął następną komendę. Ściągnięto żagiel lugrowy i gdy pinasa stanęła dziobem do wiatru, pojawiły się obok niej pale pomostu. Rzucono cumy i łódź stanęła przy szerokim trapie opuszczonym w wodę z końca pomostu. Tym razem uprzejmość oficera rosyjskiego była na miejscu. Zgodnie z etykietą marynarki wojennej, najstarszy rangą wychodził z łodzi jako pierwszy, a wchodził jako ostatni; Hornblower wysunął się z małej kajuty, stanął na trapie i zaczął wchodzić, upewniając się w pośpiechu, czy trójgraniasty kapelusz siedzi prosto na głowie i czy szpada zwisa prawidłowo. Gdy doszedł do szczytu trapu, ktoś rzucił rozkaz; czekała tam w szeregu kompania honorowa, złożona z dwudziestu grenadierów w czapach futrzanych i niebieskich mundurach. Sposób, w jaki przyłożyli lewe ręce do piersi, prezentując broń, wydał się niezbyt zgrabny człowiekowi przywykłemu do odbierania honorów od żołnierzy Królewskiej Piechoty Morskiej. Jednakże uniformy i postawa żołnierzy wyglądały dziwnie znajomo; Hornblower uświadomił sobie, że przypominają mu drewniane żołnierzyki, którymi bawił się Ryszard — pudło niemieckich żołnierzyków, przemycone z kontynentu europejskiego mimo blokady, podarował mu któryś z przyjaciół Barbary z dyplomacji. Rzecz jasna, armia rosyjska została zorganizowana na wzór niemieckiej, a mundury niemieckie wprowadził Piotr III. Hornblower sztywno odsalutował oficerowi dowodzącemu kompanią, stojąc na baczność, aż pozostali towarzysze dołączyli do niego; huzar powiedział coś szybko do Brauna po rosyjsku.

— Czekają na nas powozy, sir — przetłumaczył Braun.

Hornblower zobaczył je na końcu pomostu, dwa wielkie, otwarte landa, zaprzężone w piękne konie; woźnice siedzący na swoich miejscach mieli pudrowane harcapy i odziani byli w czerwone

liberie — nie szkarłatne, jak mundury brytyjskiej armii czy liberie na brytyjskim dworze królewskim, lecz w bardziej stonowanym odcieniu truskawkowym. Lokaje w podobnych strojach stali przy koniach i przy drzwiczkach powozów.

— Starsi rangą oficerowie jadą pierwszym powozem — wyjaśniał Braun.

Hornblower wsiadł, a za nim Wychwood i Hurst; uśmiechając się przepaszająco, do landa wsiadł również huzar i ulokował się plecami do koni. Trzasnęły drzwiczki. Jeden lokaj usiadł na koźle obok woźnicy, drugi wskoczył na tył powozu i konie pomknęły naprzód. Kręta droga prowadziła przez rozległy park, gdzie połacie trawników przeplatały się z grupami drzew; tu i ówdzie fontanny strzelały w niebo wysokimi strugami wody, a przy marmurowych basenach stały najady z marmuru. Czasem zakręt drogi otwierał widok na cudowne, trawiaste obszary zieleni, schodzące tarasami w dół, z długimi marmurowymi schodami i prześlicznymi pawilonikami, też z marmuru. Lecz przy każdym zakręcie, przy każdej fontannie i każdym pawilonie stali na straży wartownicy, sztywno prezentujący broń przed mijającymi ich w pędzie landami.

— Od trzech pokoleń wszyscy carowie padają ofiarą morderstwa — zauważył Wychwood. — Tylko niewiasty umierają we własnych łóżkach. Aleksander podjął, jak widać, środki ostrożności.

Powóz minął jeszcze jeden ostry zakręt i wyjechał na szeroki, wysypany żwirem plac defiladowy; na drugim jego końcu Hornblower ledwo zdążył zobaczyć pałac, w wątpliwym stylu rokoko, z różowego i szarego kamienia, z kopułami na obu końcach, gdy już powóz podjechał pod fronton, gdzie czekał, salutując, jeszcze jeden wartownik. Lokaj w białą pudrowaną peruce otworzył drzwi. Wypowiedziawszy kilka uprzejmych słów po rosyjsku, huzar poprowadził przybyłych schodami z różowego marmuru do wysokiego hallu. Służba rzuciła się ku nim gromadnie odbierać okrycia łodziowe. Hornblower przypomniał sobie, że należy włożyć trójganiasty kapelusz pod pachę, a pozostali poszli za jego przykładem. Szli w stronę rozsuniętych szeroko drzwi, gdzie powitał ich dystyngowany urzędnik w mundurze koloru tej samej cesarskiej czerwieni, prześwitującej spod złotych lamowań. Na głowie miał pudrowaną perukę, w ręku trzymał hebanową laskę ze złotą główką.

— Koczubej — przedstawił się. — Wielki marszałek pałacu. — Mówił niezłą francuszczyzną. — Komodor Hornblower? Lord Wychwood?

Obaj wymienieni skłonili się, a Hornblower przedstawił pozostałych; widział, że wielki marszałek przebiegł wszystkowiedzącym wzrokiem po ich mundurach, upewniając się, że nic, co nie byłoby godne carskiego dworu, nie dostanie się do jego wnętrza, po czym zwrócił się znowu do Hornblowera i Wychwooda.

— Jego ekscelencja minister marynarki wojennej będzie zaszczycony, jeśli komodor Hornblower udzieli mu czasu na krótką rozmowę.

— Jestem do usług jego ekscelencji — odpowiedział Hornblower — lecz przybyłem tu na polecenie jego cesarskiej mości.

— To bardzo miło z pańskiej strony, sir. Będzie trochę czasu przed pojawieniem się jego

cesarskiej mości. A jego ekscelencja minister spraw zagranicznych będzie podobnie zaszczycony kilkuminutowym spotkaniem z lordem Wychwoodem.

— Jestem do usług jego ekscelencji — odparł Wychwood. Jak na kogoś z jego doświadczeniem mówił bardzo marnie po francusku.

— Dziękuję — zakończył rozmowę Koczubej.

Odwrócił się i gestem przywołał jeszcze trzech wyższych urzędników dworu. Mieli mniej złotych lamowań od Koczubeja, a po złotych kluczach wyhaftowanych na klapach liberii Hornblower poznał, że to szambelanowie. Nastąpiły dalsze prezentacje i wymiana ukłonów.

— Może będzie pan łaskaw pójść ze mną, sir — odezwał się Koczubej do Hornblowera.

Dwaj szambelanowie zajęli się młodszymi oficerami, trzeci Wychwoodem, a Koczubej poprowadził Hornblowera. Odchodząc Hornblower rzucił ostatnie spojrzenie na swoich ludzi. Nawet opanowany Hurst i świadomie flegmatyczny Mound wyglądali na przerażonych, pozostając w pałacu cesarskim bez swego dowódcy. Hornblowerowi przypominali dzieci oddawane przez rodziców w ręce nie znanej niani. Braun natomiast sprawiał zupełnie inne wrażenie. Jego zielone oczy pały podnieceniem, a rysy twarzy były napięte inaczej niż dotychczas; rzucał wokół spojrzenia jak ktoś gotujący się do jakiegoś rozstrzygającego czynu. Hornblowera ogarnęły złe przecucia; zaaferowany wyjściem na rosyjski ład zapomniał o Braunie, o skradzionym pistolecie, o wszystkim, co wiązało się z Braunem. Potrzebował czasu na zastanowienie się, ale nie miał go, popędzany przez Koczubeja. Przeszli przez wspaniałą salę — Hornblower ledwie zauważył meble, obrazy i posągi — oraz przez drzwi na jej końcu rozsunięte przez dwóch lokai, których były tu chyba setki. Korytarz, szeroki i wysoki, bardziej przypominał galerię obrazów, ale Koczubej poszedł jeszcze tylko parę kroków dalej, by stanąć nagle przed nie rzucającymi się w oczy drzwiami. Błyskawicznie pojawili się znowu dwaj lokaje, otwierając drzwi prowadzące prosto na strome, kręcone schody. W połowie drogi były znowu drzwi, tym razem pilnowane przez czterech krzepkich żołnierzy w różowych mundurach, wysokich butach i workowatych spodniach. Byli to pierwsi Kozacy widziani przez Hornblowera na własne oczy. Cofnęli się pod ścianę, żeby zrobić przejście, prawie tarasując sobą wąskie schody; Hornblower musiał przecisnąć się obok nich. Koczubej zaskrobał do drzwi i od razu je otworzył, pociągając Hornblowera za sobą nieomal konspiracyjnym gestem.

— Sir Hornblower — zameldował zamknąwszy drzwi.

Zwalisty mężczyzna w stroju przypominającym mundur marynarki wojennej, z epoletami i rzędem orderów na piersiach, był pewnie ministrem marynarki; przywitał kordialnie Hornblowera dobrą francuszczyzną, przepaszając uprzejmie, że nie mówi po angielsku. Ale w odległym rogu pokoju był ktoś jeszcze, wysoki i szczupły, we wspaniałym jasnoblękitnym mundurze. Ten uderzająco przystojny mężczyzna wyglądał jak przybysz z innego świata; bladość policzków o barwie kości słoniowej, podkreślona czernią krótko przystrzyżonych bokobrodów, nadawała mu wygląd raczej nienaturalny niż chorowity. Siedział nieruchomo, wyprostowany, w ciemnym kącie, czubki palców oparłszy na stojącym przed nim niskim stoliku. Żaden z Rosjan nie dawał jawnie poznać po sobie, że wie o jego obecności, ale Hornblower wiedział, że to jest car; pomyślał szybko,

że skoro urzędnicy carscy udają, że go tu nie ma, to i on będzie robił to samo. Trzymał wzrok utkwiony w ministra marynarki.

— Tuszę — przemówił ten ostatni — że jest pan w dobrym zdrowiu?

— Dziękuję — odparł Hornblower — czuję się świetnie.

— A pańska eskadra?

— Również czuje się doskonale, wasza ekscelencjo.

— Czy potrzeba jej czegoś?

Hornblower zaczął się szybko zastanawiać. Z jednej strony chciał uchodzić za absolutnie niezależnego, z drugiej jednak nękała go świadomość, że wkrótce zabraknie im wody. W podświadomości każdego oficera dowodzącego okrętem czy eskadrą zawsze tkwiła pamięć o podstawowej, pilnej potrzebie odnawiania zapasów wody pitnej. A minister marynarki — nawet rosyjskiej — musi zdawać sobie z tego sprawę.

— Drewno opałowe i woda, jak zawsze — rzekł Hornblower — bardzo by się przydały.

— Dowiem się, czy będzie można wysiać jutro rano barkę z wodą do waszej eskadry — powiedział minister.

— Dziękuję waszej ekscelencji — odparł Hornblower, zastanawiając się, o co zostanie poproszony w zamian.

— Poinformowano pana — spytał minister, zmieniając temat w tak oczywisty sposób, że Hornblower mógł przypisać to tylko zdenerwowaniu obecnością cara przysłuchującego się rozmowie — że Bonaparte zajął Pomorze Szwedzkie?

— Tak, wasza ekscelencjo.

— I co pan sądzi o tym?

Hornblower zwlekał przez chwilę z odpowiedzią układając w myślach zdania po francusku.

— Typowy bonapartyzm — odpowiedział. — Toleruje neutralność słabych państw, jak długo ma z tego korzyść. Gdy dojdzie do wniosku, że jest mu to niewygodne, wysyła zdradziecko swoje wojska, a w ślad za nimi wloką się wszystkie plagi bonapartyzmu: terror, głód i niedola. Więzienie, rozstrzeliwania i tajna policja. Obskubuje bankierów i kupców ze wszystkiego, co posiadają. Mężczyzn wciela do szeregów swojej armii, a kobiety — wszyscy wiedzą, co się dzieje z kobietami.

— Lecz pan nie wierzy, aby jego celem była tylko grabież?

— Nie, wasza ekscelencjo, chociaż grabież zawsze przydaje się obciążonym do granic

możliwości finansom Bonapartego. Najechał Pomorzem w momencie, gdy się okazało, że wskutek pojawienia się mojej eskadry przestało ono być przydatne jako neutralna baza dla jego korsarzy.

W tym momencie Hornblowera ogarnęło natchnienie; wyraz jego twarzy musiał się zmienić, bo gdy się wahał, minister ponaglił go z wyraźnym zaciekawieniem.

— Monsieur chciał powiedzieć, że...

— Bonaparte ma teraz kontrolę nad całym wybrzeżem Bałtyku, aż do granic posiadłości jego cesarskiej mości. Byłoby to dla niego najbardziej korzystne w jednym szczególnym wypadku, wasza ekscelencjo. W wypadku gdyby zdecydował się przypuścić atak na Rosję. — Hornblower wypowiedział te słowa z całą mocą, na jaką potrafił się zdobyć, a minister kiwał potakująco głową — Hornblower nie ośmielił się, chociaż bardzo chciał, spojrzeć na cara i przekonać się, jakie wrażenie sprawiły na nim jego słowa.

— Bonaparte nie czułby się pewnie, jeśli chodzi o łączność, z Pomorzem w rękach szwedzkich, tak długo, jak długo flota brytyjska byłaby obecna na Bałtyku. To zbyt dogodna baza do ochranianego przez moją eskadrę ataku na jego tyły. Teraz wyeliminował to niebezpieczeństwo — gdyby zaatakował Rosję, mógłby maszerować ze swoją armią na St Petersburg bez obawy, że zostanie odcięty. I to jest dodatkowe zagrożenie posiadłości jego cesarskiej mości.

— Jak poważne są, pańskim zdaniem, te groźby dla Rosji, sir?

— Groźby Bonapartego zawsze są poważne. Wasza ekscelencja zna jego metody. Żądania ustępstw, a po ich udzieleniu dalsze żądania, coraz bardziej osłabiające kraj, do którego są kierowane tak długo, aż przedmiot jego zabiegów staje się zbyt słaby do dalszego stawiania mu oporu lub przynajmniej na tyle osłabiony, że zbrojny opór może skończyć się dla niego fatalnie. Bonaparte nie spocznie, póki jego żądania nie zostaną spełnione, a to, czego pragnie, to nic innego jak panowanie nad światem, wzięcie w niewolę wszystkich narodów.

— Monsieur jest bardzo elokwentny.

— Jestem elokwentny, bo mówię z serca, wasza ekscelencjo. Przez dziewiętnaście lat, od wieku chłopięcego, służę mojemu krajowi w jego zmaganiach z tą monstrualną potęgą, rzucającą cień na Europę.

— Z jakim skutkiem walczy pański kraj?

— Mój kraj jest wciąż wolny. W historii świata to wiele znaczy. A teraz jeszcze więcej. Anglia odwzajemnia ciosy. Portugalia i Sycylia są też wolne, dzięki Anglii. Jej wojska wmaszerują do Hiszpanii właśnie w chwili, gdy ja tu przemawiam do waszej ekscelencji. Wkrótce Bonaparte będzie musiał bronić przed nimi samych granic swego imperium, którym tak się chełpi. Znaleźliśmy słaby punkt w tej ogromnej konstrukcji; wnikamy w nią, w same jej fundamenty, i wnet cała skomplikowana budowla runie, zmieniając się w ruinę.

W małej komnacie musiało być bardzo gorąco; Hornblower czuł, że poci się w grubym

mundurze.

— A tu, na Bałtyku?

— Anglia dotarła i tutaj. Od dziś ani jeden okręt Bonapartego nie ruszy się bez mojego pozwolenia. Anglia proponuje swoje poparcie. Jest gotowa dawać pieniądze i broń, pomagać każdemu państwu pragnącemu przeciwstawić się tyranowi. Bonaparte jest okrążony od południa, zachodu i północy. Został mu tylko wschód. Tam będzie chciał uderzyć i tam musi napotkać opór.

Słowa te skierowane były faktycznie do przystojnego, bladego młodzieńca w ciemnym kącie komnaty. Minister marynarki ryzykuje znacznie mniej w dziedzinie polityki międzynarodowej niż jego władca. Inni królowie w razie wojny mają do stracenia jedną lub dwie prowincje czy też własną godność i dobre imię, ale car Rosji, najpotężniejszy i najbardziej autokratyczny z nich wszystkich, ryzykuje własnym życiem, i to bez przesady. Słowo cara może posłać szlachcica na Syberię; następne słowo może wysłać na wojnę pół miliona ludzi; jeśliby jednak któryś z tych kroków okazał się fałszywy, car zapłaciłby za to własnym życiem. Klęska na polu bitwy, chwilowa utrata kontroli nad dworakami czy własną strażą, i car jest skazany najpierw na detronizację, a potem na niechybną śmierć z rąk morderców. Taki był los jego ojca, jego dziada i pradziada. Jeśli będzie walczył, lecz bez powodzenia, lub jeśli nie wdając się w walkę utraci swój prestiż, zaduszą go czerwonym szalem albo wpakują mu tuzin mieczów między żebra.

Pozłacany zegar z brązu zawieszony na ścianie zaczął srebrzyście wydzwaniać godziny.

— Widzi pan, ekscelencjo, godzina wybija — powiedział Hornblower. Cały drżał z ogromnego podniecenia. Czuł się słaby i pusty.

— Rzeczywiście, godzina wybija — odparł minister. Usilnie starał się nie patrzeć na cara. — Jeśli chodzi o zegar, to ogromnie żałuję, lecz przypomniał mi on, że jeśli zatrzymam pana dłużej, spóźni się pan na przyjęcie u cesarza.

— Absolutnie nie mogę się spóźnić — rzekł Hornblower.

— Muszę panu podziękować, kapitanie, za jasność, z jaką wyłożył pan swoje poglądy. Będę miał przyjemność spotkać się jeszcze z panem na przyjęciu. Jego ekscelencja Wielki Marszałek wskaże panu drogę do Sali Taurydzkiej.

Hornblower skłonił się, dalej uważając, aby jego oczy nie zwróciły się w kierunku cara, udało mu się też opuścić komnatę nie odwracając się do cara plecami ani nie czyniąc tego w zbyt rzucający się w oczy sposób. Przepisnęli się obok Kozaków i zeszli schodami z powrotem na parter.

— Proszę tędy, sir.

Rozdział XII

Lokaje otwarli jeszcze jedne ogromne podwoje i Hornblower z Koczubejem weszli do wielkiej sali o wysokim kopulastym suficie. Ściany były z marmuru i złota, a w sali pełno było mężczyzn w mundurach we wszystkich barwach tęczy i kobiet w strojach dworskich, z piórami i

trenami. Światło niezliczonej liczby świec odbijało się w orderach i klejnotach.

Grupa mężczyzn i kobiet śmiejących się i dowcipkujących po francusku rozstała się, aby przyjąć Hornblowera i Wielkiego Marszałka.

— Mam zaszczyt przedstawić... — zaczął ten ostatni. Prezentacja trwała dosyć długo: hrabina Taka, baronowa Owaka, księżna Jakaśtam, piękne kobiety, niektóre o wyzywającym spojrzeniu, inne patrzące rozmarzonym wzrokiem. Hornblower kłaniał się i kłaniał, a gwiazda Orderu Łaźni odbijała się od jego piersi za każdym razem, kiedy się prostował.

— Kapitanie, będzie pan partnerem hrabiny Canerine — oznajmił Wielki Marszałek, i Hornblower skłonił się raz jeszcze.

— Jest mi ogromnie miło — powiedział.

Hrabina miała najśmielsze spojrzenie i była najurodziwszą ze wszystkich obecnych kobiet; jej oczy pod łukami brwi były ciemne i wilgotne, a równocześnie płonące wewnętrznym ogniem. Cera twarzy o doskonałym owalu przypominała płatek róży, a głęboki dekolt stroju dworskiego ukazywał wspaniałe śnieżnobiałe piersi.

— Jako znakomity obcokrajowiec — ciągnął Wielki Marszałek — będzie pan szedł zaraz za ambasadorami i ministrami. Przed panem ambasador perski, jego ekscelencja Gorza-chan.

Wielki Marszałek wskazał osobnika w turbanie i diamentach; Hornblower miał szczęście, że człowiek, za którym miał postępować, okazał się osobą najłatwiejszą do rozpoznania w tłumie obecnych. Spoglądali oni z większym jeszcze zainteresowaniem na angielskiego kapitana, wyróżnionego w taki sposób; hrabina przebiegła po nim badawczym wzrokiem, lecz Wielki Marszałek przerwał wymianę spojrzeń, kontynuując prezentację. Mężczyźni odpowiadali ukłonami na ukłony Hornblowera.

— Jego cesarska mość — powiedział Wielki Marszałek, wypełniając pauzę w rozmowie po dokonaniu prezentacji — będzie miał na sobie mundur Gwardii Simonowskiej.

Hornblower dojrzał Wychwooda, z czapą niedźwiedzią pod pachą, i Basse'a obok niego, przedstawianych innej grupie w drugim końcu sali. Skinęli sobie głowami i Hornblower, nieco roztargniony, włączył się do rozmowy swojej grupy. Hrabina zapytywała go o okręt, więc zaczął mówić jej o „Nonsuchu”. Przez przeciwległe drzwi wmaszerowali dwurzędem żołnierze, wysocy, młodzi mężczyźni w napierśnikach lśniących srebrzyście — i były pewnie ze srebra — w srebrnych hełmach z kitami białych pióropuszy.

— Gwardia rycerska — objaśniła hrabina. — Sami młodzieńcy ze szlacheckich rodów.

Patrzyła na nich z wyraźną aprobatą; ustawili się pod ścianami, w odstępach dwóch, może trzech jardów, zatrzymując się, jak srebrne posągi, po dojściu do swoich stanowisk. Tłum odsuwał się wolno ze środka sali, zostawiając tam puste miejsce. Hornblower zastanowił się, gdzie może być reszta jego oficerów; rozejrzał się i zauważył następną grupę postaci w mundurach na galerii

obiegającej trzy czwarte obwodu kopuły na poziomie pierwszego piętra. Stamtąd mniej ważni goście będą mogli przyglądać się wielkim na dole. Zobaczył Hursta i Mounda przechylonych przez balustradę. W tyle za nimi młody Somers, z kapeluszem o niskiej główce w ręku, mówił coś, pomagając sobie skomplikowanymi gestami, do trójki pięknych dziewcząt, które trzymając się nawzajem siebie chwiały się od śmiechu. Bóg jeden wie, w jakim języku próbował rozmawiać Somers, ale widać było, że robi przyjemne wrażenie.

Hornblower niepokoił się o Brauna; trudno mu jednak było zebrać myśli pod wpływem gwałtownej reakcji w wyniku swojej przemowy, wśród gwaru rozmów i przepychu, jaki go otaczał, pod ciężkimi spojrzeniami hrabiny. Trzeba się zmusić do pamiętania o tej sprawie. Pistolet za pasem Brauna — wyraz zawziętej nienawiści na jego twarzy — ta galeria w górze. Potrafiłby poskładać te elementy łamigłówki w całość, gdyby tylko zostawiono go na chwilę w spokoju.

— Księżę Szwecji ukaże się razem z jego cesarską mością — mówiła hrabina.

Księżę Szwecji! Bernadotte, założyciel nowej dynastii, który wyrugował Gustawa, a dla Gustawa Braun ryzykował życie i majątek. Aleksander zajął Finlandię, Bernadotte porzucił mu ją na pastwę. Aleksander i Bernadotte to dwaj ludzie, których Braun ma chyba największy powód nienawidzić na całym świecie. A Braun jest uzbrojony w pistolet, który nigdy nie daje niewypałów, z dwoma gwintowanymi lufami i ze spłonkami, i niesie celnie na odległość pięćdziesięciu jardów. Hornblower omiół spojrzeniem galerię. Braun był tam, w drugim końcu; stał, nie rzucając się w oczy, między dwoma kolumnami. Trzeba natychmiast coś zrobić. Wielki Marszałek gawędził uprzejmie z dwoma dworakami i Hornblower zwrócił się do niego, zostawiając hrabinę i przerywając niegrzecznie rozmowę pod wymyślonym na poczekaniu pretekstem.

— Niemożliwe! — odpowiedział Wielki Marszałek spojrzawszy na zegar. — Jego cesarska mość i jego księżęca wysokość pojawią się za trzy i pół minuty.

— Przykro mi — nalegał Hornblower — naprawdę ogromnie mi przykro, ale muszę... to rzecz absolutnie niezbędna... nie cierpiąca zwłoki...

Hornblower podskakiwał prawie z niepokoju, co wzmacniało podany przez niego powód. Wielki Marszałek rozważał w myśli możliwość wyboru pomiędzy niepożądanym przerwaniem ceremoniału dworskiego a obrażeniem kogoś, komu — sądząc po odbytej przed chwilą rozmowie — car mógł dać posłuch.

— Niech pan idzie przez te drzwi, sir — rzekł w końcu niechętnie, wskazując kierunek — i proszę, sir, niech pan wróci nie zwracając na siebie uwagi.

Hornblower ruszył spiesznie, prześlizgując się bokiem możliwie niepostrzeżenie między grupkami ludzi, w kierunku drzwi; minawszy je, zaczął rozglądać się w desperacji. Szerokie schody z lewej strony wiodły najprawdopodobniej na galerię. Przytrzymał ręką pochwę szpady, żeby mu nie przeszkadzała, i popędził w górę, przeskakując po dwa stopnie na raz; przebiegł obok jednego czy dwóch lokai, którzy nawet nie spojrzeli na niego. Na galerii było tłoczno, suknie nie były tu tak piękne, a mundury mniej okazałe. Hornblower podążył długimi krokami w drugi koniec, gdzie zauważył Brauna. Udawał, że przechadza się nonszalancko. Mound pochwycił jego spojrzenie.

Hornblower nie miał czasu na wyjaśnienia i wolał nie ryzykować odezwania się choćby słowem; patrzył tylko na Mounda bardzo znacząco w nadziei, że pójdzie za nim. Z dołu dobiegł odgłos otwieranych drzwi i gwar rozmów ustał nagle. Ktoś głośno, ochryple zaanonsował:

— L'Empereur! L'Imperatrice! Le Prince Royal de Suede!

Braun stał między dwoma kolumnami patrząc w dół. Rękę miał przy talii; wyjmował pistolet. Był tylko jeden cichy sposób powstrzymania go. Hornblower wyszarpnął szpadę — ze złotą rękojeścią, o wartości stu gwinei, dar Funduszu Patriotycznego, z ostrzem jak brzytwa — i ciął w nadgarstek ręki trzymającej pistolet. Palce dłoni o napiętych ścięgnach rozwarły się bezwładnie i pistolet upadł ciężko na wysłaną dywanem posadzkę. Braun, kompletnie zaskoczony, odwrócił się i spojrzał najpierw na krew buchającą z nadgarstka, a potem na twarz Hornblowera. Hornblower przyłożył mu czubek ostrza szpady do piersi; mógł pchnąć i zabić go błyskawicznie i każdy rys jego twarzy musiał mówić, że jest gotów to uczynić w razie konieczności, Braun bowiem nie odezwał się ani nie poruszył. Ktoś pojawił się obok Hornblowera; Bogu dzięki, to Mound.

— Niech go pan pilnuje — powiedział Hornblower szeptem. — Podwiążcie mu rękę! Zabierzcie go jakoś stąd.

Spojrzał przez balustradę. Mały orszak królewski przechodził w dole przez ogromne podwoje na wprost niego — Aleksander w swoim błękitnym mundurze; wysoki, śniady mężczyzna z wielkim nosem — to na pewno Bernadotte; kilka niewiast, wśród nich dwie w koronach — zapewne żona cesarza i cesarzowa-matka, i reszta w pióropuszech. Braun miałby najłatwiejszy strzał, jaki można sobie wymarzyć. Dworacy zgromadzeni w wielkiej sali oddawali hołd, mężczyźni kłaniając się nisko, a kobiety wykonując dworskie dygi. Gdy Hornblower patrzył, wszyscy wyprostowali się naraz, a ich pióropusze i mundury przypominały załamującą się falę kwiecica. Oderwał wzrok od tego widowiska, wsunął szpadę do pochwy i podniósłszy pistolet z podłogi, wetknął go za pas spodni. Mound, zwykle nonszalancko powolny, poruszając się teraz szybkimi, kocimi ruchami, objął swoimi długimi rękami Brauna, który przechylił się na niego. Hornblower wyjął spieszenie chustkę i wetknął ją do ręki Mounda, ale nie miał już czasu na nic więcej. Odwrócił się i pobiegł z powrotem przez galerię. Zgromadzeni tu mniej ważni dworacy już wyprostowali się z ukłonów i dygów i zaczęli się rozglądać i wracać do rozmowy. Całe szczęście, że w kulminacyjnym momencie oczy i uszy wszystkich były zwrócone na orszak królewski. Hurst i Somers mieli właśnie podjąć przekomarzenie się z niewiastami, gdy Hornblower pochwycił ich spojrzenia.

— Idźcie tam, do Mounda — powiedział. — Potrzebuje waszej pomocy.

Zbiegł schodami, znalazł drzwi do sali audiencyjnej i przepchał się do niej między lokajami i strażą. Rzut oka wystarczył na odszukanie swojej grupy. Przedostał się do niej i zajął miejsce u boku hrabiny. Orszak królewski obchodził salę rzucając zwykłe uwagi do co znaczniejszych osobistości i po kilku zaledwie minutach dotarł do Hornblowera. Wielki Marszałek przedstawił go i Hornblower, oszołomiony ostatnimi wypadkami jak z koszmarne go snu, skłonił się po kolei każdej koronowanej głowie i Bernadotte'owi.

— Miło mi poznać komodora Hornblowera — przemówił uprzejmie Aleksander. — Wszyscy słyszeliśmy o jego wyczynach.

— Wasza cesarska mość jest zbyt łaskaw — wydusił z siebie Hornblower.

Orszak królewski ruszył dalej i Hornblower, obróciwszy się, napotkał znowu wzrok hrabiny. Fakt, że car skierował do niego osobiście kilka słów, utwierdził widocznie jej podejrzenia, że Hornblower jest osobą wpływową; w jej oczach pojawił się wyraz zastanowienia.

— Czy długo zostaje pan w Rosji? — spytała.

Teraz, w momencie silnej reakcji, bardzo mu było trudno zatrzymać myśl na czymkolwiek. Chciał tylko móc usiąść i odpocząć w spokoju. Zmusił się do uprzejmej odpowiedzi, a kiedy otaczający go mężczyźni zaczęli zadawać mu pytania na temat Brytyjskiej Marynarki Wojennej i spraw morskich w ogólności, starał się nadludzkim wysiłkiem dawać sensowne odpowiedzi.

Lokaje wtaczali długie stoły bufetowe lśniące od złota i srebra; Hornblower przymusił siebie do uważnego obserwowania innych, żeby samemu nie naruszyć etykiety. Po jednej stronie zasiadł orszak królewski, carowa i car w fotelach, księżęta i księżniczki w krzesłach z prostymi oparciami, i wszyscy obecni musieli uważać, żeby stale mieć twarze zwrócone w tamtym kierunku, aby nie popełnić okropnej zbrodni ukazania osobom krwi królewskiej pleców zwykłych śmiertelników. Goście zaczęli brać jedzenie z bufetów i mimo wysiłków Hornblower nie zdołał spostrzec, by przestrzegano zasad pierwszeństwa. Oto ambasador perski chrupał coś, po co sięgnął do złotego półmiska, i Hornblower poczuł się w prawie sięgnąć po to sarno. Mimo wszystko był to najdziwniejszy obiad, w jakim kiedykolwiek brał udział; wszyscy stali, z wyjątkiem orszaku królewskiego, zaś jego członkowie, jak widział, nic nie jedli.

— Czy mogę podać pani ramię, hrabino? — powiedział, gdy jego grupa ruszyła w stronę bufetu.

Dzięki długiej praktyce dworacy opanowali, jak się wydawało, sztukę jedzenia na stojąco, z kapeluszami pod pachą, ale nie było to rzeczą łatwą. Jemu przeszkadzała szpada, a piekielny pistolet za pasem spodni wbijał się w bok. Lokaje obsługujący bufety nie rozumieli po francusku, toteż hrabina przysłała Hornblowerowi z pomocą przy dokonywaniu wyboru.

— To jest kawior — wyjaśniała — a to wódka, trunek ludu, ale chyba i pan stwierdzi, że jedno świetnie pasuje do drugiego.

Hrabina miała rację; ta szara potrawa o nieapetycznym wyglądzie okazała się doskonała w smaku. Hornblower popijał ostrożnie wódkę i będąc w stanie silnego napięcia prawie nie odczuwał jej mocy; jedno było pewne: wódka i kawior świetnie się łączą ze sobą. Poczuł w swym wnętrzu ciepło rozchodzącego się alkoholu i stwierdził, że jest potwornie głodny. W bufecie pełno było różnych rzeczy do jedzenia, niektóre na ciepło, w podgrzewanych naczyniach, inne na zimno; idąc za radą hrabiny, Hornblower zaczął próbować wszystkiego. Była tam waza pełna wspaniałych duszonych grzybów, płaty wędzonej ryby, jakaś sałatka trudna do zidentyfikowania, kilka gatunków serów, jajka na gorąco i na zimno i coś w rodzaju rogout wieprzowego. Znalazły się też inne napoje alkoholowe i w miarę jak Hornblower jadł i pił, humor poprawiał mu się błyskawicznie. Włączył się do rozmowy i czuł rosnącą wdzięczność do hrabiny. Dziwny to zapewne sposób spożywania obiadu, lecz Hornblower uznał, że nigdy dotąd nie próbował takich delicji. Już mu trochę

zaczynało szumieć w głowie; znał od dawna ten sygnał ostrzegawczy, lecz tym razem nie opierał się tak mocno, jak zwykle; złapał się w porę na głośnym wybuchu śmiechu, żeby go opanować. Śmiechy, gwar rozmów, jasne światła; było to jedno z najweselszych przyjęć, w jakich miał okazję brać udział — wydawało mu się, że ktoś zupełnie inny przeciął szpadą nadgarstek Brauna przed godziną. Odstawił talerz z pięknej porcelany na bufet, obok talerzy ze złota, i wytarł usta jedną z leżących tam jedwabnych serwetek. Czuł się przyjemnie najedzony, może troszkę za dużo, przy wypiciu w sam raz; spodziewał się, że wkrótce podadzą kawę, a filiżanka kawy to było wszystko, czego potrzebował, aby całkowicie zadowolić swój żołądek.

— Obiad był wyśmienity — odezwał się do hrabiny.

Po jej twarzy przemknął wyraz wielkiego zdziwienia. Podniosła brwi i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała z tego. Uśmiechnęła się tylko, zakłopotana i zmartwiona. Znow chciała coś powiedzieć, lecz właśnie uroczyście otwarto następne podwoje; wysypało się spoza nich dwudziestu albo i trzydziestu lokai, którzy uformowali szpaler do sali. Hornblower zobaczył, że osoby z orszaku królewskiego powstały z miejsc i ustawiły się w odpowiednim porządku, a całkowite ustanie rozmów oznaczało, że nadszedł jakiś szczególnie uroczysty moment. Pary sunęły przez salę jak okręty zdążające na swoje stanowiska. Hrabina położyła swą rękę na jego ramieniu z delikatnym naciskiem, jakby kierowała nim. Na Boga, formowała się cała procesja za królewską grupą! Ruszył ambasador perski z uśmiechniętą dziewczyną trzymającą go pod rękę. Hornblower ledwo zdążył podejść ze swoją partnerką do przodu, aby zająć w procesji swoje miejsce za ambasadorem. Gdy dołączyły jeszcze dwie, może trzy pary, procesja zaczęła posuwać się do przodu, a jej koniec zaczął się wydłużać. Hornblower pilnował wzrokiem idącego przed nim ambasadora perskiego; przeszli między szpalerem lokai i wkroczyli do następnej komnaty.

Para za parą rozchodziły się, w prawo i w lewo, jak w tańcu wiejskim; ambasador perski skręcił w lewo, więc Hornblower podążył w prawo, nie czekając na gest Wielkiego Marszałka, który stał w pogotowiu, wskazując kierunek w razie wątpliwości. Ogromna sala oświetlona była setkami — tam mu się przynajmniej wydawało — zwisających z sufitu kandelabrow z szkła rżniętego, a przez całą jej długość biegł ogromny stół, który zdezorientowanej wyobraźni Hornblowera wydał się długi na mile, z nakryciami ze złota i kryształu, przystrojony wzdłuż brzegów kwiatami. Stół miał kształt litery T; przy bardzo krótkiej części poprzecznej zajęły już miejsca osoby z orszaku królewskiego. Za każdym krzesłem stał lokaj w białej peruce. Hornblowerowi zaświtało, że obiad dopiero teraz się zacznie; potrawy i napoje podane w kopulastej sali stanowiły coś w rodzaju wstępnej przekąski. Chciało mu się śmiać z siebie za idiotyczny brak orientacji, a równocześnie jęczeć z rozpaczy na myśl, że trzeba będzie zjeść swoje podczas tego obiadu cesarskiego, mając już zupełnie pełny żołądek.

Z wyjątkiem osób z orszaku królewskiego, panowie stali przy swych krzesłach, a panie siedziały; po przeciwnej stronie stołu ambasador perski pochylał się uprzejmie nad młodą kobietą, którą prowadził do stołu; egreta w jego turbanie kiwała się, brylanty lśniły. Gdy ostatnia dama zajęła miejsce, wszyscy mężczyźni usiedli naraz — prawie tak równo, jak żołnierze piechoty morskiej prezentujący broń. Natychmiast podniósł się gwar rozmów i nieomal od razu postawiono przed Hornblowerem złoty talerz do zupy i złotą wazę z różową zupą, żeby sobie nabrał. Nie potrafił powstrzymać się od potoczenia wzrokiem wzdłuż stołu; wszystkim podano zupę równocześnie — stół

musiał być obsługiwany przez co najmniej dwustu lokai.

— To M. de Narbonne, ambasador francuski — objaśniła hrabina wskazując wzrokiem przystojnego młodego człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu, o dwa miejsca wyżej od ambasadora perskiego. — Oczywiście Wielki Marszałek nie przedstawił mu pana. A to jest ambasador austriacki, minister saksoński i minister duński, wszyscy należący oficjalnie do nieprzyjaciół pańskiego kraju. Ambasador hiszpański reprezentuje Józefa Bonapartego, nie zaś uznawany przez was partyzancki rząd hiszpański, toteż i jemu nie mógł pan być przedstawiony. Wątpię, czy poza nami, Rosjanami, jest tu ktoś, komu można by pana przedstawić.

Hornblower pociągnął ze stojącego przed nim wysokiego kielicha łyk chłodnego, żółtawego wina o przyjemnym smaku.

— Na podstawie doświadczeń dzisiejszego dnia mogę stwierdzić — powiedział — że Rosjanie to najmiłsi ludzie na świecie, a kobiety rosyjskie najbardziej czarujące i najpiękniejsze.

Hrabina obrzuciła go szybkim spojrzeniem swoich namiętnych oczu i Hornblowerowi wydało się, że mózg poruszył mu się pod czaszką. Sprzątnięto złoty talerz głęboki i postawiono złoty talerz płaski. Postawiono przed nim nowy kielich i napełniono innym winem — szampanem, musującym, jak jego myśli. Obsługujący go lokaj powiedział coś po francusku, widocznie proponując mu jakiś wybór, ale hrabina wyręczyła go w tym. '

— Ponieważ jest to pańska pierwsza wizyta w Rosji — powiedziała — mogę mieć pewność, że nie próbował pan jeszcze naszego pstrąga z Wołgi.

Mówiąc to sama nakładała go sobie ze złotego półmiska; lokaj Hornblowera podsunął mu inny, również złoty.

— Zastawa ze złota wygląda doskonale — zauważyła hrabina smutnym tonem — ale niestety potrawy stygną na niej szybko. U siebie nigdy nie używam swojej, chyba że goszczę jego cesarską mość. Ponieważ tak samo robi się w większości domów, wątpię, czy jego cesarska mość jada kiedykolwiek gorące posiłki.

Hornblower kroił rybę ciężkim złotym nożem i widelcem, nieprzyjemnie zgrzytającym o złoty talerz.

— Pani ma dobre serce, madame — zauważył.

— Tak — odparła hrabina bardzo znacząco.

Hornblowerowi znów zakręciło się w głowie; szampan, chłodny, o delikatnym smaku wydał mu się szczególnie odpowiedni, żeby temu przeciwdziałać, toteż łapczywie wychylił swój kielich.

Po pstrągu podano małe, tłuste ptaszki na grzance, delikates rozplływający się w ustach, a szampan zastąpiło inne wino. Potem szła duszona dziczyzna i płat pieczeni, chyba baraniej, cudownie pachnącej czosnkiem. Między potrawami podano sorbet[36] o barwie różowej, którego Hornblower próbował po raz trzeci albo czwarty w życiu.

Zagraniczne frykasy — mówił do siebie Hornblower, ale jedzenie smakowało mu i nie miał uprzedzeń do obcej kuchni. Może dlatego pomyślał o „zagranicznych frykasach”, że Bush tak by powiedział, gdyby tu był na obiedzie. A może dlatego, że był lekko pijany — nawyk wewnętrznego kontrolowania się przywiódł Hornblowera do tego niezwykłego wniosku i poczuł się jak ktoś wpadający po ciemku na słup. Nie może przecież upić się reprezentując tu swój kraj; byłby głupcem upijając się w obliczu niebezpieczeństwa grożącego mu osobiście, jako temu, kto wprowadził mordercę do pałacu. Gdyby się ten fakt dostał do publicznej wiadomości, miałby się z pyszna. Niechby się jeszcze dowiedział car, że morderca uzbrojony był w gwintowany pistolet, stanowiący prywatną własność Hornblowera. Wytrzeźwiał bardziej pomyślawszy, że całkiem zapomniał o swoich młodszych oficerach — zostawił ich usiłujących usunąć ранego napastnika i nie umiał sobie wyobrazić, co z nim zrobili.

Siedząca obok hrabina dotknęła pantofelkiem jego stopy, budząc w nim elektryzujący dreszcz i cały spokój się rozwiął. Uśmiechnął się do niej błogo. Hrabina posłała mu długie spojrzenie spod opuszczonych powiek i odwróciła się, mówiąc coś do sąsiada z drugiej strony i w ten taktowny sposób zwracając uwagę Hornblowerowi, że powinien zająć się trochę baronową, do której dotąd prawie się nie odezwał. Zaczął gorączkowo rozmowę, a siedzący za baronową generał w obcym mundurze dragońskim włączył się do niej, pytając o admirała Keatsa, z którym poznał się w roku 1807. Lokaj podawał następne danie; jego owłosiony nadgarstek, widoczny między mankietem a białą rękawiczką, usiany był śladami ukąszeń pcheł. Hornblower przypomniał sobie, że przeczytał w którejś z książek, jakie przestudiował na temat mocarstw północnych, że im dalej na północ, tym bardziej robactwo daje się we znaki — polska pchła jest zła, ale pchła rosyjska nie do wytrzymania. Jeśli jest gorsza od pcheł hiszpańskich, z którymi Hornblower zetknął się bliżej, musi być to pchła wyjątkowo dobrze rozwinięta.

W tym pałacu są pewnie setki — a właściwie tysiące — służby i Hornblower mógł sobie wyobrazić, w jakiej żyją ciasnocie. Tocząc od dwudziestu lat na zatłoczonych okrętach ciągłą walkę z robactwem żerującym na ciałach ludzkich, wiedział doskonale, jak trudno je wytępić. Jednakże angażując swój mózg w dyskusję z generałem dragonów na temat zasad starszeństwa i doboru w Brytyjskiej Marynarce Wojennej, jednocześnie myślał, że byłoby znacznie przyjemniej nie być obsługiwanym przez lokaja pokąsanego przez pchły. Rozmowa wygasła i Hornblower obrócił się znowu do hrabiny.

— Czy monsieur interesuje się bardzo malarstwem? — zapytała.

— Oczywiście — odparł uprzejmie Hornblower.

— W tym pałacu jest piękna galeria obrazów. Nie zwiedzał jej pan jeszcze?

— Nie miałem przyjemności.

— Wieczorem, kiedy car z towarzyszącymi mu osobami pójdzie do siebie, mogę ją panu pokazać. Chyba że będzie pan wolał przysiąść się do któregoś ze stolików karcianych.

— Wolę dużo bardziej zobaczyć obrazy — odparł Hornblower ze śmiechem, który zabrzmiał

za głośno nawet dla jego własnych uszu.

— A zatem jeśli po odejściu orszaku królewskiego będzie pan przy drzwiach z tamtej strony sali, wskażę panu drogę.

— Cudownie, madame.

U szczytu stołu wznoszono toasty — po raz pierwszy wszyscy musieli wstać, pijąc zdrowie księcia Szwecji, a potem trzeba było z konieczności przerywać rozmowę dla wypicia innych toastów zapowiadanych przez urzędnika dworskiego o olbrzymim wroście i tubalnym głosie — Stentor[37] o postaci Herkulesa, pomyślał Hornblower, rad z tego klasycznego porównania — stojącego za fotelem cara. Między toastami była muzyka, nie orkiestrowa, lecz wokalna, chór męski bez akompaniamentu, złożony chyba z setek głosów, który wypełnił wielką komnatę swoim hałasem. Hornblower słuchał ze słabą, lecz rosnącą irytacją osoby kompletnie głuchej na tony. Poczł ulgę, że śpiew ucichł i wszyscy powstali jeszcze raz, gdy orszak królewski wychodził przez drzwi w pobliżu szczytu stołu. Ledwie te drzwi się zamknęły, gdy panie również opuściły komnatę, podążając przez dalsze drzwi za Madame Koczubejową.

— A bientót[38] — powiedziała z uśmiechem hrabina, opuszczając go.

Mężczyźni zaczęli zbierać się w grupki wzdłuż stołu, a lokaje podawali już kawę i likiery; Wychwood, wciąż z futrzaną czapą pod pachą, podszedł do Hornblowera. Twarz miał czerwienią niż zwykle, a oczy, o ile to było możliwe, jeszcze bardziej wytrzeszczone.

— Szwedzi będą walczyć, jeśli tak uczyni Rosja — oznajmił chrapliwym szeptem. — Wiem o tym bezpośrednio od Basse'a, który przebywał z Bernadottem cały dzień.

Poszedł dalej i Hornblower usłyszał, jak ćwiczy swoją okropną francuszczyznę, rozmawiając z grupą mężczyzn w mundurach wyżej przy stole. W sali zrobiło się gorąco nie do zniesienia pewnie z powodu mnóstwa palących się świec; panowie zaczęli już wychodzić przez drzwi, którymi wcześniej wyszły panie. Hornblower dopił kawę i wstał, przekładając raz jeszcze trójganiasty kapelusz z kolan pod pachę. Komnata, do której wszedł, musiała być repliką tej, w której odbywało się królewskie przyjęcie, bo miała również kopułę i podobne proporcje; Hornblower przypomniał sobie dwie kopuły widziane z powozu, gdy podjeżdżali pod pałac. W komnacie rozstawione były tu i ówdzie fotele, sofy i stoliki; przy jednym z nich grupka starszych pań już grała w karty, a przy innym starsza para zabawiała się z drugą w trik-traka[39]. W przeciwnym końcu oko Hornblowera dostrzegło natychmiast hrabinę siedzącą na kanapie z rozpostartym trenem i z filiżanką kawy na spodku w rękach, gawędzącą z inną niewiastą; cała postawa hrabiny świadczyła o dziewczęcej niewinności.

Z liczby zgromadzonych tu już osób wynikało, że jest to miejsce spotkań całego dworu; przypuszczalnie tych paru setek ludzi, którzy z konieczności obserwowali przyjęcie królewskie z galerii i którym pozwolono zejść i zmieszać się z osobami wyżej postawionymi po mniej wyszukany obiedzie. Młody Mound przeciskał się w jego stronę — ze swoją szczupłą, wiotką postacią wyglądał jak wyrośnięty żrebak.

— Trzymamy go w bocznym pokoju na górze, sir — zameldował. — Zemdlął z utraty krwi — musieliśmy założyć mu krępulec[40] na ramię, żeby zatrzymać krwawienie. Obandażowaliśmy go połową koszuli Somersa; on i pan Hurst pilnują go.

— Czy ktokolwiek wie o tym?

— Nie, sir. Wciągnęliśmy go do tego pokoju, tak że nikt nas nie widział. Wylałem mu na mundur szklankę likieru i po tym zapachu wszyscy będą sądzić, że jest pijany.

Jak się Hornblower spodziewał, Mound umiał sobie radzić w nagłej potrzebie.

— Doskonale.

— Im szybciej zabierzemy go stąd, sir, tym lepiej — ciągnął Mound nieśmiało, jak przystało na młodszego oficera sugerującego coś starszemu.

— Ma pan całkowitą rację — zgodził się Hornblower — z tym że...

Musiał szybko przemyśleć sprawę. Nie mogą w każdym razie wyjść natychmiast po obiedzie. Byłoby to nieuprzejmie. A tam czeka hrabina, przypuszczalnie obserwując ich. Jeśli wyjdą natychmiast po tej rozmowie i on nie przyjdzie na umówione miejsce, hrabina nabierze podejrzeń i zapala gniewem, jak kobieta zlekceważona. Nie mogę po prostu wyjść teraz.

— Będziemy musieli zostać jeszcze co najmniej godzinę — powiedział. Wymagają tego konwenanse. Niech pan wraca i broni fortecy przez ten czas.

— Tak jest, sir.

Mound chciał stanąć na baczność przy wymawianiu tych słów, do czego przywykł przez lata, ale błyskawicznie się zreflektował — jeszcze jeden dowód jego bystrości. Skinął głową i oddalił się, jak gdyby rozmawiali tylko o pogodzie, a Hornblower pozwolił swoim nogom ponieść się wolno ku hrabinie.

—Uśmiechnęła się, gdy podszedł.

— Księżno — powiedziała — czy pani już poznała komodora Hornblowera? Księżna de Stolp.

Hornblower skłonił się; księżna była starszą kobietą, ze śladami dawnej, niewątpliwie dużej urody.

— Komodor — ciągnęła hrabina — wyraził chęć obejrzenia galerii obrazów. Czy zechciałaby pani, księżno, pójść z nami?

— Nie, dziękuję — odparła księżna — obawiam się, że jestem za stara na galerie obrazów. Ale idźcie, moje dzieci, beze mnie.

— Nie chciałabym zostawiać tu pani samej — protestowała hrabina.

— Nawet w moim wieku, mogę się poszczycić, nigdy nie pozostaję długo sama, hrabino. Bardzo proszę, niech pani mnie zostawi. Bawcie się dobrze, dzieci.

Hornblower skłonił się ponownie, hrabina ujęła go pod ramię i wyszli wolnym krokiem. Przycisnęła jego rękę, a lokaje rozstąpili się, dając im przejście.

— Obrazy włoskiego cinquecenta[41] są w dalszej części galerii — powiedziała hrabina, gdy weszli w szeroki korytarz. — Czy chciałby pan wpierw zobaczyć nowocześniejsze?

— Jak sobie pani życzy, madame — odparł Hornblower.

Po przejściu przez drzwi i wyjściu z reprezentacyjnej części pałacu szli pomieszczeniami przypominającymi królikarnię, z wąskimi przejściami, niezliczonymi schodami, wciąż mijając jakieś pokoje. Apartament, do którego wprowadziła go hrabina, był na pierwszym piętrze; senna pokojówka, oczekująca na jej przybycie, znikła w dalszym pokoju, a oni weszli do luksusowego salonu. Pięć minut później hrabina poprosiła go do dalszego pokoju.

Rozdział XIII

Hornblower przewrócił się z jękiem na koi; towarzyszący temu wysiłek znów wywołał ból w skroniach, chociaż poruszał się bardzo ostrożnie. Był durniem, że tyle wypił — po raz pierwszy od sześciu lat cierpiał na taki ból głowy. Trudno było jednak tego uniknąć, tak zresztą jak i innych rzeczy; pochwycony przez falę wydarzeń, nic już chyba nie był w stanie zrobić. Krzyknął, wzywając Browna — zaboląła go przy tym silniej głowa, a z ust wydobył się ochryply skrzek. Słyszał wartownika przekazującego dalej za drzwiami jego wezwanie i z ogromnym wysiłkiem siadł opuszczając nogi z koi, zdecydowany nie pozwolić Brownowi zorientować się w swoim stanie.

— Przynieś mi kawy — powiedział, gdy Brown wszedł do kajuty.

— Tak jest, sir.

Hornblower dalej siedział na brzegu koi. Przez świetlik nad głową słyszał schrypnięty głos

Hursta, najwidoczniej wymyślającego midszypmenowi, który coś przeszkrobał.

— Niezły z pana kawał obiboka — mówił. — Niech no pan spojrzysz na ten kawałek mosiądzu! Może powie pan, że to się świeci? Gdzie pan ma oczy? Co pańska sekcja robiła przez ubiegłą godzinę? Boże, do czego doszła marynarka wojenna, jeśli daje się patenty podoficerskie młodym gałganom, co nie potrafią użyć marszpikla nawet do dłubania w nosie! Pan nazywa siebie oficerem królewskim? Z pana raczej dzień zimowy, krótki, ciemny i brudny!

Hornblower wziął od Browna filiżankę z kawą.

— Zanieś ode mnie pozdrowienia dla pana Hursta — zaskrzeczał — i niech będzie łaskaw nie robić tyle hałasu nad moim świetlikiem.

— Tak jest, sir.

Pierwszą satysfakcję przyniosło mu w tym dniu natychmiastowe ustanie tyrady Hursta. Hornblower popijając dymiącą kawę z pewną dozą przyjemności. Nic dziwnego, że Hurst jest dziś w złym humorze. Miał wczoraj ciężki wieczór; Hornblower wspomniał, jak Hurst z Moundem nieśli Brauna, nieprzytomnego i cuchnącego alkoholem, do powozu u drzwi pałacu. Hurst był absolutnie trzeźwy, ale widocznie jego nerwy nie wytrzymały napięcia psychicznego towarzyszącego pilnowaniu niedoszłego skrytobójcy w pałacu carskim. Brown wrócił i Hornblower podał mu kubek, żeby mu przyniósł jeszcze kawy i czekając ściągnął przez głowę koszulę nocną. Gdy odkładał ją na koję, coś przykuło jego wzrok; to pchła, która wyskoczyła z rękawa. Popatrzył na siebie z obrzydzeniem; gładki, okrągły brzusek miał usiany śladami ukąszeń pcheł. Był to uderzający komentarz na temat różnicy między carskim pałacem a jednym z okrętów liniowych jego brytyjskiej królewskiej mości. Wróciwszy z drugim kubkiem kawy Brown zastał Hornblowera jeszcze wymyślającego zajadle na brudy u cara i na niemiłą perspektywę przykrości związanych z pozbyciem się insektów, na które był szczególnie wrażliwy.

— Nie szczerz tak zębów — warknął na Browna — bo pošlę cię na greting i zobaczymy, czy i tam będziesz się śmiał!

Ale Brown nie szczerzył zębów; może tylko w sposób zbyt widoczny usiłował powstrzymać się od śmiechu. Hornblowera irytowała świadomość, że Brown jest w tym przyjemnym, pobłażliwie ojcowskim stanie ducha właściwym człowiekowi, którego nie boli głowa, podczas gdy komuś tuż obok czaszka pęka z bólu.

Kąpiel pod natryskiem uspokoiła trochę Hornblowera. Włożył czystą bieliznę, polecił Brownowi dezynfekować odzież i wyszedł na pokład. Pierwszą osobą, która wpadła mu w oczy, był Wychwood, z mętym spojrzeniem i głową wyraźnie jeszcze mocniej obolałą niż jego. Rześkie powietrze rosyjskiego poranka wzmacniało jednak i pokrzepiało. Pocieszający i krzepiący był również widok normalnego porannego toku życia na okręcie, marynarzy cegiełkujących pokłady i odgłosu przyjemnego szmeru wody wylewanej na deski poszycia.

— Płynie łódź w naszą stronę, sir — zameldował midszypmen oficerowi wachtowemu.

Była to ta sama pinasa, która zawiozła ich na ląd poprzedniego dnia. Przybył na niej officer marynarki z listem po francusku:

Jego Ekscelencja Minister Marynarki Cesarskiej przesyła pozdrowienia Komodorowi Sir Hornblowerowi. Jego Ekscelencja wydał rozkaz, aby o jedenastej rano barka z wodą była przy burcie „Nonsucha”.

Ponieważ pan wysokiego rodu, M. le Comte du Nord, wyraził chęć zwiedzenia jednego z okrętów Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości, Jego Ekscelencja, proponując skorzystanie z gościnności Sir Hornblowera, przybędzie wraz z Comte du Nord z wizytą na „Nonsucha” o dziesiątej.

Hornblower pokazał list Wychwoodowi, a ten potwierdził jego podejrzenia.

— To Aleksander — powiedział. — Używał tytułu Comte du Nord, gdy podróżował po kontynencie europejskim jako carewicz. Przybędzie incognito; tak że nie trzeba będzie oddawać mu honorów królewskich.

— Tak — burknął sucho Hornblower, trochę poirytowany, że ten wojskowy daje mu rady, o które go nikt nie prosił. — Ale carski minister marynarki musi być równy rangą Pierwszemu Lordowi Admiralicji. Oznacza to salut z dziewiętnastu dział i wszelkie inne honory. Midszypmenie wachtowy! Pozdrowienia ode mnie dla dowódcy i będę bardzo zobowiązany, jeśli zechce łaskawie przybyć na pokład.

Bush gwizdnął cicho, wysłuchawszy nowin, i zaraz odwrócił się, kontrolując wzrokiem pokłady i takielunek, bo zależało mu, aby jego okręt był w doskonałym stanie na tę carską wizytę.

— Jakżeż możemy przyjmować wodę, sir — martwił się głośno — zachowując jednocześnie odpowiedni stan gotowości do przybycia cara na pokład? Co on sobie o nas pomyśli? Chyba że najpierw zaopatrzymy flotyllę w wodę.

— Car to rozsądny człowiek — odparł Hornblower z ożywieniem. — Niech zobaczy marynarzy przy pracy. Nie odróżnia może bezansztagu od stengi bukszprytu, ale pozna się na wydajnej robocie, jeśli mu ją pokażemy. Zaczniemy przyjmować wodę, kiedy będzie na pokładzie.

— A jedzenie? — dopytywał się Bush. — Będziemy musieli poczęstować go czymś, sir.

Hornblower uśmiechnął się, słysząc niepokój w jego głosie.

— Tak, poczęstujemy go czymś.

Przy swoim pełnym przeciwieństw usposobieniu robił się tym pogodniejszy, im sytuacja stawała się trudniejsza w oczach innych; jedynie jego własne ja zdolne było rzeczywiście wpaść go w depresję. Ból głowy przeszedł mu całkowicie, toteż mógł myśleć teraz z uśmiechem o czekającym go pracowitym poranku. Zjadł z apetytem śniadanie, włożył znów mundur galowy i wyszedł na pokład. Bush jeszcze biegał zaafierowany po okręcie, na którym cała załoga przywdziała czyste białe bluzy i spodnie drelichowe. Trap burtowy był założony, ze śnieżnobiałymi linami

zamiast poręczy, żołnierze piechoty morskiej w rynsztunku wyczyszczonym glinką kamionkową i wypolerowanym, hamaki ułożone w równiutkie warstwy. Dopiero gdy midszypmen wachtowy zameldował o zbliżaniu się kutra, Hornblower poczuł lekkie zdenerwowanie i nagły brak tchu na myśl, że najbliższe kilka godzin może mieć decydujący wpływ na przyszłe dzieje świata.

Po okręcie poniosły się przeraźliwe tony gwizdków pomocników bosmańskich i załoga ustawiła się sekcjami, przed każdą oficer w epoletach i ze szpadą, a Hornblower stojąc przy relingu na pokładzie rufowym patrzył w dół na zebranych. Na defiladzie marynarze brytyjscy nie dorównaliby może gwardii pruskiej w dokładności i równości kroku, a próby takiego ich wyćwiczenia, aby się przynajmniej zbliżyli do ideału pruskiego drylu, odebrałyby im cechy czyniące z nich tak bardzo wartościowy materiał ludzki; ale widok szeregów inteligentnych, pewnych siebie twarzy musiał na każdym myślącym człowieku wywrzeć silne wrażenie.

— Obsadzić reje! — rozkazał Bush.

Znów świergot gwizdków i obsady marsów rozbiegły się błyskawicznie, lecz w określonym porządku, po wantach, nie zwalniając nawet, gdy czepiali się podwantek; posuwali się dłoń za dłonią w górę po bramwantach, jak wytrenowani gimnastycy, i wybiegli na reje jak linoskoczkowie. Dotarłszy na pertę, każdy zajmował tam swoje stanowisko.

Hornblower obserwował ich, a w jego sercu walczyły ze sobą różne uczucia. Przez chwilę czuł gniew, że ci jego marynarze, śmietanka wśród załóg wojennych, muszą pokazywać swoją zręczność, jak niedźwiedzie w cyrku, dla przyjemności wschodniego monarchy. Jednakże gdy zakończono ewolucję i każdy marynarz zajął już swoje miejsce, jak kupka zwiędłych liści uniesionych w powietrze magicznym powiewem wiatru, który zostawił je tam zawieszony w formie wzoru o doskonałej symetrii, złość utonęła w uczuciu artystycznego zadowolenia. Miał nadzieję, że przyglądając się tym ludziom Aleksander potrafi sobie uświadomić, iż można mieć pewność, że dokonają tego samego w każdych warunkach, w czarną noc wśród wycia wichury, na rozszalałym morzu, z bukszprytem kłującym niewidoczne niebo i nokami rej nurzającymi się prawie w niewidocznym morzu.

Bosman obserwujący jednym okiem reling prawej burty, dał prawie niezauważalny znak głową. Mały orszak oficerów wspinał się po trapie. Pomocnicy bosmańscy przyłożyli gwizdki do ust. Starszy doboz piechoty morskiej strzelił palcami stając na baczność z rękami przy szwach spodni i w tejże chwili rozległ się dumny warkot werbli burtowych.

— Prezentuj broń! — huknął kapitan Norman i pięćdziesiąt muszkietów żołnierzy piechoty morskiej, z bagnietami na broni, zerwało się z pięćdziesięciu szkarłatnych ramion, zatrzymując się w pozycji pionowej na wprost pięćdziesięciu rzędów lśniących guzików, a szpady trzech oficerów zatoczyły wdzięczny łuk w salucie wojskowym.

Aleksander z postępującymi za nim dwoma adiutantami wchodził wolno na pokład, ramię w ramię z ministrem marynarki, dla którego nominalnie była przeznaczona cała ta ceremonia. Przyłożył dłoń do ronda kapelusza; gwizdki zamarzyły po ostatnim przeszywającym świście, bębny zakończyły czwarty werbel, na dziobie wypaliło pierwsze działo oddające salut, a fujarki i bębny orkiestry piechoty morskiej buchnęły melodią „Dzielne są nasze okręty”. Hornblower postąpił do przodu i

zasalutował.

— Dzień dobry, komodorze — przywitał go minister marynarki. — Pozwoli pan, że mu przedstawię Comte du Nord.

Hornblower zasalutował ponownie, starając się zachowywać możliwie kamienny wyraz twarzy, chociaż chciało mu się śmiać z dziwnej skłonności Aleksandra do incognito.

— Dzień dobry, komodorze — przemówił Aleksander, ku zdumieniu Hornblowera, całkiem niezłą angielszczyzną. — Mam nadzieję, że nasza mała wizyta nie przeszkodzi panu zbytnio?

— W żadnym razie, jest ona dla okrętu zaszczytem, sir — odparł Hornblower, zastanawiając się, czy to uchodzi zwracać się per „sir” do cara incognito. Widocznie jednak to wystarczyło.

— Może pan przedstawić swoich oficerów — powiedział Aleksander.

Hornblower prezentował ich kolejno, a oni salutowali i skrzepowani kłaniali się sztywno, czego można się było spodziewać po młodszych oficerach w obliczu cara Wszechrosji i do tego incognito.

— Kapitanie, sądzę, że może pan dać rozkaz przygotowania okrętu do przyjęcia wody — zwrócił się Hornblower do Busha, a potem odwrócił się do Aleksandra z pytaniem: — Sir, może zechciałby pan obejrzeć okręt?

— Bardzo chętnie — zgodził się Aleksander.

Został jednak na pokładzie rufowym, żeby obserwować przygotowania. Marsowi zaczęli hurmem zbiegać z want; Aleksander, mrugając oczyma, bo słońce miał naprzeciwko, patrzył z uznaniem, jak sześciu marynarzy zjechało po padunach i fałach sternarsła, lądując na własnych nogach obok niego na pokładzie rufowym. Poganiana przez podoficerów załoga biegała tam i z powrotem wykonując swoje zadania; to krzątanie się przypominało ruch mrówek z rozrzuconego mrowiska, ale było znacznie bardziej celowe i zorganizowane. Podniesiono pokrywy luków, przygotowano pompy, założono talie na noki rej, opuszczono odbijacze za lewą burtę. Aleksander patrzył jak urzeczony na grupę żołnierzy piechoty morskiej, którzy ciągnąc fały wybijali rytm podszwami butów.

— Żołnierze i zarazem marynarze, sir — wyjaśnił Hornblower z dezaprobatą, prowadząc gości pod pokład.

Aleksander był mężczyzną bardzo wysokiego wzrostu, o cal lub dwa wyższym od Hornblowera, toteż musiał zgiąć się prawie wpół pod niskimi belkami pokładowymi. Rozglądał się wokoło krótkowzrocznymi oczyma, gdy Hornblower prowadził go w kierunku dziobu dolnym pokładem działowym, gdzie odległość między belkami i poszyciem pokładu nie przekraczała pięciu i pół stopy. Hornblower pokazał mu pomieszczenie midszypmenów, mesę podoficerską i wszystkie nieatrakcyjne szczegóły żywota marynarskiego. Wezwał kilku marynarzy, kazał im rozwiesić ułożone w stos hamaki i wejść do nich, żeby Aleksander mógł się przekonać na własne oczy, co to znaczy

naprawdę dwadzieścia dwa cale na człowieka; opisał też w wyrazistych słowach widok pokładu zawieszonych hamakami kołyszącymi się podczas sztormu pospołu z marynarzami zbitymi w nich w jedną masę. Wyszczерzone w szerokich uśmiechach zęby ludzi uczestniczących w pokazie leżenia w hamakach były dla Aleksandra wystarczającym dowodem nie tylko prawdziwości słów Hornblowera, lecz także doskonałego nastroju członków załogi, tak bardzo różnych od cierpliwych, nieuczonych chłopów, których przywykł widzieć w szeregach swojej armii.

Zajrzeli w dół przez luk, żeby zobaczyć sekcję pracującą tam przy rozsztauowywaniu beczek na wodę i przygotowującą je do napełniania; do ich nozdrzy dotarł zaduch najniższych pokładów — mieszanina odoru wody zęzowej, sera i ciał ludzkich.

— Przypuszczam, komodorze, iż jest pan oficerem o długim stażu w służbie — odezwał się Aleksander.

— Dziewiętnaście lat, sir — odparł Hornblower.

— Ile z tego czasu spędził pan na morzu?

— Szesnaście lat, sir. Przez dziewięć miesięcy byłem więziony w Hiszpanii, a przez sześć we Francji.

— Wiem o pańskiej ucieczce z Francji. Przeszedł pan przez wiele niebezpieczeństw, żeby wrócić do takiego życia.

Aleksander zmarszczył swe piękne czoło, zastanawiając się nad faktem, że człowiek mógł przeżyć szesnaście lat w tych warunkach i pozostać zdrowym na ciele i umyśle.

— Od jak dawna ma pan swój obecny stopień?

— Komodorem jestem zaledwie od dwóch miesięcy, sir. Ale mam za sobą dziewięć lat służby w stopniu kapitana.

— A przedtem?

— Sześć lat byłem porucznikiem, a cztery midszypmenem.

— Cztery lata? Przez cztery lata żył pan w takim miejscu, jak to pomieszczenie midszypmenów, które mi pan pokazał?

— Nie w tak wygodnym, sir. Prawie przez cały ten czas byłem na fregacie pod komendą Sir Edwarda Pellewa. Okręt liniowy, sir, nie jest tak zatłoczony jak fregata.

Obserwując uważnie Aleksandra Hornblower widział, że jest pod wrażeniem jego słów i mógł nawet odgadnąć tok jego myśli. Car był nie tyle wstrząśnięty nędzynymi warunkami życia na okręcie — jeśli cokolwiek wiedział o swoich poddanych, musiał się orientować, że prawie wszyscy wegetują w warunkach znacznie gorszych — co faktem, że takie warunki mogą wyprodukować dobrego oficera.

— Chyba to jest konieczne — westchnął Aleksander, odsłaniając na moment ludzką, uczuciową stronę swej natury, o której dawno już szeptała plotka.

Gdy wrócili na pokład, wodownik stał już przy burcie okrętu. Część marynarzy z „Nonsucha” zesłała na jego pokłady i zmieszała się z Rosjanami, pomagając im w robocie. Przy pompach pracowały żwawo inne grupki, długie węże brezentowe, podobne do prawdziwych węży, pulsowały przy każdym ruchu dźwigni pompy. Na dziobie marynarze podśpiewując wciągali wiązki drewna opałowego.

— Dzięki pańskiej szczodrości, sir — powiedział Hornblower — będziemy mogli w razie potrzeby pływać przez cztery miesiące bez zachodzenia do portu.

W kajucie Hornblowera podano śniadanie dla ośmiu osób: Hornblowera, Busha, dwóch starszych poruczników i czterech Rosjan. Bush spociał się ze zdenerwowania na widok skromności nakrycia; w ostatnim momencie odciągnął Hornblowera na bok, błagając go daremnie, żeby zmienił decyzję i kazał podać coś z pozostałych jeszcze zapasów komodorskich obok normalnego jedzenia okrętowego. Bush nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, iż car potrzebuje dobrze zjeść; młodszy oficer goszczący admirała mógłby się pożegnać z wszelką nadzieją na przyszły awans, stawiając na stole marynarskie porcje wołowiny, a Bush potrafił myśleć tylko w kategoriach przyjmowania admirała.

Car patrzył z zaciekawioną na pogiętą wazę cynową, którą Brown postawił przed Hornblowerem.

— Grochówka, sir — wyjaśnił Hornblower. — Jeden z większych przysmaków marynarskich.

Nie panując nad nawykiem, Carlin począł postukiwać sucharem o stół; przestał, uświadomiwszy sobie, co robi, a potem zaczął dalej stukać, przypomniawszy sobie, zmieszany, że Hornblower kazał wszystkim zachowywać się tak, jakby przy stole nie było nikogo znacznego. Hornblower zagroził karą każdemu, kto by zapomniał o tym rozkazie, a Carlin wiedział, że groźba ta nie była rzucona w powietrze. Aleksander popatrzył na Carlina, a potem przeniósł pytające spojrzenie na siedzącego obok Busha.

— Pan Carlin wystukuje robaki, sir — powiedział Bush nieomal paląc się ze wstydu. — Jak się stuka delikatnie, o tak, sir, to one same wylazą, z własnej woli.

— Bardzo ciekawe — pokręcił głową Aleksander, ale nie wziął suchara do ust; jeden z jego adiutantów poszedł za radą Busha, popatrzył na wypadłe z suchara tłuste białe robaki o czarnych łebkach i wybuchnął serią zapewne przekleństw rosyjskich — były to chyba pierwsze słowa wypowiedziane przez niego od chwili wejścia na pokład.

Po tym nie zachęcającym wstępie goście ostrożnie spróbowali zupy. Ale, jak wspomniał Hornblower, grochówka była najlepszą potrawą wchodzącą w skład menu Brytyjskiej Marynarki Wojennej; adiutant, który kłął robaki, wydał okrzyk aprobaty, zaskoczony smakiem grochówki, szybko opróżnił talerz i nie odmówił dolewki. Jako następne danie podano tylko trzy potrawy: gotowane solone żeberka wołowe, gotowany solony ozór i gotowaną soloną wieprzowinę, z kiszoną kapustą. Aleksander, przyjrząwszy się uważnie wszystkim trzem potrawom, wybrał przezornie ozór;

minister marynarki i adiutanci, za radą Hornblowera, nabrali po trochu każdego rodzaju mięsa, nakrojonego dla nich przez Hornblowera, Busha i Hursta. Początkowo milczący, a potem całkiem rozmowny adiutant, zabrawszy się do solonej wołowiny z istic rosyjskim apetytem, musiał stwierdzić, że przeżuwanie tego mięsa idzie mu dosyć trudno i powoli.

Brown podał teraz rum.

— Krew życia Brytyjskiej Marynarki Wojennej, sir — zauważył Hornblower, widząc że Aleksander przygląda się swojemu kubkowi. — Pozwolą panowie, że wzniosę toast, który wszyscy możemy wypić ze szczerego serca. Zdrowie cesarza Wszechrosji! Vive l'Empereur!

Wstali wszyscy, poza Aleksandrem, żeby wypić toast, ale zanim jeszcze usiedli, Aleksander podniósł się z krzesła.

— Zdrowie króla Wielkiej Brytanii.

Adiutant spróbował powiedzieć kulejącą francuszczyzną, jakie wielkie wrażenie wywarł na nim angielski rum marynarski przy tej pierwszej okazji zawarcia z nim znajomości. Najlepszy dowód wysokiej oceny dał jednak wypijając kubek do dna i wyciągając go do Browna, żeby mu go znowu napełnił. Po sprząnięciu ze stołu Aleksander wystąpił z następnym toastem.

— Zdrowie komodora Sir Horatia Hornblowera i Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

Opróżniono kubki i Hornblower, popatrzawszy po zebranych, zorientował się, że oczekują od niego formalnej odpowiedzi.

— Marynarka wojenna — zaczął — strażniczka swobód świata. Niezachwiany przyjaciel, niestrudzony przeciwnik. Gdy tyran Europy rozgląda się, szukając sposobu, by nie przebijając w środkach rozszerzyć granice swego panowania, napotyka na swej drodze Brytyjską Marynarkę Wojenną. To ona właśnie dławi powoli tyrana. To Brytyjska Marynarka Wojenna czyha na niego na każdym zakręcie, wyczerpując zasoby cesarstwa, którym tak się pyszni, i ona to w końcu przywiedzie go do upadku i ruiny. Tyran może się przechwalać nieprzerwanym łańcuchem zwycięstw na lądzie, ale na morzu może tylko opłakiwać nieprzerwany łańcuch klęsk. To dzięki Brytyjskiej Marynarce Wojennej każde zwycięstwo faktycznie go osłabia, zmuszając go, jak Syzyfa, do następnej próby wtoczenia swego kamienia na nieosiągalny szczyt. A któregoś dnia ten kamień go zgniecie. Oby ten dzień nadszedł jak najszybciej!

Hornblower zakończył swoje przemówienie przy gniewnym pomruku zgromadzonych przy stole. Był znowu w podniosłym nastroju; ta okazja do wygłoszenia mowy nieco go zaskoczyła, ale od momentu, gdy po raz pierwszy usłyszał o zamierzonej wizycie cara, liczył, że w ciągu dnia będzie miał sposobność zwrócić raz jeszcze jego uwagę na pomoc, jaką uzyskałby sprzymierzając się z Anglią. Aleksander był młody i podatny na wpływy. Należało apelować zarówno do jego uczuć, jak i do umysłu. Hornblower rzucił w jego stronę ukradkowe spojrzenie, chcąc sprawdzić, czy osiągnął swój cel; Aleksander siedział zatopiony w myślach, z oczyma opuszczonymi na stół. Podniósł wzrok i z uśmiechem napotkał spojrzenie Hornblowera, a ten poczuł falę uniesienia płynącą z cudownej pewności, że plan się udał. Celowo kazał na to uroczyste śniadanie podać

zwykłą strawę okrętową; pokazał dokładnie Aleksandrowi, jak żyje marynarz brytyjski, jak śpi i pracuje. Car nie mógł nie słyszeć o świetności Brytyjskiej Marynarki Wojennej, a intuicja podpowiedziała Hornblowerowi, że taki dowód trudnych warunków, w jakich trwa ona na morzu, przemówi w subtelny sposób do uczuć cara; trudno byłoby wyjaśnić dokładnie, jak to się stanie, ale Hornblower był tego pewny. Aleksander będzie chciał zarówno dopomóc ludziom zdobywającym sławę takim kosztem, jak i mieć takich dzielnych wojowników po swojej stronie.

Aleksander wykonał ruch wskazujący, że chce zakończyć wizytę; adiutant pośpiesznie dopił swój piąty kubek rumu, który, wraz z poprzednimi, tak na niego podziałał, że objął Busha ramieniem, kiedy wyszli na pokład rufowy, i serdecznie klepał go po plecach, przy czym rząd medali i orderów na jego piersi dzwonił i brzęczał, jakby wędrowny druciarz pracował przy naprawie garnków i kociołków. Bush, zdając sobie sprawę, że patrzy na niego cała załoga okrętu, próbował bezskutecznie uwolnić się od uścisku. Z rumieńcem na twarzy rzucił rozkaz obsadzenia rej i odetchnął z wyraźną ulgą, gdy Aleksander zszedł z trapu i adiutant musiał pójść za nim.

Rozdział XIV

Korzystając ze wschodniego wiatru, „Nonsuch” z resztą eskadry odpływał Zatoką Fińską z postawionymi wszystkimi żaglami. Komodor chodził po pokładzie rufowym, przetrawiając w myślach wszystkie problemy nękające go jako głównodowodzącego. W każdym razie sprawa wody pitnej została rozwiązana; upłyną spokojnie dwa miesiące, a w razie potrzeby nawet cztery, zanim będzie musiał tym się martwić. Już sam fakt, że ma napełnione beczki wodą, wystarczył na pewne usprawiedliwienie jego kontaktu z dworem St Petersburg, gdyby Downing Street[42] czy Whitehall[43] miały zastrzeżenia do jego ostatnich poczynań — Hornblower przebiegł myślami słowa swego raportu, kładąc nacisk zarówno na uzyskane w ten sposób korzyści, jak i na celowość nawiązania kontaktu z rządem rosyjskim. Łatwo mu będzie bronić się w tej sprawie. Ale...

Obejrzał się i popatrzył na eskadrę.

— Nadać sygnał do „Lotusa” — polecił — „Czemu zeszlście z pozycji?”

Rzut flag wzbił się po flaglinkach i Hornblower zobaczył, że korweta spieszenie poprawia pozycję.

— „Lotus” potwierdza sygnał, sir — zameldował midszypmen.

— Nadajcie więc: „Czemu nie odpowiadacie na moje pytanie?” — rzucił ostro Hornblower.

Upłynęło parę sekund, zanim dostrzeżono odpowiedź.

— „Lotus” sygnalizuje: „Brak uwagi ze strony oficera wachtowego”, sir.

— Potwierdzić — mruknął Hornblower.

Wywołał burzę na „Lotusie”; Vickery wścieknie się na tę publiczną reprimendę, a odpowiedzialny oficer wachtowy już w tej chwili na pewno żałuje swojej nieuwagi. Nic to nie zaszkodzi, raczej może pomóc. Ale Hornblower zdawał sobie doskonale sprawę, że skarcił

publicznie „Lotusa” tylko dlatego, że chciał odsunąć od siebie myśl o następnej przykłej sprawie, w której musiał podjąć decyzję. Zastanowił się, ile takich reprimend, których sam był świadkiem — ba, które sam otrzymał jako młodszy oficer — pochodziło od znękaných admirałów, pragnących oderwać się od bardziej nieprzyjemnych myśli. On sam musiał przemyśleć sprawę Brauna.

Na północy majaczyło niskie wybrzeże Finlandii; na dole, na pokładzie głównym, Carlin prowadził ćwiczenia z sekcją obsługi dział, ucząc ładować je i wytaczać. Przy wietrze prawie dokładnie od rufy i z postawionymi żaglami bocznymi „Nonsuch” sunął dość szybko po wodzie — jeśli morze wzburzy się jeszcze trochę silniej, trzeba będzie zwinąć częściowo żagle, żeby kecze bombowe mogły nadążyć za okrętem wiodącym. Na dziobie pomocnik bosmana poganiał jakiegoś marynarza gejtawą fokmarsła, stanowczo za grubym narzędziem do tego celu. Hornblower miał już, aczkolwiek niechętnie, wtrącić się do normalnego toku życia na okręcie, gdy zobaczył, że wyręcza go w tym porucznik, oszczędzając mu kłopotu. Widocznie jakieś informacje o tym, co dowódca lubi, a czego nie lubi, musiały dotrzeć przez Busha do młodszych oficerów. Hornblower patrzył, póki ta trójka nie rozeszła się do swoich zajęć i nie było już najmniejszego powodu, żeby im się dalej przyglądać.

Musi zwyczajnie przemyśleć sprawę Brauna. Człowiek ten usiłował popełnić morderstwo i zgodnie z prawem angielskim i Regulaminem Wojennym powinien umrzeć. Ponieważ jednak posiada patent Urzędu Marynarki Wojennej, konieczne jest zwołanie sądu złożonego z pięciu oficerów w stopniu co najmniej kapitana, żeby wydać na niego wyrok śmierci, a w obrębie stu mil nie ma pięciu kapitanów. Jest tylko Bush i on sam, bo Vickery i Cole są tylko młodszymi stopniem dowódcami. A zatem zgodnie z literą prawa Braun powinien być trzymany w areszcie, aż zbierze się kompetentny zespół, żeby go osądzić, chyba że — i tu Hornblower miał wolną rękę — dobro służby, bezpieczeństwo okrętu czy interes Anglii wymagałyby natychmiastowego działania. W takim wypadku mógłby zwołać sąd złożony ze starszych rangą oficerów będących pod ręką, osądzić i na miejscu go powiesić. Materiału dowodowego miałby aż nadto; zeznania jego samego i Mounda wystarczyłyby, żeby powiesić Brauna dziesięć razy.

Jednakże konieczność podjęcia natychmiastowego działania nie była bynajmniej tak oczywista. Braun leżący bezradnie w izbie chorych, z prawą ręką, którą nigdy już nie będzie mógł się posługiwać, na pół martwy z upływu krwi, na pewno nie zamierza wywołać buntu wśród marynarzy ani podpalić okrętu czy odwozić oficerów od pełnienia swych powinności. Ale po okręcie krążą już pewnie nieprawdopodobne bajdy na jego temat. Hornblower nie umiał sobie wyobrazić, jak załoga sobie tłumaczy przywiezienie Brauna z pałacu carskiego z poważną raną. Gadanie i plotki wcześniej czy później dotrą do uszu agentów Bonapartego, a Hornblower zbyt dobrze znał jego metody, żeby nie mieć wątpliwości, że wyzyska on maksymalnie sposobność posiadania niezgody między swymi przeciwnikami. Aleksander nie wybaczy nigdy krajowi, który postawił go o włos od śmierci z ręki mordercy. Władze w Anglii będą szaleć, dowiedziawszy się o tym incydencie, i on, Hornblower, będzie przedmiotem ich wściekłości. Pomyślał o meldunku zamkniętym w biurku i opatrzonym napisem „Ścisłe tajne i poufne”, w którym zdawał relację z wydarzenia. Wyobrażał sobie, że meldunek posłuży jako dowód przeciwko niemu na sądzie wojennym; wyobrażał też sobie stanowisko w tej sprawie jego kolegów kapitanów, powołanych aby go sądzić.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zataić w ogóle incydentu i nie sporządzać na ten temat

żadnego meldunku, ale odrzucił tę myśl jako nierealną. Na pewno znajdzie się ktoś, kto sprawę wygada. Z drugiej strony w otrzymanych rozkazach jest uwaga upoważniająca go do absolutnie swobodnego wyzyskiwania doświadczeń Brauna; może ona go kryć, niemniej jej umieszczenie znaczy także, iż Braun ma wpływowych przyjaciół, którzy przypuszczalnie będą zainteresowani w osłanianiu go, a już na pewno w osłanianiu siebie samych, i którzy w związku z tym nie będą sobie życzyć, by zrobiono z tej sprawy zbyt głośny skandal publiczny. Wszystko to jest bardzo skomplikowane.

— Panie Montgomery — przemówił ostro Hornblower — jak pańscy sternicy trzymają kurs? Niech pan im każe lepiej sterować, w przeciwnym razie będę musiał zażądać wyjaśnień od pana.

— Tak jest, sir — odparł Montgomery.

Jak by nie było, odegrał swoją rolę we wciąganiu Rosji do wojny z Bonapartem — ostatnia wiadomość otrzymana od Wychwooda przed opuszczeniem Kronsztadu mówiła, że Aleksander wysłał wyzywającą odpowiedź na najświeższe żądania Bonapartego. Jeśli wojna wybuchnie, główne siły Bonapartego będą musiały pozostać zaangażowane na wschodzie przez to lato, dając Wellingtonowi sposobność do zadania ciosu na południu. Ale jakie Rosja ma szansę wytrzymania ewentualnego ataku Bonapartego? Od dwunastu lat każdy kolejny rok jest świadkiem wielkiego zwycięstwa odnoszonego przez Bonapartego i upadku coraz to innego narodu w wyniku kilkutygodniowej kampanii. Następnej zimy Rosja może być już pobita i podporządkowana Napoleonowi, jak to się stało z Austrią czy Prusami; a Downing Street, w obliczu wrogości Rosji, będzie z żalem wspominać jej poprzednią problematyczną neutralność, zwłaszcza że Bonaparte nie omieszka wyzyskać upadku Rosji dla dokonania najazdu na Szwecję. I wówczas cała Europa, od Przylądka Północnego do Dardaneli, stanie sprzymierzona przeciwko Anglii; ta zaś straci swoje słabe oparcie w Hiszpanii i znajdzie się wobec alternatywy kontynuowania walki bez perspektywy oddechu i zawarcia jeszcze bardziej niebezpiecznego pokoju z tyranem, którego wprost chorobliwa wrogość nigdy nie będzie nasycona. W takim wypadku nikomu nie zostałoby poczytane za zasługę, że przyczynił się do katastrofy poprzez wciągnięcie Rosji w wojnę.

Na pokładzie zjawił się Bush, na pewno na prośbę Montgomery'ego, oficera wachtowego. Odczytał wskazania logu wypisane przez Montgomery'ego na tabliczce, spoglądając przy tym na tabliczkę kursową, a potem stukając protezą podszedł do prawej burty pokładu rufowego, żeby zaszalutować Hornblowerowi.

— Według mojego rozeznania, sir, Revel czy Tallinn, jak go nazywają na mapach szwedzkich, jest w odległości dwudziestu pięciu mil na południowy wschód. Ten cypel na lewo to północny przylądek wyspy Naissaar, czy jak to się tam wymawia.

— Dziękuję, kapitanie Bush.

Hornblower poczuł nawet pokusę wylania swego złego humoru na Busha; wyobraził sobie wyraziście, jak Bush straci kontenans, jaki urażony wyraz wywoła na jego twarzy sarkastyczne napomknięcie o niewłaściwym wymawianiu przez niego obcych nazw i zakłopotanie z tego powodu. Bush był zawsze łatwym i wdzięcznym celem dla krytyki z powodu szybkości i widoczności swojej reakcji. Hornblower igrał z pokusą, a Bush stał przed nim czekając na rozkazy.

Bawiło go nawet to, że tak stoi, czekając; podejrzewał, że Bush zastanawia się nerwowo, co za sztuczkę wymyśla komodor. Nagle Hornblower poczuł pogardę dla samego siebie. Było już wystarczająco niedobrze, że jakiś nieznany oficer wachtowy Vickery'ego znalazł się w opałach w tej chwili, z racji, że komodora nęka myśl, co począć z Braunem; znacznie gorzej byłoby, gdyby wierny, uzdolniony Bush miał cierpieć duchowo z tego samego powodu.

— Kapitanie Bush, proszę łaskawie wziąć kurs na Królewiec.

— Tak jest, sir.

Reakcja była tak silna, że Hornblower wdał się w wyjaśnianie motywów, jakie skłoniły go do podjęcia tej decyzji.

— Gdańsk, Królewiec i Prusy Wschodnie to baza operacyjna Bonapartego. Armia zgromadzona przez niego w Polsce jest stąd zaopatrywana rzeką i kanałem — Wisłą i przez Pregolę i Memel. Zobaczymy, czy uda nam się popsuć szyki Bonapartemu.

— Tak jest, sir.

— Niech eskadra przeciwiczy dziś rano manewrowanie ogólne.

— Tak jest, sir.

Bush aż się rozpromienił, że jego nieobliczalny szef okazał tak wielką łaskawość. Bush długo trawił w sobie doznane przykrości; jako zastępca dowódcy miał prawo uważać, że komodor powinien dopuszczać go do swoich sekretów. Ostatecznie zbłąkana kula, walące się drzewce czy atak choroby mogłyby z łatwością jego uczynić dowódcą całej eskadry. Mimo to był wdzięczny za każdy okrucieństwo informacji łaskawie rzucony mu przez Hornblowera.

„Nonsuch” przeszedł na lewy hals, jak tylko Bush ustalił z oficerem nawigacyjnym nowy kurs. Okręt przechylił się pod piramidami płócien, wiatr gwizdał przeraźliwie w naprężonych wantach po nawietrznej. Hornblower przeszedł z prawej burty ku lewej, nawietrznej, co było jego niepodważalnym przywilejem. Popatrzył do tyłu, na resztę eskadry. Na „Lotusa” i „Ravena”, „Motha” i „Harveya”, które kolejno brasowały ostro na wiatr za śladem torowym okrętu wiodącego. Nie było z nimi „Clama” — został w Kronsztadzie i miał im dowieźć nowiny, jakie ewentualnie uda się zdobyć Wychwoodowi — ale pięć jednostek to wystarczająca liczba dla ćwiczeń manewrowych.

— Przynieście mi księgę sygnałową — polecił Hornblower.

Flagi wzbity się po flaglinkach; każdy sygnał był łańcuchem czarnych kulek przypominających paciorki na sznurku, zanim kulki się nie rozwinęły, ale na pozostałych jednostkach bystre oczy śledziły je przez lunety, starając się odczytać znaczenie sygnału jeszcze przed rozwinięciem się flagi, a zdenerwowani oficerowie nakazywali przygotowywanie sygnałów odpowiedzi do przekazania ich bez chwili zwłoki. Okręty eskadry kolejno zmieniały hals, wykonywały równocześnie zwrot przez rufę w jednej linii, ponownie zbliżały się do wiatru, jeden za drugim ustawiając się w szyk torowy.

Sprzątały część żagli za okrętem wiodącym — na każdym posyłano maksymalną liczbę marynarzy na maszty w celu zwinięcia żagli dolnych czy bramżagli natychmiast po rozszyfrowaniu zamiarów Hornblowera — by za chwilę znowu stawiać te żagle. Refowano marsie pojedynczo, podwójnie, by wnet znowu je odrefowywać. Okręty stawały w dryf, opuszczały na wodę łodzie z załogą i z uzbrojonymi oddziałami abordażowymi i wciągały je z powrotem na pokład. Wracając na poprzedni swój kurs otwierały furty strzelnicze, wytaczały działa, znów je mocowały, wytaczały i mocowały raz jeszcze. Po flaglinkach „Nonsucha” wzbil się nowy sygnał poprzedzony sygnałem wywoławczym „Ravena”.

„Komodor do kapitana. Czemu nie słuchacie mojego rozkazu?”

Hornblower zauważył przez lunetę, że na „Ravenie” nie zamocowano porządnie dział — zostawiono furty strzelnicze nie zaśrubowane, żeby móc je szybciej otworzyć w razie otrzymania takiego rozkazu. Ale Hornblower zobaczył, że przy przechyłach okrętu furty uchylają się nieznacznie; ponadto na podstawie małej ruchliwości załóg armatnich domyślił się, że nie odczepiono tam i nie ułożono na miejscu linobloków działowych, co dawało „Ravenowi” pięć sekund przewagi nad innymi jednostkami. Cole zrobił głupio, próbując tej starej sztuczki, w dodatku tak łatwej do wykrycia; ten niegodny postępek należało podać do wiadomości całej reszty eskadry. Celem manewrów, przynajmniej częściowo, było zaostrenie bystrości dowódców; jeśli potrafią przejrzeć komodora, to bardzo dobrze, bo stwarza to większe prawdopodobieństwo rozszyfrowania zamiarów francuza, gdyby się przypadkiem natknęli na jakiegoś.

Na „Ravenie” pospiesznie zaśrubowano furty strzelnicze i zamocowano talie działowe; żeby mocniej wbić lekcję w głowy, Hornblower odczekał do momentu, gdy ten rozkaz został przekazany na pokłady i natychmiast kazał nadać sygnał wytaczania dział. Ta błyskawiczna zmiana rozkazu zaskoczyła „Ravena” nieprzygotowanego — Hornblower wyobrażał sobie oficerów bluzgających przekleństwami na pokładzie głównym — sygnał „manewr zakończony” wciągnięto tam w siedem sekund po ostatnim z pozostałych okrętów. Ale nie było potrzeby komentowania tego faktu — wszyscy na „Ravenie” wiedzą, jak to się stało, a dalsze napominanie mogłoby osłabić autorytet Cole'a w oczach załogi.

Był to ruchliwy pracowity poranek dla wszystkich załóg eskadry i Hornblower wspominając czas, gdy sam był midszypmenem, mógł sobie wyobrazić, z jaką ulgą marynarze odetchnęli, gdy w południe przekazał sygnał wydania rozkazu ruszenia w drogę, umożliwiając załogom zjedzenie obiadu. Patrzył, jak marynarze na „Nonsuchu” ustawiają się po swoje racje alkoholu, ochoczo, dowcipkując, każdy z drewnianym kuflem w ręku; na wartownika przy beczulce z grogiem — widniał na niej wymalowany napis „za zdrowie Króla, niech go Bóg błogosławi!”; na Montgomery'ego z dwoma pomocnikami bosmańskimi, nadzorującego wydawania. Hornblower zobaczył, że od beczulki odpędzono z oburzeniem jednego z marynarzy; widocznie coś przeszkrobał i został skazany na utratę swojej racji, a mimo to próbował ją dostać. Na niektórych okrętach za taką próbę marynarz dostałby co najmniej pół tuzina batów, ale u Montgomery'ego ten gagatek, sądząc po sposobie postępowania, zostanie najwyżej pozbawiony następnej racji albo skazany na dodatkową kolejkę przy pompach czy przy czyszczeniu latryn na dziobie.

Ożywienie i dobry humor załogi napawały otuchą. Można polegać na tych ludziach, że będą bić się tak desperacko, jak tego będzie wymagała dana sytuacja; i — co było rzeczą równie ważną

— można mieć pewność, że wytrzymają długie, nudne dni halsowania po morzu, nużącą monotonię życia na okręcie liniowym, i to bez specjalnych narzekań. Musi jednak zwrócić uwagę Bushowi, żeby dopilnował dalszego trwania tego dobrego nastroju. Zawody w tańczeniu „hornpipe'a”[44], przedstawienia teatralne — trzeba będzie zorganizować wkrótce coś z tych rzeczy, dopóki nie zdarzy się taka akcja bojowa, która by zaprzętnęła umysły załogi. Z tym postanowieniem odwrócił się i zszedł pod pokład. Poranne zajęcia pozwoliły mu nie myśleć, co zrobi z Braunem, gdy ten wyliże się ze swej rany. Ostatecznie może przecież umrzeć.

Musi jeszcze przestudiować mapy Zalewu Wiślanego i podejścia do Królewca i obmyślić plany atakowania środków łączności Bonapartego w tej okolicy, jeśli będzie to tylko możliwe. Gdyby ten sprzyjający wiatr się utrzymywał, to ma nie więcej niż trzy dni na obmyślenie sposobu przypuszczenia ataku w tym miejscu. Kazał sobie wyjąć mapy i zagłębił się w nie, zawoławszy zirytowanym głosem o lampy dla oświetlenia mrocznej kajuty, żeby móc odczytać drobne cyferki, którymi usiane były mapy. Sondowania były niezwykle skomplikowane, a ich studiowania nie ułatwiał fakt, że leżały przed nim trzy różne mapy — szwedzka, z głębokościami oznaczonymi w stopach szwedzkich, nowa francuska z sondowaniami w metrach i angielska, właściwie tylko szkic, w sążniach. Porównywanie tych map było zadaniem uciążliwym, które zresztą nie dało całkiem zadowalającego wyniku, ponieważ podane cyfry nie zgadzały się ze sobą.

Niemniej jednak celowość uderzenia w tym miejscu była całkiem oczywista. W pozbawionej dróg Polsce i Prusach Wschodnich jedyną drogą dostarczania zapasów i amunicji rosnącym w liczbie wojskom Bonapartego są połączenia wodne. Jego najdalej wysunięta baza to Gdańsk, skąd zaopatrzenie dla oddziałów w Polsce centralnej mogłoby iść Wisłą. Natomiast znaczne siły w Prusach Wschodnich i Polsce wschodniej korzystają z innych dróg wodnych, prowadzących z Królewca i Elbląga na Zalewie Wiślanym. Zatoka ta, mająca kształt wąskiej laguny, odciętej prawie od Bałtyku długą linią wydm piaszczystych, jest niewątpliwie miejscem, gdzie odbywa się duży ruch barek między Elblągiem i Królewcem. Ma długość pięćdziesięciu mil, szerokość dwunastu i jest płytka — głębokość wynosi dwa do czterech sążni; ze swym wąskim wejściem chronionym przez armaty fortecy Pilawa[45] będzie z punktu widzenia Francuzów absolutnie bezpieczną trasą dla dostaw drogą wodną, zasłoniętą zarówno przed sztormami, jak i Anglikami. Gdańsk jest oczywiście najlepszym punktem do zaatakowania ze wszystkich miejsc na wybrzeżu Bałtyku, ale Gdańsk, położony nad Wisłą w odległości kilku mil od morza, a do tego mocno obwarowany, jest bezpieczny. Jeśli Bonaparte ze stu tysiącami żołnierzy potrzebował trzech miesięcy na zdobycie Gdańska, to Hornblower nic chyba nie zdziała przeciwko takiej twierdzy, mając do dyspozycji dwustu żołnierzy piechoty morskiej. Gdańsk jest dla niego nie do zdobycia. Tak samo zresztą jak Królewiec i Elbląg. Ale jedyna rzecz, jaką pragnie dokonać, to przerwanie łączności między nimi; nic więcej nie musi robić. Do tego wiatr ma pomysły — Rzymianin uznałby to za dobry znak.

Rozdział XV

Ta noc była idealna do rozpoznania wejścia na Zalew Wiślany. Przy pełnym zachmurzeniu, tak że niewiele światła przedzierało się z letniego nieba, ze słońcem dopiero co zapadłym za widnokrąg i przy silnym wietrze — korweta, opuszczona właśnie przez Hornblowera, już od wczesnego wieczora szła pod pojedynczo zrefowanymi marszlami. Przy takim wietrze i krótkiej fali istniało znacznie mniejsze prawdopodobieństwo, że łodzie strażnicze — do tego z załogą złożoną ze

szczurów lądowych — będą dokładnie pilnować zapory pływającej, którą Hornblower zamierzał zbadać.

Hornblower jednak źle się czuł na krótkiej fali, siedząc na ławce rufowej kutra, który wznosił się i opadał, przechylając się to na dziób, to na rufę pod bryzgami przelatującymi ciągłym strumieniem. Dwóch marynarzy musiało wciąż wyczerpywać wodę. Bryzgi przeciekały bezlitośnie przez szpary w opończy, sprawiając, że Hornblower zmókł i przemarzł, a zimno i gwałtowne kołysanie nieuniknienie kierowały jego myśli ku chorobie morskiej. Było mu źle i zaczynał czuć się niewyraźnie. W ciemnościach nie widział Vickery'ego, który siedział obok u steru, ani Busha, mającego baczenie na szot, i czuł żalną ulgę w myśli, że nie zauważą jego bladości i złego samopoczucia. W odróżnieniu od innych znanych mu osób cierpiących na chorobę morską nie potrafił chorować bez uczucia skrępowania, lecz w swej skłonności do ostrej samoanalizy zaraz stwierdził, że to nie powinno go dziwić, bo przecież nigdy nie czuje się całkiem swobodnie.

Zmienił pozycję na ławce i ciasniej owinął się płaszczem. Niemcy i Francuzi, pilnujący Pilawy, nie wiedzą na razie, że eskadra angielska jest tak blisko; nie minęła jeszcze godzina, jak przybył tu z dwoma korwetami, zostawiając „Nonsucha” i kecze bombowe za widnokregiem. Starszy oficer w Królewcu, jeśli ma dobre serce, może się wahać, czy wydać rozkaz, aby łódź strażnicza, trudząc się wielce, pilnowała zapory w taką burzliwą noc, pływając wzdłuż niej tam i z powrotem, a jeśli nawet rozkaz taki zostałby wydany, to jest rzeczą bardzo możliwą, że dowodzący łodzią podoficer może spełniać zadanie byle jak, zwłaszcza że nie ma z pewnością wielkiej sympatii między Francuzami zajmującymi wyższe stanowiska a Niemcami zepchniętymi na niższe. .

Obserwator na dziobie wydał cichy ostrzegawczy okrzyk i Vickery poruszył lekko sterem, ustawiając kuter bardziej do wiatru. Łódź podniosła się na grzbiecie fali, a gdy opadła w dolinę, przy jej burcie zamajaczył jakiś ciemny przedmiot, słabo widoczny w ciemnościach pod warstwą piany.

— Lina, sir — zameldował Vickery. — A tam, wprost przed nami, jest zaporą.

Coś czerniało niewyraźnie na rozhuśtanej powierzchni morza przed dziobem łodzi.

— Ustawcie kuter burtą przy zaporze — polecił Hornblower i Vickery ustawił łódź ostrzej do wiatru. Na jego komendę opuszczono żagiel lugrowy i kuter zatrzymał się przy zaporze. Kierunek wiatru, trochę od niej odchylony, pozostawiał po tej stronie zapory kawałeczek spokojnej wody; po drugiej stronie wysokie fale rozbijały się o nią z hukiem, ale tu ta wąska przestrzeń morza była gładka, chociaż pokryta pianą odbijającą odrobinę światła, co przedarła się z ciemnego nieba. Bosakowi zahaczyli bosakami o linę w miejscu, gdzie była zamocowana do zapory.

Hornblower odrzucił płaszcz, ustawiając się do skoku pod lecącymi w jego stronę bryzgami, i dał susa ku zaporze. W momencie gdy na niej lądował, przełamała się przez nią fala i oblała go do suchej nitki; musiał wczepić się ile sił palcami rąk i nóg, żeby go nie zmyła. Znajdował się na potężnym pniu drewna, którego tylko mała część wystawała nad unoszącą go wodę. Mając dostęp do kraju posiadającego najlepsze drewno w Europie oraz dysponując łatwym transportem wodnym, Francuzi, rzecz jasna, wybrali najgrubsze kłody dla osłony wejścia do portu. Hornblower poczołgał się na czworakach wzdłuż zapory, balansując w koszmarnie niebezpieczny sposób na niosącym go

pnium, który przechylał się na wszystkie strony. Marynarz z obsady marsa, albo nawet Vickery, przebiegliby prawdopodobnie w pozycji wyprostowanej, ale Hornblower chciał sam, na podstawie własnych obserwacji, a nie raportu z drugiej ręki, wyrobić sobie pojęcie o zaporze. Dotarłszy do liny, stwierdził, że jest najgrubszą liną splotu kablowego, jaką widział w życiu — co najmniej trzydzieści cali — podczas gdy najgrubsza lina kotwiczna na „Nonsuchu” miała tylko dziewiętnaście. Obmacywał kłodę uważnie, zalewany wodą po uszy, aż znalazł, jak się spodziewał, jeden z łańcuchów mocujących pień do następnego. Był to łańcuch dwucalowy o wytrzymałości na rozerwanie rzędu stu ton, mocno spojony klamrą z kłodą. Po chwili dalszych poszukiwań znalazł następny. Przypuszczalnie są także inne pod powierzchnią, razem może być więc tych łańcuchów cztery albo pięć. Nawet okręt liniowy idący fordewindem i atakujący z rozpędu nie byłby w stanie przerwać tej zapory, a naraziłby tylko część podwodną na poważne uszkodzenia. Poprzez bryzgi wody Hornblower dojrzał koniec następnej kłody i linę; odstęp wynosił zaledwie około dziesięciu stóp. Wiatr wiejący prawie dokładnie wzdłuż zapory spychał ją na zawietrzną, na ile pozwalały na to liny, tak że zaporę, przy linach naprężonych do ostateczności, ułożyła się zygzakowato, kształtem przypominając szkielet śledzia.

Hornblower popełnił z powrotem po kłodzie, ustawił się do skoku i dał susa do łodzi. W ciemnościach, przy zaporze i łodzi rozchybotanej na krótkiej fali, trudno było wybrać odpowiedni moment do skoku, toteż wylądował niezdarnie na okrężnicy, z jedną nogą w morzu, i z tej pozycji, całkiem nieprzystojnej powadze komodorskiej, Vickery wciągnął go do łodzi.

— Przesuwajcie kuter z wiatrem — rozkazał Hornblower. — Chcę mieć wyniki sondowania przy każdej kłodzie.

Vickery sprawnie prowadził łódź. Po odbiciu zręcznie utrzymywał ją skierowaną dziobem na wiatr, a kilku równymi pociągnięciami wiosła mijał sprawnie kolejne liny, gdy łódź dryfowała z wiatrem. Brown stał w połowie długości łodzi, balansując odpowiednio do jej nieprzewidzianych ruchów, i sondował nieporęczną w użyciu tyczką o długości trzydziestu stóp. Posługiwanie się nią na takim wietrze wymagało dużej siły, ale właściwie użyta pozwalała na dużo szybszy i cichszy pomiar głębokości niż linka sondy ręcznej. Cztery sążnie — trzy i pół — cztery — jak można się było spodziewać, zaporę ustawiono dokładnie w poprzek toru wodnego. Jej koniec z nawietrznej dzieliła odległość nie większa od dwustu jardów — jednego kabla — od plaży w Pilawie i Hornblower, usiłując przebić ciemność wzrokiem, pomyślał, że jest tam, prawie na pewno, dodatkowa zaporę, biegnąca od tamtego brzegu, która, zachodząc na tę, zmusi każdy wchodzący okręt do wykonania zwrotu przez sztag w celu zmiany kursu. A to oznacza, że każda jednostka, próbująca przedostać się we wrogich zamiarach, zostałaby na pewno zatopiona lub podpalona przez ciężkie działa z Pilawy.

Popłynęli do zawietrznego końca zapory; stąd pasemko spokojnej wody sięgało do mierzei — Nehrungu, żeby już użyć dziwaczego niemieckiego słowa na jej oznaczenie — oddzielającej zalew od Bałtyku na odcinku dwudziestu mil. Ten otwarty szmat wody musiał mieć ze ćwierć mili szerokości, ale dla żeglugi był bezużyteczny. Kilkakrotne sondowanie tyczką, przeprowadzane przez Browna, wykazało głębokość dziesięciu stóp, która dalej zmniejszała się do sześciu, najwyżej ośmiu.

Vickery nagle położył dłoń na ramieniu Hornblowera i wskazał ku lądowi. Pojawił się tam ciemniejszy punkcik — łódź strażnicza płynąca przez płycizny dla podjęcia straży przy zaporze.

— Wiosła! — rzucił Hornblower. — Wracamy na morze.

Trzony wiosel owinięto matami, wplecionymi z przędzy lin, żeby nie zgrzytały w dulkach; marynarze wiosłowali nie szcędząc wysiłku i kuter wyszedł na morze, gdy łódź strażnicza była jeszcze w drodze. Kiedy odległość między łodziami zwiększyła się na tyle, że nie można już było widzieć żagli, Hornblower rozkazał postawić żagiel lugrowy. Płynęli z powrotem do „Lotusa”. Hornblower, w mokrym odzieniu, nie mógł opanować drżenia, bardzo się wstydząc, że Vickery może się zorientować, iż komodor dygoce z zimna tylko dlatego, że ma przemoczony mundur, z czego zahartowany marynarz nic sobie nie robił. Irytowało go również — mimo że należało się tego spodziewać — iż pierwsza próba odnalezienia „Lotusa” w ciemnościach nie powiodła się; kuter musiał wykonać zwrot i płynąć półwiatrem na przeciwnym halsie, aż w końcu na tle nocy dostrzegli zarysy okrętu. Usłyszawszy obwołanie, Brown przyłożył do ust dłoń złożone w trąbkę.

— Komodor! — krzyknął i Vickery podprowadził kuter pod burtę zawietrzną „Lotusa”, a gdy obie jednostki zesły się, Hornblower przeszedł przez niską burtę korwety. Na pokładzie rufowym Vickery czekał na rozkazy,

— Proszę wciągnąć łódź na pokład, panie Vickery — zarządził Hornblower — i wyjść na pełne morze. Niech pan sprawdzi, czy „Raven” idzie za nami. O świcie musimy być niewidoczni z lądu.

Rozbierając się z mokrej odzieży pod pokładem, w małej kajucie Vickery'ego, z kręcącym się przy nim Brownem, Hornblower usiłował zmusić otępiały mózg do zastanowienia się nad problemem, który należało rozwiązać. Brown podał mu ręcznik, a on roztarł nim trochę zziębnięte kończyny. Sprawdziwszy, że okręt jest na właściwym kursie, Vickery zapukał i wszedł do kajuty dopilnować, żeby komodor dostał wszystko, czego potrzebował. Rozprostowując się po skończeniu rozcierania nóg, Hornblower wyrznął głową o belki pokładu; na małej korwecie wysokość kajuty nie przekraczała pięciu stóp. Mimo woli zaklął.

— Pod świetlikiem jest o stopę wyżej, sir — zauważył dyplomatycznie Vickery.

Świetlik miał wymiary trzy stopy na dwie i nawet stanąwszy w samym jego środku Hornblower ledwo mógł się wyprostować, dotykając go włosami. Z belki pokładowej obok otworu zwisała lampa; wykonawszy nieostrożny ruch Hornblower dotknął jej obnażonym ramieniem i ciepła, cuchnąca oliwa z pojemnika pociekła mu na plecy. Hornblower zaklął znowu.

— Niosą panu gorącą kawę, sir — pocieszył go Vickery.

Kawa była taka, jakiej Hornblower nie próbował od lat — wywar z palonego chleba, z odrobiną tylko prawdziwej kawy dla zapachu — ale przynajmniej go rozgrzała. Wypiwszy ją małymi łykami, oddał kubek Brownowi, wziął suchą koszulę, wiszącą obok na zamku działa dwunastofuntowego, i wciągnął ją na siebie.

— Jakież dalsze rozkazy, sir? — zapytał Vickery.

— Nie — odparł Hornblower zboliałym tonem, pochylając głowę, żeby się znów nie uderzyć o

belkę. Nie chciał dać poznać po głosie, że jest zawiedziony i zły, ale chyba mu się to nie udało. Wściekał się, że musi przyznać, iż nie ma żadnych szans na udany atak na Zalew Wiślany, a przecież rozważa, zdrowy rozsądek i cały instynkt taką mu dyktowały decyzję. Nie ma mowy o przerwaniu zapory ani o jej obejściu, a w każdym razie nie na żadnej z jednostek, którymi dowodzi. Pomyślał z goryczą, że niepotrzebnie odezwał się do Busha na temat celowości dokonania ataku na tę strefę od strony morza. Jeśli w ogóle potrzebował lekcji, że należy trzymać język za zębami, to właśnie ją dostał. Cała eskadra spodziewa się akcji, a on ich rozczaruje, odpłynie nic nie zrobiwszy. Na przyszłość będzie dwakroć uważniej trzymał język za zębami, trzykroć ukróci swoją skłonność do gadania, bo gdyby nie przemówił tak lekkomyślnie do Busha, szkoda byłaby znacznie mniej dotkliwa; Bush, nie mając przeciwstawnego rozkazu, przedyskutował oczywiście ze swoimi oficerami ewentualnie przyszłe posunięcia i wszyscy spodziewają się Bóg wie czego — każdy czeka na wielkie wyczyny zuchwałego Hornblowera (szydził z siebie), tak sławnego ze swej odwagi i pomysłowości.

Zmartwiony, jeszcze raz sprawdził dane. Na końcu zapory, po stronie mierzei, głębokość wody pozwalała na przejście flotylli łodzi. Mógłby wysłać trzy albo cztery szalupy, z armatkami czterofuntowymi na dziobach i stu pięćdziesięcioosobową załogą. Niewykluczone, że pod osłoną nocy udałoby się im przepłynąć obok zapory i zaskoczywszy wszystkich w lagunie, dokonać błyskawicznego spustoszenia wśród kabotażowców. Bardzo możliwe, że zniszczyliby statki o łącznym tonażu kilku tysięcy ton. Ale co z powrotem? Wyjście jest obserwowane niezwykle uważnie; baterie są obsadzone ludźmi w dzień i w nocy, na końcu zapory roi się od kanonierek, które, nawet mając załogi złożone ze szczerów lądowych, zniszczą flotyllę, jeśli ich liczba będzie dostatecznie duża. Eskadra nie może sobie pozwolić na utratę stu pięćdziesięciu wyszkolonych marynarzy — stanowiących jedną dziesiątą wszystkich załóg łącznie — a wysłanie mniejszej siły mijałoby się z celem.

Nie; żadne zniszczenia wśród kabotażowców nie są warte życia stu pięćdziesięciu marynarzy. Musi zrezygnować z tego pomysłu; gestem jakby symbolizującym decyzję zaczął naciągać dostarczone mu przez Vickery'ego suche spodnie. I wtedy, gdy miał jedną nogę w nogawce, olśniła go pewna myśl; dopiero po chwili zreflektował się, że stoi w koszuli, z lewą nogą gołą, a prawą w spodniach tylko od stopy do kolana.

— Panie Vickery — powiedział — niech pan jeszcze raz rozłoży mapy.

— Tak jest, sir — odparł Vickery.

W jego głosie można było odczuć podniecenie, jakby echo emocji niewątpliwie wyczuwalnej w słowach Hornblowera. Hornblower zauważył to i zapinając pas od spodni jeszcze raz utwierdził się w postanowieniu, żeby bardziej uważać na to, co mówi, jeśli chce odzyskać swoją reputację małomównego bohatera. Patrząc na rozesłane mapy, czuł, wiedział, że Vickery przygląda mu się, toteż bardzo się starał nie dać po sobie poznać, czy podjął jakąś decyzję. Gdy już się upewnił w swoim zamiśle, powiedział „dziękuję” możliwie najbardziej bezbarwnym tonem, a potem, przypomniawszy sobie nagle swój dawny nawyk, odkaslnął i mruknął: — Ha-hm.

Zadowolony z wyniku, wciąż z kamienną twarzą, powtórzył, tym razem cedząc jeszcze dłużej: — Haaa-hm.

Zdezorientowany wyraz twarzy Vickery'ego niezwykle go ucieszył.

Następnego ranka, już w swojej kajucie na „Nonsuchu”, odegrał się nieco, obserwując twarze dowódców wezwanych do wysłuchania jego planu. Wszyscy, co do jednego, skwapliwie gotowi ryzykować życie i wolność, palili się do przeprowadzenia w wyprawie, która na pierwszy rzut oka mogła się wydawać absolutnie niedorzeczna. Obaj dowódcy korwet marzyli o okazji do uzyskania awansu na stopień kapitana, a młodszy porucznicy mieli nadzieję, że mogliby zostać dowódcami korwet.

— Pan Vickery będzie dowodził — oznajmił Hornblower i mógł teraz obserwować dalszą grę uczuć na twarzach swoich podwładnych. Ponieważ jednak w tym wypadku każdy z nich miał prawo wiedzieć, czemu został pominięty, Hornblower udzielił kilku słów wyjaśnień.

— Obaj dowódcy keczów bombowych są nie do zastąpienia ; nie mamy innych oficerów, którzy potrafiliby równie dobrze jak oni kierować tymi piekielnymi machinami. Nie muszę też wyjaśniać, czemu kapitan Bush jest nie do zastąpienia. A pan Vickery był ze mną przy badaniu zapory, dzięki czemu lepiej zna sytuację niż pan Cole, który był oczywiście drugim kandydatem na dowódcę wyprawy.

Nie zawadzi ułagodzić nieco Colego takim argumentem, bo nic dobrego by nie wyszło, gdyby pozwolił innym sądzić, że nie ufa Colemu na tyle, aby powierzyć mu w ogóle dowództwo poza zasięgiem swego wzroku — biedny, stary Cole, siwy i przygarbiony, niemal za stary do pracy, jaką wykonywał, żywiący złudną nadzieję, że zostanie kapitanem. Hornblower miał wrażenie, że Cole przejrzał go z tą wymówką i musiał pocieszyć się banalną myślą, że gdzie drwa rąbią, tam wióry muszą lecieć. Przeszedł szybko do następnego punktu.

— Skoro załatwiliśmy tę sprawę, proszę was, panowie, o propozycje, kogo należałoby wysłać w charakterze podkomendnych pana Vickery'ego. Może najpierw pan Vickery, jako najbardziej zainteresowany.

Po ustaleniu tych szczegółów następnym krokiem było przygotowanie czterech łodzi do wyprawy: szalupy i kutra z „Nonsucha” oraz kutrów z „Lotusa” i „Ravena”. Czterofuntowe działo na dziobie szalupy, a trzyfuntowe na pozostałych łodziach; żywność, woda, amunicja i materiały wybuchowe do wysadzenia w powietrze zdobytych statków. Załogi wybrane na wyprawę ustawiły się i zostały poddane inspekcji; marynarze z pistoletami i kordelasami, żołnierze piechoty morskiej z muszkietami i bagnetami. Pod koniec dnia Vickery znowu stawiał się na pokładzie „Nonsucha” po ostatnie potwierdzenie przyszłego miejsca zbiórki.

— Powodzenia — powiedział na koniec Hornblower.

— Dziękuję, sir — odrzekł Vickery.

Patrzył otwarcie w oczy Hornblowera.

— Taki jestem panu wdzięczny, sir — dodał.

— Nie mniej proszę dziękować, ale sobie — odburknął Hornblower.

Irytowała go niewymownie ta wdzięczność młodego Vickery'ego za zgodę na narażanie życia. Obliczył, że gdyby ożenił się jako midszypmen, mógłby mieć teraz syna w jego wieku.

O zmroku eskadra ruszyła w stronę lądu. Wiatr skręcił trochę na północ, ale dalej wiał silnie i chociaż niebo nie było takie całkiem zaciągnięte chmurami, jak poprzedniej nocy, istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że łodzie prześlizną się nie zauważone. Były właśnie dwie szklanki wachty środkowej, gdy Hornblower odprowadzał je wzrokiem. Zniknęły w szarości i Hornblower odwrócił się. Teraz musi tylko czekać. Rzecz ciekawa, ale raz jeszcze stwierdził, że prawdziwie i szczerze wolałby sam popłynąć na wyprawę, wolałby raczej wystawić na ryzyko własne życie, swoje ciało i wolność, tam na Zalewie Wiślanym, niż tkwić tu bezpiecznie w morzu, czekając tylko na rezultat. Uważał się za tchórza; czuł wstręt do myśli o kalectwie i może nieco mniejszą odrazę do myśli o śmierci; toteż ze szczególnym zainteresowaniem spostrzegł, że są rzeczy, których nie cierpi jeszcze bardziej niż niebezpieczeństwa. Gdy upłynęło już tyle czasu, że łodzie powinny były minąć zaporę albo wpaść w ręce nieprzyjaciela, Hornblower zszedł do kajuty na krótki spoczynek przed nastaniem świtu. Ale mógł tylko udawać, że śpi; mógł tylko nie wstawać z koi i z trudem powstrzymywać się od kręcenia się na niej i przewracania z boku na bok. Gdy niebo zaczęło jaśnieć, z prawdziwą ulgą wrócił na półpokład, żeby się orzeźwić pod pompą ręczną, a potem udał się na pokład rufowy i wypił tam kawę, popatrując na rufę ku prawej burcie (okręt stał w dryfie na lewym halsie), w stronę Pilawy i wejścia na zalew.

W miarę rozwidniania się przedmiot jego obserwacji stawał się widoczny przez lunetę. W odległości armatniego strzału bez celu rozciągał się żółtozielony cypel, na którym położona była Pilawa; widać było wyraźnie dwie wieże kościelne. Ukazał się też zarys zapory zagradzającej wejście, zaznaczony załamującymi się falami, i od czasu do czasu, błyskiem ciemnego drewna. Te ciemne kopce u skraju wody to z pewnością baterie wysunięte tak daleko dla obrony wejścia. Po drugiej stronie, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się długa kreska mierzei, żółtawozielone pasmo wydm piaszczystych, to nieco wyższych, to niższych. Ale u wejścia nic nie było widać poza siną wodą, upstrzoną tu i ówdzie bielą na płycznach laguny. Przeciwległy brzeg zalewu był zbyt daleko, żeby można go było dojrzeć z pokładu.

— Kapitanie Bush — odezwał się Hornblower — może pośle pan łaskawie oficera o dobrym wzroku z lunetą na maszt.

— Tak jest, sir.

Hornblower patrzył, jak młody porucznik mknie po wantach najszybciej jak może, pod jego komodorskim okiem, jak zawisa na podwantkach i posuwa się dłoń za dłonią po wantach bramstengi. Hornblower wiedział, że ze swoją obecną kondycją nie dokonałby tego bez krótkiego choćby odpoczynku na salingu i że jego wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś — gdzie mu tam z jego wzrokiem do tego porucznika. Obserwował, jak sadowi się na marsie, nastawia lunetę i omiata nią widnokrąg. Czekał chwilę na meldunek, a potem niecierpliwie chwycił tubę i zawołał:

— Hej, na maszcie! Co widać na brzegu w lagunie?

— Nic, sir. Jest zbyt mglisto. Nie widzę żadnych żagli, sir.

Może tam, w garnizonie, śmieją się z niego w kułak. Może łodzie wpadły im prosto w łapy i teraz żołnierze zabawiają się obserwowaniem eskadry rozpoczynającej daremne czekanie na stracone łodzie z załogami. Nie wolno jednak poddać się pesymizmowi. Żeby odsunąć od siebie ponure myśli, Hornblower zaczął wyobrażać sobie, co się działo w bateriach i w miasteczku, gdy świt ukazał eskadrę brytyjską na morzu tuż za zasięgiem dział. Jak biją werble, grają trąbki, a oddziały śpieszą stawić czoło ewentualnemu desantowi. To wszystko dzieje się tam właśnie teraz. A garnizon i gubernator francuski na pewno jeszcze nie wiedzą, że wilki wtargnęły do ich owczarni, że załogi brytyjskie przedostały się na wody zalewu, gdzie nie widziano sił nieprzyjacielskich od czasu, kiedy pięć lat temu Gdańsk dostał się w ręce Francuzów. Hornblower próbował pocieszać się myślą o dalszym zamieszaniu, jakie powstanie w momencie, gdy nieprzyjaciel zorientuje się w sytuacji; posłańcy galopujący z meldunkami ostrzegawczymi, pospieszne alarmowanie kanonierek, kabotażowce i barki uykające pod osłonę najbliższej położonych baterii — jeśli są tam baterie; Hornblower był gotów założyć się, że nie ma ani jednej między Elblągiem a Królewcem, gdyż dotąd nie były w ogóle potrzebne.

— Hej, na maszcie! Widać coś na brzegu?

— Nie, sir... tak, sir. Z miasteczka wypływają kanonierki.

Hornblower też je widział, flotyllę małych, dwumasztowych jednostek z ożagłowaniem rozprzowym, typowym dla małych stateczków na Bałtyku, wychodzącą z Elbląga. Przypominały trochę lekkie, płytkie łodzie wiosłowe z Norfolku. Na każdej jest pewnie jedno ciężkie działo, raczej dwudziestoczerofuntowe, zamontowane na dziobie. Rzucaly kotwice na płycznach, stając w pewnych odstępach od siebie, jako dodatkowa osłona zapory w razie ataku na nią. Cztery kanonierki popłynęły dalej i zakotwiczyły na płytkich wodach między zaporą a mierzeją — może nie tyle zagradzając wejście do stajni, kiedy konia już ukradziono, myślał Hornblower, polemizując z porównaniem, jakie mu się początkowo nasunęło, co raczej zamykając wyjście ze stajni, żeby złodziej nie mógł się z niej wydostać, jeśli wiedzą już (co jest bardzo wątpliwe), że złodziej dostał się do stajni. Zamglenie ustępowało szybko; z prawie błękitnego nieba zaczynało wyzierać blade słońce.

— Hej!, pokład! Tam, sir, widać jakiś dym, prosto dalej w zatoce. Nie widzę nic więcej, sir, ale to czarny dym, jakby z palącego się statku.

Bush, zmierzwszy wzrokiem malejącą odległość między okrętem a zaporą, kazał przebrasować żagle i odpłynąć trochę dalej w morze, a obie korwety poszły śladem „Nonsucha”. Hornblower pomyślał, że może za bardzo polega na młodym Moundzie, jeśli chodzi o kecze bombowe. Mound ma wyznaczone ważne spotkanie na następny ranek; czeka teraz, z „Mothem” i „Harveyem” za widnokręgiem, poza zasięgiem wzroku. Na razie garnizon w Elblągu widzi tylko trzy jednostki brytyjskie i nie wie o istnieniu keczów. To bardzo dobrze — pod warunkiem, że Mound prawidłowo wykonuje jego rozkazy. Może też zerwać się wichura albo zmiana kierunku wiatru za bardzo rozhuśta fale przyboju, uniemożliwiając realizację planu obmyślonego przez Hornblowera. Poczul, że ogarnia go niepokój. Musi się odprężyć, robić wrażenie opanowanego. Pozwolił sobie na chodzenie po pokładzie, ale jakby od niechcienia, zwalniając nerwowy krok.

— Hej, pokład! Przy brzegu widać więcej dymu, sir. Widzę go w dwóch miejscach, jakby teraz paliły się dwa statki.

Bush wydał właśnie rozkaz ponownego przebrasowania grotmarsla i postawiwszy okręt w dryf, podszedł do Hornblowera.

— Wygląda, jakby Vickery'emu udało się coś zrobić, sir, no nie? — odezwał się z uśmiechem.

— Miejmy nadzieję, że tak — odparł Hornblower.

Wyraz twarzy Busha nie zdradzał oznak niepokoju; na jego grubo ciosanym obliczu malowała się tylko niepohamowana satysfakcja na myśl o Vickerym buszującym pośród stada kabotażowców. Ta jego absolutna pewność dodała ducha Hornblowerowi, ale już za chwilę uświadomił sobie, że Bush nie zwraca w gruncie rzeczy uwagi na okoliczności. Bush wie, że Hornblower zaplanował ten atak i to mu wystarcza. W takim razie możliwość niepowodzenia przedsięwzięcia nie przechodzi mu wcale przez głowę, a to bardzo zirytowało Hornblowera.

— Hej, na pokładzie! Dwa małe żagle płyną przez zatokę bejdewindem w stronę miasta. Nie mogę jeszcze powiedzieć na pewno, sir, ale ten z tyłu to chyba nasz kuter.

— Tak, to nasz kuter, sir! — wykrzyknął czyjś inny głos; wszyscy marynarze wolni w tej chwili od służby siedzieli już na salingach.

— To będzie Montgomery — stwierdził Bush. Wsunął czubek protezy w pierścień do mocowania talii ostatniej karonady na rufie, żeby mógł stać bez wysiłku na łagodnie kołyszącym się pokładzie.

— Złapał go, sir! — rozległ się krzyk z salingu. — Nasz kuter go dognał!

— To będzie ten ładunek chleba i wołowiny, który nie dostanie się Boniowi — zauważył Bush.

Wielkie zniszczenia wśród tonażu kabotażowego na zalewie można by uznać za pewne zadośćuczynienie za utratę stu pięćdziesięciu marynarzy pierwszej klasy. Trudno będzie jednak przekonać o tym ich lordowskie wysokości z Admiralicji, jeśli nie przedstawi się pewnych dowodów zniszczenia.

— Hej, na pokładzie! Te dwa statki rozchodzą się. Nasz kuter odpływa pełnym wiatrem. Na tym drugim puścili chyba grotżagiel, sir. Wygląda to jakby...

Meldunek porucznika urwał się gwałtownie.

— Poszedł! — zawołał ktoś inny i natychmiast wszyscy na masztach wznieśli radosny okrzyk.

— Wysadzony w powietrze! — zawołał porucznik, z podniecenia zapomniawszy nawet dodać „sir” przy zwracaniu się do komodora. — Widać słup dymu, wysoki jak góra. Chyba można go już zobaczyć z pokładu.

Oczywiście że widzieli go, słupek dymu w górze o kształcie grzyba, czarny i ciekły — właśnie uniósł się nad widnokrugą. Utrzymał się w powietrzu przez dłuższą chwilę, zanim wiatr poszarpał go na strzępy i rozwiął zupełnie.

— Na Boga, to nie była wołowina ani chleb! — mówił Bush waląc prawym kufakiem w lewą dłoń. — To był proch! Pełna barka prochu! Jak pragnę szczęścia, pięćdziesiąt ton prochu!

— Na maszcie! Co z kutrem?

— W porządku, sir. Nie wygląda, żeby ten wybuch go uszkodził. Już jego kadłub znikł za widnokrugą, sir.

— Boże, daj, żeby puścił się za następnym — westchnął Bush.

Zniszczenie barki z prochem było najoczywistszym dowodem, że Bonaparte wyzyskuje śródlądową drogę wodną do transportu zaopatrzenia wojskowego. Hornblower czuł, że coś osiągnął, nawet jeśli Whitehall nie będzie o tym całkiem przekonana, i uśmiechnął się z zadowolenia. Złapawszy się na tym, stłumił uśmiech, gdyż powaga jego stanowiska wymagała, aby pozostawał jednakowo nieporuszony zarówno w momencie sukcesu, jak i niepewności.

— Zostaje nam tylko wydostać dziś nocą Vickery'ego i jego ludzi, sir — odezwał się Bush.

— Tak, tylko tyle — odrzekł Hornblower możliwie obojętnym tonem.

Wysadzenie barki z prochem było jedynym pewnym dowodem powodzenia na zalewie, jaki dotarł tego dnia do „Nonsucha”, chociaż obserwatorzy nieraz jeszcze meldowali bez pewności o dymie na widnokrugę pod brzegiem. Wieczorem pojawiły się nowe kanonierki, tym razem przypuszczalnie z Królewca, i zajęły stanowiska wzdłuż zapory. Przez pewien czas można było też obserwować kolumnę wojska, poziome kreski błękitnych mundurów i białych spodni, wyraźnie widoczne nawet z pokładu, maszerujące aby wzmocnić pozycje obronne Pilawy. Jak widać, wejście na zalew będzie mocno bronione, gdyby Brytyjczycy zdecydowali się na atak.

Wieczorem Hornblower wyszedł z kajuty, gdzie udawał, że je obiad, na pokładzie rozglądał się wokoło, chociaż już tam, w kajucie, zmysły miał tak wyostrzone, że wzrok nie potrafił powiedzieć mu nic nowego. U schyłku dnia wiatr osłabł; słońce miało się ku zachodowi, ale jeszcze najmniej przez parę godzin będzie widno.

— Kapitanie Bush, proszę posłać swoich najlepszych celowniczych do dział prawoburtowych na dolnym pokładzie działowym.

— Tak jest, sir.

— Niech odmocują i wytoczą armaty. A potem proszę podejść okrętem w zasięg baterii. Chcę ściągnąć na nas ich ogień.

— Tak jest, sir.

Na okręcie rozległy się gwizdki; bosman z pomocnikami wykrzykiwali rozkazy i marynarze rozbiegli się na swoje stanowiska. Okręt drżał jak w czasie trzęsienia ziemi, gdy z wielkim hałasem wytaczano potężne dwudziestoczerofuntowe armaty na dolnym pokładzie działowym.

— Proszę sprawdzić, czy działonowi wiedzą, w co mają celować — dodał Hornblower.

Wiedział jak bardzo ograniczone jest pole widzenia, gdy się patrzy przez furtę strzelniczą dolnego pokładu działowego, o jard może nad wodą, i nie chciał, żeby nieprzyjaciel rozeznał się w tym, że manewr, jaki miał zamiar przeprowadzać, nie jest niczym innym jak właśnie manewrem mylącym przeciwnika. Marynarze obsługujący zawietrzny bras grotmarsła, zręcznie wybierając go chodem wzdłuż pokładu, przebrasowali wielki żagiel, i „Nonsuch”, wychodząc na wiatr, zaczął sunąć naprzód.

— Trochę w prawo — powiedział Bush do sternika. — Niech odpada. Teraz wstrzymywać sterem! Tak trzymać!

— Tak trzymać, sir — powtórzył sternik jako echo i potem wyćwiczonym ruchem mięśni twarzy przesunął prymkę spod policzka do ust, by w chwilę później wypluć ją prosto do spluwaczki przy sterze, nie odrywając wzroku od liku grotmarsła i kompasu.

„Nonsuch” płynął spokojnie w kierunku wejścia i baterii. Takie podstawianie się pod ostrzał było przedsięwzięciem ryzykownym. Opoдал baterii widać było dym jak gdyby z ogniska; może wydobywa się po prostu z kuchni garnizonowych, ale równie dobrze mogą tam dymić piece do rozżarzania pocisków. Ale Bush był świadom tej możliwości przy wiązaniu się walką z bateriami brzegowymi i nie trzeba go o tym ostrzegać. Postawił tyle ludzi w pogotowiu z wiadrami pożarowymi, ile się tylko dało, kazał zamocować węże do wszystkich pomp. A teraz mierzył wzrokiem odległość.

— Trochę bliżej, kapitanie Bush — poganiał go Hornblower, bo dla niego nie ulegało wątpliwości, że wciąż pozostają poza zasięgiem. Fontanna wody ukazała się na moment na powierzchni sfalowanego morza na prawo od dziobu, w odległości dwóch kabli.

— Jeszcze nie dość blisko, kapitanie Bush — powiedział Hornblower.

Okręt sunął w pełnej napięcia ciszy. Nagle przy rufie z prawej burty wytrysnęła cała wiązka bryzgów, jeden tak blisko, że w skutek jakiegoś kaprysu fali i wiatru woda chlusnęła na Busha, zalewając mu całą twarz.

— Niech ich diabli — zaklął Bush przecierając oczy.

Ta bateria nie miała prawa dosięgnąć aż tak daleko swoją salwą. Nie było też dymu nad nią. Hornblower przesunął lunetą po okolicy i aż go ścisnęło w gardle. Salwa pochodziła od zupełnie innej baterii, bardziej na lewo, której istnienia w dodatku nie podejrzewał aż do tej chwili. Widocznie trawa przy szajcach wyrosła tak wysoko, że zasłoniła baterię, czyniąc ją niewidoczną nawet z bliska; ale sama zdemaskowała się odrobinę za wcześnie. Gdyby dowodzący tam oficer odczekał jeszcze dziesięć minut, „Nonsuch” mógłby znaleźć się w opałach.

— Wystarczy, kapitanie Bush — zdecydował Hornblower.

— Pełnymi żaglami ostro na wiatr — rzucił Bush komendę sternikowi, a potem podniósł głos i krzyknął: — Uwaga, brasy zawietrzne!

„Nonsuch” wykonał zwrot, wystawiając prawą burtę ku bateriom, i znacznie już wolniej posuwał się bejdewindem w ich kierunku. Hornblower podał dokładne położenie nowo wykrytej baterii midszypmenowi wachtowemu i kazał mu pobiec z tą informacją pod pokład do obsługi dział.

— Sterować ostrzej do wiatru! — huknął Bush na sternika.

— Sterować ostrzej do wiatru, sir.

Jeszcze przez chwilę wokół okrętu wyskakiwały fontanny wody, a głośnie wycie przelatujących pocisków raziło uszy. Dziwna sprawa, że ich nie trafiono; tak przynajmniej uważał Hornblower, póki, spojrzawszy w górę, nie zauważył dwóch eliptycznych dziur w stermarlsu. Strzelano marnie, bo przecież biło w nich co najmniej dwadzieścia armat, jak obliczył Hornblower po śladach dymu na brzegu. Starannie zanotował pozycje baterii — nigdy nie wiadomo, kiedy taka informacja może się przydać.

— Kapitanie, proszę otworzyć ogień, jeśli łaska — rzekł Hornblower. Jeszcze nie skończył wypowiadać uprzejmego zakończenia zdania, a już Bush, z tubą przy ustach, powtarzał rozkaz, ile sił w płucach. Pomocnik artylerzysty, postawiony przy głównym luku, przekazał wiadomość na dolny pokład działowy. Nastąpiła króciutka pauza, co Hornblower odnotował z przyjemnością, ponieważ świadczyła ona, że działonowi wychodzą ze skóry, żeby dobrze ustawiać działa na cel, a nie tylko pociągnąć za sznur do odpalania w momencie usłyszenia rozkazu. Potem rozległ się nierówny huk; okręt zadrżał i zatonął w dymie zdmuchniętym zaraz w kierunku zawietrznym. Przez lunetę Hornblower widział, jak wokół zamaskowanej baterii wzbity się fontanny piasku. Siedemnaście dział dwudziestoczworofuntowych ryknęło znowu i znowu, aż pokład pod stopami Hornblowera zaczął drgać od wstrząsów i ruchów lawet.

— Dziękuję, kapitanie Bush — rzekł Hornblower. — Może pan przejść teraz na przeciwny hals.

Bush patrzył przez chwilę na niego mrugając oczami. Zapal bojowy tak go rozognił, że musiał stanąć i pomyśleć, zanim mógł przystąpić do wykonywania nowego rozkazu.

— Tak jest, sir. — Podniósł tubę do ust. — Przerwać ogień! Przygotować się do zwrotu przez sztag!

Przekazano rozkaz do obsługi dział i zgiełk zamarł nagle, tak że rozkaz „Ster na zawietrzną!” rzucony przez Busha do sternika, zabrzmiał niepotrzebnie głośnie.

— Brasować grotżagiel! — ryknął Bush.

W czasie gdy „Nonsuch” zawracał majestatycznie, prostując się po chwilowym łopocie żagli, po prawej stronie dziobu wystrzeliła następna fontanna bryzgów, po raz pierwszy wszystkie blisko

siebie. Gdyby nie ten szybki zwrot, pociski mogłyby ich trafić. Hornblower mógłby w tej chwili leżeć na pokładzie rufowym z rozprutym brzuchem i wypływającymi z niego wnętrznościami.

„Nonsuch przeszedł linię wiatru i żagle tylne zaczęły się wypełniać.

— Fok dookoła! — ryknął Bush. Żagle przednie wypełniały się, w miarę jak marynarze biegli z brasami podwietrzny! ku rufie, i „Nonsuch” ustawił się na nowym halsie.

— Jakies dalsze rozkazy, sir? — spytał Bush.

— Na razie to wystarczy.

Mknąc bejdewindem na prawym halsie okręt szybko odpływał od lądu ku miejscu, gdzie dwie korwety czekały na niego, dryfując tam i z powrotem. Ci na brzegu na pewno nie posiadają się z radości, że odparli silny atak; być może jakiś gadatliwy artylerzysta zaklina się, że na własne oczy widział celne pociski uszkadzające brytyjskiego intruza. Trzeba podtrzymać ich w przekonaniu, że Anglicy w dalszym ciągu rozważają możliwość jakiegoś desperackiego wypadu w tym rejonie.

— Midszypmen? — powiedział Hornblower.

Sznury barwnych flag wzbity się po flaglinkach „Nonsucha”; nic nie zaszkodzi, jeśli midszypmen sygnałowy poćwicz się nadając „Wieczorny dzwon wybija czas rozstania” przy użyciu możliwie najmniejszej liczby flag. Nacelowawszy lunetę midszypmen odczytywał odpowiedź „Ravena”.

— I... — sylabizował — t-r-z-ó-d-k-a. Trzódka. Dwa — pięć. To znaczy „pływ” i jeszcze jest „roz” przedtem i „a” na końcu, „rozpływa”. W-o-l... Nie mam pojęcia, co on chce przez to powiedzieć.

A więc przynajmniej Cole na „Ravenie” zna „Elegię” Graya, a ten ktoś odpowiedzialny za sygnalizację ma dosyć oleju w głowie, żeby wykorzystać skrót kodowy flag na „pływ” dla przekazania słowa „rozpływa”, oszczędzając w ten sposób jednej flagi.

— I trzódka miła rozpływa się wolno — meldował midszypmen nic z tego nie rozumiejąc.

— Doskonale. Nadać potwierdzający.

Ta nie kończąca się wymiana sygnałów między okrętem liniowym a korwetami musi być widoczna z lądu i wzbudzać zaniepokojenie. Hornblower kazał nadać następny sygnał, z numerem rozpoznawczym „Lotusa”: „Oracz wlecze z mozołem ciężki swój pług do chaty”, ale otrzymał tylko w odpowiedzi: „Sygnał nie zrozumiany”. Widocznie Purvis, pierwszy oficer na „Lotusie”, w tej chwili sprawujący tam dowództwo, nie jest zbyt bystry czy może nie dość odczytany. W każdym razie nawet Hornblower nie potrafił sobie wyobrazić, co on zrozumiał z tego wszystkiego i uśmiechnął się na tę myśl.

— Anulujcie więc sygnał i nadajcie zamiast tego: „Podać natychmiast liczbę żonatych rudych marynarzy na pokładzie”.

Hornblower czekał, aż nadeszła odpowiedź; bardzo pragnął, żeby Purvis nie potraktował sprawy tak dosłownie i nie nadał krótko: „Pięciu”, a potrafił wymyślić odpowiedź łączącą w sobie takie niemalże nie do pogodzenia cechy, jak szacunek i dowcip. Wrócił teraz do kontynuowania swego planu.

— Sygnał do obu jednostek — rzucił. — „Posuwać się ku zaporze pozorując atak, ale unikając walki”.

W słabnącym świetle dnia patrzył, jak obie korwety ruszają niby do ataku. Zawróciły, ustawiły się ostrzej do wiatru i znów odpadły. Dwukrotnie Hornblower dojrzał kłębuszek dymu i usłyszał niesiony echem po wodzie głuchy, ponury odgłos strzału z dwudziestoczerofuntówki na kanonierce wypróbowującej zasięg. Potem wyzyskując ostatnie momenty światła dziennego, pozwalające na odczytanie sygnału, kazał nadać: „Przerwać akcję za pół godziny”. Uczynił, co było możliwe, żeby ściągnąć uwagę nieprzyjaciela na ten koniec zatoki, jedyną drogę do wyjścia. Teraz w garnizonie powinni się już całkiem upewnić, że łodzie desantowe tędy będą szukały ucieczki. Przypuszczalnie spodziewają się tej próby o pierwszym brzasku dnia, aby mogła być wspomagana od morza przez duże jednostki. Zrobił wszystko, co mógł, i teraz zostało mu już tylko położyć się i jeśli się da, spędzić resztę nocy w spokoju.

Oczywiście nie było to rzeczą możliwą, gdy ważył się los stu pięćdziesięciu marynarzy, gdy rzucił na szalę swoją reputację człowieka o szczęśliwej ręce i niezwyklej pomysłowości. W pół godziny po położeniu się Hornblower pożałował, że nie kazał trójce młodszych oficerów spędzić z nim czasu pozostałego do świtu na grze w wista. Zastanawiał się nawet, czyby nie wstać i nie wezwać ich teraz, ale zaniechał tej myśli w przekonaniu, że gdyby to zrobił, wszyscy zorientowaliby się, iż próbował usnąć i nie mógł. Przewracał się więc stoicko na koi z boku na bok, zmusiwszy się do pozostania w niej, póki świt go nie wyzwoli.

Gdy wyszedł na pokład, perłowa mgiełka bałtyckiego poranka zamazywała i bez tego słabe zarysy widzialnych przedmiotów. Zapowiadał się piękny dzień, z umiarkowanym wiatrem, lekko skręcającym w lewo. Bush był już na pokładzie — Hornblower wiedział o tym jeszcze będąc w kajucie, bo słyszał stukanie jego drewnianej nogi nad głową. Zobaczywszy go, zatroskał się, czy aby jego twarz nie zdradza oznak bezsenności i obaw. Pomogło mu to wziąć się w garść i nie okazując niepokoju odsalutować Bushowi.

— Mam nadzieję, że z Vickerym wszystko w porządku, sir — odezwał się Bush.

Sam fakt, że odważył się przemówić do Hornblowera o tej porze ranka i po tylu latach służby pod jego rozkazami, był najlepszym dowodem jego zdenerwowania.

— Ależ tak — odparł Hornblower lekkim tonem. — Wierzę, że Vickery wygrzebie się z każdej kabały.

Powiedział to z całą szczerością; gdy wymawiał te słowa, przyszło mu do głowy — nie po raz pierwszy — że w gruncie rzeczy martwienie się i niepokój nie mają związku z faktyczną sytuacją. Zrobił wszystko, co było możliwe. Wspomnił dokładne studiowanie map morskich, uważne śledzenie wskazań barometru, intesywne — i jak się okazało — udane wysiłki przewidzenia pogody.

Gdyby przyszło mu pójść o zakład, toby się założył, że Vickery jest bezpieczny i oceniłby jego szansę co najmniej na trzy do jednego. Ale uspokoiły go nie te myśli, lecz widok zdenerwowania Busha.

— Przy tym wietrze nie mogło być dużego przyboju, sir — dodał Bush.

— Oczywiście że nie.

Myślał o tym w ciągu minionej nocy chyba z pięćdziesiąt razy, a chciał, żeby wyglądało, iż tylko ten raz. Mgiełka zrzędła już na tyle, że ląd stał się widoczny; kanonierki wciąż zajmowały swoje pozycje wzdłuż zapory, widać też było patrolującą przy niej spóźnioną łódź strażniczą.

— Wiatr jest pomyślny dla keczów bombowych, sir — zauważył Bush. — Powinny już były zabrać Vickery'ego i wyruszyć ku nam.

— Tak.

Bush podniósł wzrok na maszty i sprawdził uważnym spojrzeniem, czy obserwatorzy są na stanowiskach i czuwają. Mound miał wziąć Vickery'ego i jego ludzi na kecze z długiej piaszczystej mierzei, oddzielającej zalew od Bałtyku, w punkcie odległym o dwanaście mil. Vickery miał wylądować tam nocą, porzucić łodzie, przebrnąć przez wydmy na drugą stronę i spotkać się z Moundem godzinę przed świtem. Ze swym małym zanurzeniem kecze mogą poruszać się bezpiecznie po płyciznach i wysiać łodzie po Vickery'ego. Wszystkie cztery łodzie z okrętu Vickery'ego pójdą na straty, ale jest to mała cena za zniszczenie, jakiego dokonał. Hornblower miał nadzieję, że demonstracyjne zachowanie się jego okrętu pod Pilawą odwróciło uwagę nieprzyjaciela od możliwości porzucenia łodzi przez Vickery'ego i dzięki temu Vickery nie napotka żadnego oporu na mierzei. Gdyby nawet napotkał, można polegać na Vickerym — mierzeja ma piętnaście mil długości, i ze stu pięćdziesięcioma zdeterminowanymi ludźmi przedrze się przez cienki kordon posterunków lub urzędników celnych.

Jeśli wszystko poszło dobrze, kecze bombowe powinny wkrótce zostać zauważone. Następne kilka minut będą rozstrzygające

— Przy wczorajszym kierunku wiatru, sir — odezwał się Bush — nie mogliśmy słyszeć dział strzelających w zatoce. Może natknęli się tam na jakąś uzbrojoną jednostkę.

— Może — zgodził się Hornblower.

— Żagiel ahoy! — krzyknął obserwator z salingu. — Dwa żagle na lewym trawersie! To kecze bombowe, sir.

Mogły wracać po nieudanej próbie zabrania Vickery'ego, ale wówczas nie wracałyby chyba tak szybko. Niepewność skończyła się i Bush wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Myślę, kapitanie — powiedział Hornblower — że mógłby pan przełożyć ster na nawietrzną i wypłynąć im na spotkanie.

Nie przystoi godności komodora wywieszać sygnału pytającego, gdy okręty zbliżają się do zasięgu wzroku, żeby na „Harveyu” mogli go odczytać, jak tylko rozróżnią flagi przez lunetę. Ale „Nonsuch” robił dobre pięć węzłów po wodzie wesoło pluszczącej pod dziobem, a i „Harvey” płynął równie szybko, toteż była to już tylko sprawa odczekania kilku minut.

— „Harvey” sygnalizuje, sir — meldował midszypmen. Odczytał flagi i zaczął szybko przewracać strony księgi sygnałowej. — „Marynarze na pokładzie”, sir.

— Doskonale. Nadajcie: „Komodor do kapitana. Przybyć na pokład z panem Vickerym dla złożenia raportu”.

Nie trzeba było długo czekać. Gdy okręty zbliżyły się na odległość obwołania, stanęły dziobami do wiatru i „Harvey” opuścił na wodę gig, który podskakując na falach podpłynął do „Nonsucha”. Po burcie wchodził znużony Vickery, a obok niego Mound. Vickery miał poszarzałą

twarz, a ślady pod oczyma przypominające świeże blizny mówiły, że nie spał przez trzy kolejne noce. Usiadł, gdy tylko weszli do kajuty Hornblowera, z wdzięcznością korzystając z jego pozwolenia.

— I cóż? — spytał Hornblower. — Vickery, niech pan mówi pierwszy.

— Poszło bardzo dobrze, sir. — Vickery wyciągnął z kieszeni kawałek papieru ze swoimi notatkami. — Nie mieliśmy trudności przy przechodzeniu przez zaporę piętnastego nocą. Nie widzieliśmy żadnych jednostek nieprzyjacielskich. Szesnastego o świcie znaleźliśmy się w pobliżu ujścia rzeki pod Królewcem. Tam wzięliśmy i zniszczyliśmy... ten... ten „Fried Rich”, kabotażowiec, z Elbląga, około dwustu ton, siedmioosobowa załoga, z ładunkiem żyta i żywych świń. Spaliliśmy statek, a załogę odesłaliśmy na ląd w ich własnej łodzi. Potem schwytailiśmy tego... no... „Blitzera”, też z Elbląga, około stu ton, z ładunkiem zboża. Ten też spaliliśmy. Potem „Charlotte”, z Gdańska. Miała ożaglowanie pełnorejowe, czterysta ton, dwudziestopięcioosobową załogę, wyładowana drobnicą na potrzeby wojska — namioty, nosze, podkowy, dziesięć tysięcy sztuk broni małokalibrowej; puściliśmy ją z dymem. Następnie barka z prochem, „Ritter Horse”, około siedemdziesięciu ton. Wysadziliśmy w powietrze.

— Chyba widzieliśmy — przerwał Hornblower. — To zrobił kuter z „Nonsucha”.

— Tak, sir. To byłoby wszystko w tym końcu zatoki. Potem przesunęliśmy się na zachód i schwytailiśmy „Weece Rossa”[46] z Kołobrzegu, dwieście ton. Miała zamontowane cztery sześciofuntówki i stawiała opór, ale Montgomery abordażował ją z dziobu i wtedy oni złożyli broń. Raniono dwóch naszych ludzi. Spaliliśmy statek. Potem był jeszcze...

— Ile wszystkich razem?

— Jedna fregata, sir. Jedenaście jednostek kabotażowych. Dwadzieścia cztery barki. Wszystkie zniszczone.

— Doskonale — powiedział Hornblower. — I co potem?

— Zrobiło się już zupełnie ciemno, sir. Do północy stałem na kotwicy w północnej stronie zatoki. Następnie przebiegliśmy na mierzeję. Natknęliśmy się tam na dwóch żołnierzy i wzięliśmy ich do niewoli. Przez mierzeję dało się przejść całkiem łatwo. Zapaliliśmy niebieską pochodnię i nawiązaliśmy kontakt z „Harveyem”. O drugiej rano zaczęli zabierać nas na pokład, a ja znalazłem się na okręcie o trzeciej z pierwszym brzaskiem. Przed zaokrętowaniem się wróciłem i spaliłem łodzie, sir.

— Jeszcze lepiej.

A więc nieprzyjaciel nie ma nawet żałosnego zadośćuczynienia w formie czterech łodzi okrętowych w zamian za straszliwe zniszczenia spowodowane przez Vickery'ego. Hornblower zwrócił się do Mounda.

— Nie mam nic szczególnego do zameldowania, sir. Te wody są bez wątpienia płytkie, sir. Ale

nie miałem trudności z dotarciem do miejsca spotkania. Po wciągnięciu na pokład oddziału pana Vickery'ego dotknęliśmy dna., sir. Mieliśmy ponad stu dodatkowych ludzi i musieliśmy mieć zanurzenie prawie o stopę większe niż normalnie. Ale zesliśmy z mielizny całkiem dobrze. Kazałem załodze przebiegać z jednej burty na drugą żeby rozkołysać okręt, potem wszyscy przeszli na rufę i okręt zszedł z mielizny.

— Rozumiem.

Hornblower patrzył na kamienne oblicze Mounda i uśmiechał się w duchu z jego sztucznie flegmatycznego zachowania się. Szukanie drogi w ciemnościach przez płycizny do miejsca spotkania miało w sobie coś epickiego. Hornblower potrafił ocenić, jakich umiejętności żeglarskich to wymagało, lecz do tradycji należało nie uwydatniać przezwyższonych trudności. Oficer mniej godny zaufania mógł próbować ukryć fakt, że jego okręt dotknął dna. Trzeba Moundowi zapisać na plus, że tego nie zrobił.

— Zwrócę uwagę Admiralicji — powiedział Hornblower — starając się za wszelką cenę zwalczyć pompatyczność przebijającą z jego słów — na sposób, w jaki obaj panowie oficerowie wywiązali się ze swych zadań. Moim zdaniem zrobiliście to świetnie. Oczywiście poproszę panów o natychmiastowe raporty na piśmie.

— Tak jest, sir.

— Teraz, gdy sarn był komodorem, Hornblower rozumiał tych starszych dowódców, którzy niegdyś odnosili się pompatycznie do niego; on sam zachowywał się pompatycznie — ale tylko w ten sposób mógł ukryć fakt, że był niespokojny.

Rozdział XVI

Hornblower spożywał obiad samotnie. Oparł dobrze Gibbona o stojące przed nim na stole naczynie kamionkowe do sera i swobodnie wyciągnął nogi pod stołem. Tego dnia pozwolił sobie wyjątkowo na pół butelki wina, a pasztet z solnego mięsa, którego miał sobie właśnie nałożyć, pachniał wielce apetycznie. Był to jeden z tych dni, kiedy wszystko szło dobrze na świecie, kiedy mógł sobie pozwolić kołysać się w rytm przechyłów okrętu nie myśląc o niczym, gdy jedzenie było smaczne, a wino wyborne. Sięgnął łyżką po pasztet i w tym momencie zapukano do drzwi i do kajuty wszedł midszypmen.

— Widać „Clama” po nawietrznej, sir — zameldował.

— Doskonale.

Hornblower nabierał sobie dalej pasztetu z salaterki, ale gdy rozsmarowywał go po talerzu, żeby ostygł, umysł jego ocknął się. „Clam” wiezie nowiny; zostawił go w St Petersburgu, żeby na nie oczekiwał. Może Rosja jest już stanie wojny z Bonapartem. Albo też Aleksander stchórzył i poddał się, bo tylko to mogło go uchronić przed wojną. A może Aleksander nie żyje, zamordowany, jak jego ojciec, przez własnych oficerów. Nie byłby to bynajmniej pierwszy wypadek zmiany w polityce Rosji spowodowanej rewolucją pałacową. Może... może być wszystko, ale pasztet stygnie. Zabrał

się do niego właśnie w chwili, gdy znów midszypmen zastukał do drzwi.

— „Clam” sygnalizuje, sir: „Mam pilne wiadomości dla komodora.”

— Jak daleko jest od nas?

— Kadłub wynurzony z za widnokregu po nawietrznej, sir. Płyniemy w jego stronę.

— Nadajcie: „Komodor do «Clama». Dostarczyć pocztę na pokład możliwie jak najszybciej”.

— Tak jest, sir.

Nie było nic zaskakującego w tym, że „Clam” ma wiadomości. Byłoby rzeczą dziwną, gdyby nie wiózł żadnej poczty, Hornblower złapał się na tym, że spieszenie ładuje pasztet do ust, jakby szybsze jedzenie mogło przyspieszyć nadejście przesyłek. Opanował się i popijał wino małymi łykami, ale i jedzenie, i wino straciły swój smak. Nadszedł Brown i podał mu ser; zżuwając go, Hornblower stwierdził w duchu, że obiad był dobry. Nastawiając ucha na odgłosy z pokładu domyślił się, że łódź stanęła przy burcie, a zaraz potem pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Lorda Wychwooda. Hornblower podniósł się z krzesła na jego powitanie, poprosił, żeby usiadł, zaproponował mu obiad, wziął od niego grubą paczkę owiniętą w płótno żaglowe i pokwitował odbiór. Przez chwilę siedział trzymając przesyłkę na kolanach.

— A więc — odezwał się Wychwood — mamy wojnę.

Hornblower nie mógł sobie pozwolić na zadanie pytania: „Wojnę, ale z kim?” Zmusił się do czekania.

— Aleksander ją wywołał czy może raczej Bonio. Dziesięć dni temu Bonio przepłynął przez Niemen z piętnastoma korpusami wojska. Oczywiście bez wypowiedzenia wojny. Tego rodzaju kurtuazji nie można oczekiwać od dwóch potentatów szkalujących się wzajemnie w każdej gazecie i we wszystkich językach Europy. Wojna stała się nieunikniona z chwilą, gdy Aleksander przesłał odpowiedź przed miesiącem — na dzień przed pańskim odpłynięciem. A teraz zobaczymy.

— Kto zwycięży?

Wychwood wzruszył ramionami.

— Nie potrafię wyobrazić sobie Bonia w roli pobitego. A z tego, co słyszałem zeszłego roku w Finlandii, rosyjska armia nie pokazała się z korzystnej strony mimo reorganizacji. Bonio ma natomiast pół miliona ludzi maszerujących na Moskwę.

Pół miliona ludzi; największa armia, jaką widział świat od czasu przeprawy Kserksesa przez Hellespont.

— W każdym razie — ciągnął Wychwood — Bonio będzie miał zajęcie przez całe to lato. A w przyszłym roku zobaczymy — może straci tyle wojska, że jego narody dłużej nie zechcą tego znosić.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie — rzekł Hornblower.

Wyjął scyzoryk i otworzył przesyłkę.

AMBASADA BRYTYJSKA,

St Petersburg,

24 czerwca 1812

Sir,

Oddawca niniejszej przesyłki, pułkownik Lord Wychwood, poinformuje Pana o sytuacji w tym kraju i o stanie wojny istniejącym obecnie między Jego Cesarską Mością Carem i Bonapartem. Podejmie Pan oczywiście wszelkie niezbędne kroki w celu niesienia naszemu nowemu sprzymierzeńcowi wszelkiej pomocy, jakiej będzie Pan w stanie udzielić. Otrzymałem informację i mam powody, żeby uznać ją za wiarygodną, iż podczas gdy główne siły armii Bonapartego maszerują na Moskwę, bardzo poważne ugrupowanie, złożone jakoby z korpusu pruskiego i francuskiego corps d'armee, w sumie około 60 tysięcy ludzi, pod dowództwem marszałka Macdonalda, księcia Tarentu, zostało skierowane na północ, w stronę St Petersburga. Jest rzeczą wysoce pożądaną, aby nie dano tej armii dotrzeć do celu, i na prośbę rosyjskiego sztabu cesarskiego muszę zwrócić Pańską uwagę na to, że może zajść konieczność udzielenia przez Pańską eskadrę pomocy pod Rygą, którą Francuzi muszą zdobyć, żeby mogli iść dalej na St Petersburg. Chciałbym dorzucić swoje do życzeń sztabu rosyjskiego i domagać się od Pana jak najusilniej pomocy Rydze tak długo, jak na to pozwalają Pańskie pierwotne rozkazy.

Na mocy pełnomocnictw nadanych mi w ramach otrzymanych przeze mnie dyrektyw muszę Pana poinformować, iż uważam za rzecz ważną dla bezpieczeństwa narodowego, aby kuter „Clam”, będący obecnie pod Pańskim dowództwem, został skierowany do Anglii w celu jak najszybszego dostarczenia wiadomości o wybuchu wojny. Ufam i mam nadzieję, że nie będzie Pan miał zastrzeżeń w tym względzie.

Mam zaszczyt, sir, pozostać...

Etc., etc.

CATHCART, Minister Pełnomocny

Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości

i Ambasador Nadzwyczajny JKM.

— Cathcart to dobry człowiek — zauważył Wychwood widząc, że Hornblower skończył czytanie. — Zarówno jako żołnierz, jak i dyplomata wart jest dwóch Merrych w Sztokholmie. Rad jestem, że to jego wysłał Wellesley.

Niewątpliwie jego list był zręczniejszym sformułowany niż ten, który Hornblower otrzymał

poprzednio i Cathcart nie pozwolił sobie na wydawanie poleceń komodorowi.

— Pan popłynie na „Clamie” do Anglii — rzekł Hornblower. — Muszę pana poprosić o zaczekanie, aż skompletuję moją pocztę do Admiralicji.

— Naturalnie — zgodził się Wychwood.

— To będzie tylko sprawa minut — dorzucił Hornblower. — Może kapitan Bush będzie pana zabawiał przez ten czas. Na pewno wiele listów czeka na wysyłkę do Anglii. Przy okazji odsyłam również „Clamem” mojego sekretarza do Anglii. Powierzę panu papiery związane z jego sprawą.

Zostawszy sam w swojej kajucie Hornblower otworzył biurko i wyjął pióro i atrament. Niewiele pozostało do dodania w urzędowym raporcie. Przeczytał końcowe słowa: „Pragnę bardzo usilnie zwrócić uwagę Ich Lordowskich Mości na sprawowanie się i umiejętności zawodowe dowódcy korwety, pana Williama Vickery'ego, i porucznika Percivala Mounda”. Potem zaczął od nowego akapitu. „Korzystam ze sposobności, iż «Clam» odpływa do Anglii, żeby przesłać ten list do Pana. Zgodnie z zaleceniem Jego Ekscelencji Lorda Cathcarta udam się natychmiast z pozostałymi jednostkami mojej eskadry w celu udzielenia rosyjskim siłom w Rydze wszelkiej pomocy, jakiej jestem w stanie udzielić”. Zastanawiał się przez chwile, czy nie zakończyć jakimś konwencjonalnym wyrażeniem, w rodzaju: „Ufam, iż taki tok działania spotka się z aprobatą Ich Lordowskich Wysokości”, ale zrezygnował z tego. Słowa te nic nie znaczyły, były po prostu cczą gadaniną. Umoczył jeszcze raz pióro w atramencie i napisał zwyczajnie: „Mam zaszczyt pozostać Pańskim posłusznym sługą, kapitan Horatio Hornblower, komodor dowodzący eskadrą”.

Wsunął list w kopertę i zawołał na Browna. Podczas gdy pisał adres: Edward Nepean, Esq., Sekretarz Lordów Komisarzy Admiralicji — Brown przyniósł mu świecę i wosk do pieczętowania. Hornblower zapieczętował list i odłożył na bok. Następnie sięgnął po nowy kawałek papieru i zaczął pisać.

Okręt JKM „Nonsuch”, na Bałtyku

Moja Droga Żono,

Kuter czeka na moją korespondencję do Anglii, i mam tylko czas na skreślenie tych kilku wierszy, żeby dołączyć ten list do innych, które czekały na okazję do wysyłki. Czuję się doskonale, a wyprawa posuwa się naprzód zadowalająco. Właśnie dotarła do mnie wielka nowina o wybuchu wojny między Bonapartem i Rosją. Mam nadzieję, że okaże się to największym błędem Bonapartego, ale mogę jedynie przewidywać długą, kosztowną walkę, z niewielką dla mnie szansą na powrót przed Twoje oblicze, w każdym razie póki zamarznięcie portów nie uniemożliwi dalszych operacji na tutejszych wodach.

Wierzę najusilniej, że jesteś zdrowa i szczęśliwa i że trudy sezonu londyńskiego nie okazały się zbyt wyczerpujące dla Ciebie. Przyjemnie mi myśleć, że wspaniałe Powietrze Smallbridge przywraca różowość Twoim policzkom i że fantazje pań krawcowych i modystek nie odbiją się zbyt uciążliwie na Twoim zdrowiu i spokoju ducha.

Ufam również, że Ryszard odnosi się do Ciebie z należnym szacunkiem i posłuszeństwem i że ząbki wyrzynają mu się możliwie bez komplikacji. Radowałbym się wielce, gdyby był już tak duży, żeby samemu pisać do mnie, zwłaszcza że dzięki temu otrzymywałbym więcej wieści o Tobie; większą przyjemność mógłby mi sprawić tylko list od Ciebie, Mam nadzieję, że listy z Anglii wkrótce dotrą do mnie i będę miał szczęście dowiedzieć się z nich, że u Was wszystko dobrze.

Kiedy zobaczysz się następnym razem ze swoim bratem, Lordem Wellesleyem, zechciej przekazać mu ode mnie wyrazy poważania i szacunku. Dla Ciebie zachowuję całą moją miłość.

Twój kochający mąż,

Horatio.

Wychwood wziął listy od Hornblowera i na biurku Busha jego piórem wypisał pokwitowanie. Potem wyciągnął rękę.

— Do widzenia, sir — rzekł i zawahawszy się na moment dodał szybko; — Bóg wie, jaki ta wojna przyjmie obrót. Lecz pan dokonał więcej niż ktokolwiek inny, aby doprowadzić do jej wybuchu. Zrobił pan wszystko, sir, co do pana należało.

— Dziękuję — odparł Hornblower.

Był niespokojny i zdenerwowany; stał na pokładzie rufowym „Nonsucha”, podczas gdy w górze, nad jego głową, oddawano banderą pożegnalny salut „Clamowi”, i patrzył na kuter odpływający w kierunku Anglii. Odprowadzał go wzrokiem, aż znikł za widnokretem, a tymczasem „Nonsuch” odpadł od wiatru i ruszył ku Rydze i czekającym go tam nowym, nie znanym przygodom. Hornblower wiedział doskonale, czemu jest w takim nastroju; czuł tęsknotę za domem, burzę wewnętrznych uczuć, jak zawsze, kiedy pisał do kraju. I dziwna rzecz, ale ostatnie słowa Wychwooda jeszcze bardziej pogłębiły ten nastrój, przypomniawszy mu o ogromie odpowiedzialności, jaki dźwiga na swoich barkach. Przyszłość świata i przetrwanie jego ojczyzny zależeć będzie w znacznym stopniu od jego czynów. Jeśli ta rosyjska przygoda zakończy się klęską i katastrofą, to wszyscy pragnąc wykręcić się od odpowiedzialności zwałą winę na niego. Zostanie potępiony za głupotę i krótkowzroczność. Złapał się nawet na tym, że zazdrości Braunowi, płynącemu jako aresztant do Anglii, gdzie przypuszczalnie czeka go sąd, a może i egzekucja, i tęsknie wspominał swoje drobne kłopoty w Smallbridge; uśmiechnął się na myśl, że najcięższym obowiązkiem, jaki miał tam do wypełnienia, było przyjęcie powitalnej delegacji ze wsi. Pomyślał o tym, że Barbara zawsze była gotowa go zrozumieć i o tym, jak głęboką przeżył radość, kiedy po raz pierwszy zaświtało mu, że Ryszard go kocha, że lubi z nim przebywać i oczekuje na niego. Tutaj trzeba zadowalać się bezmyślną lojalnością Busha i wątpliwym podziwem ze strony młodszych oficerów.

Przywołał się do rzeczywistości, zmusiwszy się do przypomnienia sobie, z jakim entuzjazmem powitał rozkazy wzywające go z powrotem do czynnej służby, z jak lekkim sercem zostawiał swoje dziecko, to uczucie — nie ma co udawać przed sobą — wyzwolenia, z jakim rozstawał się z żoną. Perspektywa stania się znowu wyłącznym panem samego siebie, bez konieczności liczenia się z życzeniami Barbary czy przejmowania się ząbkami Ryszarda wydawała mu się wówczas niezmiernie

pociągająca. A teraz narzeka w duchu na ciężar odpowiedzialności, choć przecież jest ona nieuniknioną ceną, jaką trzeba płacić za niezależność; nieodpowiedzialność to coś, co z natury rzeczy nie może iść w parze z niezależnością.

Wszystko to jest bardzo słuszne i logiczne, ale nie musi udawać, iż nie chciałby znaleźć się w domu; wyobraźnia tak wyraziście wyczarowała wspomnienie dotyku dłoni Barbary na jego ręce, że wielce się poczuł rozczarowany stwierdziwszy, że to tylko imaginacja. Zapragnął trzymać znowu na kolanach Ryszarda zanoszącego się od śmiechu z rzeczy tak ogromnie zabawnej, że można ciągnąć tate za nos. Nie w smak mu było również wystawianie na szwank własnej reputacji, wolności i życia w połączonych działaniach z Rosjanami, których zachowanie tak trudno przewidzieć, w takim jak Ryga zapomnianym przez Boga zakątku świata. Mimo to jednak — czując spontaniczne budzenie się zainteresowania — zdecydował od razu, że lepiej będzie zejść do kajuty i przejrzeć raz jeszcze locję dla Rygi; warto też byłoby przestudiować dokładniej mapę Zatoki Ryskiej.

Rozdział XVII

Lato na północy nastąpiło szybko, jak zawsze na kontynencie europejskim. Jeszcze w ubiegłym tygodniu, pod Pilawą, w powietrzu czuć było wyraźnie zimę. A dziś, z Rygą tuż za widnokregiem, jest pełnia lata. Takim skwarnym upałem mógłby się pochłubić równikowy pas ciszy, gdyby nie to ożywcze tchnienie, zupełnie nie znane w tropikach. Miedziane słońce lało żar z bezchmurnego nieba przy rzadkiej mgiele zamazującej odległy horyzont. Wiał lekki wiatr o prędkości dwóch węzłów, z południowego zachodu, ledwie wystarczający, by zapewnić „Nonsuchowi” sterowną prędkość przy postawionych wszystkich żaglach, łącznie z żaglami bocznymi po obu burtach, aż po bombramsle. Eskadra rozwijała największą możliwą prędkość w tych warunkach, z „Lotusem”, którego kadłub schowany był za widnokregiem po prawej burcie, z „Ravenem” blisko za rufą i obydwoma keczami bombowymi wlokącymi się daleko w tyle; nawet trudny w manewrowaniu „Nonsuch” zdoła wyprzedzić je przy tej pogodzie.

Dokoła panował ogromny spokój. Na dziobie gromadka marynarzy pod nadzorem żaglomistrza rozpościerała grotżagiel do naprawy. Inna grupka na śródkreściu przeciągała tam i z powrotem po pokładzie „niedźwiedzia” — wielką matę kokosową obciążoną piaskiem, którym szorowało się deski poszycia lepiej niż cegiełkami. Na pokładzie rufowym oficer nawigacyjny miał lekcję nawigacji; podoficerowie i midszypmeni otaczali go półkolem, z sekstantami w rękach. Hornblower podszedł tak blisko, że usłyszał, jak jeden z midszypmenów, dzieciak jeszcze, przed mutacją głosu, odpowiada piskliwie na rzucone mu pytanie.

— Paralaksę ciała niebieskiego mierzy się łukiem na sferze niebieskiej utworzonym pomiędzy prostą wyprowadzoną od ciała niebieskiego do środka ziemi a prostą... a prostą... prostą...

Midszypmen uświadomił sobie nagle groźną bliskość komodora. Głos mu zadrzał i zamarł. Jak dotąd, cytował dosłownie odpowiedni ustęp z „Zarysu nawigacji” Noriego. Był to młody Gerard, siostrzeniec drugiego oficera z „Sutherlanda”. Bush wziął go na okręt przez wzgląd na wuja, wciąż jeszcze marniejącego w więzieniu francuskim. Brwi oficera nawigacyjnego zbiegły się w dezaprobacie.

— Dalej, dalej, panie Gerard — poganiał.

Hornblower wyobraził sobie błyskawicznie, jak giętka trzcina wbija do głowy Gerardowi, przegiętemu przez działo, konieczność znania na pamięć przynajmniej „Zarysu” Noriego. Zlitował się i pośpieszył mu na pomoc.

— „Pomiędzy prostą wyprowadzoną od ciała niebieskiego do środka ziemi — rzucił przez ramię Gerarda — a prostą wyprowadzoną od ciała niebieskiego do oka obserwatora”. Czy dobrze, panie Tooth?

— Bardzo dobrze, sir — odparł oficer nawigacyjny.

— Myślę, że pan Gerard wiedział to przez cały czas. Nieprawdaż chłopcze?

— T...tak, sir.

— Byłem tego pewien. Ja sam uczyłem się tego ustępu akurat będąc w twoim wieku.

Hornblower poszedł dalej z nadzieją, że uchronił chudy tyłek Gerarda od kary. Z pośpiechu, z jakim midszypmen wachtowy sięgnął po tabliczkę i kredę, zorientował się, że któraś z jednostek jego eskadry nadaje sygnał. Dwie minuty później midszypmen podszedł z kartką w rękę i salutując powiedział:

„« Lotus » do komodora. Widać ląd namiar południe”.

To będzie przylądek Kolka, południowy cypel wejścia do zatoki Ryskiej.

— Odpowiedź: „Stanąc w dryf i czekać na komodora” — rzucił Hornblower.

Gdyby nie było tak mglisto, wyspa Ozylia[47] powinna znaleźć się dokładnie w polu widzenia na północ od obserwatora na maszcie. Przekraczają teraz próg nowej przygody. W odległości jakichś siedemdziesięciu mil, w głębi zatoki, leży Ryga, już przypuszczalnie szturmowana przez wojska Bonapartego. Przy obecnym, ledwie wyczuwalnym, wietrze potrzebowałby dwóch dni, żeby tam dopłynąć. Fakt, że znowu znaleźli się na wodach rosyjskich, nie wzburzył w najmniejszym stopniu spokojnego toku życia na okręcie. Wszystko szło zwykłym trybem, mimo to Hornblower przeczuwał, że wielu, może nawet żaden z marynarzy wpływających teraz do Zatoki Ryskiej nigdy z niej nie wyjdzie. W słońcu lejącym żar wprost na głowę, pod promiennym niebem Hornblowerem wstrząsnął nagle dreszcz złego przeczucia, z którego trudno mu się było otrząsnąć. On sam... Dziwnie mu było pomyśleć, że nie gdzie indziej na świecie, lecz właśnie w Rosji mogłoby zostać pogrzebane jego ciało.

Ktoś — Rosjanie, Szwedzi, a może Finowie — dobrze oznaczył pławami tor wodny wijący się między zdradliwymi płycznami Zatoki Fińskiej. Mimo że na noc eskadra musiała stanąć na kotwicach, nieznaczne nasilenie się wiatru i zwrot jego kierunku umożliwiły im przepłynięcie całej zatoki do następnego wieczora. W południe przyjęli pilota, brodatego mężczyznę, odzianego — mimo słonecznej pogody — w grubą kurtkę i gumowe buty. Był to, jak się okazało, Anglik, nazwiskiem Carker, który nie widział ojczyzny od dwudziestu czterech lat. Patrzył mrugając oczyma jak sowa, gdy Hornblower zarzucał go lawiną pytań na temat postępu działań wojennych. Tak,

pokazały się jakieś konne patrole Prusaków i Francuzów, zdążające w kierunku Rygi. Ostatnie nowiny dotyczące głównych sił mówiły o desperackich zmaganiach pod Smoleńskiem i wszyscy oczekiwali, że Bonaparte zostanie tam pobity. Zdaniem pilota Ryga gotuje się do oblężenia — w każdym razie, gdy wczoraj wypływał stamtąd kutrem, widział mnóstwo wojska i proklamacje wzywające mieszkańców, by walczyli do upadłego, chociaż nikt nie wierzy, żeby Francuzi mogli przyspuścić poważny atak na miasto.

W końcu Hornblower odwrócił się od niego zniecierpliwiony. Typowy nie zorientowany cywil, nie mający właściwego pojęcia o sytuacji ani o jej powadze. Będąc przez stulecia areną walk w Europie północnej, Liwonia[48] nie widziała na oczy nieprzyjaciela przez ostatnie trzy pokolenia i zapomniała nawet o historii najazdów. Hornblower nie miał wcale zamiaru wprowadzać eskadry na rzekę Dźwinę (dziwne nazwy mają ci Rosjanie!), jeśli istniało niebezpieczeństwo odcięcia jej odwrotu. Patrzył przez lunetę na niski zielony brzeg, wreszcie widoczny z pokładu. Słońce kładło się na widnokrąg prawie prosto za rufą eskadry, w ognistej ławicy chmur, mieli jednak jeszcze dwie godziny światła dziennego, toteż „Nonsuch” spokojnie płynął ku Rydze. Podszedł Bush i zsalutował.

— Przepraszam, sir, czy pan coś słyszy? Jakby ogień armatni?

Hornblower nadstawił uszu.

— Tak, na Boga! Armaty! — wykrzyknął.

Ledwie słyszalny, stłumiony pomruk dobiegł pod wiatr od dalekiego lądu.

— Żabojady doszły tam przed nami, sir — stwierdził Bush.

— Przygotować się do stanięcia na kotwicy — rozkazał Hornblower.

„Nonsuch” sunął spokojnie w kierunku lądu, z prędkością trzech, może czterech węzłów, po wodzie szarawo-żółtej od mułu niesionego przez wielką rzekę. Byli o milę, najwyżej dwie od ujścia Dźwiny, a po wiosennych deszczach i roztopach poziom wody w rzece musiał być wysoki. Pławy mielizny środkowej pozwoliły Hornblowerowi upewnić się co do pozycji „Nonsucha”; okręt wchodził w zasięg artylerii dalekonośnej, rozłokowanej na płaskim zielonym brzegu. Cerkiew wynurzająca się przed dziobem z prawej burty wyglądała, jakby stała w żółtej wodzie, a krzyż na jej cebulastej kopule nawet z tej odległości pałał odbiciem płomiennej czerwieni zachodzącego słońca. To pewnie Dźwinoujście[49], na lewym brzegu rzeki; gdyby dostała się w ręce Francuzów, wejście na jej wody byłoby ryzykowne, a nawet niemożliwe, jeśliby nieprzyjaciel zdążył ustawić tam ciężkie armaty. A mógł zdążyć.

— Kapitanie Bush — powiedział Hornblower — proszę łaskawie kazać rzucić kotwicę.

Lina kotwiczna ze zgrzytem wysuwała się przez kluzę, a „Nonsuch” obracał się pod wiatr, gdy marynarze, pomknawszy hurmem na maszty, zaczęli sprzątać żagle. Pozostałe jednostki eskadry wykonały zwroty i gotowały się także do stanięcia na kotwicach akurat w momencie, gdy Hornblower pomyślał, że może działa zbyt pochopnie, a w każdym razie pożałował, że noc go

zaskoczy przed nawiązaniem łączności z lądem.

— Niech opuszczą mój barkas — rzekł. — Kapitanie Bush, przenoszę się na „Harveya”. Pan obejmuje dowództwo eskadry na czas mojej nieobecności.

Przy burcie „Harveya” czekał Mound, żeby powitać Hornblowera przechodzącego przez niską burtę okrętu.

— Panie Mound, proszę brasować na fordewind. Popłyniemy do lądu kierując się na tę cerkiew. Niech pan wyznaczy doświadczonego marynarza do sondowania.

Z kotwicą wyciągniętą i gotową do rzucenia kecz bombowy sunął cicho po spokojnej wodzie. Niebo dawało jeszcze sporo światła, bo tu, na pięćdziesiątym siódmym stopniu szerokości geograficznej północnej słońce nie zapadało daleko za widnokrąg w czasie kilku dni po przesileniu.

— Za godzinę wzejdzie księżyc, sir — odezwał się Mound. — W trzeciej kwadrze.

Wieczór był cudowny, chłodny i rześki. Woda szemrała cichutko pod dziobem kecza ślizgającego się po jej srebrzystej powierzchni. Hornblower pomyślał, że wystarczyłoby kilka ładnych kobiet na pokładzie i ktoś brzdąkający na gitarze, żeby wyprawa zyskała charakter spaceru jachtem. Coś na lądzie zwróciło jego uwagę. Przyłożył lunetę do oczu; niemal jednocześnie uczynił to samo stojący obok Mound.

— Światła na brzegu, sir — powiedział Mound.

— To ognie biwakowe — rzekł Hornblower.

Widywał poprzednio ogniska biwakowe: armii El Suprema w Ameryce Środkowej, oddziału desantowego pod Rosas. Te tutaj świeciły w półmroku czerwonym blaskiem, w regularnych prawie rzędach. Przesuwając lunetę Hornblower wyłuskał z ciemności położone dalej grupy świateł; między nimi i zauważonymi poprzednio leżała czarna przestrzeń, którą wskazał Moundowi.

— To jest pewnie strefa niczyja między dwiema armiami — zauważył. — Rosjanie muszą trzymać wieś jako zewnętrzne umocnienie na lewym brzegu rzeki.

— A może te wszystkie ogniska są francuskie, sir? — spytał Mound. — Albo rosyjskie? — Nie — odparł Hornblower. — Wojsko nie staje na biwaku, jeśli może zakwaterować po wsiach z dachem nad głową. Gdyby nie było tu dwóch wrogich sobie armii, żołnierze spaliby wygodnie w łóżkach i stodołach wieśniaków.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, w czasie której Mound przetrawiał usłyszane słowa.

— Dwa sążnie, sir — powiedział w końcu. — Jeśli można, wolałbym trochę odpaść od wiatru.

— Doskonale. Proszę kontynuować. Niech pan popłynie tak blisko brzegu, jak to pan uzna za właściwe.

Płynąc półwiatrem „Harvey” zmieniał hals; sześciu marynarzy ciągnęło z wigorem grotaszot. Nad łodem wschodził czerwono okrągły księżyc; na jego tle zamajaczyła kopuła cerkwi. Nagle rozległ się okrzyk obserwatora na dziobie.

— Łódź przed nami! Troszkę z lewej burty, sir. Płyńcie na wiosłach.

— Panie Mound, proszę schwytać tę łódź, jeśli się panu uda — rozkazał Hornblower.

— Tak jest, sir. Ster dwa rumby w lewo! Przygotować gig do opuszczenia. Załoga łodzi niech będzie w pogotowiu!

Niedaleko w przodzie ujrzeli słaby zarys łodzi; mogli nawet dostrzec bryzgi wody od wiosła. Hornblower pomyślał, że ci wiosłarze nie są za dobrzy, a ten, kto nimi kieruje, za wolno myśli, żeby ująć pogoni; powinien był natychmiast skierować łódź ku płyciźnie, zamiast próbować mierzyć się wiosłami z żaglowcem — beznadziejna próba nawet przy tak słabym wietrze. Minęło kilka minut, zanim ścigana łódź zawróciła ku lądowi, a w tym czasie odległość między obu jednostkami znacznie się zmniejszyła.

— Ster na nawietrzną! — ryknął Mound. — Opuścić gig!

Obróciwszy się na wiatr „Harvey” stracił bieg, a wtedy gig opadł na wodę i załoga wskoczyła do niego.

— Potrzebuję jeńców! — krzyknął Hornblower za odpływającymi.

— Tak jest, sir — doleciała odpowiedź, gdy wiosła pruły już wodę.

Ze swymi wytrawnymi wiosłarzami gig szybko doganiał uciekających; odległość między łódkami zmniejszała się, aż obie znikły w mroku. Wkrótce z „Harveya” dostrzeżono pomarańczowoczerwone błyski pocisków z sześciu pistoletów, a w chwilę później słabiutkie echo strzałów dobiegło wodą ku okrętowi.

— Miejmy nadzieję, sir, że to nie Rosjanie — rzekł Mound.

Hornblowerowi też przyszła do głowy taka możliwość, budząc w nim zdenerwowanie i niepokój, lecz odparł bez mrugnięcia oka:

— Rosjanie nie uciekaliby. Nie spodziewają się zastać Francuzów na morzu.

Wkrótce obie łodzie, wiosłując wolno, wynurzyły się z mroku.

— Dostaliśmy ich wszystkich, sir — odkrzyknął czyjś głos na obwołanie Mounda.

Na pokład „Harveya” wepchnięto pięciu jeńców — jeden jęczał, mając ramię przestrzelone kulą z pistoletu. Ktoś przyniósł latarnię, żeby ich oświetlić, i Hornblower odetchnął z ulgą zobaczywszy, że gwiazda połyskująca na piersiach dowódcy to Legia Honorowa.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak się monsieur nazywa i jaką ma pan rangę — zapytał uprzejmie po francusku.

— Jussey, chef de bataillon du corps de Genie des armees de l'Empereur.

Major batalionu inżynieryjnego; dość ważny jeńiec. Hornblower przedstawił mu się z ukłonem, obmyślając w pośpiechu, jak nakłonić majora, żeby powiedział wszystko, co wie.

— Jest mi bardzo przykro — rzekł — że musiałem wziąć do niewoli M. le chef de bataillon. Zwłaszcza na początku tak dobrze zapowiadającej się kampanii. Lecz może dobry los da mi okazję do rychłego przeprowadzenia wymiany jeńców. Przypuszczam, że M. le chef de bataillon ma przyjaciół w armii francuskiej, których chciałby powiadomić, co mu się przytrafiło. Skorzystam z pierwszego parlamentariusza, żeby to uczynić.

— Marszałek książę Tarentu będzie rad usłyszeć — odparł Jussey, rozjaśniając się nieco. — Jestem w jego sztabie.

Marszałek książę Tarentu to Macdonald, dowódca tutejszych sił francuskich, syn szkockiego wygnańca, który uciekł po rebelii młodego pretendenta[50] — możliwe zatem, iż Jussey jest naczelnym inżynierem, a więc znaczniejszym jeńcem, niż przypuszczał Hornblower.

— Miał pan ogromnego pecha wpadając w nasze ręce — stwierdził Hornblower. — Nie mieliście powodu podejrzewać obecności eskadry brytyjskiej operującej w zatoce.

— Istotnie. Z posiadanych przez nas informacji wynikało coś całkiem przeciwnego. Ci Infantczycy...

A więc sztab francuski otrzymuje informacje od zdrajców inflanckich; można się było tego domyślać, ale nie zaszkodzi mieć pewność.

— Oczywiście są oni do niczego, jak wszyscy Rosjanie — rzucił przypoehlebnie Hornblower. — Przypuszczam, że pański cesarz spotkał się ze słabym oporem?

— Smoleńsk jest nasz, a cesarz maszeruje na Moskwę. Naszym zadaniem jest zajęcie St Petersburga.

— Czy forsowanie Dźwiny nie okaże się trudne?

Jussey wzruszył ramionami w świetle lamp.

— Nie przypuszczam. Wystarczy brawurowe natarcie w rejonie ujścia rzeki i Rosjanie rzucą się do odwrotu, z chwilą gdy ich flanką zostanie oskrzydłona.

Po to więc był tu Jussey; szukał odpowiedniego miejsca na wysadzenie oddziałów francuskich po rosyjskiej stronie ujścia rzeki.

— Odważne posunięcie, sir, godne wszystkich wielkich tradycji armii francuskiej.

Niewątpliwie macie panowie dość taboru do transportu waszych wojsk?

— Kilka tuzinów barek. Wzięliśmy je pod Mitawą[51], zanim Rosjanie zdążyli je zniszczyć.

Jussey urwał nagle, wyraźnie zdenerwowany, że tyle już powiedział.

— Rosjanie zawsze byli nieudolni — zauważył Hornblower, podkreślając tonem swoją całkowitą jednomyślność z Francuzem. — Szybki atak z waszej strony, nie dający im możliwości odzyskania równowagi, to oczywiście najlepsza metoda działania. Pozwoli pan jednak, sir, że wrócę do swoich obowiązków?

Nie było mowy, żeby dało się wydobyć coś więcej z Jusseya w tej chwili. Przekazał on w każdym razie ważną informację, że Francuzi położyli ręce na flocie barek, których Rosjanie nie byli w stanie czy zaniedbali zniszczyć, i planują bezpośrednie natarcie przez ujście rzeki. Hornblower sądził, że udając całkowity brak zainteresowania skłoni później jeszcze raz Jusseya do swobodnego mówienia. Jussey pochylił się w ukłonie, a Hornblower zwrócił się do Mounda.

— Wracamy do eskadry — rzekł.

Mound wydał odpowiednie rozkazy i „Harvey” przeszedł na bejdewind prawego halsu — jeńcy francuscy spieszenie chowali głowy w ramiona, kiedy wielki bom grotzaglią przesuwiał się nad nimi, a marynarze wpadali na nich pędząc do szotów. Podczas gdy Hornblower rozmawiał z Jusseyem, dwaj jeńcy odcięli rękaw rannego i zabandażowali mu ramię; teraz wszyscy przycupnęli na boku, przy odpływnikach, a „Harvey” wracał powoli do miejsca zakotwiczenia „Nonsucha”.

Rozdział XVIII

— Wiosła! — rzucił Brown i załoga barkasa przerwała wiosłowanie. — Bosak!

Bosakowy wciągnął swoje wiosło do łodzi i sięgnął po bosak, a Brown zręcznie ustawił barkas przy nabrzeżu. Bystre wody Dźwiny skłębiły się wirem wokół łodzi. Operacji przyglądał się tłumek ciekawskich z Rygi, gapiąc się tępo na Hornblowera wchodzącymi kamiennymi schodami na drogę, w epoletach, z gwiazdą orderu i szpadą połyskującą w skwarnym słońcu. Za linią magazynów, ciągnącą się wzdłuż nabrzeża, zauważył kątem oka szeroki plac, otoczony kamiennymi budowlami średniowiecznymi o spadzistych dachach, ale nie mógł tracić czasu na przyglądanie się Rydze, po raz pierwszy widzianej z bliska. Jak zwykle czekało go powitanie przez wartę honorową, jak zawsze z oficerem na czele, obok którego ujrzał tęgą postać gubernatora, generała Essena.

— Witamy w mieście, sir — przemówił Essen. Był bałtyckim Niemcem, potomkiem kawalerów mieczowych[52], którzy zabrali poganom Inflanty przed kilkuset laty. W jego francuszczyźnie można było wyczuć gwałtowność mowy Alzateczyków.

Czekał na nich otwarty powóz zaprzężony w dwa ogniste konie niecierpliwie bijące kopytami. Gubernator poprosił Hornblowera, aby zajął miejsce i sam wsiadł za nim.

— Mamy do przejechania niewielki kawałek drogi — rzekł — ale skorzystamy z okazji, żeby ludzie mogli nas zobaczyć.

Powóz kołysał się i podskakiwał gwałtownie na kocich łbach bruku ulicznego; Hornblower musiał dwukrotnie poprawiać trójgraniasty kapelusz zsuwający się na boki, lecz starał się siedzieć prosto z obojętnym wyrazem twarzy, kiedy powóz mknął wąskimi ulicami pełnymi ludzi przyglądających się im ciekawie. Nie zaszkodzi, jeśli mieszkańcy oblężonego miasta zobaczą brytyjskiego oficera marynarki wojennej w galowym mundurze — jego obecność będzie rękojmnią, że Ryga nie jest osamotniona w swojej godzinie próby.

— Ritterhaus — powiedział Essen, kiedy powóz zatrzymał się przed okazałym budynkiem. Przed frontem stał szereg wartowników, a na przybyłych oczekiwali oficerowie w mundurach, kilku cywilów w czarnych ubraniach i wiele kobiet we wspaniałych strojach. Kilku spośród tych oficerów Hornblower poznał już na konferencji tamtego ranka w Dźwinoujściu; Essen przystąpił do prezentacji ważniejszych osób spośród reszty towarzystwa.

— Jego ekscelencja intendent Liwonii — zaczął — i hrabina...

— Miałem już przyjemność poznać hrabinę — przerwał mu Hornblower.

— Komodor był moim partnerem na obiedzie w Peterhofie — powiedziała hrabina.

Była piękna i pełna życia, jak zawsze; chociaż może, kiedy tak stała wsparta ramieniem o męża, jej spojrzenie nie było tak płomiennie. Odkłoniła się Hornblowerowi z obojętną uprzejmością. Mąż jej był wysokim, chudym mężczyzną w starszym wieku, ze zwisającym z wargi cienkim wąsikiem i krótkowzrocznym spojrzeniem wspomaganym monoklem. Hornblower uklonił mu się, starając się zachowywać tak, jakby to było jeszcze jedno zwykłe spotkanie. Było rzeczą śmieszną odczuwać przy tym zakłopotanie, a przecież czuł je i musiał walczyć ze sobą, żeby je ukryć. Tymczasem intendent Liwonii, ze swoim haczykowatym nosem, patrzył na niego jeszcze obojętniej niż jego małżonka; większość pozostałych osób przedstawianych Hornblowerowi czuła się zaszczycona poznaniem angielskiego oficera marynarki wojennej, natomiast intendent nie próbował nawet ukrywać, że dla niego, bezpośredniego reprezentanta cara i stałego bywalca pałaców cesarskich, to prowincjonalne przyjęcie jest nudne i nieciekawe, a honorowy gość nikim szczególnie ważnym.

Hornblower dostał swoją lekcję etykiety obowiązującej podczas oficjalnych obiadów w Rosji; wiedział teraz, że stoły z przekąskami to tylko wstęp. Spróbował znowu wódki i kawioru i ta świetna kombinacja smakowa wzbudziła w nim nagle rój wspomnień. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzał w kierunku hrabiny i pochwycił jej wzrok, gdy stała gawędząc z sześcioma poważnymi panami w mundurach. Trwało to tylko moment, ale dostatecznie długi. Jej wzrok wydawał mu się mówić, że i ją nawiedziły te same wspomnienia. Hornblowerowi kręciło się trochę w głowie, toteż postanowił nie pić już więcej tego wieczora. Odwrócił się spiesznie i zaczął rozmowę z gubernatorem.

— Jak wspaniale smakuje wódka z kawiolem — rzekł. — Ta kombinacja zasługuje, żeby zrównać ją z innymi odkryciami dokonаныmi przez pionierów sztuki kulinarnej. Jajka z bekonem, kuropatwa z burgundem, szpinak i... i...

Szukał w myślach francuskiego odpowiednika „udźca wieprzowego”. Gubernator poddał mu ten termin, a jego małe świńskie oczka w dużej, czerwonej twarzy zaślniły ciekawością.

— Pan jest smakoszem, sir? — zapytał.

Reszta czasu do obiadu minęła Hornblowerowi dość łatwo; posiadał wprawę w rozmowie o jedzeniu z kimś, dla kogo było ono niewątpliwie przedmiotem głębokiego zainteresowania. Puścił trochę wodze fantazji, opisując przysmaki kuchni zachodnioindyjskiej i środkowoamerykańskiej; na szczęście w końcowym okresie urlopu obracał się wraz z małżonką w zamożnych kołach londyńskich i jadł przy wielu sławnych stołach, z Mansion House[53] włącznie, co dało mu solidne podstawy do fantazjowania na temat kuchni europejskiej. Gubernator wyzyskiwał kampanie, w których brał udział, na zgłębianie tajników kuchni różnych narodów; pod Austerlitz żywiły go Wiedeń i Praga; w Seven Islands[54] pijał wino zaprawiane żywicą; przewracał ekstatycznie oczyma na wspomnienie frutti di mare, które jadał w Liworno, służąc we Włoszech pod Suworowem[55]. Bawarskie wino, szwedzki sznaps, gdańska wódka goldwasser — pił to wszystko i jadł westfalską szynkę, włoskie beccaficoes i tureckie rachatłukum. Słuchał z napiętą uwagą opowieści Hornblowera o smażonych na ruszcie latających rybach i wieprzowym gulaszu trynidadzkim i z głębokim żalem opuszczał go, aby zająć miejsce u góry stołu biesiadnego; nawet wtedy wciąż zwracał uwagę Hornblowera na podawane potrawy, przechylając się ku niemu przez dwie damy i intendenta Liwonii. A gdy obiad dobiegł końca, przeprosił za zbyt szybkie zakończenie uczy, żaląc się gorzko, że musi wypić jednym haustem ostatni kielich wódki, ponieważ są już prawie o godzinę spóźnieni na galowe przedstawienie baletu, na które mieli jechać po przyjęciu.

Gubernator wszedł ciężko po schodach teatru, dzwoniąc ostrogami i wlokąc za sobą pobrękującą szablę. Dwóch mistrzów ceremonii poprowadziło ich do wnętrza. Za Hornblowerem i Essenem szła reszta gości ze ścisłego grona, hrabina z mężem i dwóch innych dostojników z żonami. Wprowadzający przytrzymali drzwi łoży, a Hornblower stanął na progu, żeby przepuścić damy.

— Komodor wchodzi pierwszy — powiedział Essen — i Hornblower ruszył do środka. Teatr był rzeświście oświetlony, a parter i galeria wypełnione do ostatniego miejsca; wejście Hornblowera wywołało burzę oklasków; stał w łoży przez chwilę jak sparaliżowany, z uszami porażonymi hałasem. Na szczęście, wiedziony instynktem, skłonił się, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, jak aktor, pomyślał. Ktoś podsunął mu fotel i Hornblower usiadł, mając wokół siebie resztę towarzystwa. Zaraz też obsługa zaczęła wygaszać światła, a orkiestra buchnęła uwerturą. Kurtyna poszła w górę, ukazując scenerię leśną, i przedstawienie zaczęło się.

— Wesoła osóbką z tej Madame Nicolas — odezwał się gubernator przenikliwym szeptem. — Niech mi pan powie, czy podoba się panu. Gdyby pan sobie życzył, mogę posłać po nią po występie.

— Dziękuję — szepnął Hornblower, śmiesznie zakłopotany. Hrabina siedziała obok z drugiej strony i promieniujące od niej ciepło wytrącało go ze spokoju.

Orkiestra przyśpieszyła rytm i w złotym blasku świateł rampy balet odtańczył swój popisowy numer. Fruwały spódniczki, migwały stopy. Nie było całkiem prawdą, że muzyka nic nie mówiła Hornblowerowi; gdy był zmuszony słuchać jej dłużej, monotony rytm budził coś w głębinach jego

duszy, mimo że jej domniemana słodycz drażniła jego ucho jak chińska tortura wodna. Po pięciu minutach słuchania był obojętny i nieporuszony; po piętnastu zaczynał się kręcić niespokojnie, a godzina stawała się prawdziwą męczarnią. Zmusił się do siedzenia nieruchomo przez cały program, co było dla niego ciężką próbą. Z ochotą zamieniłby fotel w łoży na pokład rufowy okrętu w czas najzawziętszej i najbardziej beznadziejnej bitwy. Próbował zamknąć uszy na ten przykry, natarczywy hałas, oderwać się od niego, koncentrując uwagę na tańczących, na Madame Nicolas, szalejącej w piruetach po scenie w swoim białym, migotliwym kostiumie, i na innych baletnicach, gdy podpierając podbródek palcem i podtrzymując łokieć drugą ręką wdzięcznym rzędem zbiegały na czubkach palców ze sceny. Nic to jednak nie pomagało i jego męki nasilały się z minuty na minutę.

Hrabina też nie siedziała spokojnie. Hornblower czuł telepatycznie, o czym ona myśli. Literatura wszystkich czasów, od „Ars amatoria”[56] do „Les liaisons dangereuses”[57], pozwoliła mu zapoznać się teoretycznie z wpływem muzyki i teatru na umysł kobiety; w gwałtownym odruchu niechęci poczuł równie silny wstręt do hrabiny jak do muzyki. Siedząc w łoży i jak potępieniec poddając się stoicko torturom dla dobra służby, wykonał jeden tylko ruch, odsuwając nogę poza zasięg jej stopy — czuł bowiem podświadomie, że za chwilę będzie próbowała dotknąć pantofelkiem jego, nie bacząc na to, że jej mąż, z haczykowatym nosem i monoklem, siedzi zaraz za nimi. Antrakt przyniósł moment wytchnienia, dość zresztą problematyczny. Ustała wprawdzie muzyka i mógł wstać, mrugając oczyma w strumieniu światła wpadającego przez otwarte drzwi łoży i kłaniać się uprzejmie przedstawianym mu przez gubernatora spóźnionym osobom, przybyłym złożyć uszanowanie gościowi brytyjskiemu, ale już po chwili, tak mu się przynajmniej wydało, musiał usiąść znowu, bo orkiestra podjęła swoje irytujące rzępolenie, a kurtyna podniosła się, ukazując nową scenerię.

Wtedy właśnie coś zwróciło jego uwagę. Hornblower nie był pewien, kiedy po raz pierwszy dosłyszał ten odgłos. Pierwsze ostrzegawcze strzały mogły nie dotrzeć do jego uszu, gdy siedział, z rezygnacją próbując zamknąć się w sobie. Ocknął się z zamyślenia, poczuwszy powiew nowego napięcia wśród otaczających go osób; teraz było już wyraźnie słyhać huk ciężkiej artylerii — wydawało się nawet, że i teatr drży lekko w takt silnych wstrząsów. Nie odwracając głowy kątem oka spojrział na siedzącego obok gubernatora, który jednak zdawał się być całkowicie zaabsorbowany oglądaniem Mme Nicolas. A przecież ogień był bardzo silny. Gdzieś niezbyt daleko strzelano gęsto i ostro. Hornblower pomyślał przede wszystkim o swoich okrętach; wiedział jednak, że zakotwiczone w ujściu Dżwiny są bezpieczne. A jeśli wiatr dalej wieje w tym samym kierunku co wtedy, gdy wchodzili do teatru, Bush może je wycofać ze strefy zagrożonej, cokolwiek by się działo, nawet gdyby Ryga została wzięta szturmem w tejże godzinie.

Publiczność naśladowała zachowanie gubernatora i skoro on nie chciał słyszeć ognia artyleryjskiego wszyscy inni dzielnie udawali obojętność. Jednakże nerwy obecnych w łoży napięły się, gdy odgłos szybkich kroków na zewnątrz i towarzyszący im dźwięk ostróg oznajmiły przybycie adiutanta. Wysłuchawszy wiadomości przekazanych w pośpiechu szeptem i udzieliwszy adiutantowi kilku słów odpowiedzi, gubernator odprawił go i odczekawszy jeszcze minutę, która wydała się trwać godzinę, pochylił się ku Hornblowerowi z nowiną.

— Francuzi próbują wziąć Dżwinoujście przez *coup de main*[58] — wyjaśnił. — Ale to im się nie uda.

Była to wioska na lewym brzegu Dźwiny, w kącie między morzem a rzeką, pierwszy oczywisty cel dla oblegających, jeśli chcieliby odebrać miastu wszelką nadzieję na pomoc od strony morza. Można by ją właściwie uznać za wyspę, z Zatoką Ryską osłaniającą jedną flankę i szeroką na milę rzeką Dźwina z tyłu; resztę okalały bagna i rowy, osłaniając umocnienia wykonane przez wieśniaków spędzonych z okolicy w promieniu wielu mil. Należało oczekiwać, że Francuzi będą chcieli przypuścić atak na tę miejscowość, gdyż sukces zaoszczędziłby im tygodni nużących operacji oblężniczych, a na razie mogli nie wiedzieć, czy Rosjanie potrafią lub zechcą stawić skuteczny opór. Po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia marszu przez Litwę Macdonald spotkał się tu z poważniejszym oporem — główne siły rosyjskie broniły drogi do Moskwy w okolicy Smoleńska. Jeszcze tego ranka Hornblower przeprowadził inspekcję robót, obejrzał umocnienia i stwierdził dobry wygląd stacjonujących tam grenadierów rosyjskich; w rezultacie doszedł do wniosku, że miasto jest bezpieczne, chyba żeby stało się obiektem systematycznego oblężenia. Mimo to wolałby być absolutnie tego pewny, jak gubernator.

Z drugiej strony zrobiono już wszystko, co można było zrobić. Jeśli wieś padnie, to trudno, skutkiem będzie tylko utrata umocnień zewnętrznych. Gdyby atak został odparty, i tak nie ma mowy o dalszym skutecznym oporze w sytuacji, kiedy Macdonald ma do dyspozycji sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a Rosjanie najwyżej piętnaście. Macdonald musi oczywiście atakować Dźwinoujście z zaskoczenia. Ciekawe, jaki będzie następny jego ruch, jeśli atak się załamie. Może pomaszerować w górę rzeki i próbować forsowania przejścia powyżej miasta, chociaż oznaczałoby to zapuszczenie się w płataninę bagiennych bezdroży i próbę dokonania przeprawy w miejscu, gdzie nie będzie łodzi. Może też zrobić coś innego; skorzystać z łodzi, które wpadły mu w ręce pod Mitawą, dla przeprowadzenia wojska przez ujście rzeki, zostawiając Dźwinoujście nie zdobyte i zmuszając Rosjan w Rydze do wyboru między wyjściem z miasta i walką z siłami desantowymi, cofnięciem się w stronę St Petersburga a pozostaniem w kompletnie odciętym mieście. Trudno odgadnąć, na co się zdecyduje. Niewątpliwie Macdonald wysłał Jusseya, żeby spenetrował ujście rzeki; i chociaż stracił w ten sposób swego głównego inżyniera, może go wciąż pociągać perspektywa możliwości natychmiastowego kontynuowania marszu na St Petersburg.

Wróciwszy myślami do rzeczywistości, Hornblower stwierdził z zadowoleniem, że dzięki tym rozważaniom nie zauważył, ile czasu trwała jego myślowa aberacja, ale chyba dość długo. Ogień armatni ustał; albo atak się nie powiodł, albo też zakończył pełnym sukcesem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi łoży, aby wpuścić następnego adiutanta, który przekazał szeptem wiadomość gubernatorowi.

— Atak został odparty — oznajmił Essen Hornblowerowi. — Jakulew melduje, że jego ludzie nie odnieśli prawie żadnych strat, a pole przed wsią zasłane jest trupami Francuzów i Niemców.

Należało się z tym liczyć w wypadku załamania się ataku. Nieudany wypad pociąga za sobą ogromne straty. Macdonald zaryzykował życie kilku tysięcy ludzi, w nadziei na szybkie zakończenie oblężenia, i przegrał. Jednakże taka wstępna porażka rozdrażni raczej armię cesarską, niż ją zdeprymuje. Obrona powinna w każdej chwili spodziewać się nowych energicznych ataków.

Hornblower z przyjemnością stwierdził, że przesiedział cały następny numer baletowy nic z niego nie zauważając. Nastąpił drugi antrakt, w łoży zapaliło się światło i można było wstać i

rozprostować nogi; przyjemnie było nawet wymieniać uprzejme banały w języku francuskim, zabarwionym akcentami połowy języków Europy. Po antrakcie Hornblower pogodził się już z myślą, że trzeba będzie przesiedzieć jeszcze jeden występ; jednakże ledwie się kurtyna podniosła, Essen mocno szturchnął go w bok i wstawszy ruszył do wyjścia z łoży, a Hornblower za nim.

— Teraz możemy tam pojechać i zobaczyć — powiedział Essen, gdy tylko znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. — Nie byłoby dobrze, gdybyśmy opuścili teatr zaraz po usłyszeniu ognia armatniego. Obecnie nikt się nie dowie, że wyszliśmy stąd w pośpiechu.

Przed teatrem czekał oddział huzarów na koniach, a dwaj ordynansi trzymali dwa wolne konie za uzdy i Hornblower pojął, że będzie musiał jechać konno w mundurze galowym. Nie był to jednak taki poważny problem jak niegdyś. Hornblower pomyślał z satysfakcją o tuzinie pończoch jedwabnych, jakie miał w zapasie na „Nonsuchu”. Essen dosiadł swego konia, a Hornblower poszedł jego śladem. Jasny księżyc zalewał blaskiem plac, gdy z głośnym stukotem kopyt końskich pokłusowali kocimi łbami z eskortą w tyle za nimi. Po dwóch zakrętach i umiarkowanie stromym zjeździe wjechali na długi most pontonowy na Dźwinie; pomost położony na pontonach dudnił głucho pod uderzeniami kopyt. Za rzeką droga wprowadziła ich na wysoką groblę usypaną wzdłuż rzeki; po drugiej stronie ziemia była poorana rowami i upstrzona sadzawkami, wokół których mrugały niezliczone ognie obozowe. Tu Essen osadził konia i rozkazał oficerowi huzarów ruszyć przodem z połową eskorty.

— Nie chciałbym paść ofiarą strzałów moich własnych żołnierzy — wyjaśnił Essen. — Wartownicy są podenerwowani, i wjazd do wioski, która była niedawno celem nocnego wypadu, będzie równie niebezpieczny jak szturmowanie baterii.

Hornblower zbyt był pochłonięty myślami, żeby docenić tę przezorność. Szpada, wstęga z orderem i trójgraniasty kapelusz sprawiały, że było mu trudniej niż zwykle utrzymać się na grzbiecie końskim. Podskakiwał niezgrabnie w siodle, pocąc się obficie mimo chłodu nocy i kurczowo podtrzymując elementy swego ekwipunku, gdy tylko mógł zwolnić jedną rękę od trzymania cugli. W czasie jazdy wartownicy wielokrotnie pytali ich o hasło, ale nie znalazł się żaden na tyle nerwowy, żeby strzelać do nich, Wreszcie, po kolejnym zawołaniu warty, dojechali do miejsca, gdzie kopuła cerkwi w Dźwinoujściu zamajaczyła czernią na tle bladego nieba. Gdy ustał stukot podków, nowy odgłos zwrócił uwagę Hornblowera: zbiorowy lament, ubarwiony przeszywającymi krzykami bóleści — cały chór jęków i zawodzeń. Wartownik przepuścił ich i wjechali do wsi, a wówczas wyjaśniło się, skąd te jęki i krzyki. Jadąc mijali z lewej strony oświetlone pochodniami pole, na którym opatrywano rannych — Hornblower zauważył wijące się w bólach ciało przytrzymywane na stole przez chirurgów pochylających się nad nim w blasku pochodni jak członkowie Inkwizycji. Całe pole usiane było rannymi wydającymi jęki i zwijającymi się z bólu. A była to tylko potyczka na przedpolu, błahy incydent z kilkoma setkami ofiar po obu stronach.

Zsiedli z koni przed wejściem do cerkwi i Essen ruszył przodem, odsalutowując brodatym grenadierom stojącym u drzwi. Wewnątrz blask świec tworzył jasną plamę światła wśród mroku. Przy stole siedziała grupa oficerów pijących herbatę z szumiącego obok samowara. Wstali na powitanie przybyłego gubernatora. Essen dokonał prezentacji.

— Generał Dybicz. Pułkownik von Clausewitz... komodor Sir Horatio Hornblower.

Dybicz był Polakiem, Clausewitz Niemcem — renegatem pruskim, o którym Hornblower słyszał już wcześniej, żołnierzem-intelektualistą, twierdzącym, iż prawdziwy patriotyzm polega na zwalczaniu Bonapartego, niezależnie od tego po czyjej stronie stoi formalnie jego kraj. Złożyli raport po francusku; o wschodzie księżycy nieprzyjaciel spróbował wziąć wieś szturmem bez przygotowania i dostał krwawy odpór. Wzięto jeńców; oddziałek nieprzyjaciela zdobył chatę za wsią i został tam odcięty podczas kontruderzenia. Byli też pojedynczy jeńcy z różnych jednostek, którzy wpadli w ręce Rosjan w innych punktach na obrzeżu wsi.

— Zostali już przesłuchani, sir — powiedział Dybicz. Hornblower pomyślał, że nieprzyjemnie byłoby być przesłuchiwanym przez generała Dybicza.

— Ich zeznania są przydatne, sir — dodał Clausewitz, wyjmując kartkę z notatkami. Każdego jeńca spytano, do jakiego należał batalionu, z ilu ludzi składa się ten batalion, ile jest batalionów w jego pułku, do jakiej pułk należy brygady, dywizji i korpusu armijnego. Clausewitz był już dość blisko zrekonstruowania całej organizacji francuskiej części atakujących sił i stosunkowo dokładnej jej liczebności.

— Siłę korpusu pruskiego już znamy — rzekł Essen. Nastąpił niezręczny moment, kiedy wszyscy starali się unikać wzroku Clausewitza, który dostarczył tej informacji.

— Zostało tylko pół godziny do świtu, sir — przerwał Dybicz, z taktem, jakiego trudno było oczekiwać od człowieka jego pokroju. — Może zechce pan wejść na kopułę i zobaczyć na własne oczy?

Niebo pojaśniało jeszcze bardziej do czasu, gdy po stromych schodach kamiennych wśród grubych murów cerkwi wyszli na otwartą galerię otaczającą jej szczyt. Mieli przed oczyma cały płaski, bagnisty kraj, rowy i jeziora, i małą rzeczkę Mitawę, która wypływała skądś w dali i płynęła meandrami przez wioskę, podchodząc prawie pod mur cerkwi, aby zniknąć tam, gdzie szeroka Dźwina wlewała się do zatoki. Linia umocnień wstępnych i zasieków ustawionych przez załogę garnizonu dla obrony lewego brzegu rzeki była wyraźnie widoczna, a skąpe roboty fortyfikacyjne w tyle to było wszystko, co najeźdźcom chciało się zrobić do tej chwili. Nad ziemią snuł się dym z tysiąca ognisk.

— Moim zdaniem, sir — odezwał się z szacunkiem Clausewitz — jeśli nieprzyjaciel zdecyduje się przystąpić teraz do regularnego oblężenia, to właśnie tu je rozpocznie. Wytyczy pierwszą paralełę tutaj, między rzeką i tamtym lasem sosnowym i zacznie się podkopywać w kierunku wioski i ustawiać swoje baterie tu, na tym przewężeniu lądu. Po trzech tygodniach robót fortyfikacyjnych może liczyć na to, że uda mu się podsunąć baterie na stok i wtedy przypuścić regularny atak. Musi mieć tę wieś przed rozpoczęciem ataku na miasto.

— Być może — zgodził się Essen.

Hornblower nie sądził, aby armia napoleońska, licząca sześćdziesiąt tysięcy ludzi, w pełnym marszu na St Petersburg pozwoliła sobie na trzy tygodnie działań oblężniczych pod umocnieniami zewnętrznymi, nie wyczerpawszy przedtem wszelkich improwizowanych prób, jak ten szybki wypad ubiegłej nocy. Pożyczył lunetę od któregoś z oficerów i zaczął oglądać dokładnie płataninę dróg

wodnych i moczarów rozpościerających się przed jego oczyma, a potem, chodząc po galerii dookoła kopuły, skoncentrował uwagę na widoku Rygi, z iglicami cerkwi, za wielką rzeką. Hen, daleko na torze wodnym dostrzegł maszty swojej eskadry zakotwiczonej w miejscu, gdzie rzeka wlewa się w zatokę. Małe punkciki okrętów, tak mikroskopijne w otaczającym je przestworze, a tak bardzo ważne dla historii świata.

Rozdział XIX

Hornblower spał w swojej kajucie na „Nonsuchu”, gdy ogłoszono alarm. Nawet podczas snu — chociaż można by przyjąć, że budził się od czasu do czasu wcale o tym nie wiedząc — podświadomość jego rejestrowała warunki pogodowe. W każdym razie, gdy się całkiem ocknął, już z grubsza był świadom zmian zaszłych w ciągu nocy. Śpiący, a raczej na pół uśpiony umysł zanotował zmianę kierunku wiatru, która spowodowała obrót „Nonsucha” na kotwicy, oraz przelotne, a gwałtowne szkwały i towarzyszące im bębnienie kropel deszczu o pokład. Zbudził go niewątpliwie przeraźliwy okrzyk kogoś z wachty służbowej. Usłyszał nad głową kroki midszypmena wachtowego, śpieszącego do niego z wiadomością. Gdy chłopiec załomotał do drzwi i wpadł do kajuty, Hornblower już całkiem otrząsnął się ze snu.

— Rakieta z „Ravena”, sir.

— Doskonale — odparł Hornblower spuszczać nogi z koi.

Brown, dobry sługa, już był w kajucie — Bóg jeden wie, kto go uprzedził — z zapaloną latarnią, którą zawiesił u belki pokładowej. Trzymał w pogotowiu spodnie i mundur, żeby Hornblower mógł je wdziać na koszulę nocną. Biegąc na ciemny pokład rufowy Hornblower wpadł na inną postać również śpieszącą w tym kierunku.

— Gdzie masz oczy! — odezwał się ten ktoś głosem Busha i zaraz: — Przepraszam, sir.

Na okręcie świergotały gwizdki, spędzając marynarzy z hamaków; pokład główny rozbrzmiewał tupotem bosych stóp. Montgomery, oficer wachtowy, stał przy relingu prawej burty.

— „Raven” wystrzelił rakiety, sir, dwie minuty temu. Namiar południe ku wschodowi.

— Kierunek wiatru jest zachód ku północy — stwierdził Bush, rzuciwszy okiem na niktłe światełko kompasu.

Zachodni wiatr i ciemna, burzliwa noc; idealne warunki dla Macdonalda na próbę przeprowadzenia wojsk przez ujście rzeki. Ma dwadzieścia dużych barek rzecznych, do których może upchać pięć tysięcy ludzi i kilka armat; gdyby udało mu się przerzucić tak znaczną siłę przez rzekę, sytuacja Rosjan stałaby się beznadziejna. Z drugiej strony, jeśli straciłby tylu żołnierzy — pięć tysięcy zabitych, utopionych lub popadłych w niewolę — byłby to potężny cios, zdolny zahamować jego pochód i pozwolić Rosjanom zyskać na czasie. W ostatecznej analizie ufortyfikowana pozycja jest niczym innym jak sposobem zyskiwania na czasie. Hornblower miał wielką nadzieję, że odczekano, aż flotylla francuskich barek zapędzi się daleko w zastawione sidła, zanim Cole na „Ravenie” wszczął alarm.

Okrzyk z salingu przywołał jego uwagę.

— Ogień artyleryjski po lewej burcie, sir!

Z pokładu można było dojrzeć punkcik ognia przebijający ciemność daleko na zachodzie, a za nim następny.

— To zbyt daleko na zachód — powiedział Hornblower do Busha.

— Obawiam się, że tak, sir.

W tamtej stronie, na samym skraju płycizny, znajdował się „Raven”; jego małe zanurzenie pozwoliło ustawić go na tej pozycji. Vickery na „Lotusie” strzegł drugiego brzegu rzeki, a „Nonsuch” z konieczności stał dalej na kotwicy w torze wodnym. Wszystkie uzbrojone łodzie eskadry krążyły na wiosłach tam i z powrotem pilnując ujścia rzeki — kuter marynarki wojennej uzbrojony w trzyfuntowe działo powinien dać sobie radę z barką rzeczną, nawet gdyby wiozła trzystu żołnierzy. Lecz sądząc po kierunku ognia artyleryjskiego, wyglądało, że Cole przedwcześnie wszczął alarm. Następne działo błysnęło ogniem po zawietrznej; wiatr nie pozwolił im usłyszeć huk.

— Opuścić mój barkas — rozkazał Hornblower. Czuł, że nie potrafi stać tu dalej w beczynnej niepewności.

Łódź odbiła od „Nonsucha”; marynarze ciężko pracowali przy wiosłach, ustawiając ją pod silny wiatr. Brown stojący w ciemnościach obok Hornblowera wyczuwał niepokój i obawę swego dowódcy.

— Mocniej wiosłować, takie sy...! — krzyknął na wiosłarzy. Barkas pchał się naprzód po rozkołysanym morzu. Brown stał na rufie, z dłonią na rumplu.

— Znowu działo, sir. Na wprost przed nami — zameldował Hornblowerowi.

— Bardzo dobrze.

Minął długi kwadrans, podczas którego barkas kiwał się i podskakiwał na drobnych, stromych falach, a załoga pociła się przy wiosłach. Odgłos fal przelewających się za burtą i zgrzyt wiosła o dulki stanowiły monotony akompaniament dla myśli galopujących przez mózg Hornblowera.

— Teraz wali już cała masa armat, sir — meldował Bush.

— Widzę — odparł Hornblower.

Pocisk za pociskiem przeszywał ciemność; widocznie wszystkie łodzie pełniące straż rzuciły się na jedną ofiarę.

— Tam jest „Raven”, sir. Czy mamy sterować na niego?

— Nie. Kieruj się na ogień armatni.

W przodzie majaczyła niewyraźnie sylwetka korwety; Brown przełożył nieznacznie rumpel, zwracając barkas w kierunku ognia armatniego, tak aby mijać „Ravena” w odległości kabla. Zbliżyli się do trawersu korwety i wtedy z jej burty buchnął płomień; rozległ się huk i pocisk przemknął z wyciem tuż nad ich głowami.

— Jezus! — westchnął Brown. — Czy ci durnie nie mają oczu?

Przypuszczalnie korweta obwołała przepływającą łódź i nie Otrzymałszy odpowiedzi — obwołanie zniósł wiatr — natychmiast oddała strzał w jej stronę. Nadleciał następny pocisk z „Ravena” i w barkasie rozległ się czyjś przerażony krzyk. Ostrzał przez swoich działa demoralizująco.

— Wykręć łódź w ich stronę — rozkazał Hornblower. — Zapalić niebieską pochodnię.

W każdej chwili korweta może poczęstować ich pełną salwą burtową i zdmuchnąć z powierzchni wody. Hornblower przejął rumpel na czas, gdy Brown, klnąc pod nosem, manipulował krzesiwem, stalą i hubką. Wioślarz wzorowy poganiał go słowami.

— Stul pysk! — warknął Hornblower.

Wszystko się pogmatwało i marynarze zdawali sobie z tego sprawę. Brown złapał iskrę na hubkę, przytknął do niej zapalnik niebieskiej pochodni i rozdmuchał ogienek. W chwilę później buchnął fajerwerk, oświetlając nieziemskim błyskiem łódź i wodę wokół niej. Hornblower wstał, żeby z korwety mogli zobaczyć jego twarz i mundur. Wyobrazenie sobie konsternacji, jaka nastąpiła na „Ravenie” w momencie, gdy się zorientowali, że ostrzelują swego komodora, było marną zemstą. Hornblower, blady z wściekłości, wdrapał się przez burtę „Ravena”. Cole oczywiście wyszedł mu na spotkanie.

— No i co, panie Cole?

— Przepraszam, sir, że pana ostrzelałem, ale nie odpowiedział pan na moje obwołanie.

— Nie przyszło panu do głowy, że przy tym wietrze mógłbym go nie usłyszeć?

— Tak, sir. Ale wiemy, że Francuzi ruszyli. Nasze łodzie strzelały do nich przed godziną, a w łodziach jest połowa mojej załogi. Przypuśćmy, że byłbym abordażowany przez dwustu żołnierzy francuskich? Nie miałbym szans, sir.

Nie było sensu spierać się z tak strachliwym i nerwowym człowiekiem.

— Pan wystrzelił raketę alarmową?

— Tak, sir. Musiałem powiadomić pana, że barki wyszły w morze.

— I zrobił pan to zaraz, jak się pan o tym dowiedział?

— Tak, sir. Naturalnie, sir.

— Nie pomyślał pan, że w ten sposób zaalarmujecie również Francuzów?

— Sądziłem, że o to panu chodzi, sir.

Hornblower odwrócił się z niesmakiem. W zdenerwowaniu ten człowiek zapomniał wszystkie otrzymane rozkazy.

— Łódź zbliża się od nawietrznej, sir — zameldował ktoś w białej koszuli ledwie widoczny w świetle wstającego świtu. Podniecony Cole pognał na dziób. Hornblower ruszył za nim i zastał go przy pachołkach, wyęzającego wzrok w kierunku nadpływającej jednostki.

— Kto na łodzi? — krzyknął Cole przez tubę.

— Oficer! — nadleciała odpowiedź z wiatrem. Prawidłowy odzew zbliżającej się łodzi z oficerami na pokładzie. Jak się okazało, był to kuter okrętowy z postawionym żaglem lugrowym; na oczach Hornblowera zwinięto ten żagiel, dosyć zresztą niesprawnie, i łódź z trudem podsunęła się na wiosłach do korwety. Zrównawszy się z jej dziobem, wykonała niezdarny zwrot i zaczęła ustawiać się przy burcie. Była po brzegi wypełniona ludźmi.

— Żołnierze! — wykrzyknął Cole w podnieceniu, wskazując palcem na łódź. — Marynarze, do dział! Hej, wy tam, odsuńcie się!

Hornblower zobaczył czaka i pasy przez piersi; właśnie taki widok musiał nękać wyobraźnię Cole'a przez całą noc. Zza burty dobiegły ich czyjeś uspokajające, wypowiedziane po angielsku słowa:

— Stójcie! Tu kuter „Lotusa” z jeńcami.

To był na pewno głos Purvisa. Hornblower przeszedł na śródokręcie i spojrzał w dół. Purvis był na ławce rufowej, a u wiosł siedzieli marynarze brytyjscy w koszulach w kratkę, ale reszta miejsca w łodzi wypełniona była kompletnie żołnierzami o wystraszonym i otepiałym wyglądzie. Na samym dziobie łodzi, przy armatce, stało czterech żołnierzy piechoty morskiej z muszkietami w pozycji gotowości do strzału; w ten sposób Purvis zabezpieczał się przeciwko ewentualnej próbie odzyskania wolności ze strony jeńców.

— Niech tu wejdą — rozkazał Hornblower.

Wchodzili przez burtę, witani na pokładzie szerokimi uśmiechami marynarzy, rozglądając się wokoło w nasilającym się świetle dnia. Purvis też wdrapał się przez burtę i zasalutował Hornblowerowi.

— Chyba wszyscy oni to Holendrzy, sir. Nie Żabojady. Zdjęliśmy ich ze zdobytej barki. Trzeba było długo ostrzeliwać — aż w końcu roznieśliśmy barkę w drzazgi, z pomocą pozostałych łodzi, które płyną teraz za nami z resztą jeńców.

— Dostaliście tylko jedną barkę?

— Tak, sir. Inne umknęły zaraz po wystrzeleniu rakiety. Mamy dwustu jeńców i ubiliśmy ponad setkę.

Zdobyto tylko jedną barkę, z dwustoma żołnierzami, gdy Hornblower liczył na wzięcie co najmniej tuzina i trzech tysięcy jeńców. Ale Purvis w swej naiwności był wyraźnie rad ze zdobyczy.

— Tu jest jeden z ich oficerów, sir.

Hornblower zwrócił się do odzianego w niebieski mundur mężczyzny, z trudem gramolącego się przez burtę.

— Kim pan jest, sir? — spytał po francusku, a oficer po chwili wahania odpowiedział, zacinając się, w tym samym języku.

— Porucznik von Bulow, z pięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty.

— Piechoty francuskiej?

— Króla Pruskiego — odparł oficer nasrożonym tonem, wymawiając słowo „pruskiego” z teutońską butą, świadcząca, że zirytowała go możliwość wzięcia go za Francuza.

A więc Macdonald nie chciał narażać życia Francuzów w tym wysoce niebezpiecznym przedsięwzięciu; można się było, oczywiście, tego spodziewać. Przez ostatnie dziesięć lat Bonaparte wojował głównie kosztem swoich sprzymierzeńców.

— Dopilnuję, żeby mógł się pan odświeżyć — powiedział uprzejmie Hornblower. — Niech pan rozkaże swoim ludziom, żeby usiedli tam, pod relingiem.

Oficer szczechnął rozkaz. Rzecz ciekawa, po pierwszym ostrzegawczym „achtung” otepiali żołnierze natychmiast stanęli na baczność, sztywni i wyprostowani. Większość z nich była w przemoczonych, podartych mundurach, widocznie przed poddaniem się przebywali w wodzie. Hornblower kazał dać im jeść, a tymczasem nadpłynęły z wiatrem pozostałe łodzie, każda ze swoją grupą jeńców. Dwustu obcych żołnierzy na zatłoczonych pokładach „Ravena” przedstawiało niezły widok. Cole kazał skierować dwa dziobowe działa pościgowe na śródkręcie i wycelować je w jeńców, z kartaczem w każdej lufie i celowniczymi na pozycjach, z zapalonymi lontami, gotowymi do strzału. Marynarze, szczerząc zęby, przechodzili wzdłuż szeregów jeńców rozdając chleb i piwo.

— Sir, proszę spojrzeć, jak oni jedzą! — odezwał się Purvis. — Niech pan patrzy na tego, rzucił się na suchar jak wilk na kość. Niech go diabli, już zeżarł cały. To prawda, sir, co mówią o Boniu, że nie daje jeść swoim wojskom.

Armia cesarska przywykła zdobywać sobie żywność po wsiach w trakcie posuwania się do przodu; tymczasem sześćdziesiąt tysięcy ludzi Macdonalda tkwiło w miejscu już od ponad dwóch tygodni, i do tego w rzadko zaludnionej okolicy. Musi być u nich krucho z żywnością. Każdy dzień przedłużania oblężenia Rygi będzie kosztował Bonapartego życie wielu ludzi, i chociaż zawsze

szafował hojnie życiem swoich żołnierzy, musi wreszcie nadejść czas, kiedy mu ich zbraknie, nawet Prusaków czy Włochów. Tym większa szkoda, że zła dywizja próbująca przepłynąć się przez rzekę nie została zgnieciona. Hornblower przyznał przed sobą, że to jego wina; nie należało powierzać żadnego istotnego fragmentu tej operacji Colemu, tej starej, histerycznej babie. Powinien był raczej sam zostać na „Ravenie”. Chociaż trudno powiedzieć; drugi koniec szyku bojowego, nad którym nadzór zostawił Vickery'emu, był równie ważny, a on sam powinien zostać pośrodku, na „Nonsuchu”, dla koordynowania akcji obu skrzydeł. Gdyby pozycje Vickery'ego i Cole'a zostały zamienione — jak należało zrobić — to chociaż można polegać na Vickerym, że z jego końca pułapka nie zadziałałaby przedwcześnie, czy można by było zaufać Colemu, że potrafiłby utrzymać ją zamkniętą? W tym momencie pięć tysięcy Prusaków mogłoby już znajdować się na drugim brzegu Dżwiny, gdyby to Cole miał odcinać im przejście. Hornblower pomyślał, że chciałby wiedzieć dokładnie, której nocy Macdonal przypuścił atak; równie dobrze jednak mógłby pragnąć gwiazdki z nieba.

— Panie Cole — powiedział. — Proszę nadać sygnał do „Nonsucha”: „Komodor do kapitana. Udaję się do Rygi z jeńcami”. Potem łodzie strażnicze mogą wrócić na swoje jednostki, a my ruszamy, jeśli każe pan łaskawie podnieść kotwicę.

Rozdział XX

Hornblower znów był na galerii otaczającej kopułę cerkwi w Dźwinoujściu.

— Tam jest to, o czym panu mówiłem, sir — rzekł Clausewitz wskazując na coś ręką.

Za rosyjskimi umocnieniami ciągnęła się długa linia, brunatna na tle zieleni — szaniec okopu wykopanego naprędce przez Francuzów tej nocy. Macdonald to z pewnością pełen energii generał, skoro kazał prowadzić te roboty, wysyłając równocześnie Prusaków na ryzykowną próbę przeprawy przez rzekę; mimo że ta próba zawiodła, zyskał sporo w innym miejscu, wyzyskując ciemną, deszczową noc, aby niepostrzeżenie przesunąć ten okop daleko do przodu.

— To jego pierwsza paralela, sir, a w jej środku znajduje się instalowana przez niego bateria. A widzi pan tu, sir? Tu właśnie podkopuje się dalej.

Hornblower wpatrzył się przez lunetę w tamto miejsce. W pewnym punkcie blisko czoła pierwszej paraleli zauważył coś przypominającego wyglądem ścianę z wiązek drewna. W dole działa w obrębie umocnień rosyjskich strzelały do tego celu; widział ziemię wyrzucaną w górę przez pociski padające w pobliżu. Na końcu ściany zauważył coś dziwnego — jakby osłonę na kołach. Gdy jej się przyglądał, nagle ruszyła do przodu, zostawiając wąską lukę między sobą a końcem ściany z wiązek drewna. W tej luce mignęło dwóch ludzi w niebieskich mundurach. Widział ich tylko przez moment, bo zaraz luka została wypełniona nową wiązką drewna. Nad wiązką załśniły uniesione w górę sztychy łopat, by zaraz zniknąć. Widocznie wiązka drewna miała kształt bębna wydrążonego w środku i gdy tylko ustawiono ją w odpowiednim położeniu, ukryci za nią ludzie zabrali się do zasypywania środka ziemią wybraną spod tej wiązki. Hornblower zorientował się, że ogląda klasyczną metodę podkopywania się pod stanowiska nieprzyjacielskie za pomocą koszów szańcowych i faszyny. Ten wielki bęben to właśnie kosz szancowy wypełniany ziemią na jego oczach. Bardziej w tyle, pod osłoną rzędu zaspanych koszy, oblegający okładali przedpiersie okopu faszyną — wiązkami drewna o długości sześciu stóp — a jeszcze dalej w tyle zasypywali to wszystko dokładnie ziemią z rowu za przedpiersiem. Potem pchnięto osłonę znowu o jard do przodu i ustawiono następny kosz szancowy; Francuzi zbliżyli się o dalsze trzy stopy do tranzei broniących dostępu do Dźwinoujścia. Właściwie nie o jard, ale nieco mniej, bo podkop nie kierował się prosto na cel, lecz w bok, ku jego flance, dla uniknięcia ostrzału ogniem flankowym. Wkrótce zacznie się posuwać ku drugiej flance i w ten sposób będzie się zbliżał zygzakiem ku fortecy, bezlitośnie i nieubłaganie. Ze wszystkich działań wojennych prowadzone fachowo oblężenie jest operacją najpewniejszą, jeśli oblężonym nie przychodzi pomoc od zewnątrz.

— Sir, niech pan tam spojrzy! — powiedział nagle Clausewitz.

Spoza wysokiego obwałowania wysunął się długi sznur koni przypominających z daleka mrówki. W słońcu widać było wyraźnie białe bryczesy ludzi, którzy je prowadzili. Konie wlokły działa, machinę artyleryjską ogromnych rozmiarów w porównaniu ze zwierzętami. Sunęła ku baterii usytuowanej w centrum pierwszej paraleli, popychana przez tłum postaci również w białych spodniach. Wysokie przedpiersie pierwszej paraleli zasłaniało tę operację przed artylerzystami rosyjskimi, chroniąc ją w ten sposób przed ostrzałem z ich strony. Hornblower wiedział, że po przetransportowaniu wszystkich armat do baterii w przedpiersiu zostaną wykonane otwory — „ambrazury” — poprzez które działa otworzą ogień na wieś, zmuszając artylerię obrony do milczenia, po czym dokonają wyłomu; tymczasem podkop zostanie poszerzony, tworząc szeroki rów,

drugą paralelę, z której, a w razie potrzeby z trzeciej, szturmujący dokonają wypadu w celu powiększenia wyłomu.

— Do jutra bateria będzie zmontowana — orzekł Clausewitz. — O, niech pan patrzy! Ustawiają następny kosz szańcowy.

Operacje oblężnicze przypominają bezlitosne, chłodne i nieuniknione posuwanie się węża ku sparaliżowanemu strachem ptakowi.

— Dlaczego wasze działa nie powstrzymają robót przy podkopie? — spytał Hornblower.

— Próbują, jak pan widzi. Ale z tej odległości trudno trafić w pojedynczy kosz szańcowy, zresztą uszkodzić można tylko ten na końcu. A gdy podkop zbliży się na odległość łatwego strzału, ogień z ich baterii zmusi nasze armaty do milczenia.

Spoza wysokiego wału ukazało się następne działo oblężnicze i zaczęło pełznąć w kierunku baterii; poprzednie ustawiano właśnie w ostatecznym położeniu przy przedpiersiu.

— Sir, czy nie mógłby pan sprowadzić swoich okrętów? — zapytał Clausewitz. — Proszę spojrzeć, jak blisko woda podchodzi do terenu ich robót. Mógłby pan roznieść ich doszczętnie swymi wielkimi działami.

Hornblower pokręcił przecząco głową; i jemu przychodziło to na myśl, ponieważ długa, połyskliwa odnoga Zatoki Ryskiej, sięgająca tu w głąb lądu, stanowiła ogromną pokusę. Lecz woda w niej ma głębokość poniżej sążnia, a nawet kecze bombowe o małym zanurzeniu potrzebowały dziewięciu stóp — najmniej siedmiu, gdyby się je opróżniło ze wszystkiego, poza zapasami niezbędnymi do prowadzenia walki.

— Zrobiłbym to, gdybym mógł — odparł Hornblower — lecz w tej chwili nie widzę sposobu sprowadzenia moich dział na odległość zasięgu.

Clausewitz obrzucił go chłodnym spojrzeniem i Hornblower pomyślał, że dobra wola między sprzymierzeńcami to krucha rzecz. Jeszcze tego ranka Brytyjczycy i Rosjanie byli w najlepszej przyjaźni; zniweczenie podjętej przez Macdonalda próby przeprawy przez rzekę wprawilo Essena i Clausewita w radosne podniecenie i — podobnie jak lekkomyślni młodszy oficerowie w eskadrze — uznali obaj zlikwidowanie półbatalionu pruskiego za poważny sukces, nie mając pojęcia o znacznie dalej idącym planie obmyślonym przez Hornblowera, a unicestwionym prawie całkowicie wskutek nerwowości Cole'a. Gdy sprawy idą dobrze, sprzymierzeńcy są najlepszymi przyjaciółmi, lecz w razie niepomyślnego obrotu rzeczy jeden próbuje naturalnie zwać winę na drugiego. Teraz, kiedy dobiegowe okopy francuskie zbliżają się do Dżwinoujścia, on pyta Rosjan, czemu ich artyleria nie zatrzymuje postępu robót, a Rosjanie chcą wiedzieć, dlaczego nie robią tego jego działa.

Hornblower wyjaśnił możliwie dokładnie swój punkt widzenia, lecz Clausewitz słuchał go nieprzychylnym uchem i tak samo zachował się Essen, kiedy sprawa wypłynęła w rozmowie, gdy Hornblower chciał ich pożegnać. Sytuacja nie była przyjemna dla przedstawiciela Marynarki Brytyjskiej, chlubiącej się tym, że nie ma dla niej nic niemożliwego; Hornblower wrócił po południu

na „Nonsucha” poirytowany, w zgrzytliwym nastroju i nie odezwał się słowem do Busha, który nadbiegł go przywitać przy burcie. Własna kajuta wydała mu się obca i nieprzytulna pod niechętnym spojrzeniem, a załoga miała akurat dzień wolny od zajęć i głośno dokazywała na pokładzie; gdyby więc chciał pochodzić po pokładzie rufowym, przerywano by mu nieustannie tok myśli. Przez moment zastanawiał się, czyby nie kazać Bushowi cofnąć rozkazu przyznającego dzień wolny od pracy i czy w zamian nie posłać załogi do jakichś cichych zajęć. Wszyscy jednak domyśliliby się, że stało się tak, bo komodor chciał przechadzać się w spokoju po pokładzie rufowym; to wprawdzie mogłoby utwierdzić ludzi w przekonaniu, że jest bardzo ważną osobą, ale nigdy nie ulegał chwilowym kaprysom. Nie zabierze marynarzom dnia wolnego od pracy, nie będzie gruntować w nich w ten sposób przekonania o ważności swej osoby.

Wyszedł więc tylko na galerię rufową i schylając się pod niskim nawisem próbował chodzić po przestrzeni o długości dwunastu stóp. Naprawdę szkoda, że nie może sprowadzić artylerii okrętowej i wycelować dział ku francuskim robotom oblężniczym. Prowadzony z bliska ostrzał ciężkimi armatami zniszczyłby przedpiersie umocnień francuskich. A za wysokim wałem, po którym ściągano działa, co miał możliwość obserwować niedawno, musiał znajdować się francuski park artyleryjski i tabor — kilka granatów z keczów bombowych posiałoby tam spustoszenie; gdyby mu się tylko udało wprowadzić kecze do zatoki, nie byłoby trudności z przerzucaniem granatów przez wał. Ale zatoka miała przeważnie trzy do czterech stóp głębokości — nigdzie ponad siedem. Rzecz jest nie do przeprowadzenia i najlepsze co można zrobić, to wybić to sobie z głowy. Żeby się oderwać od tych myśli, przeszedł przez reling na drugą stronę galerii rufowej i zajrzał przez okno rufowe do kajuty Busha. Bush spał w koi na plecach, z otwartymi ustami i rękami rozrzuconymi na boki; drewniana noga wisiała w uchwycie na grodzi. Hornblower poczuł złość, że jego kapitan śpi sobie spokojnie, gdy on tyle musi dźwigać na swych barkach. Niewiele brakowało, żeby posłał po Busha z jakimś poleceniem, aby przerwać mu drzemkę. Wiedział jednak, że tak naprawdę nigdy by tego nie zrobił. Nie umiał zmusić się do zbędnego nadużywania władzy.

Postanowił wrócić do swojej części galerii rufowej. I kiedy to zrobił, kiedy stał z jedną nogą uniesioną, słysząc pod sobą lekki zgrzyt czopów steru w zawiasach, wpadł mu do głowy pomysł, tak że stał jeszcze przez chwilę jak pień, z jedną nogą w powietrzu. Potem przełożył ją przez reling, wszedł do kajuty i krzyknął na posłańca:

— Zanieś ode mnie pozdrowienia oficerowi wachtowemu i może będzie łaskaw nadać sygnał do „Harveya”, żeby pan Mound przybył tu natychmiast.

Mound wszedł do kajuty, młodzieńczy i pełen oczekiwań, z trudem maskując niecierpliwość udawaną nonszalancją. W momencie gdy Hornblower odpowiadał na pozdrowienie, przyszło mu nagle do głowy, że Mound naśladuje właśnie jego tym niedbałym, zmanierowanym sposobem bycia. Zdał sobie sprawę, że jest jakby bohaterem — więcej, wielkim bohaterem — dla tego młodego porucznika, który pochlebia mu prawdziwie starając się imitować jego zachowanie. Uśmiechnął się w duchu kwaśno sam do siebie, wskazując Moundowi krzesło, a potem zapomniał o tym wszystkim, wdawszy się z nim w ożywioną dyskusję.

— Panie Mound, orientuje się pan w postępach francuskich robót oblężniczych?

— Nie, sir.

— Proszę więc popatrzeć ze mną na tę mapę. Tędy biegnie linia okopów, a w tym miejscu jest bateria. Główna flanka i magazyny są tu, za wałem. Gdyby udało się panu podciągnąć kecze w górę zatoki, moglibyśmy wykurzyć ich pociskami z obu tych miejsc.

— Płytką woda, sir — odparł z żalem Mound.

— Tak — zgodził się Hornblower i za nic nie potrafił zrezygnować z dramatycznej pauzy poprzedzającej słowa, w których zawarta była istota jego pomysłu. — Ale możemy zmniejszyć zanurzenie stosując pontony ratownicze.

— Pontony! — wykrzyknął Mound i twarz mu rozbłysła, gdy uświadomił sobie wszystkie konsekwencje usłyszanego zdania. — Do licha, sir, ma pan rację.

Pontony ratownicze to sposób na zmniejszenie zanurzenia okrętu — łodzie wypełnione ładunkiem i dobrze zamocowane po obu burtach, a następnie opróżnione, unoszą przywiązaną między nimi jednostkę wyżej nad wodę. Mound już myślał o szczegółach.

— W Rydze są barki i lichtugi, sir. Na pewno dadzą nam kilka. Załadujemy je do pełna piaskiem albo wypełnimy wodą i potem ją wypompujemy. Mając dwie duże lichtugi będę mógł bez trudu zmniejszyć zanurzenie „Harveya” o pięć stóp — faktycznie podnieść go nad wodę. Te barki mają nośność dwustu ton, a bez ładunku nie zanurzają się głębiej jak na dwie stopy.

Gdy Mound to mówił, Hornblowerowi przyszła na myśl pewna trudność, której przedtem nie przewidział.

— Jak pan chce sterować całością? Taki zespół będzie trudny do prowadzenia.

— Zamontuję ster dunajski, sir — odparł natychmiast Mound. — Jak jest odpowiednio duży, to wszystkim da się sterować przy jego pomocy.

— „Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę świat” — zacytował Hornblower.

— Właśnie, sir. A w barkach każe wyrąbać otwory na długie wiosła. Nie będzie więcej trudności z halsowaniem na wiatr niż na tratwie. Mógłbym od razu posłać ludzi do roboty, jeśli da mi pan rozkaz, sir.

Skwapliwość w głosie Mounda pasowała do dziesięcioletniego chłopaczka, a nie młodzieńca w wieku lat dwudziestu. Cały jego wystudiowany spokój zniknął.

— Wyślę kartkę do gubernatora — powiedział Hornblower — z prośbą o pożyczanie czterech lichtug. Na wszelki wypadek poproszę o sześć. Ma pan godzinę na opracowanie szczegółów planu. Potrzebne materiały i ludzi proszę brać z tego okrętu i z korwet.

— Tak jest, sir.

Trzeba się było śpieszyć, bo wieczorem przez zatokę przetoczył się ponury huk strzałów z ciężkich dział, nie ten wysoki odgłos armat polowych o ostrym brzmieniu, jaki słyszeli dotąd, lecz

niski ryk artylerii oblężniczej; to nieprzyjaciel oddawał próbne strzały z pierwszych wielkich armat zawleczonych do baterii. A następnego ranka, właśnie gdy Hornblower wyszedł na pokład rufowy, od brzegu doleciał nagle przeraźliwy trzask przypominający łoskot grzmotu, zwiastujący otwarcie ognia salwowego przez nieprzyjaciela. Jeszcze nie ucichło echo pierwszej salwy, gdy buchnęła następna, bardzo nierówna, a potem dalsze, coraz mniej zgrane, aż powietrzem zaczęły wstrząsać ciągłe wybuchy, jak podczas huczącej burzy z piorunami, nękając uszy daremnie czekające na chwilę ulgi. Obserwator zawołał z salingu, że widzi długą smugę dymu z baterii nieprzyjacielskiej, niesioną przez wiatr ponad lądem.

— Przygotować do opuszczenia mój barkas — rozkazał Hornblower.

Przy wytykach szalupowych „Nonsucha” było już kilka łodzi eskadry wyładowanych zapasami zabranymi z obu keczów bombowych. Tańcząc na wodzie w blasku jutrzenki barkas dopłynął do miejsca, gdzie na kotwicach stały kecze, z lichtugami po obu burtach. Duncan, dowódca „Motha”, pływał dookoła w jolce. Zasalutował, spostrzegłszy nadpływającą łódź komodorską.

— Dzień dobry, sir — powiedział i natychmiast wrócił do swoich zajęć, wołając przez tubę: — Za blisko dziobu! Wybrać linę na kabestanie o jeszcze jedną zapadkę!

Hornblower kazał podwieźć się do „Harveya” i przeskoczył z barkasa na lichtugę zamocowaną po prawej burcie — poszło mu to łatwo, bo lichtuga była wypełniona balastem — nie czekając na ceremonialne powitanie go przez oficerów i marynarzy. Mound stał na swoim małym pokładzie rufowym sprawdzając stopą naprężenie grubej liny — jednej z pobranych z „Nonsucha” — którą ściągnięto ciasno jego okręt i obie lichtugi, każdą z nich dwukrotnie, przez dziób i rufę.

— Lewa burta, do roboty! — krzyknął.

Na każdej lichtudze znajdowała się spora grupka marynarzy z szuflami, przeważnie zrobionymi naprędce z drewna. Na rozkaz Mounda ci na lichtudze z lewej burty zaczęli spiesznie wyrzucać piasek. Lekki wiatr zwiewał go tumanami w kierunku rufy. Mound ponownie sprawdził naprężenie liny.

— Prawa burta, do roboty! — zawołał z kolei, a potem zasalutował nadchodzącemu komodorowi.

— Dzień dobry, panie Mound — powiedział Hornblower.

— Dzień dobry, sir. Jak pan widzi, sir, tę część zadania musimy wykonywać stopniowo. Odciążyłem ten stary kecz do tego stopnia, że mógłby przekoziółkować na linach, gdybym nie uważał.

— Rozumiem, panie Mound.

— Rosjanie dosyć szybko przysłali nam lichtugi, sir.

— Cóż w tym dziwnego? — odparł Hornblower. — Nie słyszy pan, jak bije francuska bateria?

Mound nastawił uszu; widać było, że dopiero teraz usłyszał strzały. Za bardzo był zaabsorbowany swoją robotą, żeby zwrócić na to przedtem uwagę. Twarz miał nie ogoloną i poszarzałą od zmęczenia — pilnował dzieła bez przerwy od ubiegłego popołudnia, kiedy to został wezwany przez Hornblowera. W ciągu tego czasu usunięto wszelkie zapasy z obu keczów, pobrano grube liny i rozciągnięto na obydwu jednostkach, przyjęto lichtugi i ustawiono je po ciemku przy burtach. Każdy zespół złożony z trzech jednostek połączono mocno w jedną całość grubymi linami ściągniętymi silnie za pomocą kabestanów.

— Przepraszam, sir — powiedział Mound i pognał sprawdzić linę na dziobie.

W miarę jak setka par rąk wybierała ochoczo piasek i wysypywała go za burtę, lichtugi podnosiły się na wodzie, unosząc w górę kecz zamocowany między nimi. Operacji tej towarzyszył zgrzyt lin i skrzypienie drewna. Liny trzeba było wciąż utrzymywać w naprężeniu, gdyż rozluźniały się wskutek podnoszenia się lichtug. Hornblower spojrział w stronę rufy, ciekawy, co robi tam inna grupa marynarzy. Na rufę przewleczono ogromną beczkę, do połowy napełnioną wodą. Biegły od niej liny do obydwu stron zaoblenia rufy kecza, każda szła przez przewłokę do zaimprovizowanej windy kotwicznej umieszczonej na pokładzie. Popuszczając lub wybierając te liny będzie można regulować położenie beczki w kierunku jednej burty lub drugiej w czasie ruchu kecza, co będzie miało potężny efekt obracający. A zatem beczka ma przejąć zadania steru, który już uniósł się tak wysoko nad wodę, że stał się bezużyteczny.

— To takie ulepszenie, sir — powiedział Mound wróciwszy z dziobu. — Jak już mówiłem, sir miałem zamiar założyć ster dunajski. Ale Wilson zasugerował to rozwiązanie — chciałbym zwrócić na niego pańską uwagę, sir. Jestem pewien, że to będzie działać dużo skuteczniej.

Wilson podniósł głowę znad roboty, pokazując w uśmiechu szczerbate zęby.

— Jaki masz stopień? — spytał Hornblower.

— Pomocnik cieśli, sir.

— Najlepszy, jakiego znam, sir — pośpieszył dodać Mound.

— Gdzie służyłeś?

— Dwa razy na starej „Superb”, sir, raz na „Aretuzie”, a teraz tutaj, sir.

— Dostaniesz patent pełniącego obowiązki cieśli — obiecał Hornblower.

— Dziękuję, sir, dziękuję.

Mound, gdyby chciał, mógłby bez trudu przypisać sobie zasługę wynalezienia tego awaryjnego steru. Hornblower polubił go jeszcze bardziej za to, że tego nie zrobił. Dla dyscypliny i utrzymania ducha w załodze jest rzeczą wskazaną od razu nagradzać za dobrą robotę.

— Doskonale, panie Mound. Proszę kontynuować.

Hornblower wrócił na swój barkas i popłynął na „Motha”. Tutaj praca była posunięta o stopień dalej. Tyle już piachu wyrzucono z lichtug, że pracujący z trudem wysypywali szufle przez burtę znajdującą się teraz na wysokości ich ramion. Można było też zobaczyć szeroki pas miedzianego poszycia — tak wysoko „Moth” wynurzył się z wody.

— Panie Duncan, proszę pilnować, by stał prosto — rzucił Hornblower, — Kecz przechyla się trochę na lewą burtę.

— Tak jest, sir.

Wyrównanie „Motha” wymagało skomplikowanej regulacji linami, ich luzowania i wybierania.

— Jak skończymy z nim, będzie miał zanurzenie najwyżej dwie stopy, sir — oznajmił Duncan z triumfującą miną.

— Bardzo dobrze — odparł Hornblower.

Duncan posłał dodatkowych marynarzy do przerzucania piasku od burt wewnętrznych lichtug ku burtom zewnętrznym, żeby ułatwić pracę tym, którzy wyrzucali piasek na zewnątrz.

— Jeszcze dwie godziny i będą puste, sir — zameldował Duncan. — A wtedy zostanie nam tylko wykonanie w burtach otworów na długie wiosła.

Popatrzył w górę, na słońce, jeszcze nisko nad widnokregiem.

— Będziemy gotowi do akcji pół godziny przed południem, sir — dodał.

— Niech cieśle zaczną teraz wyrąbywać dziury w burtach — powiedział Hornblower. — Żeby pańscy ludzie mogli tymczasem odpocząć i zjeść śniadanie. Potem będą wysypywać tamtędy piasek i praca pójdzie szybciej.

— Tak jest, sir.

Przy takim usprawnieniu pracy podany przez Duncana termin, pół godziny przed południem, był już bardziej realny. Gdyby jednak nawet zakończenie robót opóźniło się o dwie godziny, wystarczy jeszcze godzin światła dziennego na zadanie ciosu. Gdy cieśle przystąpili do wykonywania otworów w burtach, Hornblower wezwał do siebie Duncana i Mounda i omówił z nimi ostatnie rozkazy.

— Będę w cerkwi z oddziałem sygnalizacyjny — powiedział na zakończenie. — Dopilnuję, żebyście otrzymali niezbędne wsparcie. A więc powodzenia.

— Dziękuję, sir — odpowiedzieli razem. Podniecenie i radosne oczekiwanie starło z ich twarzy ślady zmęczenia.

Hornblower kazał teraz zawieźć się łodzią do wsi, gdzie mały pomost wybawił jego i sygnalistów od brodzenia w płytkiej wodzie. W miarę jak zbliżali się do umocnień, huk armat

nasilał się po obu stronach. Gdy weszli na pomost, Dybicz i Clausewitz przywitali ich i powiedli ku cerkwi. Idąc u stóp umocnień okalających pierścieniem wioskę od strony lądu, Hornblower spojrział w górę i zobaczył przy armatach artylerzystów rosyjskich, brodaczy obnażonych do pasa pod upalnym słońcem. Jakiś oficer przechodził wzdłuż baterii, od działa do działa, nastawiając je kolejno na cel.

— Mamy niewielu ludzi w naszej artylerii, którym można spokojnie powierzyć ustawianie na cel — wyjaśnił Clausewitz.

Wieś była już mocno zniszczona przez ostrzał, w ścianach i dachach jej lichych chat widniały duże dziury. Gdy zbliżali się do cerkwi, rykoszet uderzył w jej ścianę, wyrzucając w powietrze chmurę odłamków, i utknął w murze jak śliwka w cieście. W chwilę później Hornblower usłyszał nagle jakiś nienormalny odgłos i odwróciwszy się zobaczył, że dwaj midszypmeni stoją i patrzą wytrzeszczonymi oczyma na pozbawiony głowy trup marynarza, który przed chwilą szedł za nimi. Pocisk przeleciał nad umocnieniem, strzaskał mu głowę i rzucił go w ich stronę. Somers spoglądał z odrazą na krew i mózg, które obryzgały jego białe bryczesy.

— Idziemy — powiedział Hornblower.

Z galerii pod kopułą mogli oglądać roboty oblężnicze w dole. Zygzakowaty rów dobiegowy był już prawie w połowie odległości od umocnień obronnych. Czoło tranzei nikło zupełnie pod fontannami ziemi wyrzucanej w powietrze przez wściekły ostrzał artylerii rosyjskiej. Ale szaniec chroniący dostępu do wsi był w złym stanie; z parapetów zostały tylko kopczyki ziemi. Przy strzaskanej lawecie leżała armata na wpół zasypana ziemią; druga była dalej obsługiwana z poświęceniem przez grupkę ludzi. Umocnienia francuskie przysłaniał rzadki tuman dymu z baterii dokonującej wyłomu, lecz dym nie zakrywał kolumny piechoty maszerującej od tyłów w kierunku pierwszej paraleli.

— W południe zmieniają posterunki w okopach — wyjaśnił Clausewitz. — Gdzie są pańskie łodzie, sir?

— Właśnie nadpływają — odparł Hornblower.

Dziwnie wyglądały kecze pełznące po srebrzystej wodzie, ze zwiniętymi żaglami i topornymi cielskami lichtug zamocowanymi po obu ich burtach. Długie, ciężkie wiosła, po dwanaście w burcie, przypominały nogi grzbietopławka sunącego po powierzchni stawu, ale poruszały się znacznie wolniej. Wioślarze z trudem wykonywali kolejne, nieskończenie długo trwające ruchy.

— Somers! Gerard! — krzyknął ostro Hornblower. — Jak posuwa się praca nad urządzeniami sygnalizacyjnymi? Przywiążcie bloki do tego gzymsu. Ruszać się żwawiej, nie macie całego dnia na tę robotę.

Midszypmeni z marynarzami montowali stację sygnalizacyjną na galerii. Przymocowali bloki do gzymsu i przewlekli przez nie linki sygnałowe. Rosjanie z zaciekawieniem przyglądali się ich pracy. Tymczasem kecze denerwująco powoli wpływały na długich wiosłach w głąb zatoki; posuwały się bokiem jak kraby, bo słaby wiatr od dziobu znosił je na zawietrzną, co widział

wyraźnie obserwujący je z góry Hornblower. Wyglądało, że nikt po stronie nieprzyjacielskiej nie zwrócił na nie specjalnej uwagi; wojska Bonapartego, panujące nad Europą od Madrytu po Smoleńsk, rzadko miały okazję bliższego zetknięcia się z keczami bombowymi. Wielka bateria kontynuowała ostrzał, bijąc nieprzerwanie w rozpadające się, widoczne w dole umocnienia rosyjskie, a Rosjanie odwzajemniali ogień z desperacką energią.

„Harvey” i „Moth” podeszły wolniutko pod sam brzeg; Hornblower zobaczył przez lunetę mikroskopijne postacie poruszające się na dziobach i zorientował się, że okręty rzucają kotwice. Długie wiosła zapracowały gwałtownie, na jednej burcie, potem na drugiej — Hornblower, stojąc tu na górze na galerii, z szybko bijącym sercem, oczyma duszy widział Mounda i Duncana wykrzykujących ze swych pokładów rufowych polecenia dla wioślarzy w trakcie manewrów przypominających ruchy robaków przyszpilonych do kartki papieru. Ustawili się w położeniu do rzucenia innych kotwic z rufy, żeby — popuszczając lub wybierając liny kotwiczne — mogli obracać swoje jednostki dla odpowiedniego nastawienia mózdzierzy na cel w obrębie dużego łuku. Clausewitz i oficerowie sztabowi patrzyli nie rozumiejąc, nie orientując się zupełnie, co znaczą te manewry. Hornblower obserwował, jak rzucono kotwice i widział grupki ludzi naciskających ciałami na handszpaki kabestanów; kecze obróciły się prawie niedostrzegalnie najpierw w jedną, potem w drugą stronę, zgodnie z poleceniami dowódców orientujących się według znaków nawigacyjnych na brzegu.

— Na „Harveyu” podnoszą flagę „gotowe” — powiedział Hornblower z lunetą przy oczach.

Krażek w bloku nad jego głową zaskrzypiał głośno przy wciąganiu flaglinki z sygnałem potwierdzającym. Nagle z dziobu „Harveya” buchnął duży kłęb dymu; z tej odległości Hornblower nie mógł obserwować lotu pocisku, czekał więc zdenerwowany, przeszukując wzrokiem cały obszar wokół baterii, żeby sprawdzić, gdzie pocisk wybuchnie. Ale nie zobaczył nic, absolutnie nic. Z ociąganiem kazał podnieść czarny stożek oznaczający „nie zaobserwowano”, i „Harvey” oddał następny strzał. Tym razem było widać, gdzie pocisk się rozerwał, małeńki wulkan dymu i odłamki tuż za baterią.

— Przeniosło, sir — rzekł Somers.

— Tak. Podajcie to do „Harveya”.

Tymczasem Duncan zakotwiczył „Motha” i wciągnął sygnał gotowości. Następny pocisk z „Harveya” upadł w środku baterii, a za nim, w tym samym miejscu, pierwsza kula z „Motha”. Oba kecze naraz rozpoczęły systematyczne bombardowanie baterii, zasypując ją ciągłym strumieniem pocisków, tak że bez chwili przerwy widać było fontanny dymu i ziemi w obrębie jej transzei. Miała ona kształt zwykłego prostokąta, bez poprzecznie i podziałów wewnętrznych, tak że obsługa baterii nie miała gdzie się schronić, kiedy już nieprzyjaciel znalazł sposób podejścia do okopu. Bateria strzelała jeszcze przez kilka sekund, a potem Hornblower zobaczył, że obsługa odbiega od dział; teraz wewnątrz baterii przypominało rozwalone mrowisko. Jeden z wielkich pocisków trzynastocalowych wylądował na samym szańcu i przez rozwiewany wiatrem dym widać było, że przedpiersie zostało zdmuchnięte. W ten sposób otworzył się widok na wewnętrzną strefę baterii, na poziomie gruntu, od strony wsi i przez tę lukę można było dojrzeć lufę uszkodzonego działu obłąnniczego bezradnie sterczącą ku niebu — pocieszający obraz dla obrony. To był dopiero

początek. W transzei wybijano lukę za luką, cała zamknięta w niej powierzchnia zasłana była pociskami. W pewnym momencie nastąpił wybuch znacznie silniejszy od poprzednich i Hornblower domyślił się, że wyleciał w powietrze magazyn podręczny — mały zapas prochu armatniego w baterii stale uzupełniany przez tyły. W obrońców w dole wstąpił nowy duch i wszystkie działa na zagrożonym froncie otworzyły ogień; któryś pocisk ze wsi trafił przypuszczalnie w lufę uszkodzonej armaty i skierował ją z powrotem w dół.

— Sygnał: „Przerwać ogień” — rozkazał Hornblower.

Pociski trzynastocalowe nie należą do tego rodzaju amunicji, którą można łatwo dostać na Bałtyku i nie było potrzeby marnowania ich na cel już obezwładniony, a przynajmniej unieszkodliwiony na jakiś czas. A potem nastąpił kontratak oblegających. Odległym zboczem nadjeżdżała bateria artylerii polowej, sześć armatek, maleńkich z tej odległości, podskakujących i trzęsących się za swoimi przodkami. Ziemia była rozmiękła, bo lato trwało jeszcze zbyt krótko, żeby pola zdążyły wyschnąć, toteż artyleria, z końmi po pęciny, a działami po osie w błocie, posuwała się bardzo powoli.

— Nadać sygnał zmiany celu — rozkazał Hornblower.

Niemożliwością było obserwować, gdzie padają pociski wyrzucane w kierunku nowego celu, gdyż kecze wystrzeliwały je tuż ponad wysokim wałem. Od przypadku zależało, czy wyrządzą jakieś szkody, ale Hornblower przypuszczał, że tabory i magazyny armii liczącej sześćdziesiąt tysięcy ludzi, prowadzących oblężenie pierwszej klasy, zajmując spory nawet teren, muszą być na nim stłoczone; wystarczy, że padnie kilka celnych kul, a szkody będą duże. Pierwsza bateria polowa zbliżała się do skraju wody; konie zawracały, zostawivszy działa ustawione naprzeciwko keczów, w równych odstępach geometrycznych.

— „Harvey” sygnalizuje, że przesuwa cel, sir — zameldował Gerard.

— Doskonale.

„Harvey” zaczął ostrzeliwać baterię polową; potrzebowano na nim trochę czasu, żeby się wstrzelać, bo armatki polowe, rozciągnięte w długą, rzadką linię, nie stanowiły dogodnego celu dla moździerzy. Ale teraz można było przynajmniej obserwować, gdzie padają pociski. Na flankę pierwszej baterii śpieszyła już druga; coraz więcej dział wchodziło do akcji — Hornblower widział je przez lunetę na wąskim brzegu zatoki — biorąc kecze w krzyżowy ogień. Któryś z pocisków „Harveya” rozerwał się obok jednej z armat, prawdopodobnie zabijając całą jej obsługę, ale działo utrzymało się jakimś cudem na lawecie. Pozostałe armaty kontynuowały ostrzał, dym wypełzał leniwie z ich luf. Na przeciwległym końcu zatoki inne działa wchodziły do akcji, mimo że zasięg był bardzo daleki dla artylerii polowej. Nie było sensu wystawiać dalej keczów na ostrzał z lądu; Macdonald rozporządzał dwoma setkami armatek polowch, a kecze bombowe były tylko dwa.

— Nadajcie sygnał „Przerwać akcję” — rozkazał Hornblower.

Teraz, kiedy wydał już to polecenie, pomyślał, że może zwlekał z nim zbyt długo. Wydawało mu się, że upłynęły wieki, zanim kecze podniosły kotwice i oczy Hornblowera, śledzące je z

niepokojem, ujrzały rozbryzgi wody od pocisków z lądu padających wokół nich. Patrzył, jak wiosła wysuwają się z burt lichtug i wpierają się w wodę, obracając połączone jednostki, a potem białe żagle wykwitły na masztach i dziwaczne statki odplynęły poza zasięg dział. Silnie znoszone wiatrem, musiały posuwać się jak kraby, ukośnie do swego kursu. Hornblower odwrócił się i napotkał spojrzenie gubernatora, w milczeniu obserwującego całą operację przez ogromną lunetę, opartą na ramieniu cierpliwego adiutanta, którego musiały już boleć plecy od stania w schylonej pozycji.

— Znakomicie, sir — odezwał się gubernator. — Dziękuję panu, w imieniu cara. Rosja jest panu wdzięczna i miasto Ryga także.

— Dziękuję, wasza ekscelencjo — odparł Hornblower.

Dybicz i Clausewitz czekali, żeby zwrócił na nich uwagę. Spieszno im było przedyskutować z nim dalsze operacje, a on musiał ich wysłuchać. Odprawił swoich midszypmenów i oddział sygnalistów w nadziei, że Somers zrozumie spojrzenie rzucone mu jako ostrzeżenie, by nie dopuszczono do zdobycia łotewskiego alkoholu w czasie pobytu marynarzy na lądzie. Następnie wrócił do rozmowy, przerywanej jednak nieustannie przez adiutantów przybywających i odchodzących z wiadomościami i przez rozkazy rzucane z pośpiechem w niezrozumiałych dla niego językach. Wkrótce przecież można było zobaczyć wyniki tych rozkazów; dwa pułki piechoty wymaszerowały ze wsi, z bagnietami na broni, ustawiły się wzdłuż transzei i z wyciem runęły na stok. Ciężkie działa baterii, które powinny były roznieść ich kartaczami na strzępy, milczały i Hornblower widział, jak atakujący docierają do rowu dobiegowego prawie bez oporu ze strony nieprzyjaciela, wdzierają się przez szańce na teren umocnień i z wielkim pośpiechem rozwalają konstrukcję z worków z piachem i koszów szańcowych. Francuska piechota przybyła do rozbitej baterii za późno, żeby ich powstrzymać, jeśli powstrzymanie było w ogóle możliwe pod ostrzałem artyleryjskim wspomagającym atak. W ciągu godziny akcję zakończono, rów dobiegowy w znacznej jego części zrównano z ziemią, zabrano narzędzia, a zapasowe kosze złożono na stos i podpalono.

— Dzięki panu, sir — powiedział Clausewitz — postęp robót oblężniczych zostaje opóźniony o cztery dni.

Cztery dni; Francuzi mają czas do końca roku na bombardowanie umocnień obronnych. Jest obowiązkiem jego i Rosjan dawać obleganym wsparcie, jak długo się da. Trochę deprymowała ta perspektywa wysiłków związanych z utrzymywaniem zewnętrznych umocnień, podczas gdy Bonaparte maszerował, nie napotykając oporu, ku sercu Rosji. Jednakże grę trzeba było prowadzić do końca. Hornblower rozstał się z gospodarzami znużony i w ponurym nastroju; chmurny cień przysłaniał radość, jaką mógłby odczuwać z sukcesu ataku na Francuzów, zyskującego dla obleganych cztery dni. Przy wtórze gwizdków przeszedł przez burtę „Nonsucha”; kapitan Bush, pierwszy oficer i oficer wachtowy czekali na niego na pokładzie rufowym.

— Dobry wieczór, kapitanie Bush. Czy zechce pan łaskawie wywiesić sygnał dla panów Duncana i Mounda, aby natychmiast przybyli tu do nas?

— Tak, sir. — Bush milczał przez sekundę albo dwie, nie odchodząc dla wykonania rozkazu. — Tak, sir. Ale Mound został zabity.

— Co pan mówi?

— Jeden z ostatnich pocisków z ładu przeciął go na pół.

Bush usiłował zachować swój zwykły, oschły wyraz twarzy, lecz widać było, że jest głęboko poruszony. A przecież nie miał okazji tak bardzo polubić Mounda jak jego dowódca. W tym momencie Hornblowera ogarnęła gwałtowna fala żalu i zwątpienia, której nadejścia bał się od dłuższej chwili. Gdyby wcześniej kazał keczom wycofać się z bitwy! Może niepotrzebnie ryzykował życie ludzi, trzymając ich w akcji, kiedy baterie polowe zaczęły odwzajemniać ostrzał... Mound był jednym z najlepszych młodych oficerów, jakimi miał dotąd szczęście dowodzić. Jego śmierć to wielka strata dla Anglii i dla niego osobiście. To uczucie osobistej straty było szczególnie dolegliwe; dręczyła go myśl o ostateczności śmierci. Był wciąż wewnętrznie wzburzony, kiedy Bush odezwał się znowu.

— Czy mam wezwać Duncana i pierwszego oficera z „Harveya”?

— Tak, proszę to zrobić, kapitanie Bush.

Rozdział XXI

Hornblower siedział nad trudnym zadaniem — pisał po francusku notatkę do gubernatora. To brakowało mu francuskich odpowiedników poszczególnych słów, to znowu całych fraz, a każdy taki szkopuł oznaczał cofanie się do początku zdania.

Z poczty, która właśnie nadeszła z Anglii — pisał — dowiaduję się, że wojska Jego Królewskiej Mości Króla Wielkiej Brytanii i Irlandii odniosły sukces w wielkiej bitwie stoczony 14 ubiegłego miesiąca w Hiszpanii pod Salamanką. Marszałek Marmont książę Ragusy został ranny, do niewoli wzięto około dziesięciu tysięcy jeńców. Według otrzymanych wiadomości generał brytyjski markiz Wellington maszeruje na Madryt, który na pewno zdobędzie. Trudno przecenić konsekwencje tej bitwy.

Hornblower zaklął po cichu; nie jego sprawą było zalecanie gubernatorowi, jakiego rodzaju działania ma podjąć w związku z tymi nowinami. Ale fakt, że jedna z armii Bonapartego została pobita na głowę w wielkiej bitwie między liczebnie równymi siłami, miał olbrzymie znaczenie. Gdyby to on był gubernatorem, kazałby oddać saluty z dział, rozlepić obwieszczenia i uczyniłby wszystko, co możliwe, żeby podnieść ducha żołnierzy i ludności cywilnej zaangażowanej w trudy obrony Rygi przed naporem Francuzów. Trudno nawet ocenić, jakie to będzie miało znaczenie dla głównych sił rosyjskich koncentrujących się na południu, aby bronić Moskwy w ostatniej, decydującej bitwie.

Podpisał list i zapieczętował kopertę, krzyknął na Browna i dał mu ją z poleceniem natychmiastowego wysłania na ład. Na biurku, obok otrzymanej właśnie poczty służbowej, leżał stos piętnastu listów adresowanych ręką Barbary; od jego odjazdu Barbara pisywała co tydzień i jej listy czekały w Admiralicji na przybycie „Clama” z przesyłkami. Otworzył ostatni z nich, żeby się upewnić, że w domu wszystko w porządku, a potem wziął go znowu do ręki i przeczytał jeszcze raz.

Mój Umiłowany Mężu,

W tym tygodniu wiadomości domowe ustępują świetnym nowinom z Hiszpanii. Artur pobił Marmonta, i cały uzurpacyjny rząd w tym kraju upadł. Artur ma otrzymać tytuł markiza. Pisałam Ci w moim pierwszym liście, a może w drugim, że mianowano go parem? Miejmy nadzieję, że wkrótce Ci doniosę, iż dano mu tytuł księcia, nie dlatego że chciałabym, aby mój brat został księciem, lecz z tego powodu, że oznaczałoby to nowe zwycięstwo. W tym tygodniu cała Anglia mówi o Arturze, tak jak dwa tygodnie temu mówiła o komodorze Hornblowerze i jego wyczynach na Bałtyku.

Wszyscy tu, w Smallbridge, tak jesteście podnieceni tymi nowinami, że tutejsze największe wydarzenie może przejść nie zauważone. Mam na myśli pierwszy męski strój Ryszarda Artura. Biega teraz w krótkich spodenkach, a sukieneczki poszły na zawsze w kąt. Jest trochę za mały na tę zmianę i Ramsbottom tonie we łzach, że malec przestał być jej dzieciątkiem; gdybyś go jednak widział, zgodziłbyś się, że wygląda świetnie w nowych ubrankach, w każdym razie do momentu, aż uda mu się uciec spod nadzoru i oddać się swemu ulubionemu zajęciu — kopaniu dołków w ziemi pod krzewami. Fizycznie i psychicznie zdradza upodobanie do ziemi, dziwne u syna takiego wybitnego żeglarza. Jak skończę list, zadzwonię i pošlę po niego, żeby postawił swój znaczek, ale podejrzewam, że doda do tego brudne odciski paluszków, pozwalające jeszcze łatwiej zidentyfikować jego podpis.

Hornblower odwrócił kartkę i rzeczywiście zobaczył brudne ślady palców i krzywe X nakreślone przez Ryszarda Artura pod podpisem Barbary. Ogromnie chciałby ujrzeć swego syna, rozradowanego, umazanego błotem, pracującego łopatką w swoim dołku wśród krzewów, tak absolutnie pochłoniętego tym, co robi, jak tylko dzieci potrafią. Nad znaczkiem X Barbara dopisała jeszcze kilka linijek.

Jak zawsze, ciągle marzę, żeby mój Ukochany Małżonek wrócił rychło jak zwycięzca i aby dane mi było przysporzyć mu szczęścia inaczej niż tylko modłami, jak to czynię teraz.

Hornblower nie pozwolił sobie na rozczulanie się i brutalnie zdławił ogarniające go uczucia. A więc ma już dwóch szwagrów markizów, w tym jednego w stopniu generała, gdy on sam jest tylko kawalerem Orderu Łaźni i — jeśli nie nastąpi wyjątkowo dużo zgonów wśród starszych stażem od niego — będzie musiał czekać osiem lat na awans przynajmniej na kontradmirała, jeżeli oczywiście pożyje tak długo i jeśli jego kariera nie zostanie przerwana przez jakieś sprawy natury dyscyplinarnej. Sięgnął po przesyłkę, którą otworzył przed innymi, i raz jeszcze odczytał ustęp najważniejszy dla niego w tej chwili.

Ich Lordowskie Wysokości pragną zwrócić pańską uwagę na ogromne znaczenie przywiązywane przez rząd do jak najdłuższej obrony Rygi. Poinstruowały mnie, że uważają bezpieczeństwo dowodzonej przez Pana eskadry za sprawę drugorzędną w porównaniu z przedłużaniem oblężenia i zobowiązują Pana, na Pańskie własne ryzyko, aby czynił Pan wszystko, co w Pańskiej mocy dla uniemożliwienia nieprzyjacielowi kontynuowania marszu na St Petersburg.

Innymi słowy, myślał Hornblower, Ryga musi być broniona do ostatniego człowieka — i

okrętu — a on zostanie rozstrzelany, jeśli uznają, że nie uczynił wszystkiego, co było w jego mocy.

Zawołał, żeby opuszczono jego barkas, zamknął biurko na klucz, wziął kapelusz i, po chwili wahania, pistolety, i ponownie udał się do Dźwinoujścia.

Wioska była teraz gromadą ruin, z wyjątkiem cerkwi, której solidne mury ostały się płomieniom obejmującym osiedle i gradowi pocisków rykoszetujących od bombardowanych wałów ochronnych. Czuć tu było śmiercią, bo liczne trupy tylko lekko przysypano ziemią. Między piwnicami rozwalonych domów przekopano rowy umożliwiające bezpieczne poruszanie się po wsi i właśnie tą drogą Hornblower dostał się do cerkwi. Z jej galerii rozciągał się złowieszczy widok. Druga paralela oblężniczą była już gotowa w odległości nie większej niż dwieście jardów od umocnień obronnych, a podejścia zbliżały się nieubłaganie ku okopom. Wielka bateria pluła ogniem ciągłym, słabo odwzajemnianym z wałów ochronnych; zbyt wielu artylerzystów zginęło i za wiele dział rozbito, a dział i artylerzystów było i tak mało, toteż należało zachować raczej to, co zostało, na odparcie ataku. W dole, nad skrajem wody po stronie oblegających, w mocno zbudowanej baterii czekały armaty gotowe do ostrzału strefy, w której poprzednio stanęły kecze na kotwicach; nie było mowy o powtórnym bombardowaniu z zaskoczenia baterii dokonującej wyłomu, co poprzednio dało kilkudniowe przedłużenie oblężenia kosztem życia Mounda.

Clausewitz chłodno komentował sytuację, podczas gdy obaj z Hornblowerem oglądali teren przez lunety. Teoretykowi działań wojennych oblężenie dostarczało ćwiczenia dla umysłu. Można było obliczać tempo posuwania się podejść i burzącą siłę baterii, przewidywać każde posunięcie i przeciwposunięcie i przepowiadać, z dokładnością do godziny, moment końcowego ataku. Nadeszła chwila, kiedy nie dawało się już kontynuować ostrzału czoła podkopu, żeby opóźnić posunięcie się oblegających naprzód przez wypad.

— Ale przecież — zrywał się Hornblower — Francuzi, wiedząc, że ma nastąpić wypad, będą się do tego przygotowywać.

— Tak — zgodził się Clausewitz; jego szare oczy wciąż były bez wyrazu.

— Więc czy nie lepiej ich uprzedzić?

— Tak. Ale jak tego dokonać w warunkach oblężenia?

— Zaskoczyliśmy ich z naszymi keczami bombowymi.

— Tak. Ale teraz...

Clausewitz wskazał na baterię na końcu zatoki.

— Mimo to jednak... — zaczął Hornblower i urwał. Nie ma sensu krytykować, jeśli nie posiada się w zanadrzu jakiejś pomocnej sugestii. Obrócił znów uwagę na roboty oblężnicze, szukając inspiracji. Pod nimi, w dole, grzmiały działa. Ryk armat dochodził również z dala od rzeki, gdzie Francuzi otworzyli drugi front ataku na przedmieście Rygi, Mitawę, leżące po przeciwległej stronie rzeki. Zasoby obrony topniały, a Macdonald wpił zęby jak buldog w oblegane miasto i

trudno będzie otrząsnąć się z tego uchwytu. Ze wszystkich stron Prus szły zapasy na zaopatrzenie jego wojsk w materiały oblężnicze, a Macdonald dał już dowód, że nic go nie odwiedzie od tego zamiaru, nawet fakt, że chłopci łotewscy, inflanccy i litewscy podnieśli bunt na jego tyłach i postawili w stan wrzenia cały kraj za plecami armii.

— Trupy zaczynają płynąć rzeką — zauważył Clausewitz. Miał duże białe zęby, którymi błyskał z łada powodu. Hornblower patrzył na niego nie rozumiejąc.

— Z bitwy stoczonej przed dwoma tygodniami — wyjaśnił Clausewitz. — Pod Witebskiem i Smoleńskiem, dwieście mil na południe od nas. Niektóre ciała jakoś pokonały tę odległość. Wiele z nich to trupy żołnierzy rosyjskich, ale wśród nich znaczna część to Francuzi, Bawarczycy, Westfalczyki i Włosi — wielu Włochów. Musiała to być wielka bitwa.

— Bardzo interesujące — mruknął Hornblower, ponownie przesuwając lunetą wzdłuż robót oblężniczych. W środku drugiej paraleli pojawiła się nowa bateria; ogień z jej armat odparłby każdy oddział atakujący frontalnie z zamiarem zniszczenia umocnień. Byłoby bardzo trudnym zadaniem dla jakiegokolwiek grupy wypadowej przebiec dwieście jardów nagiego stoku pod takim ostrzałem, a potem szturmować transzeję i szaniec. Również flanki były bezpieczne. Jednej broniła rzeczka, a druga ciągnęła się tyłami w kierunku zatoki. Zatoka! Baterie francuskie są w stanie kontrolować zatokę na tyle skutecznie, że nie dopuszczą do zakotwiczenia się tam keczów bombowych za dnia, lecz nie zdołają powstrzymać ataku piechoty przypuszczonego z łodzi nocą. Można by wobec tego zaatakować o świcie paralelę z flanki. Hornblower zwrócił się z tą propozycją do Clausewita, który przyjął ją natychmiast. Ci żołnierze z kontynentu zawsze zapominają o morzu przy opracowywaniu swoich planów, ale Clausewitz, chociaż Prusak, miał umysł na tyle giętki, że dostrzegł zalety planu opartego na mocnej pozycji na morzu.

Nie było czasu do stracenia w obliczu spodziewanego wypadu na Dźwinoujście. Należało natychmiast opracować plan, ustalić program działania, uzgodnić sygnały, wyznaczyć oddziały desantowe i doprowadzić je do miejsca, gdzie będzie czekał Hornblower z załogami łodzi, gotowymi do obsadzenia barek rzecznych do transportu żołnierzy do punktu wybranego na desant. Hornblower musiał wyznaczyć załogi i oficerów, wydać rozkazy i upewnić się, że zostały zrozumiane. Trzeba było posłać po Montgomery'ego i Duncana, Purvisa i Carlina, zaprowadzić ich na galerię cerkwi i pokazać cel ataku. Hornblower chodził znużony i poirytowany, po galerii, czekając na nich wszystkich. Posłańcy konni przygalopowali w największym pośpiechu, zabrawszy w drodze powrotnej trójkę pułkowników rosyjskich, których przywieźli teraz na galerię; to ich pułki miały dokonać desantu. Hornblower udzielał im wyjaśnień po francusku, a swoim oficerom po angielsku. Potem musiał tłumaczyć zadawane przez zebranych pytania. Sześciu młodszych oficerów rosyjskich, przykucnąwszy na posadzce galerii, podtrzymywało deseczki, na których rozpięto arkusze papieru, i spisywało rozkazy dyktowane przez Clausewita. Wśród tego rozgardiaszu przybył Essen; wyraził już przedtem ustnie zgodę na proponowany atak i gdy, wszedłszy na galerię, zobaczył, jak daleko posunęły się przygotowania, zostawił, jako człowiek rozsądny, opracowanie szczegółów autorom planu. Wszystko to odbywało się przy nieustannym huku dział bombardujących, które stanowiły głośny akompaniament do rozmów. Rosyjskie szaniec rozpadały się pod gradem pocisków, a rowy dobiegowe wciąż zbliżały się ku nim.

Nie było jeszcze południa, kiedy Hornblower zaproponował Clausewitzowi dokonanie ataku;

ale nim wszystko zostało przygotowane — Hornblower musiał popłynąć do ujścia Dźwiny dla dokonania inspekcji dostarczonych łodzi i zlustrowania rosyjskich grenadierów, których miano załadować na te łodzie — dochodziła ósma wieczorem i słońce już zaszło.

— Duncan, zrozumiał pan otrzymane rozkazy? — zapytał.

— Tak, sir.

Spójrzmy na pański zegarek. Niech go pan nastawi według mojego.

— Tak jest, sir.

— Panie Montgomery. Panie Purvis. Pamiętajcie, co powiedziałem, nie dopuścić do rozproszenia się sił desantowych. Musicie wszyscy uderzyć naraz — bez żadnego podchodzenia na raty. Proszę się upewnić, czy żołnierze znają kierunek, w którym mają maszerować po wysadzeniu ich na ląd.

— Tak jest, sir.

— A zatem powodzenia.

— Dziękujemy, sir.

Było zupełnie ciemno, kiedy Hornblower znów wysiadł z łodzi na mały pomost w Dźwinoujściu; było ciemno, a w powietrzu czuło się zimne tchnienie wiatru. Tyle to już czasu upłynęło, gdy po raz pierwszy jednostki rzuciły kotwice w Zatoce Ryskiej. Przeszło lato i jesień stała u progu. Musiał szukać po omacku drogi przez okopy, a potem do cerkwi; nogi z trudem niosły go na galerię po nie kończących się ciemnych schodach. Od rana nie usiadł właściwie ani na chwilę, a że nic też nie jadł, kręciło mu się w głowie z głodu i zmęczenia. Clausewitz wciąż trwał na posterunku na galerii, pod gwiazdami wyraźnie rzucającymi na niego ostre światło, które wydawało się jasne w porównaniu ze smolistymi ciemnościami na schodach, skąd nadszedł Hornblower.

Clausewitz powitał go słowami: — Francuzi wydają się być niezwykle aktywni tej nocy. O zmierzchu zmienili warty w okopach.

Sznur jaskrawopomarańczowych błysków oświetlił nagle linie bojowe Francuzów i huk salw dobiegł na galerię.

— Od czasu do czasu obrzucają nasze okopy kartaczami — wyjaśnił Clausewitz — żeby nam przeszkadzać w naprawach. Zawsze tak się robi, ale po kilku salwach gubią kierunek i zasięg.

Chociaż prowadzenie oblężenia to sztuka czysto mechaniczna, chociaż każdy krok jest tu oczywisty i możliwy do przewidzenia, zawsze może się zdarzyć, że jakiś generał z większą dozą wyobraźni postąpi wbrew zasadom. Za dwa dni wyłomy i podejścia będą przygotowane do wypadu — co może wzbronić napastnikowi przypuszczenia ataku trochę wcześniej i zaskoczenia obrony w ten sposób? Hornblower powiedział to Clausewitzowi.

— Taka rzecz jest zawsze możliwa — odparł Clausewitz z namaszczeniem. — Lecz nasze posterunki w okopach są dziś wyjątkowo silne ze względu na wypad o świcie.

Macając w mroku rękami wokół siebie Hornblower znalazł jedną z mat słomianych przyniesionych na galerię dla wygody wyższych dowódców. Usiadł z ulgą, bo nogi drżały już pod nim ze zmęczenia. Owinął się ciasniej płaszczem przed chłodem nocy. Myśl o śnie zaczęła wabić go nieodparcie. Wyciągnął się na trzeszczącej słomie, ale zaraz uniósł się na łokciu i podłożył sobie zwitek słomy pod głowę.

— Odpoczną chwilę — oznajmił i opadłszy na plecy zamknął oczy.

W tym pragnieniu snu było coś więcej niż zmęczenie, Zasnawszy, wydostanie się z obłączenia, jego smrodu, niebezpieczeństw i udręk; uwolni się od odpowiedzialności; nie będzie prześladowany doniesieniami o nieustannym posuwaniu się Bonapartego ku sercu Rosji; nie będzie więcej nękany uczuciem, że toczy desperacką i beznadziejną walkę przeciwko nieprzyjacielowi, który — ze względu na swą kolosalną siłę — musi w końcu wygrać. Czeka go zapomnienie, jeśli tylko zdoła zasnąć, zapomnienie, nepenthe[59], niepamięć. Tej nocy pragnął zapaść w sen, jak mężczyzna pragnie czasem paść w ramiona kochanki. Nerwy miał dziwnie spokojne mimo trudów ubiegłych tygodni — a może (taka była jego przewrotna natura) właśnie dlatego. Ułożył się na słomie i nawet dręczące go burzliwe sny były (w jakiś sposób miał tę pewność) o wiele mniej męczące niż myśli, które nękały go na jawie.

Zbudził się poczuwszy dłoń Clausewitza na ramieniu, i musiał scalić swą rozstrzeloną we śnie jaźń, jak z kawałków układankę, by wrócić do swej skóry i uprzytomnić sobie, że oto pomaga bronić Rygi.

— Godzina do świtu — stwierdził Clausewitz, którego postać słabo majaczyła w panujących jeszcze ciemnościach.

Hornblower usiadł; zeszytniał i zziął pod skąpym przykryciem płaszcz. Jeśli wszystko idzie dobrze, to oddział desantowy sunie teraz wolno w łodziach przez zatokę. Wyjrzał za parapet galerii, ale było za ciemno, żeby coś zobaczyć. U jego boku pojawił się drugi niewyraźny cień i wsunął mu coś parzącego do ręki — szklankę herbaty. Popijał ją łykami, z wdzięcznością czując ciepło rozchodzące się po wnętrzościach. Słaby odgłos pojedynczego strzału z muszkietu dobiegł jego uszu. Clausewitz zaczął coś mówić, ale słowa jego przerwała gwałtowna strzelanina w strefie niczyjej, między systemami okopów. Ogniste punkciki przeszywały ciemność.

— Pewnie jakieś patrole w napadzie zdenerwowania — zauważył Clausewitz. Ale strzelanina, zamiast cichnąć, nasilała się. W dole widać było duży język ognia skierowany, niby grot włóczy, ku nieregularnej masie błysków; to musiało być miejsce, gdzie kolumna zderzyła się z tyralierą. Błyski zapalały się i gasły w takt nieregularnych salw, wkrótce też armaty zaczęły miotać pomarańczowym ogniem. A w chwilę potem zrobiło się jeszcze jaśniej, kiedy i atakujący, i atakowani wzięli się do ciskania z szarłatnych zionących płomieniem pocisków zapalających dla oświetlenia przeciwnika. Znad zatoki wystrzelił ogień, pomknął żółtym łukiem ku niebu i rozpadł się w szkarłatne gwiazdy.

Bogu dzięki za to — pomyślał Hornblower.

Oddział desantowy dotarł do swego stanowiska nieco przed czasem i ktoś, nie wiadomo Anglik czy Rosjanin, uznał rozsądnie, że należy przypuścić atak z flanki natychmiast po zauważeniu strzelaniny na lądzie. Clausewitz odwrócił się i rzucił krótki rozkaz adiutantowi, który ruszył natychmiast schodami w dół. Niemal w tym samym momencie nadbiegł posłaniec i zaczął tak szybko mówić po rosyjsku, że Clausewitz, słabo znający ten język, kazał mu wolniej powtórzyć wiadomość. Wysłuchawszy jej, zwrócił się do Hornblowera.

— Nieprzyjaciel jest w znacznej sile i zamierza chyba atakować z zaskoczenia, Jeśli mu się to uda, może zarobić dwa dni.

W dole znów zakotłowało się; oddział desantowy natknął się na pierwszą linię oporu; niewidoczną część terenu w kierunku brzegu rozjarzyła nowa fala błysków. Toczyła się desperacka bitwa, atakujący i kontratakujący, a także ci, co uderzyli z flanki, zwarli się ze sobą. Rozjaśniło się już na tyle, że Hornblower zobaczył wyraźnie Clausewitza, nie ogolonego, ze żdźbłami słomy na mundurze, co bardzo kontrastowało z jego tak zwykle schludnym wyglądem. Ale wciąż nie było widać pola walki, tylko ciemne obłoki dymu dryfujące w półmroku po niebie. Hornblower przypomniał sobie słowa Campbella w „Hohenlinden” o słońcu nisko stojącym o poranku i niezdolnym przedrzeć się przez mroczne chmury wojenne. Terkot muszkietów i huk artylerii świadczył o zażartej bitwie, w pewnej chwili Hornblower dosłyszał gniewny okrzyk z wielu gardeł i dzikie wycie w odpowiedzi. Widocznie atakujący zwarli się z kontratakiem. Powoli rozwidniało się i zaczęli napływać posłańcy.

— Szewstow szturmuje baterię osłaniającą brzeg — powiedział Clausewitz.

Szewstow był generałem dowodzącym siłami desantowymi. Jeśli wziął szturmem baterię, załogi łodzi będą mogły wycofać się bezpiecznie; fakt, że posłaniec przybył od niego tu, do Dżwinoujścia, świadczył, że jest w pełnym kontakcie z obroną; przypuszczalnie oddziały jego wykonały otrzymane rozkazy i zaatakowały Francuzów z flanki. Ogień zdawał się cichnąć, mimo że dym, zmieszany z jesienną mgłą, nisko snującą się nad ziemią, zaciemniał jeszcze widok.

— Kładów jest na podejściach — ciągnął Clausewitz. — Jego ludzie przełamują szzańce.

Ogień znów się nasilił, chociaż zrobiło się już tak jasno, że nie było widać błysków. Toczyła się tam pewnie straszliwa walka, na śmierć i życie, tak desperacka, że przybycie gubernatora na galerię ledwie zwróciło uwagę grupki obecnych, wyężdżających wzrok w pragnieniu dojrzenia czegokolwiek poprzez mgłę i dym.

Essen zapoznał się ze szczegółami, zadawszy kilka szybkich pytań Clausewitzowi, a potem zwrócił się do Hornblowera:

— Byłbym tu już godzinę temu, lecz zatrzymała mnie poczta.

Jego duża twarz była zasępiona; ująwszy Hornblowera pod ramię, odprowadził go na bok poza zasięg uszu młodszych oficerów.

— Złe wieści? — spytał Hornblower.

— Tak. Najgorsze, jakie mogą być. Zostaliśmy pobici w wielkiej bitwie pod Moskwą i Bonaparte jest w stolicy.

Rzeczywiście wiadomości nie mogły być gorsze. Hornblower pomyślał, że kiedyś ta bitwa, jako druzgocące zwycięstwo, które doprowadziło naród do upadku, będzie porównywana ze zmaganiem pod Marengo, Austerlitz i Jena, a wkroczenie do Moskwy — z zajęciem Berlina i Wiednia. Jeszcze tydzień, może dwa i Rosja będzie błagać o pokój — jeśli już tego nie zrobiła — zaś Anglia pozostanie osamotniona, z całym światem pod bronią przeciwko sobie. Czy coś na świecie — nie wyłączając Brytyjskiej Marynarki Wojennej — może się oprzeć przebiegłości i potędze Bonapartego? Hornblower zmusił się do spokojnego przyjęcia ciosu, opanowując wyraz twarzy, aby nie pojawił się na niej nawet ślad konsternacji.

— Mimo to będziemy nadal toczyć naszą walkę — rzekł.

— Tak — zgodził się Essen — moi żołnierze będą bić się do ostatniego. I oficerowie również.

Ukazał się nawet na jego twarzy jakby uśmiech, gdy ruchem głowy wskazał na Clausewitza; jeśli ktokolwiek, to właśnie on znalazł się w matni, walcząc przeciwko swojemu krajowi, Hornblower przypomniał sobie słowa Wellesleya, że jego eskadra mogłaby ewentualnie posłużyć jako miejsce schronienia dla dworu rosyjskiego. Okręty jego zapełnią się uchodźcami z ostatniego kraju na kontynencie, który oparł się zbrojnie Bonapartemu.

Mgła i dym rozpraszają się, ukazując skrawki pola bitewnego, więc Hornblower i Essen jak gdyby z ulgą porzucili rozważania na temat przyszłości, zwracając się ku bieżącym zadaniom.

— Ha! — wykrzyknął Essen wskazując na coś.

Widać było wyraźnie fragmenty podejść i wyrwy rozsiane po szanćach.

— Kładów wykonał otrzymane rozkazy, sir — zauważył Clausewitz.

Do chwili naprawienia tych wyrw, kolejno jedna po drugiej, poczynając od luki położonej najbliżej pierwszej paraleli, nikt nie będzie w stanie dostać się do czoła podkopu, a już na pewno żaden większy oddział nie będzie mógł skorzystać z podejść. Dalsze dwa dni zyskane, orzekł Hornblower, mierząc okiem zniszczenia — doświadczenie pomagało mu już oceniać operacje oblężnicze. Wciąż trwała gęsta wymiana strzałów, to ariergarda osłaniała wycofywanie się oddziału wypadowego w kierunku wału ochronnego. Essen oparł swą wielką lunetę na ramieniu adiutanta i skierował ją na teren działań bitewnych. Hornblower też patrzył przez swoją lunetę; duże barki, na których przybył oddział desantowy, leżały porzucone na brzegu, a łodzie, którymi przyplłynęła obsada barek z jego okrętów, znajdowały się już w bezpiecznej odległości. Essen pociągnął go za ramię.

— Proszę spojrzeć tam, komodorze — powiedział.

Luneta Hornblowera momentalnie ukazała mu to, na co Essen chciał zwrócić jego uwagę.

Pojedynczy żołnierze piechoty oblegającej wracali strefą niczyją ku swym okopom i — Hornblower zobaczył to na własne oczy — kłuli bagnietami rannych Rosjan leżących stosami na ich drodze. Być może należało się spodziewać, że tak długie i krwawe oblężenie wyzwoli do tego stopnia rozgoryczenie i okrucieństwo, szczególnie w hordach Bonapartego, od lat, od wczesnej młodości tułających się po Europie i żyjących z tego, co zdobędą po wsiach, z muszkietem i bagnietem jako jedynymi atrybutami sprawiedliwości. Essen pobladł z wściekłości i Hornblower starał się dzielić jego gniew, lecz stwierdził, że przychodzi mu to z trudem. Nauczył się już nie dziwić tego rodzaju okrucieństwu. Sam był absolutnie gotów dalej zabijać żołnierzy i marynarzy Bonapartego, nie potrafiłby jednak usprawiedliwiać się wykrętnie, że wymierza sprawiedliwość, zabijając jednego człowieka za to, że inny mordował jego rannych sprzymierzeńców.

Gdy szedł później okopami przez zrujnowaną walkami wieś, widział, jak opatrywano tych rannych, którym udało się tu dowlec. Z dreszczem grozy pomyślał, że ci zakłuci bagnietami w strefie niczyjej byli szczęśliwsi. Przeszedł szybko przed szeregami szerniałych od dymu żołnierzy rosyjskich, w podartych mundurach, wyrzucających z siebie słowa z niepoahowaną gwałtownością ludzi, którzy wyszli żywi z drogo okupowanego zwycięstwa.

Rozdział XXII

W stosie bardzo spóźnionej poczty z Anglii znajdowały się grube paczki ulotek w języku francuskim i niemieckim, a kilka nawet w duńskim i holenderskim, nawołujących żołnierzy Bonapartego do ucieczki spod jego sztandaru — nie były to wezwania do masowej dezercji, lecz apele adresowane do pojedynczych żołnierzy i zapewniające ich o dobrym przyjęciu, gdyby zdecydowali się na ten krok. Zaprzeczano w nich oszczerstwom rozpowszechnianym nieustannie przez Bonapartego, że Anglia trzyma jeńców zamkniętych w straszliwych warunkach na pływających hulkach, że dezertów zmusza się torturami do służby Anglii w najemnych pułkach. Ulotki obiecywały życie łatwe i bezpieczne, a na życzenie zaszczytą alternatywę przyjęcia do służby w szeregach brytyjskich sił zbrojnych tych wszystkich, którzy pragnęliby zadać cios tyranowi. Ulotka w języku francuskim była niewątpliwie dobrze zredagowana, inne chyba też; może w układaniu ich treści miał swój udział Canning czy ten drugi... zaraz, jakżeż się on nazywa?... Hookham Frere.

List dołączony do ulotek i nakazujący mu uczynić wszystko, aby dotarły do rąk żołnierzy Bonapartego, miał ciekawy załącznik: kopię pisma Bonapartego do Marmonta, przechwyconego przypuszczalnie gdzieś w Hiszpanii, w którym cesarz wściekł się na ten nowy dowód brytyjskiego fałszu i perfidii. Widocznie widział jakieś wcześniejsze ulotki, które uraziły go w czułe miejsce. Sądząc po słowach użytych w liście, szalał wprost z wściekłości z powodu tej próby odwodzenia jego ludzi od wierności. Gdyby gwałtowność reakcji cesarza mogła być jakąś wskazówką, to ta metoda wojowania ma widoki na skuteczność. Prusacy, zazwyczaj dobrze karmieni i zaopatrywani, pod dowództwem Macdonalda zaczęli otrzymywać skąpe racje, bo kraj został już ogołocony ze wszystkiego przez furażerów; obietnica łatwego, sytego życia i apel do patriotyzmu mogły wielu nakłonić do dezercji. Hornblower ułożył w myślach treść listu do gubernatora, sugerującego mu wysłanie do obozu francuskiego handlarzy, którzy by ostentacyjnie sprzedawali atrakcyjne towary, a faktycznie rozdawali ulotki. Tu, gdzie wojska Bonapartego cierpią dotkliwe braki i mają niewielkie sukcesy, taki apel mógłby być skuteczniejszy niż wśród głównych sił Bonapartego w Moskwie; Hornblower był skłonny nie dawać wiary patetycznym komunikatom rosyjskim o spaleniu Moskwy i

płomiennej deklaracji złożonej publicznie przez Aleksandra, że nie zawrze pokoju, dopóki chociaż jeden Francuz pozostanie na ziemi rosyjskiej. W opinii Hornblowera duch wśród Francuzów mógł wciąż być na tyle bojowy, a siły Bonapartego na tyle jeszcze duże, by wymusić pokój na Rosji w jej stolicy pod groźbą bagnetów, choćby zniszczenie Moskwy nie było wcale tak duże — a nawet tak duże, jak utrzymują Moskale.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Wejść — powiedział Hornblower, zirytowany, że mu przeszkadzają, chciał bowiem poświęcić ten dzień na odrabianie zaległości papierkowych.

— List z ładu, sir — zameldował midszypmen wachtowy.

Była to krótka notatka od gubernatora, a jej główna treść zawierała się w jednym zdaniu:

Mam w mieście nowych przybyszów, którzy, jak sędzę, zainteresowaliby pana, gdyby znalazł pan czas na wizytę.

Hornblower westchnął; chyba nigdy nie skończy raportu dla Londynu, nie może jednak zignorować zaproszenia.

— Opuść mój barkas — polecił midszypmenowi i odwrócił się, żeby zamknąć biurko na klucz.

Bóg wie, co to za „nowi przybysze”. Ci Rosjanie są czasem tak przesadnie tajemniczy w drobnych sprawach. Może ta wizyta okazać się niepotrzebną stratą czasu, z drugiej strony jednak powinien sprawdzić, co to takiego, zanim wyśle pocztę do Anglii. Płynąc w tańczącej na falach łodzi patrzył na linie oblężnicze; działa bombardujące wciąż biły ogniem salwowym — tak już przywykł do ich huk, że usłyszał go dopiero, gdy mu na to zwrócono uwagę — a długi całun dymu snuł się, jak zwykle, nad płaską okolicą.

Potem łódź weszła w gardziel rzeki i ruiny Dźwinoujścia skryły się przed jego oczyma, oprócz kopuły cerkwi, gdzie tak często przebywał. Ryga była coraz bliżej i musieli trzymać się przy brzegu, żeby nie dać się porwać rwącemu nurtowi Dźwiny. Wreszcie wiosła zostały złożone i barkas podsunął się rozpędem pod schody w obwałowaniu rzeki. U ich szczytu czekał gubernator ze swoim sztabem i wolny koń dla Hornblowera.

— Przejazdźka będzie krótka — oznajmił Essen — ale myślę, że uzna pan, iż warto było jechać.

Hornblower wdrapał się na siodło, podziękował skinieniem głowy stajennemu, przytrzymującemu zwierzę za pysk, po czym wszyscy zawrócili i z dzwonieniem kopyt końskich pognali przez ulice. We wschodniej stronie fortyfikacji otwarto przed nimi poternę[60] — jak dotąd nieprzyjaciel nie pokazał się na tym brzegu Dźwiny — i pojechali dalej mostem zwodzonym nad fosą. Po drugiej stronie fosy na stoku był duży oddział wojska; żołnierze siedzieli i leżeli szeregami. Ujrzawszy nadjeżdżającą kawalkadę, z pośpiechem poderwali się na nogi, wyrównali szeregi i na przeraźliwy sygnał trąbek sprezentowali broń. Na słabym wietrze powiewały pułkowe sztandary.

Essen ściągnął cugle i odpowiedział na salut.

— I cóż pan sądzi o nich, sir? — spytał Hornblowera tłumiąc śmiech.

Żołnierze byli obdarci — przez dziury w brudnych niebieskoszarych mundurach raz po raz błyskała naga skóra. Do tego mieli wygląd nieżołnierski; oddział po ciężkim boju może przypominać oberwańców, ale patrząc po szeregach Hornblower odnosił wrażenie, że ci tutaj są brudni i oberwani niejako z własnej woli. Essen wciąż chichotał, więc Hornblower wyteżył wzrok, żeby dojrzeć powód jego wesołości. Essen nie przywiódłby go tu po to tylko, żeby mu pokazać obdartych żołnierzy — Hornblower widział ich tyłu przez ostatnie trzy miesiącem, że miał dosyć tego widoku do końca życia. Stało przed nim kilka tysięcy ludzi, silna brygada lub słaba dywizja; popatrzył na sztandary pułkowe, żeby się upewnić co do liczby jednostek, i wtedy, zaskoczony, o mało nie spadł ze swego chwiejnego siedzenia. Sztandary były czerwono-żółte, w narodowych barwach Hiszpanii, a w chwili, gdy to sobie uświadomił, poznał, że podarte mundury to pozostałości burbońskiego błękitu i bieli, kolorów, które znenawidził tak mocno przed dziesięciu laty, w czasie pobytu w niewoli w Ferrol. Do tego z lewej strony szeregów ujrzał jeden sztandar w barwach srebra i błękitu — barwy portugalskie — trzymany wysoko nad niepełnym batalionem obdartusów przypominających strachy na wróble.

— Wiedziałem, że będzie to dla pana zaskoczeniem, sir — cieszył się Essen.

— Kim są ci ludzie? — spytał Hornblower.

— Usłudni sprzymierzeńcy Bonapartego — odparł ironicznie Essen. — Wchodzili w skład korpusu St Cyr w Połocku. Któregoś dnia stwierdzili, że są na samym skraju najdalej wysuniętej linii, więc przeprawili się przez rzekę, żeby się do nas przyłączyć. Chodźmy, pozna pan ich generała.

Spiął konia ostrogami i obaj z Hornblowerem ruszyli cwałem w stronę, gdzie oficer w podartym mundurze siedział na kościstym koniu na czele sztabu na jeszcze gorszych chabetach.

— Mam zaszczyt przedstawić — odezwał się Essen oficjalnym tonem. — Jego ekscelencja Conde[61] de los Altos — jego ekscelencja komodor Sir Horatio Hornblower.

Conde zasalutował; kilka chwil trwało, zanim Hornblower przestawił się na myślenie po hiszpańsku — ostatnim razem używał tego języka dwa lata temu, podczas nieudanego ataku na Rosas.

— Bardzo mi miło poznać jego ekscelencję — rzekł.

Twarz Condego rozbłysła radością i zaskoczeniem, że ktoś zwraca się do niego w jego ojczystym języku. Odpowiedział natychmiast.

— Pan jest angielskim admirałem, sir?

Hornblower uznał, że nie ma potrzeby wdawać się w wyjaśnianie różnicy między admirałem a komodorem, więc skinął tylko głową.

— Prosiłem, żeby przewieziono moich ludzi i Portugalczyków morzem do Hiszpanii, aby

mogli walczyć przeciwko Bonapartemu na swojej ziemi. Powiedziano mi, że skoro możliwa jest tylko droga morska, muszę mieć na to pańską zgodę. Pan mi jej oczywiście udzieli, sir?

Prośba była niełatwa do spełnienia. Pięć tysięcy ludzi, licząc cztery tony na każdego, oznacza jednostki o łącznym tonażu dwudziestu tysięcy ton — czyli duży konwój; obiecanie, w imieniu rządu, takiego dwudziestotysięcznego tonażu na przewóz Hiszpanów z Rygi do ich kraju byłoby przekroczeniem jego kompetencji. Okrętów nigdy nie jest dość. A ponadto jest jeszcze problem, jak odbiłoby się to na morale żołnierzy garnizonu ryskiego, gdyby zobaczyli, jak ta pomoc tak bardzo na czasie, spadła im jakby z nieba, zostaje stąd wyekspediowana natychmiast po przybyciu. Z drugiej jednak strony Rosjanie mogą zawrzeć pokój z Bonapartem, a w takim wypadku im wcześniej Hiszpanie znajdą się poza obrębem obu krajów, tym lepiej. Pięć tysięcy ludzi stanowiłoby sporą siłę w Hiszpanii — gdzie Hiszpanie walczyliby chyba najlepiej — podczas gdy w wojnie milionów na kontynencie jest to nic nie znacząca kropla. Żaden jednak z tych argumentów nie był tak ważny, jak moralna strona sprawy. Jaki wpływ na innych, niechętnych sprzymierzeńców Bonapartego, Prusaków, Austriaków, Bawarczyków czy Włochów, będzie miała wiadomość, że kontyngent wojskowy jednego z narodów nie tylko przebił się do sprzymierzeńców, lecz został przez nich przyjęty z otwartymi ramionami, ufetowany, zaopatrzony i prawie bezzwłocznie odesłany do swojej ojczyzny? Hornblower przewidywał drastyczny zwrot w uczuciach satelitów Bonapartego, zwłaszcza jeśli Rosjanie dotrzymaliby swego postanowienia kontynuowania walki przez całą zimę. Mógłby to być początek rozpadu cesarstwa Bonapartego.

— Bardzo chętnie odeślę pana i pańskich ludzi do Hiszpanii tak szybko, jak tylko da się to zrobić — odparł. — Wydam dziś rozkaz gromadzenia środków transportu morskiego.

Conde rozpląnął się w podziękowaniach, ale Hornblower miał coś jeszcze do dodania.

— W zamian za to poproszę o jedno — powiedział i Condemu trochę zrzędłą mina.

— O co, sir? — spytał. Gorzka podejrzliwość, wynikająca z faktu, że latami jego kraj był ofiarą podwójnej gry w stosunkach międzynarodowych, kłamstw, zwodzenia i gróźb — od żalonych wybiegów Godoya do straszliwego terroru utrzymywanego żelazną pięścią przez Bonapartego — odmalowała się natychmiast na twarzy hrabiego.

— Podpisze się pan pod obwieszczeniem, to wszystko. Postaram się rozpowszechnić wśród innych sprzymierzeńców Bonapartego, sprzymierzeńców z musu, wiadomość o tym, że pan przyłączył się do sprawy wolności i chciałbym prosić pana o stwierdzenie, że to prawda.

Conde rzucił jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie na Hornblowera, zanim wyraził zgodę.

— Podpiszę to, sir — rzekł.

Ta szybka zgoda była wielkim komplementem przede wszystkim dla oczywistej uczciwości celów Hornblowera i również dla reputacji Brytyjskiej Marynarki Wojennej, jako zawsze dopełniającej swoich zobowiązań.

— A zatem nie zostaje nic do zrobienia — rzekł Hornblower — poza ułożeniem tekstu

obwieszczenia i znalezieniem okrętów do przewozu pańskich żołnierzy.

Essen wiercił się w siodle podczas rozmowy prowadzonej po hiszpańsku; widać było, że nie zna ani słowa w tym języku i stąd jest zaniepokojony — była to pewna satysfakcja dla Hornblowera, który przez kilka ubiegłych miesięcy musiał słuchać, nie rozumiejąc, rozmów po rosyjsku i niemiecku. Taka mała zemsta.

— Czy powiedział panu o sytuacji w armii Bonapartego? — spytał Essen. — O głodzie i o chorobach?

— Jeszcze nie — odparł Hornblower.

Z ust Condego, ponaglanego przez Essena, popłynęła staccato spieszna opowieść. Armia Bonapartego topniała w oczach jeszcze na długo przed dotarciem do Moskwy; głód i choroby przerzedzały jej szeregi, które Bonaparte gnał przez wyludniony kraj.

— Konie już prawie wszystkie wyzdychały. Mogliśmy karmić je tylko zielonym żytem — mówił Conde.

Bez koni nie ma mowy o dostarczaniu zaopatrzenia głównym siłom armii; wojska muszą się rozproszyć, jeśli nie chcą przymierać głodem, a dopóki Rosjanie będą mieli do dyspozycji jakiegokolwiek siły, Francuzi nie będą mogli pozwolić sobie na rozproszenie swoich głównych sił. Jak długo Aleksander nie załamie się nerwowo i będzie kontynuował walkę, tak długo można mieć nadzieję. Wyglądało, że siły armii Bonapartego w Moskwie są na wyczerpaniu i że marsz stojących obecnie pod Rygą oddziałów na St Petersburg będzie jedynym sposobem wywarcia dalszego nacisku na Aleksandra. A wobec tego tym bardziej należy się tu trzymać. Hornblower miał poważne zastrzeżenia co do tego, czy Aleksander będzie trwał przy swojej decyzji, jeśli stanie w obliczu niebezpieczeństwa utraty obu swych stolic.

Nieszczęsna piechota hiszpańska stała prezentując broń przez cały czas tej długiej rozmowy, i Hornblowerowi zrobiło się jej żal. Celowo obrócił uwagę na żołnierzy, przypominając w ten sposób Condemu o jego powinności. Conde wydał rozkaz swoim oficerom sztabowym, a pułkownicy przekazali go dalej; żołnierze przerzucili broń do nogi i stanęli we wrodzonej im jakby pozycji „spocznij”.

— Słyszę od jego ekscelencji — odezwał się Conde — że służył pan ostatnio w Hiszpanii, sir. Jakie są wieści z mojego kraju?

Niełatwo było zwięźle zrelacjonować, co zaszło na Półwyspie Iberyjskim w ciągu ostatnich czterech lat Hiszpanowi, który przez cały ten okres był odcięty od wszelkich wiadomości stamtąd. Hornblower zrobił co mógł; krótko napomknął o niezliczonych porażkach hiszpańskich, podkreślił zapał i skuteczne działanie guerrilleros[62] i zakończył bardziej optymistyczną nutą, relacjonując najświeższą wiadomość o wzięciu Madrytu przez Wellingtona. W miarę jak ciągnął swą opowieść, krąg hiszpańskich oficerów sztabowych zacieśniał się wokół niego. Przez cztery długie lata, od kiedy lud hiszpański oznajmił swoją wolę porzucenia roli uniżonych sprzymierzeńców i stał się najzawziętym wrogiem cesarstwa, Bonaparte pilnował, żeby do jego hiszpańskich wojsk,

oddalonych o trzy tysiące mil od ojczyzny, nie dotarło ani jedno słowo mówiące o rzeczywistej sytuacji ich kraju. Swoje przypuszczenia na ten temat mogli oni opierać jedynie na kłamliwych komunikatach cesarskich. Było rzeczą dziwną mówić do tych wygnańców; miał osobliwe uczucie, że czuje teraz takie samo poruszenie swych myśli, jak w przypomnianej sobie sytuacji, w jakiej sam dowiedział się o hiszpańskiej zmianie frontu. Było to na pokładzie „Lydii”, na nie zaznaczonych na mapach tropikalnych wodach Pacyfiku. Przez kilka sekund wspomnienia kłębiły mu się w głowie. Błękit i złoto Pacyfiku; upały, sztormy i stoczone bitwy; el Supremo i gubernator Panamy — musiał otrząsnąć się z tego i powrócić myślami na plac defiladowy na wybrzeżu Bałtyku.

Adiutant przygalopował jak szalony z dzwonieniem podków końskich, zostawiając za sobą tuman pyłu. Ściągną konia, zatrzymując się przed Essenem, zaszalutował pospiesznie i jeszcze nie odjąwszy dłoni od czoła, zalał go potokiem nowin. Na rozkaz gubernatora ruszył z powrotem, a ten zwrócił się do Hornblowera.

— Nieprzyjaciel koncentruje wojsko w okopach. Szykują atak na Dźwinoujście.

Błyskawicznie wydał rozkazy swoim oficerom; konie stawały dęba przy zawracaniu, gdy ostrogi wbijały im się w boki, a wędzidła ściągały pyski. Po chwili sześciu ludzi ze sztabu Essena rozjechało się w różnych kierunkach z otrzymanymi poleceniami.

— Jadę tam — oświadczył Essen.

— Pojadę z panem — zdecydował Hornblower.

Trudno mu było trzymać się w siodle, gdy pobudzony ostrogami koń zawracał za koniem gubernatora; z dłonią na łęku Hornblower poprawił się w siodle o już jadąc wsunął stopę w strzemię. Essen odwrócił głowę, wykrzyknął nowy rozkaz do jednego z kilku towarzyszących mu adiutantów i znów pobudził konia ostrogami do szybszego galopu. Zaczął się przybliżać niski pomruk bombardowania. Dzwoniąc podkowami konie przemknęły przez ulice Rygi, a potem drewniana nawierzchnia mostu pontonowego zadudniła pod ich kopytami. Pot zlewał twarz Hornblowera pod jasnym słońcem jesiennym, szpada tłuła go o biodro, a od czasu do czasu trójgraniasty kapelusz zjeżdżał niebezpiecznie na czoło i tylko szybkie przytrzymanie w ostatnim momencie ratowało go przed spadnięciem. Hornblower czuł bystry bieg wód Dźwiny, najpierw pod mostem, gdy przejeżdżał tamtędy, a potem z prawej strony, kiedy galopowali nabrzeżem. Odgłosy bombardowania nasiliły się, by za chwilę nagle ucichnąć.

— Teraz właśnie atakują! — wykrzyknął Essen, wychylając swe ciężkie ciało bardzo do przodu, chcąc jakby przyspieszyć bieg strudzonego konia.

Wjechali do wsi, między ruiny domostw, i tu natknęli się na rozbite oddziały cofające się bezładnie: niebieskie mundury szare od kurzu, z miotającymi przekleństwa oficerami, usiłującymi zebrać z powrotem rozproszonych, ogłupiałych żołnierzy, waląc ich płazami szabel. Essen znów ryknął jak rozstrojona trąba; wywijał szablą nad głową i spinał konia ostrogami. Na jego widok żołnierze zaczęli się gromadzić i obróciwszy się twarzami do nieprzyjaciela, instynktownie zwierali się w linię.

Z daleka przez ruiny sunęła nierówna kolumna nieprzyjaciela — musiała przejść przez wylom jak trąba powietrzna, ale teraz przypominała bardziej zwykły tłum niż wojsko; oficerowie sadzili susami na czele oddziałów, wymachując szpadami i kapeluszami. Nad kolumną powiewał sztandar. Na widok uformowanej linii zawahali się przez moment; z obu stron odezwały się nierówne strzały; Hornblower widział, jak jeden z oficerów biegnących na czele padł martwy w chwili, gdy przyzywał żołnierzy, żeby szli za nim. Obrócił wzrok na Essena, żeby się przekonać, że jego potężna sylwetka, spowita dymem, wciąż góruje na koniu. Zawrócił ku flance; umysł jego pracował gorączkowo w ekstatycznym podnieceniu, kule gwizdały mu koło uszu; wiedział, że to krytyczny moment ataku. Zatrzymać na chwilę napierającą kolumnę, a potem już byle drobiazg może przeważać szalę i nieprzyjaciel zacznie cofać się równie szybko, jak szedł do przodu. Hornblower dotarł do podwoi cerkwi, właśnie kiedy żołnierze zaczęli wylewać się z niej tłumem — garnizon broniący budynku śpieszył wycofać się, zanim zostanie odcięty.

— Za mną! — krzyknął, wymachując szpadą.

Mrugając oczyma patrzyli na osobnika w błękitno-złotym mundurze, który zjawił się nagle przed nimi. Nie rozumieli jego słów, lecz gesty były jasne dla każdego z nich. W tyle za żołnierzami Hornblower dojrzał przelotnie Clausewitza i Dybicza; to oni powinni byli objąć dowództwo. Nie było jednak czasu na dyskusje. W dodatku przez mózg Hornblowera przemknęła myśl, że doskonali może jako teoretycy rzemiosła wojennego, mogliby zawieść w chaotycznym, bezpośrednim zwarciu.

— Za mną! — powtórzył, wskazując szpadą ku flance atakującej kolumny.

Zawrócili, aby ruszyć za nim — żaden nie potrafił oprzeć się gestom i przykładowi Hornblowera. Między kolumną i rosyjską tyralierą wciąż trwała bezładna wymiana salw; kolumna wolniutko posuwała się do przodu, a linia rosyjska załamywała się i cofała.

— Formować szyk bojowy! — ryczał Hornblower i obróciwszy się w siodle, rozpostarł ramiona na boki, gestykulując pięściami, żeby Rosjanie pojęli, czego chce od nich. — Ładować muszkiety!

W uformowanym szyku szli za nim, manipulując przy wyciorach — nie więcej niż dwie setki ludzi potracających się wzajemnie w utrudnionym marszu między zgliszczami zabudowań. Znajdowali się teraz naprzeciwko flanki kolumny nieprzyjacielskiej; Hornblower rozróżniał twarze żołnierzy zwrócone w ich kierunku. Był tak blisko, że mógł nawet widzieć strach i zaskoczenie na widok świeżej siły, która ich zaraz zaatakuje.

— Ognia! — huknął Hornblower i z dowodzonej przez niego tyraliery buchnęła nierówna salwa.

Zobaczył dwa wyciory wzbijające się łukiem ku górze, wystrzelone z muszkietów przez podnieconych żołnierzy, których jego rozkaz zaskoczył w trakcie ładowania broni i którzy natychmiast złożyli się i pociągnęli za spusty. Jeden wycior wbił się jak strzała w ciało francuskiego żołnierza. Kolumna drgnęła i straciła impet — nawet jeden na stu nie spodziewał się tego ataku na flankę; uwaga wszystkich zwrócona była na grupę Essena na wprost przed kolumną.

— Do ataku! — krzyknął Hornblower i wywijając szpadą pognał konia do przodu.

Rosjanie z głośnym okrzykiem ruszyli za nim; Hornblower zobaczył, że cała kolumna nieprzyjacielska chwieje się i rozpada. Topniały zdeorientowane szeregi. Pokazali tyły, o przez rozgorączkowany mózg Hornblowera przemknęło usłyszane kiedyś powiedzenie, że plecaki nieprzyjacielskie to widok najbardziej dodający ducha żołnierzowi. A potem spostrzegł, że któryś z Francuzów odwraca się i celuje w niego z muszkietu. Buchnął dym z lufy, koń pod Hornblowerem skoczył w panice do przodu, wyrzwał łbem o ziemię i przekoziółkował; Hornblower czuł że leci w powietrzu. Był za bardzo podniecony i rozentuzjasmowany, aby odczuwać lęk, toteż zdumiał go huk, z jakim zwałił się na ziemię. Chociaż jednak stracił dech, a upadek wstrząsnął wszystkimi kośćmi w jego ciele, jego niezwykły umysł dalej pracował jasno; słyszał i czuł, jak oddział prowadzony przez niego do ataku na flankę przebiega z wyciem po nim. Dopiero dźwigając się na nogi poczuł się taki słaby i potłuczony, iż ledwie mógł ustać. Nogi pod nim omal się nie ugięły, kiedy kuśtykając ruszył do przodu, chcąc podnieść szpadę połyskującą na ziemi między dwoma trupami.

Poczuł się nagle sam, ale nie zdążył jeszcze rozczulić się nad sobą, gdy otoczyli go ludzie, Essen ze swoim sztabem, wznoszącym okrzyk radości i entuzjazmu. Stał wśród nich, podrapany, w podartym mundurze, ze szpadą zwisającą z nadgarstka, a oni zasypali go gratulacjami w tym swoim niezrozumiałym języku. Podprowadzono go do konia zwolnionego przez któregoś oficera, usadowiono w siodle i wszyscy ruszyli cwałem. Konie szły ostrożnie po stratowanej ziemi, wyszukując przejść między zabitymi i rannymi i zdążając ku szancom. Resztki atakujących wypierano przez wyłom przy akompaniamencie rzadkiej strzelaniny z muszkietów. Gdy wszyscy byli już blisko swoich umocnień, działa odpartego napastnika wznowiły ogień i górą przeleciało z wyciem kilka pocisków. Essen przezornie ściągnął cugle konia i wycofał się poza linię ostrzału.

— Tę chwilę warto zapamiętać — rzekł tocząc spojrzeniem po terenie starcia.

Hornblower wciąż mógł myśleć jasno. Jak gorzkim ciosem musi być dla oblegających ten odwrót! Po wściekłych walkach przygotowawczych podkopali się pod szanę, dokonali wyłomu i przypuścili atak, w którym powinni byli zdobyć teren — i to wszystko po to, żeby ich odparto w chwili, gdy wyłom był w ich rękach. Zdawał sobie sprawę, że Macdonaldowi będzie bardzo trudno skłonić swoich ludzi do powtórzenia ataku — krwawa porażka odebrała im ducha i napełniła obawą o własne życie. Macdonald będzie musiał odczekać jakiś czas i kontynuując ostrzał przez kilka następnych dni, wykonać nowe podejścia i paralełę, zanim będzie mógł zaryzykować następny atak. Może miasto się utrzyma. Może ten atak był ostatni. Hornblower czuł w sobie prorocze natchnienie. Wspomniawszy, jak dotarła do niego wiadomość o odstąpieniu Masseny spod Lizbony — był to początek zmierzchu cesarstwa na południu, a teraz Wellington jest w Madrycie i zagraża Francji. Może Ryga stanie się punktem granicznym cesarstwa na północy. Może przedarcie się przez wyłom zostanie zapamiętane jako najdalej wysunięty punkt, do którego dotarły wojska Bonapartego. A w takim razie — puls Hornblowera zabił szybciej — poprowadzony przez niego atak na flankę, nieoczekiwana szarża dwustu żołnierzy, pośpiesznie zebranych w zamęcie bitwy, była tym ciosem, który pokrzyżował bonapartowskie plany podboju świata. I on właśnie tego dokonał. W „Timesie” doskonale będzie wyglądało zdanie, że „koń padł pod komodorem Sir Horatiem Hornblowerem, kawalerem Orderu Łąźni, gdy prowadził szarżę na nieprzyjaciela”. Barbara będzie wniebowzięta.

Moment uniesienia i triumfu minął nagle i Hornblower poczuł się słaby i chory. Wiedział, że

jeśli zaraz nie zejdzie z konia, wypadnie z siodła na ziemię. Przytrzymując się kuli[63], uwolnił prawą stopę ze strzemięcia, przerzucił nogę przez grzbiet koński, a ziemia podniosła się ku niemu na spotkanie w momencie, gdy dotknął stopami gruntu. Kiedy ocknął się z omdlenia po — nie wiedział ilu — minutach, siedział na murawie z rozluźnionym halsztukiem. Po twarzy spływał mu zimny pot. Essen pochylał się nad nim z niepokojem, a ktoś, doktor chyba, klęczał obok. Hornblower miał już rękaw podwinięty nad łokieć i doktor, z lancetem w dłoni, przygotowywał się do otwarcia żyły i puszczenia krwi. Hornblower cofnął rękę gwałtownym ruchem; nie chciał, aby dotknął go lancet ani te ręce czarne od cudzej krwi.

Stojący wokół oficerowie zaprotestowali głośno, lecz Hornblower nie zwrócił wcale na to uwagi, z tym wyniosłym roztargnieniem człowieka chorego. I wówczas zjawił się Brown, z kordelasem u boku i pistoletami za pasem, a za nim reszta załogi barkasa. Zauważył widocznie, że jego dowódca przejechał przez most i jak przystało na subordynowanego marynarza, przyprowadził łódź za nim. Z niepokojem na twarzy Brown ukląkł spiesznie obok innych przy Hornblowerze.

— Ranny, sir? Gdzie? Czy mogę...

— Nie, nie, nie — protestował Hornblower z rozdrażnieniem. — Nic się nie stało.

Rozwścieczył go szczególnie wyraz uwielbienia na twarzy Browna. Wszyscy uznają, że zachował się bohatersko, a nie po prostu zgodnie z rozsądkiem. Opodał — chyba pod wyłomem — zagrała trąbka wysokim, ostrym, wyzywającym tonem, odwracając uwagę zgromadzonych od przedmiotu ich troski. Wszyscy odwrócili wzrok tam, skąd dobiegał ten dźwięk, i ujrzeli grupę rosyjskich oficerów prowadzącą osobnika z zawiązanymi oczyma, odzianego w niebieski, bramowany szarym astrachańskim barankiem mundur francuskiego sztabu cesarskiego. Na rozkaz Essena przybyłemu zdjęto z oczu opaskę i oficer — z siwym wąsem huzarskim — zasalutował z godnością.

— Chef d'escadron Verrier — przedstawił się — adiutant marszałka księcia Tarentu. Marszałek rozkazał mi zaproponować zawieszenie działań wojennych na dwie godziny. Wyłom zasłany jest rannymi po obu stronach i poczucie humanitaryzmu wymaga zabrania ich stamtąd. Każda strona zabrałaby swoich.

— Jestem pewien, że Francuzów i Niemców jest znacznie więcej niż Rosjan — zauważył Essen swoją kulawą francuszczyzną.

— Francuzi czy Rosjanie, sir — odparł parlamentariusz — pomrą, jeśli nie udzieli się im szybko pomocy.

Umysł Hornblowera znów zaczął pracować. Myśli wyskakiwały z jego zakamarków jak szczątki zatopionego okrętu na powierzchnię wody. Pochwycił wzrok Essena i skinął znacząco głową, Essen, dobry dyplomata, nie dał poznać po sobie, że otrzymał wskazówkę i przeniósł spojrzenie z powrotem na Verriera.

— Udzielam zgody — powiedział — w imię humanitaryzmu.

— Dziękuję waszej ekscelencji w imię humanitaryzmu — odparł Verrier salutując i poszukał wzrokiem kogoś, kto znów zawiązałby mu oczy i przeprowadził przez wyłom.

Gdy tylko odszedł, Hornblower powiedział do Browna:

— Popłyniesz zaraz barkasem z powrotem na okręt. Szybko. Przekażesz ode mnie pozdrowienia kapitanowi Bushowi. Chcę, żeby przysłał tu do mnie porucznika von Bulowa. Niech towarzyszy mu nasz oficer tej samej rangi. Pospieszcie się!

Dzięki Bogu, to wystarczy, jeśli idzie o Browna i Busha. Prosty rozkaz i posłuszne, inteligentne wykonanie. Hornblower salutując zwrócił się do Essena.

— Czy byłoby możliwe, ekscelencjo — zapytał — przewieźć oddziały hiszpańskie na tę stronę rzeki? Mam jeńca niemieckiego, którego chciałbym przekazać nieprzyjacielowi, ale zależałoby mi, żeby przedtem zobaczył Hiszpanów na własne oczy.

Essen uśmiechnął się grubymi wargami.

— Robię wszystko, sir, żeby spełniać wszelkie pańskie życzenia, nawet je uprzedzam. Ostatni rozkaz, jaki wydałem po tamtej stronie rzeki, nakazywał przetransportowanie Hiszpanów tutaj — są to najbliższe uformowane oddziały i zamierzam użyć ich do ochrony magazynów na nabrzeżu. Jestem pewien, że już są na miejscu. Chciałby pan, żeby tu przymaszerowali ?

— Jeśli pan tak łaskaw, sir.

Hornblower stał przy pomoście, udając, że na nic specjalnie nie czeka, gdy łódź dobiła i porucznik von Bulow z pięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty pruskiej wyszedł na ląd, eskortowany przez pana Tootha i Browna z jego ludźmi.

— Ach, to pan, poruczniku — odezwał się Hornblower.

Bulow zasalutował sztywno, wyraźnie zdezorientowany nowym obrotem sprawy, dzięki któremu zabrano go z więzienia na okręcie prawie bez uprzedzenia i wysadzono na ląd w zniszczonej działaniami wojennymi wiosce.

— Mamy w tej chwili zawieszenie broni — wyjaśnił Hornblower — między pańską armią i naszą. Nie, nie pokój... po prostu przerwa na uprzątnięcie rannych z wyłomu. Zamierzam jednakże skorzystać z tej okazji, żeby odesłać pana do pańskich przyjaciół. Bulow patrzył na niego pytająco.

— Zaoszczędzi to nam tych formalności związanych z wymianą jeńców i parlamentariuszy — ciągnął Hornblower. — W obecnej chwili wystarczy, że przejdzie pan przez wyłom i połączy się ze swoimi. Nie jest to, oczywiście, formalna wymiana, ale jeśli pan chce, może mi pan dać słowo, że nie zwróci się pan przeciwko Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości i Jego Rosyjskiej Cesarskiej Mości do czasu dokonania wymiany.

— Daję panu moje słowo — odparł von Bulow po chwili namysłu.

— Doskonale. Czy pozwoli mi pan towarzyszyć sobie do wyłomu?

Gdy zesli z pomostu i ruszyli w krótką drogę między ruinami wsi, Bulow zaczął ukradkiem popatrywać wokół siebie zawodowym okiem żołnierza; zgodnie z regulaminem wojennym miał pełne prawo wyzyskać moment nieuwagi ze strony nieprzyjaciela. Tak czy inaczej zawodowa ciekawość skłoniłaby go do obserwacji otoczenia. Idąc obok niego Hornblower prowadził uprzejmą rozmowę.

— Wasz wypad dziś rano — sędzę, że słyszał pan Zgiełk, nawet tam, na pokładzie? — przypuszczony został, sądząc po mundurach, przez doborowych grenadierów. Znakomite wojsko — naprawdę szkoda, że tylu ich zginęło. Ufam, że znalazłszy się wśród swoich przekaże im pan moje najgłębsze wyrazy współczucia. Ale żołnierze ci nie mieli oczywiście szans.

U stóp wieży cerkiewnej rozłożył się pułk hiszpański. Żołnierze leżeli szeregami na ziemi. Zobaczywszy Hornblowera, pułkownik kazał im wstać i zaszalutował. Hornblower odwzajemnił pozdrowienie czując, że idący obok niego Bulow nagle zmienił krok; kącikiem oka zauważył, iż przez cały czas szalutowania Bulow stąpał krokiem defiladowym. Widać jednak było wyraźnie, że ten świetnie wyszkolony oficer, zmieniający krok na defiladowy na czas wymiany gestów wojskowej kurtuazji, nie omieszkał obejrzeć uważnie żołnierzy. Oczy wychodziły mu na wierzch od nie wypowiedzianych pytań.

— Oddziały hiszpańskie — rzucił Hornblower lekkim tonem. — Dywizja Hiszpanów i Portugalczyków z głównego korpusu Bonapartego przyłączyła się niedawno do nas. Biją się doskonale... to właśnie oni odparli ostatni atak. Ciekawe, że ofiary Bonapartego odchodzą od niego teraz, gdy wyszedł na jaw zwodniczy charakter jego potęgi.

Zaskoczony Bulow musiał mruknąć coś po niemiecku, bo Hornblower nie zrozumiał słów, lecz z tonu domyślił się ich treści.

— Rozumie się samo przez się — ciągnął Hornblower lekko — że pragnąłbym widzieć również i świetną armię pruską w gronie nieprzyjaciół Bonapartego i sprzymierzeńców Anglii. Rzecz jasna jednak, że wasz król najlepiej wie, jak prowadzić swoją politykę — chyba że, oczywiście, otoczony teraz przez ludzi Bonapartego, nie ma swobody wyboru.

Bulow patrzył na niego zdumiony; wysuwając ten nowy dla niego zupełnie punkt widzenia, Hornblower kontynuował myśl lekkim tonem, jakby to była zwykła, uprzejma rozmowa.

— To wielka polityka — zauważył i machnął ręką ze śmiechem. — Lecz któregoś dnia w przyszłości wspomnimy być może naszą rozmowę jako proroczą. Trudno przecież wiedzieć, nieprawdaż? Kiedy spotkamy się jako pełnomocnicy, będę mógł o niej panu przypomnieć. Ale oto już i wyłom. Z przykrością mówię panu do widzenia, a równocześnie rad jestem, że mogłem zwrócić pana swoim. Sir, proszę przyjąć moje najlepsze życzenia dla pana na przyszłość.

Bulow znowu zaszalutował sztywno i uściśnął dłoń wyciągniętą do niego przez Hornblowera. Dla Prusaka było to wielkie wydarzenie, że komodor zniżył się do podania ręki komuś tak mało znacznemu. Ruszył przez wyłom po storturowanej ziemi; roiło się tu wciąż od ludzi, którzy uwijając

się jak zaniepokojone mrówki, zbierali rannych na nosze. Hornblower patrzył za Bulwem, póki ten nie dotarł do swoich, a potem odwrócił się. Potwornie zmęczony, walił się prawie z nóg, wściekając się równocześnie na siebie za własną słabość. Teraz pozostało mu tylko godnym krokiem wrócić na pomost. Zachwiał się, siadając na ławce rufowej barkasa komodorskiego.

— Dobrze się pan czuje, sir? — pytał troskliwie Brown.

— Naturalnie — odburknął Hornblower, zdumiony taką śmiałością.

Pytanie zirytowało go, rozdrażniony przeszedł jak mógł najszybciej przez burtę okrętu, chłodno odwzajemniając pozdrowienia oficerów zebranych na pokładzie rufowym. Rozdrażnienie nie ustąpiło nawet w kajucie, nie pozwalając mu pójść za pierwszym impulsem i rzucić się na koję dla odprężenia. Przez chwilę chodził tam i z powrotem. Żeby coś zrobić, popatrzył w lusterko. Było jednak jakieś usprawiedliwienie dla Browna i jego niemądrych pytań. Z lustra bowiem wyjrzała twarz oblepiona warstwą pyłu zmieszanego z potem; z małej ranki na policzku sączyła się strużka krwi. Mundur był brudny, a jeden epolet przekrzywiony. Wyglądał na kogoś, kto wyszedł przed chwilą z zażartej bitwy na śmierć i życie.

Spojrzał uważniej na siebie. Twarz była ściągnięta i poorana bruzdami, oczy w czerwonych obwódkach. Patrzył, obracając głowę, z coraz większą uwagą. Włosy na skroniach były zupełnie siwe. Nie tylko wyglądał na kogoś przybyłego prosto z pola bitwy, lecz i na kogoś pozostającego pod straszliwym napięciem przez dłuższy czas. I tak było istotnie, pomyślał. Od miesięcy już dźwigał ciężar tego okropnego oblężenia. Nie przyszło mu dotąd do głowy, że jego twarz — twarz Hornblowera — będzie mówić o nim, jak mówią o innych ludziach ich twarze. Przez całe życie starał się nie dopuszczać, aby można było czytać uczucia z jego twarzy. Jest coś zastanawiającego, a zarazem ironicznego w fakcie, że nie jest w stanie zapobiec siwieniu swoich włosów ani pogłębianiu się smutnych zmarszczek wokół ust.

Pokład zachybotał, jakby okręt szedł po otwartym morzu, i nawet nogi Hornblowera, weterana morskiego, miały trudność z utrzymaniem go w pozycji pionowej. Musiał złapać się za wspornik, który puścił z największą ostrożnością, żeby dojść do koi i paść na nią twarzą w dół.

Rozdział XXIII

Problem, nad którym zastanawiał się Hornblower, chodząc po pokładzie rufowym „Nonsucha”, okrętu Jego Królewskiej Mości zakotwiczonego w Zatoce Ryskiej, gościł w jego myślach od dawna, nie tracąc przecież przez to nic ze swej pilności. Oto nadchodzi zima. Odkąd pamięta, noce są mroźne, a ostatnie dwa dni przyniosły śnieżyce, które ubieliły przelotnie krajobraz i zostawiły kilka zasp zalegających wciąż białymi plamami na północnych stokach okopów. Dnie stawały się krótsze, noce dłuższe, a słonawe wody zatoki pokryły się cienką warstewką lodu. Jeśli zostanie tu dłużej, jego okręty utkną w lodach. Essen zapewniał go wprawdzie, że jeszcze co najmniej i za dwa tygodnie będzie mógł wypłynąć kanałem wyciętym w lodzie przez dostarczonych mu ludzi, ale Hornblower nie był tego tak całkiem pewien. Wichura z północy — która mogła nadlecieć w każdej chwili — gotowa zatrzymać go, powodując przy tym zamrożenie wąskiego wyjścia z zatoki między Ozylia a lądem i zamknąć je spiętrzonymi krami lodowymi, których nie przetną piły i nie ruszą materiały wybuchowe. Eskadra uwięziona w lodach to eskadra unieruchomiona do następnej

wiosny; niewątpliwy łup Francuzów, jeśli Ryga się podda. Dwadzieścia lat temu francuscy huzarzy zdobyli eskadrę holenderską pod Amsterdamem, szarżując po lodzie. Cóż za triumfalny biuletyn wydałby Bonaparte, gdyby eskadra brytyjska, dowodzona przez tego sławnego komodora Hornblowera, wpadła w podobny sposób w jego ręce! Hornblower zawrócił o jard przed końcem swojej trasy przechadzek po pokładzie rufowym. Roztropność nakazywała natychmiastowe wycofanie się.

Talie karonady opodal były przetarte. Bush to zauważył i przysłał kogoś, kto gmerał przy nich od dobrego kwadransa. A jednak nie może się wycofać. Gdy wspomniał o tej możliwości, Essen zgłosił sprzeciw. Niech jego ludzie zobaczą, że okręty brytyjskie odpływają, a zaraz nabiorą pewności, że miasto, którego bronią, nie ma szans. I całkiem utracą ducha. Oficer Brytyjskiej Marynarki Wojennej, który poprowadził rozstrzygającą szarżę pod Dźwinoujściem, stał się już wśród nich legendą, maskotką, symbolem powodzenia. Gdyby ich opuścił, poczytaliby to za dowód, że stracił nadzieję. Nie może się zatem wycofać. Mógłby pójść na kompromis i odesłać eskadrę, zatrzymując tylko korwetę i kanonierkę; albo odesłać wszystkie jednostki i zostać samemu. Lecz rozłączenie się z powierzoną mu eskadrą stanowiłoby bezpośrednie naruszenie Regulaminu Wojskowego.

A tu jakiś idiota midszypmen włazi mu w drogę, jakby wziął się, żeby przerwać mu tok myśli. Powinien przeleźć za to przez saling; ostatecznie wyprawa trwa już dosyć długo, żeby każdy na okręcie wiedział, iż nie wolno przeszkadzać komodorowi, kiedy chodzi po pokładzie.

— Co, u diabła? — huknął na pobladłego midszypmena.

— Ł-ł-łódź nadpływa, sir — wydusił z siebie chłopak. — P-pan Hurst kazał mi powiedzieć to panu. On myśli, że w łodzi jest gubernator.

— Czemu nie doniesiono mi wcześniej? Panie Hurst, czy posłał pan po kapitana Busha? Wezwać wartę honorową!

— Tak jest, sir — odpowiedział Hurst i w tym momencie Bush pojawił się na pokładzie rufowym, a warta złożona z żołnierzy piechoty morskiej formowała się już za stermaszem.

Hurst zrobił, rzecz jasna, to wszystko, nie czekając na rozkazy; wytracony nagle z zamyślenia Hornblower nie zdążył sobie tego uświadomić. Ruszył w kierunku burty. Gubernator przybywał w dużej łodzi wiosłowej, płynącej ku nim po wolnym kanale wyciętym w cienkiej pokrywie lodowej i nie zamarzającym dzięki bystrym wodom Dźwiny, które tu właśnie wlewały się do zatoki. Spostrzegłszy Hornblowera, gubernator wskoczył na ławkę rufową i zaczął wymachiwać kapeluszem; puścił się nawet w płas, z rękami nad głową, ryzykując wypadnięcie za burtę.

— Coś się dzieje, sir — odezwał się Bush stojący u boku Hornblowera.

— To mi wygląda na dobre wieści — odparł Hornblower.

Gubernator wszedł na pokład rufowy, z kapeluszem w ręku. Objął Hornblowera i w uścisku podniósł jego szczupłe ciało w górę, tak że nogi straciły kontakt z pokładem. Hornblower wyobraził

sobie rozbawienie na twarzach wszystkich patrzących, jak macha w powietrzu nogami. Gubernator postawił go z powrotem na pokład, włożył kapelusz, a potem ujął za ręce Hornblowera i Busha próbując zatańczyć z obu Anglikami w kółeczku[64]. Podskakiwał przy tym jak rozbawiony niedźwiedź.

— Jakie nowiny, ekscelencjo? — spytał Hornblower. Bolała go dłoń od uścisku Essena.

— Och! — zawołał Essen, puszczając ręce Anglików, żeby znów rozewrzeć szeroko ramiona. — Bonaparte rozpoczął odwrót.

— Na Boga, prawda to? — wykrzyknął Hornblower.

— Co on gada, sir? — dopytywał się Bush nie rozumiejąc francuszczyzny Essena, ale Hornblower nie miał czasu dla Busha, bo gubernator zalał go powodzią gardłowych dźwięków, czerpiąc przy tym ze słownictwa połowy języków Europy, tak że nawet Hornblower pojmował go z trudem.

— Opuścił Moskwę pięć dni temu — entuzjazmował się Essen. — Pobiliśmy go pod Małojarosławcem. Pobiliśmy w decydującej bitwie, i teraz ucieka co sił w stronę Smoleńska i Warszawy. Ale nie dojdzie tam przed śniegami! Będzie miał szczęście, jeśli dojdzie w ogóle. Cziczagow idzie forsownym marszem, żeby przeciąć mu odwrót nad Berezyną. Koniec z nim. Tysiące jego ludzi pada trupem co noc. Nic do jedzenia, a zima tuż, tuż!

Essen podskakiwał groteskowo po pokładzie, bardziej niż przedtem przypominając tańczącego niedźwiedzia.

— Proszę, sir, proszę, co on mówi? — błagał Bush.

Hornblower tłumaczył jak umiał, a inni oficerowie z pokładu rufowego podsłuchiwali bezwstydnie. Gdy pojęli, co za wspaniałe wieści przyniósł Essen, zaczęli wznosić radosne okrzyki; załoga na pokładzie głównym podjęła je i na całym okręcie marynarze, wiwatując, wyrzucali kapelusze w górę, chociaż wszystko, co widzieli, to podawana spiesznie z ust do ust wiadomość: Bonio pobity!

— Na Boga, będziemy mogli wyjść z zatoki, zanim zamarznie — powiedział Bush strzelając palcami; gdyby nie drewniana noga, i on pewnie puściłby się w płas.

Hornblower obrócił spojrzenie na ląd.

— U Macdonalda nie widać jeszcze żadnych oznak odwrotu — zauważył. — Gdyby i on ruszył, gubernator wspomniałby o tym.

— Nie sądzi pan jednak, że będzie musiał, sir? — Na wyrazistej twarzy Busha radość ustępowała obawie. Przed chwilą wszystko na świecie było możliwe — wyjście z Zatoki Ryskiej, a może i z tego otoczonego lądami Bałtyku czy nawet powrót do Anglii, a teraz Bush uświadomił sobie twardą rzeczywistość, że oblężenie Rygi jeszcze trwa.

— Może będzie musiał — odparł Hornblower — ale dopóki się nie wycofa, zostajemy tu, chyba że dostanę inne rozkazy.

Ujrzawszy ich sposepniałe twarze, Essen zbliżył się, klepnął Busha po plecach, aż ten się zachwiał, Hornblowerowi pstryknął palcami przed nosem i zakręcił się w piruecie z wdziękiem tresowanej foki. Rzecz absurdalna, ale pośród całego tego zamętu, gdy Bush dopytywał się, co będzie, a Essen zachowywał się jak wariat i gdy cały okręt zapomniał o dyscyplinie w szalonej fali wiwatów, w umyśle Hornblowera dalej rodziły się plany, a jego mózg pracował jasno w gorączkowym tempie, co jak zawsze zwiastowało jakiś nowy obrót sprawy. Bonaparte w odwrocie, Bonaparte pobity; oznaczało to diametralny zwrot w nastrojach całej Europy. Wszyscy już wiedzą, że Wellington zagraża Francji od południa; a teraz cesarstwo stało się w obliczu zagrożenia od wschodu. Rozbita armia Bonapartego, gdy raz zaczęła się cofać, nie utrzyma się chyba w Polsce; w następnej wyprawie przeciwnicy Bonapartego pojawią się u granic Prus i Austrii, a wówczas przypuszczalnie Prusy i Austria przejdą na ich stronę. Król pruski jest faktycznie jeńcem w rękach francuskich, ale pruska armia, której większa część oblega teraz Rygę, może działać swobodnie, jeśli zechce. Dezercja Hiszpanów wskazała jej drogę, a ulotki wydrukowane w Rydze i rozproszane wśród oblegających przez handlarzy rosyjskich nie pozwolą im zapomnieć tej lekcji. Bulow poświadczy prawdziwość ich treści — Hornblower był rad, że puścił go wolno.

— Wysyłam Dybicza z poleceniem dokonania wypadu na linie oblegających — mówił Essen. — Muszę wiedzieć, jak oni przyjmują te nowiny. Czy zechce mi pan towarzyszyć, sir?

— Naturalnie — odparł Hornblower otrząsając się gwałtownie z zamyślenia. Wskutek zmęczenia — ostatnio wciąż był zmęczony — wytężonej pracy mózgu i podniecenia czuł się jeszcze trochę „mętny”, jak mawiano o zamroczonych alkoholem w jego wsi, kiedy był małym chłopcem. Powiedział Bushowi, że jedzie z Essenem.

— Sir, pan jest przemęczony — protestował Bush. — Wygląda pan jak cień. Proszę wysłać kogo innego, sir. Mnie. Duncana. Zrobił pan wszystko, co było konieczne, sir.

— Jeszcze nie — odparł Hornblower; ustąpił jednak na tyle, że zaryzykował zwłokę, proponując Essenowi coś na pokrzepienie, wypicie toastu dla uczczenia wspaniałych nowin.

— Dziękuję, ale Dybicz ma atakować o zmierzchu, a dni są teraz krótkie — odpowiedział Essen ku jego uldze.

— Popłynie pan swoim barkasem, sir? — nalegał Bush. — Proszę zabrać Browna.

Bush zachowywał się jak troskliwy rodzic przedsiębiorczego dziecka, jak kura, której zostało jedno kurczę. Zawsze z oporem powierzał swego drogocennego Hornblowera tym nieobliczalnym Rosjanom; Hornblower uśmiechnął się na tę troskliwość.

— Zrobię wszystko, żeby pan był zadowolony — rzekł.

Barkas Hornblowera płynął za łodzią wiosłową gubernatora kanałem pośród lodów; Hornblower siedział z Essenem na ławce rufowej rosyjskiej łodzi. Wiał przejmujący wiatr, niebo

było szare.

— Znow będzie padał śnieg — zauważył Essen patrząc na chmury. — Niech Bóg ma w opiece Francuzów.

Bez słońca powietrze było przejmująco mroźne. Hornblower pomyślał o Francuzach wlokących się przez bezładne równiny Rosji i zrobiło mu się ich żal. A po południu rzeczywiście zaczął padać śnieg, kłębiąc się nad rzeką i wioską i pokrywając bielą unieszkodliwione nasypy rozbitych szańców, pogruchotane działa i mogiły rozrzucone po wsi. Był wczesny zmrok, kiedy nieprawdopodobnie cierpliwi grenadierzy rosyjscy uformowali się w okopach i przypuścili atak wypadowy na linie nieprzyjacielskie. Doszli zaledwie do połowy strefy niczyjej, gdy zaczęły bić w nich armaty, ubarwiając sypiący się śnieg jasnopomarańczowymi błyskami.

— Nie ma tu żadnych oznak odwrotu — zauważył Clausewitz, obserwując zaciętą walkę z galerii cerkwi, obok Essena i Hornblowera.

Jakby na potwierdzenie tych słów atakujący, zdziśiatkowani, zaczęli cofać się w mroku. Oblegający byli dobrze przygotowani, mieli patrole w strefie niczyjej, a okopy były mocno strzeżone. W odwet otworzyli ogień ze swych baterii oblężniczych; ziemia drżała od ich huku, a błyski pocisków znow dziurawiły czerń nocy. W ciemnościach trudno było utrzymywać właściwy cel i podniesienie; już wkrótce pociski zaczęły fruwać bezładnie nad całą wsią, tak że obrońcy, nawet ci daleko w tyle, nad rzeką, musieli chronić się w okopach. Wysokim łukiem szybowwały kartacze wystrzeliwane z baterii moździerzy ustawionych przez oblegających na drugiej paraleli. Padały, rozrywając się tu, tam, wszędzie, co dwie, trzy minuty, w fontannach odłamków i płomieni, z wyjątkiem lądujących w głębszym śniegu, który wygaszał ich zapalniki.

— Mają dużo amunicji do stracenia — mruczał Essen drżąc w swoim płaszczu.

— Może planują przeciwnatarcie w ciemnościach — zauważył Clausewitz. — Na taką ewentualność trzymam pełną obsadę okopów.

W dole na wprost przed oczyma Hornblowera znajdowała się bateria czterech ciężkich dział, bijąca regularnymi salwami w krótkich odstępach czasu. Za każdym razem widział cztery błyski, toteż gdy nastąpiła nieco dłuższa pauza, był zaskoczony ciszą, a potem nagłym hukiem. Błyski zgasły, znow była ciemna noc. Hornblower zaczął się zastanawiać, co różniło tę salwę od poprzedniej, poza nieco dłuższą pauzą przed jej wystrzeleniem. Jeden błysk — ten z prawej strony — nie był tak ostry jak pozostałe trzy, intensywny, a przy tym dłuższy. Może jakiś błąd w załadowaniu działa. Huk następnej salwy poprzedziły już tylko trzy błyski; działko z prawej strony umilkło. Może się „odetkało” — wydmuchnęło uszczelkę odpowietrzenia, co czasem się zdarzało. Następna długa przerwa i nowa salwa, dwa krótkie błyski i jeden dłuższy. Potem wystrzeliły tylko dwa działa i Hornblower zrozumiał, co się dzieje. Pociągnął Essena za rękaw.

— Niszczą swoje armaty — powiedział. — Strzelają do nas, a równocześnie przy każdej salwie posyłają jeden pocisk w osie jednej armaty. Mieli ich cztery eksceleńco. A teraz — proszę spojrzeć — zostały tylko dwie.

— Możliwe — zgodził się Essen, wbijając wzrok w ciemność.

— Ostrzał wygasa — potwierdził Clausewitz — ale może po prostu znudziło im się marnować amunicję.

Następnym razem zobaczyli tylko jeden błysk i było w tym istotnie coś dziwnego.

— Ostatnie działo baterii — zauważył Essen. — Może je przeładowali i rozerwali.

Nastawił w ciemnościach lunetę w tamtą stronę.

— Spójrzcie tam, na ich główne obozy — dodał. — Na ogniska. Wygląda, że palą się jasno, ale...

Hornblower skierował lunetę na odległe linie ogni obozowych, słabo widocznych w gęstym mroku nocy. Przesunął wzrokiem od końca do końca jednego rzędu, starając się obserwować wszystkie ogniska po kolei. Zdawało mu się, że widzi, jak jedno przygasa, ale nie był pewien. Oczy łzawiły mu z zimna i wytężenia wzroku. Przetarł je, a wtedy Essen z trzaskiem zamknął lunetę.

— Wygasają — powiedział. — Jestem tego pewien, a żadne wojsko nie pozwoliłoby zgasnąć swoim ogniskom w taką noc jak dzisiejsza. Clausewitz, niech pan przygotuje swoich ludzi do następnego ataku. Dybicz...

Gubernator rzucał rozkazy. Hornblower poczuł przez moment współczucie dla żołnierzy rosyjskich, skurczonych w zamarzających okopach, pozbawionych ducha przez poprzedni nieudany wypad i straty; a teraz znowu mają rozkaz iść do ataku, co w tych ciemnościach, jak są przekonani musi się skończyć nieuchronną klęską. Wiatr zawył w nagłym porywie, przeszywając go do szpiku kości, mimo że otulił się ciasno płaszczem.

— Proszę, sir — usłyszał niespodziewanie głos Browna nad uchem. — Przyniosłem panu koc. Niech się pan nim owinie pod płaszczem. A tu pańskie rękawiczki, sir.

W ciemności Brown zręcznie owinął go kocem, tak że płaszcz przytrzymał koc na ramionach. W dzień wyglądałoby to śmiesznie, ale na szczęście było jeszcze ciemno. Hornblower drżał z zimna i tupał nogami, żeby się rozgrzać.

— Clausewitz, czy ci pańscy żołnierze ruszą się wreszcie z okopów? — mrucał Essen. — Która to godzina? Pierwsza? Proszę posłać do pańskiego dowódcy brygady i powiedzieć mu, że go zdegraduje, jeśli nie zbierze natychmiast ludzi do ataku.

Nastąpiła długa, lodowata przerwa, zanim ciemność przed ich oczyma została przebita kilkoma drobnymi szpileczkami ognia — strzałami z muszkietów w drugiej paraleli.

— Ha! — wykrzyknął Essen.

Znów minęła dłuższa przerwa, zanim wrócił posłaniec. Atakujący stwierdzili, że wysunięte do przodu okopy są opuszczone, poza kilkoma posterunkami. Posuwają się teraz w śniegu i

ciemnościach w kierunku głównego obozu.

— A więc cofają się — rzekł Essen. — Niech kawaleria zbierze się dwie godziny przed świtem. Za dnia dogonimy ich ariergardę. Wszystkie oddziały niech się potem przeprawią przez rzekę. A teraz szklanę herbaty, na litość boską.

Grzejąc się przy ogniu rozpalonym na kamiennej posadzce i popijając herbatę przez szcękające z zimna zęby, Hornblower patrzył po tych ludziach z żelaza, nie zdradzających oznak zmęczenia i tylko dygocącymi z zimna. On sam zbyt był przemarznięty i, rzecz dziwna, zbyt zmęczony, żeby skorzystać ze sposobności kilkugodzinnego odpoczynku na wiązkach słomy rozesłanych pod wysokim ołtarzem, ale Essen chrapał jak wulkan do momentu, aż zbudził go adiutant. Na dworze było jeszcze ciemno i zimniej niż przedtem, gdy podstawiono dla nich konie pod cerkwią.

— Lepiej pojedę z panem, sir — oświadczył Brown. — Mam konia dla siebie.

Hornblower nie potrafił odgadnąć, jak Brown tego dokonał, zważywszy na trudności językowe. Przypuszczalnie nauczył się jeździć konno w ciągu tych niewiarygodnie odległych dni w Smallbridge. Kawalkada ruszyła wolno w ciemnościach w kierunku przedmieścia Mitawą. Konie ślizgały się i potykały na śniegu. Hornblower pożałował, że wsiadając nie zabrał koca, bo o szarym świcie było chłodniej niż przedtem. Nagle z dala od przodu nadbiegł ponury, głuchy huk, potem drugi i następne — to strzelały armaty polowe.

— Dybicz następuje ich ariergardzie na pięty — rzekł Essen. — Doskonale.

Rozwidniło się na tyle, że widać już było pustkę okolicy, przez którą jechali do opuszczonych umocnień oblężniczych. Mogli zajrzeć do zaśmieconych okopów; były tam baterie z rozbitymi działami; zabity koń leżał na grzbiecie z brzuchem przysypanym śniegiem, spod którego nogi sterczały mu sztywno ku szaremu niebu. A oto i główny obóz, ziemianki, rząd za rzędem, przeważnie o wysokości dwóch, trzech stóp, z wygasłymi resztkami ognisk obozowych już zaspanych śniegiem. Za jedną z ziemianek, większą od innych, leżał obandażowany żołnierz w szarej kapocie armii francuskiej, twarzą w dół. Żył jeszcze, bo stopy mu drgały.

— Czyżby bili się tutaj? — zastanawiał się zaskoczony Essen; nie było widać śladów krwi.

Ktoś zsiadł z konia i odwrócił leżącego; miał twarz usianą plamami poziomkowej barwy. Oczy, chociaż otwarte, nie patrzyły.

— Odsunąć się! — krzyknął nagle adiutant. — To zaraza!

Wszyscy cofnęli się od umierającego, a potem zorientowali się, że zaraza jest wszędzie wokoło. Jedna z ziemianek pełna była trupów, w innej leżeli umierający. Essen pobudził konia do galopu i jeźdźcy oddalili się z tego miejsca.

— U nas też już ją mamy — powiedział Essen do Hornblowera. — Dwa dni temu Kładów miał wśród swoich ludzi dziesięć przypadków.

Tak oto pierwszy etap odwrotu armii inwazyjnej zbierał swe żniwo wśród słabszych. Jej droga usłana była trupami, chorymi i umierającymi, chociaż nie toczyła się tu żadna walka — Dybicz na czele pościgu znajdował się na szosie mitawskiej, na lewym froncie, skąd od czasu do czasu docierały odgłosy ognia. Gdy wreszcie dotarli do punktu, gdzie trakt łączył się z drogą, ujrzeli ślady prawdziwej bitwy; żołnierzy zabitych i rannych, Rosjan, Francuzów i Niemców, w miejscu gdzie rosyjska awangarda starła się z ariergarda nieprzyjaciela. Dopędzili kolumny rosyjskie, posuwające się z trudem drogą, i galopowali wzdłuż nie kończącego się sznura oddziałów. Dywizja za dywizją wojsko maszerowało w milczeniu, tak szybko jak pozwalały ich nogom ciężkie plecaki. Dziesięć

mil pośpiesznego marszu znacznie przygasiło początkowy entuzjazm pościgu.

— Macdonald szybko się cofa — zauważył Clausewitz — kosztem porzucania chorych i artylerii. Zastanawiam się, jak długo zdoła utrzymać to tempo.

Hornblower nie zadał sobie trudu podjęcia dyskusji. Odparzenia powodowane długą jazdą w siodle sprawiały, że był rozdrażniony, nie mówiąc o zmęczeniu i ogólnym złym samopoczuciu. Musi jednak być w stanie zameldować swoim władzom, że ścigał odstępującą armię co najmniej przez jeden odcinek marszu w drodze do Niemiec; a lepiej, gdyby przez dwa lub trzy. Było ponadto jeszcze coś. Chciał dogonić Prusaków, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu — i ciekawa sprawa, ale miał uczucie, że będzie rzeczywiście ostatnia. Kręciło mu się w głowie i pocieszająca była świadomość, że Brown jedzie w tyle, w grupie ordynansów konnych.

Posłaniec przywiózł wieści od awangardy i Hornblower słuchał jak przez sen wyjaśnień Clausewitza.

— Prusacy robią postój przed nami, u rozwidlenia dróg. Osłaniają odwrot, a tymczasem dwa inne korpusy wojska maszerują dalej dwoma drogami.

Dziwna rzecz, tego właśnie oczekiwał, jakby to była historia, którą już mu ktoś wcześniej opowiedział.

— Prusacy! — rzekł i mimo woli spiął konia ostrogami, zmuszając go do szybszego biegu w stronę, gdzie sądząc po głuchych odgłosach artylerii, Prusacy trzymali tylną straż. Grupa sztabowców minęła już główne siły i galopowała traktem głęboko zrytym przez koleiny, z gęstym lasem iglastym po bokach. Za lasem otworzył się widok na pustą okolicę i małe wzniesienie drogi przed nimi. Po obu stronach drogi rozłożyła się brygada rosyjskiej awangardy, działa jej baterii strzelały, a na grzbiecie wzniesienia widać było kolumny piechoty pruskiej, czarne plamy na tle szarości pól. Z prawej strony kolumna Rosjan w szarych mundurach zdążyła przez pola na pozycję z flanki, a między tymi dwiema grupami wojska galopowali dwójkami i trójkami jeźdźcy rosyjscy — Kozacy — na swych wynędzniałych konikach, trzymając długie lance pionowo u boku. Zamglone słońce przedarło się właśnie przez chmury, akcentując jeszcze bardziej ponurość krajobrazu. Podjechał generał i zaszalutował Essenowi, ale Hornblower nie chciał słyszeć, co ma do powiedzenia. Pragnął pędzić naprzód, ku Prusakom, a ponieważ konie sztabowców ruszyły za jego koniem, jechali teraz wszyscy do przodu. Essen, słuchający raportu generała, nie zdawał sobie sprawy, że koń pod nim galopuje. Do rzeczywistości przywołało go wycie pocisku armatniego, który zarył się obok w poboczu drogi, wyrzucając śnieg i ziemię na wszystkie strony.

— Cóż my tu robimy? — zdziwił się. — Za chwilę wszystkich nas wystrzelają.

Hornblower patrzył do przodu, na armię pruską, na lśniące bagnety i sztandary czarne na tle śniegu.

— Chcę dostać się do Prusaków — rzekł.

Odpowiedź Essena utonęła w huku wystrzału z pobliskiej baterii, ale nie było wątpliwości, co chciał powiedzieć.

— Jadę — upierał się Hornblower. Rozejrzawszy się, pochwycił wzrok Clausewitza. — Czy pojedzie pan ze mną, pułkowniku?

— On nie może — protestował Essen. — Nie może ryzykować, że go schwytają.

Jako renegat, człowiek walczący przeciwko własnej ojczyźnie, Clausewitz zostałby prawdopodobnie powieszony, gdyby wpadł w ręce Prusaków.

— Byłoby lepiej, żeby pojechał — rzekł Hornblower drewnianym głosem. Doznawał dziwnego uczucia jednoczesnego jasnego widzenia i stanu choroby.

— Jadę z komodorem — zdecydował nagle Clausewitz, podejmując prawdopodobnie najbardziej męską decyzję w swoim życiu. Może pobudziła go obojętność automatu, z jaką zachowywał się Hornblower.

Essen wzruszył ramionami na szaleństwo, które ogarnęło ich obu.

— Jedźcie więc — powiedział — może uda mi się wziąć do niewoli dosyć generałów, żeby was wymienić.

Pocwałowali traktem naprzód. Hornblower usłyszał za sobą głośny rozkaz Essena do dowódcy baterii, żeby przerwano ogień. Obejrzał się; Brown galopował za nim w przyzwoitym odstępie pięciu długości. Minęli oddział lekkiej kawalerii kozackiej — żołnierze patrzyli na nich z ciekawości — a potem znaleźli się między strzelcami pruskimi, którzy kryjąc się w krzakach i za nierównościami gruntu ostrzeliwali Kozaków z dalekiego zasięgu. Żaden z nich nie oddał jednak strzału do grupki jadącej tak pewnie. Kapitan pruski stojący przy drodze zasalutował im, a Clausewitz odwzajemnił pozdrowienie. Tuż za linią strzelców napotkali pierwszy uformowany oddział piechoty, pruski pułk w kolumnach batalionowych podzielonych na kompanie, dwie z jednej strony traktu i jedna z drugiej. Na trakcie stał pułkownik ze swym sztabem, wlepiając wzrok w nadjeżdżające ku niemu dziwne trio: oficera Brytyjskiej Marynarki Wojennej w błękitno-złotym mundurze, Clausewitza w uniformie rosyjskim, z rzędem medali na piersi, i marynarza brytyjskiego z kordelasem i pistoletami za pasem. Gdy podjechali blisko, pułkownik rzucił pytanie głośnym, ostrym tonem, a Clausewitz odpowiedział, ściągając cugle.

— Niech pan im powie, że musimy zobaczyć się z generałem — rzekł Hornblower po francusku do Clausewitza.

Nastąpiła szybka wymiana zdań między Clausewitzem a pułkownikiem, zakończona rozkazem rzuconym przez tego ostatniego dwóm lub trzem adiutantom na koniach — z pewnością będącym starszymi oficerami — aby pojechali z nimi. Posuwając się naprzód, ujrzeni większą, uformowaną grupę piechoty i rząd armat. I tutaj stała gromadka na koniach; pióropusze, lamówki i medale oraz konni adiutanci, wszystko to wskazywało, że to sztab generalski. To musi być generał — Hornblower przypomniał sobie jego nazwisko — Yorck. Rozpoznał on natychmiast Clausewitza i zwrócił się do niego po niemiecku gwałtownym potokiem słów. Wydawało się, że krótka wymiana zdań między nimi jeszcze bardziej zwiększyła napięcie sytuacji. Nastąpiła krótka przerwa.

— On mówi po francusku — poinformował Clausewitz Hornblowera, i obaj obrócili się i czekali na jego słowa.

— Generale — przemówił Hornblower; śnił, ale zmusił się do mówienia w tym śnie. — Reprezentuję króla Anglii, a pułkownik Clausewitz reprezentuje cara Rosji. Walczymy o uwolnienie Europy od Bonapartego. Czy wy bijecie się, żeby utrzymać jego tyranię?

Na takie retoryczne pytanie nie można było dać żadnej odpowiedzi. Milcząc z konieczności, Yorck mógł tylko czekać, co Hornblower ma jeszcze do powiedzenia.

— Bonaparte został pobity. Wycofuje się z Moskwy i nawet dziesięć tysięcy ludzi z jego armii nie dojdzie do Niemiec. Hiszpanie, jak panu wiadomo, opuścili go. To samo Portugalczycy. Cała Europa obraca się przeciwko niemu, przekonawszy się, jak mało znaczą jego obietnice. Wie pan, jak potraktował on Niemcy — panu nie muszę mówić o tym. Jeśli będzie się pan bił po jego stronie, utrzyma go pan jeszcze przez kilka dni na jego chwiejącym się tronie. I o tyle czasu przedłuży pan cierpienia Niemiec. Obowiązkiem pana jest stanąć po stronie pańskiej zniewolonej ojczyzny, pańskiego króla, który jest jeńcem. Może pan oswobodzić i króla, i ojczyznę. Może pan przerwać ten niepotrzebny przelew krwi pańskich żołnierzy teraz, już, w tej chwili.

Yorck odwrócił oczy od niego i spojrzał na niegościnną okolicę, na rozwijające się powoli kolumny wojsk rosyjskich i dopiero wtedy powiedział:

— Co pan sugeruje?

To tylko Hornblower chciał usłyszeć. Jeżeli Yorck zadaje pytania, zamiast od razu ich uwięzić, to sprawę można uznać za załatwioną. Może zostawić dalszą rozmowę Clausewitzowi i poddać się znużeniu ogarniającemu go jak przyływ. Spojrzeniem wprowadził Clausewitza do dyskusji.

— Zawieszenie broni — powiedział Clausewitz. — Natychmiastowe przerwanie działań wojennych. Ostateczne warunki mogą zostać ustalone bez trudu, gdy będzie na to czas.

Yorck wahał się jeszcze przez moment. Hornblower mimo zmęczenia i choroby zaczął mu się przyglądać z nową iskrą zaciekawienia; surowa twarz, spalona słońcem na mahoń i dziwnie kontrastujące z nią siwe włosy i wąsy. Yorck był na krawędzi swego losu. W tej chwili był lojalnym poddanym króla pruskiego, stosunkowo mało znanym generałem. Ale wystarczy, że wypowie dwa słowa, a zrobią z niego teraz zdrajcę, zaś w przyszłości przypuszczalnie postać historyczną. Odstąpienie Prus — a w każdym razie odstąpienie armii pruskiej — jak żadne inne

posunięcie ujawni słabość cesarstwa napoleońskiego. A to zależy od Yorcka.

— Zgadzam się — powiedział Yorck.

Nic więcej Hornblower nie chciał usłyszeć. Mógł teraz zapaść w swój sen... swój koszmar; niech sobie dalszy przebieg dyskusji bierze jakikolwiek obrót. Gdy Clausewitz zawrócił na trakt, koń Hornblowera automatycznie ruszył za nim. Mignął Brown, sama jego twarz; Hornblower nie widział już nic więcej.

— Dobrze się pan czuje, sir?

— Rzecz jasna — odparł Hornblower machinalnie.

Ziemia, po której teraz stąpał, była miękka, jakby szedł po puchowych kołdrach czy luźno rozestłanym płótnie żaglowym. Może by lepiej było się położyć. Uświadomił sobie nagle, że w muzyce jest przecież jakieś piękno. Przez całe życie uważał ją tylko za drażniącą mieszankę hałasów, ale w końcu przyszło na niego objawienie. Muzyka, którą słyszał teraz, bicie dzwonów, potężne, ulatujące w niebo dźwięki były przyjemne, wprawiały go w ekstazę. Musiał podnieść głos, żeby przyłączyć się do melodii, żeby śpiewać, śpiewać, śpiewać. A potem muzyka zakończyła się ostatnim grzmiącym akordem i nastąpiła cisza, w której głos jego zabrzmiał ochryple, jak krakanie kruka. Umilkł, urwawszy z uczuciem zakłopotania. Dobrze się stało, że jest tu ktoś, kto może podjąć śpiew. To śpiewał przewoźnik u wiosła.

Dalej, wiosłujemy społem, płynąc do Hampton Court...

Cudowny głos tenorowy; dzięki niemu Hornblower był skłonny darować wiosłarzowi ten bezczelny śpiew w trakcie wiosłowania po rzece.

Wiosłując w blasku słońca...

Barbara siedzi obok, śmiejąc się rozkosznie. Słońce świeci wspaniale i cudownie wyglądają zielone połacie łąk na brzegach rzeki. I on musi się śmiać, śmiać i śmiać. I mały Ryszard jest tu, i pcha mu się na kolana. Czemuż to, u diabła, Brown tak się gapi na niego?

[1] Brummell — George Bryan Brummell (1778—1840), arbiter elegantiarum z początku XIX w., przyjaciel księcia Walii, późniejszego Jerzego IV.

[2] Książę regent — książę Walii, w przyszłości Jerzy IV.

[3] Wimbledon Common — jedno z południowych przedmieść Londynu.

[4] „Nonsuch” — „Niedościgniony”.

[5] „Raven” — „Kruk”.

[6] „Moth” — „Ćma”.

[7] „Clam” — „Milczek”.

[8] Or. His Nibs — o posmaku żartobliwym używany w farsach tytuł po „His Grace” — jego miłość.

[9] Ang. Crown Prince — domniemany lub wyznaczony spadkobierca tronu panującego (zwłaszcza w Niemczech i Europie północnej)

[10] *Hic, haec, hoc* (łac.) — ten, ta, to.

[11] Rewel (Reval) — dawna nazwa Tallina.

[12] Upper Deal — Górne Deal (Deal — miasteczko na wschodnim wybrzeżu Anglii w hrabstwie Kent).

[13] Downs — kotwiczowisko u wschodnich wybrzeży Anglii.

[14] Kanał — kanał La Manche.

[15] Skagen — przylądek w Danii.

[16] Chasse-maree (fr.) — francuski lugier, lekki statek o skośnych żaglach.

[17] Or. „Heart of oak are our ships, Jolly tars are our men...” — marsz Królewskiej Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

[18] Edward Gibbon (1737—1794) — historyk angielski, autor sześciotomowego dzieła o nieprzemijającej wartości: „Zmierzch cesarstwa rzymskiego”, obejmującego dzieje cesarstwa rzymskiego od śmierci Marka Aureliusza (180) do upadku Konstantynopola (1453).

[19] „Wędrówki Childe Harolda”. Dwie pierwsze pieśni ukazały się w 1812 r.

[20] Halsingborg — port w Szwecji, położony naprzeciwko duńskiego portu Helsingor w cieśninie Sund.

[21] Or. Elsinore.

[22] Memel — dawniejsza nazwa Kłajpedy.

[23] Belt — cieśnina łącząca Morze Bałtyckie z cieśniną Kattegat; w niej m. in. znajduje się wyspa Langeland.

[24] Maxilla (łac.) — szczęka górna.

[25] Glossofaryngalny — językowo-gardłowy.

[26] Per rectum (łac.) — przez odbytnicę.

- [27] Whitehall — ulica w Londynie przy której są biura Admiralicji
- [28] Dogger Bank — łowiska na Morzu Północnym.
- [29] Linka sondy była podzielona na sążnie zaznaczone wplecionymi szmatkami (marks) i innego rodzaju umownymi oznaczeniami, odpowiadającymi różnym głębokością.
- [30] Stubbenkammer — skaliste urwisko, kredowe, północno-wschodni brzeg Rugii.
- [31] Sondowanie wykazało pięć i pół sążnia; sążeń = 2 jardy = ok. 6 stóp.
- [32] Obecnie Hiddensee, wyspa koło Rugii.
- [33] Oficer mianowany przez króla, powyżej stopnia porucznika.
- [34] Skif — lekka łódź z wiosłami do wiosłowania w parze albo „na śrubkę”.
- [35] To znaczy od godziny 18 do 20. Poprzednia od 16 do 18.
- [36] Sorbet — napój chłodzący.
- [37] Stentor — herold w wojnie trojańskiej o potężnym głosie.
- [38] A bientót (fr.) — do zobaczenia wkrótce.
- [39] Trik-trak — gra przy użyciu warcabów i kości.
- [40] Krępulec — opaska uciskająca.
- [41] Ciquecento (wł.) — XVI wiek, okres Renesansu.
- [42] Downing Street — ulica w Londynie, gdzie znajdują się biura rządu brytyjskiego; siedziba aktualnego rządu.
- [43] Whitehall — patrz przypis 27.
- [44] Hornpipe — skoczny taniec marynarski od nazwy instrumentu podobnego do kobzy.
- [45] Pilawa (od 1946 r. Baltijsk, ZSRR) — leży w północno-wschodniej części Zatoki Gdańskiej, w pobliżu Królewca (od 1946 r. noszącego nazwę Kaliningrad).
- [46] „Weece Rossa” — „Biała róża”.
- [47] Ozylia — obecnie: Sarema (est. Saaremaa).
- [48] Liwonia — łacińska nazwa Inflant, krainy historycznej, obejmującej obszar Łotwy, Estonii.
- [49] W or. Daugavgriva. Po łotewsku Daugava — Dźwina; griva — ujście.

- [50] Młody pretendent — księżę Karol Edward Stuart, wnuk Jakuba II, poprzedniego pretendenta do tronu angielskiego.
- [51] Mitawą — obecnie: Jełgawa.
- [52] Kawalerowie mieczowi — zakon w Inflantach współpracujący z Krzyżakami.
- [53] Mansion House — siedziba Lorda Mayora, prezydenta Londynu.
- [54] Seven Islands — miasto w Kanadzie.
- [55] Aleksander W. Suworow (1729—1800) — rosyjski feldmarszałek, wybitny strateg; w 1799 r., jako dowódca armii austriacko-rosyjskiej we Włoszech, pobił Francuzów pod Cassano d'Adda i pod Novi.
- [56] „Ars amatoria” (łac.) — „Sztuka kochania”, tytuł poematu Owidiusza.
- [57] „Les liaisons dangereuses” (fr.) — „Niebezpieczne związki” — tytuł powieści psychologicznej, ujętej w formę listów, francuskiego pisarza, Pierre'a de Laclos (1741—1803).
- [58] *Coup de main* (fr.) — atak z zaskoczenia.
- [59] *Nepenthe* (*nepenthes*) — w przeświadczeniu starożytnych Greków środek wywołujący niepamięć smutku.
- [60] *Poterna* (*fortyf.*) — korytarz w murze.
- [61] *Conde* (*hiszp.*) — hrabia.
- [62] *Guerrilleros* (*hiszp.*) — partyzanci.
- [63] Kula — wzniesiona część łąku siodła.
- [64] Or.: *Ring-a-ring of roses* — taniec do piosenki dziecięcej, zaczynającej się od tych słów.